R G B WH GR BL Grey Scale #13 C M Y K

DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Inches Centimetres

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

DANES-PICTA.COM

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Na str.							
4	wiersz	16	od dołu	zamiast „księżeczce“	powinno być	„książeczce“.
4	„	11	„	„niewątpiwie“	„	„niewątpliwie“.
12	„	10	od góry	opuszczony. Wstawić należy: „...(wo)jennych. Ściąganie tych oddziałów naogół znacznie opóźniło się w sto(sunku)...“.		
70	„	18	od dołu	zamiast „zagadkę“	powinno być	„zasadzkę“
70	„	3	„	„domem“	„	„dany“
73	„	12	od góry	„właniе“	powinno być	„właśnie“.
80	„	1	od dołu	„cechę“	„	„cenę“.
85	„	5	od góry	„z wielkiego“	„	„u wielkiego“
86	„	9	od dołu	„rozmiłownie“	„	„rozmiłowanie“.
96	„	16	od góry	„zaarażowane“	„	„zaaranżowane“
100	„	3	„	„jeżeli nie“	„	„chociaż“
108	„	18	„	skreślić; zamiast niego wstawić: „Koło południa dowódca 1-ej armji, po porozumieniu się z dowódcą fron(tu)“		
131	„	10	od góry	słowa „17-ej z zachodniego na południowo-zachodni“ skreślić.		
134	„	17	od góry	zamiast „dowodzonegop“	powinno być	„dowodzonego
140	„	15	„	„ta“	„	„to“. [przez“.
140	„	7	od dołu	„umove“	„	„muove“.
142	„	10	„	„na“	„	„ma“
148	„	3	„	„bezstronnem“	„	„nieustannem“
153	„	2	od góry	„tak“	„	„jak“.
156	„	11	od dołu	„był tak niewyraźny“	„	„były tak niewyraź-
160	„	3	od góry	„Budziennego“	„	„Budiennego“. [ne“
178	„	10	od dołu	„niewielkie jgrupki“	„	„niewielkiej grup-
179	„	9	od góry	„z rozkazem“	„	„z rozkładem“ [ki“
180	„	6	od dołu			
183	„	19	od góry	„Kołbiela“	„	„Kołbieli“.
183	„	11	od dołu			
198	„	19	„			
182	„	4	od góry	„Wiązowni“	„	„Wiązowny“
188	„	1	„	„Putna“	„	„Putny“.
206	„	4	„	„państwa“	„	„państw‘

ROK 1920

Ukp. 12

JÓZEF PIŁSUDSKI

ROK 1920

Z POWODU PRACY
M. TUCHACZEWSKIEGO
„POCHÓD ZA WISŁĘ"

WARSZAWA 1924
NAKŁADEM TOW. WYD. „IGNIS"
(E. WENDE I S-KA) SPÓŁKA AKCYJNA

Copyright by Józef Piłsudski, Warsaw 1924.
Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.
Odbito 5 egzemplarzy na mirkowskim papierze czerpanym i 5200 egzemplarzy na papierze zwykłym w druk. i lit. p. f. „Jan Cotty“ w Warszawie 1924



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

32596/2

PRZEDMOWA

Rok 1920 pozostanie w dziejach conajmniej dwóch państw i narodów rokiem na długo pamiętnym. Na ogromnej arenie pomiędzy brzegami Dniepru, Berezyny i Dźwiny, a z drugiej strony Wisły rozstrzygały się w walce wojennej losy nasze polskie i sąsiedniej z nami Sowieckiej Rosji. Rozstrzygnięcie walki rozstrzygnęło zarazem na czas pewien i losy miljonów istot ludzkich, które reprezentowane były wtedy przez walczące na tej ogromnej przestrzeni wojsko i jego wodzów. Nie chcę wchodzić w dociekania czy boje toczone w tym roku swem znaczeniem nie obejmowały znacznie szerszych kręgów niż zakreślone one były granicami obu państw będących w sporze wojennym, niechybnem jednak jest, że napięcie nerwów w całym świecie cywilizowanym było niezwykle duże i ku nam, ówczesnym żołnierzom, skierowane było mnóstwo ócz, napełnionych to trwogą, to nadzieją, to łzą goryczy, to uśmiechem szczęścia. Nic więc dziwnego, że ciekawość dotąd pyta o wyjaśnienie zagadek i wątpliwości, które dręczyły ongiś ludzi. Zrozumiałą również jest ciekawość nasza, głównych aktorów ówczesnych dziejowych zdarzeń, w stosunku do działań, myśli i nawet wszelkich szczegółów pracy tych, z którymi ongiś skrzyżowaliśmy szpady. Pan Tuchaczewski (nie mogę znaleźć innej formuły, gdyż nie wiem, czybym określeniem rangowem nie uraził w czemkolwiek swego byłego przeciwnika) wydał świeżo książeczkę pod tytułem „Pochód za Wisłę", ja zaś zostałem zaproszony przez polskich tej książeczki wydawców o danie dla polskiej publiczności swojej tego dziełka oceny i przeciwstawienia myślom i ujęciom każdorazowej sytuacji wodza jednej z partyj walczących, myśli i takiegoż ujęcia wodza z naszej strony. Sądzę, że wydawcy mieli w tej spra-

wie myśl szczęśliwą, gdyż taka jednoczesna obserwacja obu stron walczących daje największe zbliżenie do realnej prawdy i stanowić może bardzo dobrą podstawę dla każdego z poważnych badaczy historji. Niechybnie p. Tuchaczewski ma przedemną przewagę pierwszeństwa, że tak powiem przewagę inicjatywy — zaczął pierwszy. A z tego powodu zgodnie z celami wydawnictwa jestem z góry związany zarówno układem pracy p. Tuchaczewskiego, jak jej metodą i jej konstrukcją; w pracy zaś literackiej równie dobrze jak i w pracy wojennej jest to niemało ważną przewagą. Wobec tego jednak, że i w naszem spotkaniu wojennem losy pod względem inicjatywy sprzyjały nie mnie, lecz partji przeciwnej, zgodziłem się chętnie na propozycję wydawców, gdyż sama metoda ujęcia pracy przez p. Tuchaczewskiego niezwykle sprzyja zadowoleniu szeroko odczuwanych u nas potrzeb wyświetlenia wielu zjawisk przeżytych przez nas tak głęboko w przełomowym dla naszej Ojczyzny roku 1920.

Mianowicie p. Tuchaczewski, wydając pod powyższym tytułem swe prelekcje na dopełniającym kursie akademji wojennej w Moskwie, poszedł w ograniczeniu ich treści tak daleko, że zawarł ją jak mówi we wstępie „w obszczem strategiczeskom obzore operacij" a „razsmotrenja strategiczeskich detalej i takticzeskich sojedinienij" zdecydował unikać zupełnie. Z tego powodu dziełko p. Tuchaczewskiego staje się dostępne szerokiemu kołu czytającej publiczności. Strategja bowiem tak ogólnie pojęta, bez związania jej ściślej zarówno ze szczegółami tej dziedziny jak i z taktycznemi działaniami wojska, oswobadza piszącego czy mówiącego od ciężko strawnej dla ogółu analizy wojennych sytuacyj, nie wymaga trudnych do odcyfrowania dla przeciętnego czytelnika szkiców i map, a zarazem przenosi czytelnika i słuchacza do tej dziedziny, gdzie zaczyna panować niekiedy wszechwładnie — nieuchwytny nieraz dla ścisłej analizy czar sztuki wojennej. Dziedzina zaś każdej sztuki jest tą, gdzie przeciętnie wykształcony człowiek obraca się względnie swobodnie a przynajmniej swobodnie się czuje; gdy jest wystawa obrazów, wszyscy nie malujący rozpowiadają wcale swobodnie o artystach i ich metodach, gdy zaś jest wystawa wojny, niema szerzej omawianego tematu, jak strategiczne błędy i zalety głównych aktorów wojny, których właśnie udziałem jest dziedzina strategicznej sztuki wojennej. Gdy więc nasz Stańczyk mówi, że najwięcej na świecie jest lekarzy, dających porady chorym, to śmiem zaprzeczyć znakomitemu rodakowi, stwier-

dzając, że podczas wojen najwięcej jest mądrych strategików, operujących swobodnie w dziedzinie strategicznych operacyj. Gdy zaś echa wojny ubiegłej drżą jeszcze w powietrzu, gdy nieraz starzy i młodzi uczestnicy tak niedawnych jeszcze klęsk i zwycięstw gwarzą wśród chętnych słuchaczy o swych przejściach, wdzięczny jestem p. Tuchaczewskiemu, że swą metodą pracy zachęcił mnie do skrzyżowania jeszcze raz z nim szpady tym razem niewinnie na papierze w nadziei, że w ten sposób przyczynimy się obaj do gruntowniejszych i bardziej uzasadnionych rozpraw wśród strategicznych amatorów w obu naszych ojczyznach.

Gdy mówię o skrzyżowaniu szpad i stwierdzam przewagę p. Tuchaczewskiego, bo ma ich wybór, spieszę odrazu zaznaczyć, że mam swoje przewagi, z których nie omieszkam skorzystać. Pierwszą z nich jest fakt, że dzieje postawiły mnie wyżej od p. Tuchaczewskiego. Dowodził on większą coprawda, lecz jednak tylko częścią wojsk sowieckich walczących ongiś z nami, gdy ja byłem naczelnym wodzem wojsk polskich. Gdy więc on jako podwładny, nieraz z konieczności był krępowany w swoich zamierzeniach rozkazem przełożonych i wyznaczeniem mu środków dla prowadzonej przez niego walki, ja tego skrępowania nie miałem. Z tego też powodu w dziedzinie najogólniejszych strategicznych działań z musu musiałem sięgać szerzej i obracać się w rejonach wojennej sztuki i w myślach z nią związanych w wyższym kręgu, niż to było udziałem p. Tuchaczewskiego. Pocieszam się tem, że ta naturalna przewaga jest przez p. Tuchaczewskiego zupełnie negowana, gdyż czyni on mnie w swoich rozumowaniach także podwładnym rozmaicie: to generalnemu sztabowi Ententy, to znowu kapitalistom całego świata.

Pozostaje do omówienia inna przewaga z mojej strony, z powodu której przez dłuższy czas się wahałem, czy mam się podjąć wogóle pracy, o którą mnie proszono. Jeżeli p. Tuchaczewski przez celowe, jak zaznaczyłem, ograniczenie siebie do najogólniejszych strategicznych rysów operacji przez siebie dowodzonych stał się dostępnym dla względnie szerokiego koła czytającej publiczności, to równocześnie z tem wyrządził sobie krzywdę, gdy mówiąc i wydając książkę o historycznej swej pracy dowodzenia wielką ilością wojsk, obniżył ją do rozmiarów jednej tylko funkcji wodza, sprawiając tem często wrażenie wiatraka, obracającego się w pustej przestrzeni. Nie chcę tem obrażać lub w czemkolwiek ujmować p. T., lecz nadmierna, zdaniem

mojem, abstrakcyjność wykładów oddziela p. Tuchaczewskiego od wojska, którem dowodził, tak daleką i tak niczem niezapełnioną przestrzenią, że jedynie z wielkim nakładem pracy nad sobą, mógłbym iść w jego ślady i przystosować swoją pracę do jego metody i do jego ujęcia wykładów.

Przerzucałem więc po kilka razy kartki książeczki, niezdecydowany ciągle czy mam podjętą pracę wykonać, czy też zrzec się jej całkowicie. O pracach bowiem historycznych, rzeczach, które się działy na wojnie realnie, nie mogłem się odważyć pisać w ten sposób jak to uczynił p. Tuchaczewski.

Rozumiem jeszcze, gdy idzie o wykład czy to strategji ogólnej, czy to tej lub innej jej części, a jako przykład ilustrujący myśl wykładowcy bierze się ogólnikowo takie lub inne fakty historyczne, metoda p. Tuchaczewskiego byłaby usprawiedliwiona. Lecz ani sama treść wydanej książeczki, ani sposób ujęcia tematu nie dawały mi możności zaliczyć pracy p. Tuchaczewskiego do takiej właśnie kategorji. Treścią właściwą jest historja myśli przewodniej dowódcy wojsk sowieckich, stojących przeciw nam na froncie na północ od Prypeci w niezaprzeczenie pięknej operacji w roku 1920. I zaledwie jedna drobna część wykładów p. Tuchaczewskiego, mianowicie jego rozważania działań za pomocą mas taranowych, dałaby się zaliczyć do prac o charakterze teoretycznym, do czego potrzebną by była ilustracja historyczna. Z chwilą zaś, gdy w całej księżeczce wymieniona część jest tylko krótkotrwałym epizodem, a reszta jest historją w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie mogłem wymusić na sobie wyrzeczenia się praw istotnego dowodzenia i praw historji, ciążącej zawsze nad wodzami wojny, gdybym się zdecydował iść w ślady p. Tuchaczewskiego.

Niewątpiwie dla historji każdej z wojen nieodzownym źródłem jest historja pracy duszy każdego z wodzów, dowodzących wojną. Wpływ bowiem, jaki ma ta praca na losy wojny jest tak wielki, że historja wojny staje się bez tego niezrozumiałą, często dziwaczną mieszaniną faktów i fakcików, nieujętych w żaden system, tak, że zjawisko zwycięstwa czy klęski nie daje się przyczynowo ująć i wisi w jakiejś abstrakcyjnej pustce, niewiadomo dlaczego upiększając głowę jednych laurem, a oblewając żarem wstydu twarze innych.

Dlatego też książeczka p. Tuchaczewskiego jest niechybnie źródłem historycznem, spowiada się w niej p. Tuchaczewski ze swych myśli wodza i daje wyraz tej pracy dowodzenia.

Lecz wtedy ta niezwykła abstrakcyjność pracy daje nam obraz człowieka, który — jak mówiłem — miele tylko własny mózg czy własne serce, wyrzekając się lub nie umiejąc dowodzić codziennie wojskiem w jego pracy, która to praca nietylko niezawsze odpowiada myślom i zamierzeniom wodza, lecz nieraz mu zaprzecza lub zmuszona jest zaprzeczyć przez działanie i pracę wojsk nieprzyjacielskich.

Nie chcę przez to powiedzieć, że p. Tuchaczewski istotnie tak dowodził, nie chcę w całej pełni korzystać z przewagi mi w ten sposób danej, lecz nie mogę się oprzeć wrażeniu, że bardzo wiele zjawisk w operacjach 1920 roku zawdzięczać należy nie czemu innemu, jak wielkiej skłonności p. Tuchaczewskiego do dowodzenia wojskiem w ten właśnie abstrakcyjny sposób. Wobec zaś tego, że w swoim typie dowodzenia nie znajdowałem nigdy tej skłonności i o swojej pracy dowodzenia nie mógłbym, gdy idzie o historję tak pisać i myśleć, gdym wreszcie się zdecydował podjąć się proponowanej mi pracy, nie wyrzekam się tej naturalnej przewagi w naszej odnowionej walce na papierze, którą mi da analiza wiążąca moje myśli i moją pracę mózgową z pracą wojsk, z pracą dowódców, którzy mi byli wówczas podwładni.

Jeżelim zatrzymał czytelnika tak długo na wstępie nie przechodząc do treści, to uczyniłem to dlatego, abym mógł być wolnym od wielu uwag, które musiałbym stawiać, idąc w rozważaniu operacji 1920 roku krok w krok za takimże rozważaniem p. Tuchaczewskiego. Z chwilą zaś, gdy jestem przy usuwaniu przeszkód w pracy, usunąć chcę i parę innych.

Po pierwsze, nie chcę iść także w ślady p. Tuchaczewskiego pod względem stylu, który nadał swojej pracy; niechybnie p. Tuchaczewski wydawał książeczkę nie dla nas Polaków i żołnierzy polskich, lecz stylem swoim o charakterze, że się tak wyrażę, mocno publicystycznym nie upiększył wcale swojej pracy. W stylu jego jest jakgdyby chęć agitowania swoich słuchaczy czy czytelników z próbą ustawiczną ubliżania swoim przeciwnikom na wojnie. I pomimo, że osobiście nie mam pretensji do p. Tuchaczewskiego za kolorystyczne określenia mas walczących z nim w 1920 roku, z wyraźną chęcią podania nas wzgardzie publicznej, unikać będę w swej odpowiedzi nawet zwyczajnego u nas określenia „bolszewik", gdyż niewątpliwie określenie to nabrało u nas także cech pogardy i chęci ubliżenia. Nie wyklucza to wcale, że zająć będę musiał swe stanowisko do poglądów p. Tuchaczewskiego o charakterze polityczno-socjalnym; rozrzucone są one nie-

kiedy epizodycznie w różnych częściach wykładów, a skoncentrowane w jednym specjalnym rozdziale zatytułowanym „Rewolucja z zewnątrz". Wydaje mi się to koniecznem, gdyż niewątpliwie czynniki polityczno-socjalne odgrywały bardzo poważną rolę w samej wojnie a zatem i w rozważaniach jej wodzów.

Dodam we wstępie wreszcie, że nie mogąc w wykładach p. Tuchaczewskiego znaleźć, jak to powiedziałem wyżej, odpowiednika całości pracy jego dowodzenia, starałem się o inne źródła, któreby mi brak ten wyrównały i lukę zapełniły. Znalazłem je w niedostatecznej wyznaję mierze w szeregu prac historycznych, wydanych przez naszych byłych przeciwników na wojnie. Z prawdziwą przyjemnością konstatuję, że zarówno pod względem metody jak i ujęcia wytrzymać one mogą porównanie z wybitnemi pracami tego rodzaju na świecie. Istotną zaś perłą pod tym względem w tej literaturze jest książka p. Sergiejewa pod tytułem „Od Dźwiny do Wisły", która daje historję działań 4. armji sowieckiej oraz pracę jej dowódcy, autora książki. Korzystałem z niej obficie przy wszystkich próbach mojej analizy historycznej w poszczególnych sytuacjach kampanji 1920 roku, a niestety daje ona możność ilustrowania tej prawdy o dowodzeniu p. Tuchaczewskiego, którą wypowiedziałem wyżej.

Kończę wstęp wyrażeniem żalu, że niektóre nasze publikacje historyczne stoją niestety tak nisko, że ani dobrem źródłem być nie mogą, ani zasługiwać nie są w stanie na porównanie z pracą w tej dziedzinie naszych byłych przeciwników, a często, zbyt często robią wrażenie prac żaka szkolnego, który wiedząc, że zawinił, blagą i nadrabianiem miny oszukać się stara surowego nauczyciela — historję.

Józef Piłsudski.

M. TUCHACZEWSKI

POCHÓD ZA WISŁĘ

Wykłady, wygłoszone na kursie uzupełniającym Akademji Wojskowej R. K. K. A. w Moskwie, 7—10 lutego 1923 r.

przełożył

ANTONI BOGUSŁAWSKI

major Sztabu Generalnego

Towarzysze, głównem źródłem wykładów niniejszych są moje wspomnienia. Poczęści opieram się na przejrzeniu naszych dokumentów urzędowych oddziału operacyjnego sztabu frontu. Korzystałem również z książki tow. Sergiejewa „Od Dźwiny do Wisły" oraz z niektórych artykułów francuskich i polskich. Brak czasu nie pozwolił mi zatrzymać się nad tem zagadnieniem tak długo, jak byłbym pragnął i jakby należało. Dlatego wykłady będą miały charakter ogólnego rzutu oka na działania wojenne z punktu widzenia strategji i charakter studjum szczegółów strategicznych. Działań taktycznych różnych jednostek wojskowych będę w nich unikał.

I.

WYBUCH WOJNY.

Przegląd wypadków rozpoczynam od chwili, kiedy Polacy rozpoczęli natarcie na naszym froncie południowo-zachodnim i zajęli Kijów. Ówczesne położenie Rosji Sowieckiej było następujące: Kołczak był zlikwidowany na wschodzie, Denikin był zlikwidowany na Kaukazie. Tylko gniazdo Wranglowskie trzymało się na półwyspie krymskim. Na północy i zachodzie (nie licząc Polski) działania były zakończone. Z Łotwą podpisano już pokój. To też wystąpienie Polski zastało nas we względnie pomyślnych dla nas warunkach. Gdyby rząd polski umiał był porozumieć się z Denikinem przed jego klęską, gdyby nie był się bał hasła imperjalistycznego: „Jedna, niepodzielna, wielka Rosja", wówczas uderzenie Denikina na Moskwę, posiłkowane przez ofenzywę polską z zachodu, mogłoby było skończyć się dla nas znacznie gorzej, i trudno nawet zdać sobie sprawę z możli-

wości ostatecznych wyników. Ale złożony splot interesów kapitalistycznych i narodowych nie pozwolił zrodzić się temu sojuszowi, i armji czerwonej wypadło potykać się z wrogami po kolei, co w znacznej mierze ułatwiło jej zadanie.

Naogół, na wiosnę r. 1920 mieliśmy możność przerzucić prawie wszystkie nasze siły zbrojne na front zachodni i rozpocząć ciężką walkę z „białemi" siłami Polaków.

II.

OBSZAR DZIAŁAŃ WOJENNYCH.

Obszar przewidywanych działań wojennych na froncie zachodnim dzielił się mniej więcej według południka rz. Berezyną. Brzegi tej rzeki, błotniste i zalesione, na całej swojej przestrzeni są poważną przeszkodą do jej forsowania. Te właściwości zwiększone są jeszcze tem, że w górnym jej biegu, w rejonie m. Lepla — miast. Berezyny — jez. Pelik znajdują się prawie nieprzebyte błota, porosłe lasem. Na południe, wzdłuż dolnego biegu, oraz na wschód i zachód od rzeki, ciągną się nieprzerwanie lasy, przeważnie błotniste i bardzo słabo zaludnione. Kolej przecina Berezynę zaledwie w trzech punktach: pod Borysowem, Bobrujskiem i Szaciłkami. Wskutek tego rejon, najwygodniejszy do forsowania rzeki — w kierunku Ihumenia — jest niesłychanie niepodatny dla zorganizowania komunikacji armji. Na północ od błot Berezyny, między Leplem i Dźwiną, znajduje się sucha przestrzeń, wygodna do przesuwania i działań wielkich mas wojska. Prawda, że rejon ten jest poryty przez jeziora, jednakże tutaj wojsko działać będzie w miejscowości ludnej, a przedewszystkiem armja czynna ma tutaj wygodne połączenia: rz. Dźwinę i węzeł kolejowy Połocki. Obszar ten Polacy nazywają „wrotami smoleńskiemi".

Na południe od dolnego biegu Berezyny teren staje się zupełnie nieodpowiedni do działań wielkich jednostek wojskowych. Lasy, bagna i słabe zaludnienie są tego przyczyną.

Naogół, można ustalić dwa kierunki, najwygodniejsze dla naszego uderzenia: wrota smoleńskie i kierunek Ihumenia.

Polacy w tym czasie ustawili się mniej więcej wzdłuż linji Dzisna — Połock — rz. Ułła — st. Krupki — Bobrujsk — Mozyrz. Cechą dodatnią wrót smoleńskich dla naszego natarcia było, jak już powiedziano wyżej, zaludnienie obszaru, stały grunt i dogodna komu-

nikacja. Cechą ujemną było to, że natarcie wprost od Połocka napotykało na drodze bardzo ciężką przeszkodę — Dźwinę. Zaś uderzenie między Dźwiną a Leplem zmuszało naszą armję, po przejściu do rejonu st. Orzechowna, do załamania swojej linji operacyjnej przez zachodzenie prawem ramieniem conajmniej na 90 stopni. W kierunku Ihumenia można było pozwolić sobie na wygodny ruch po linji prostej. Jak wspomniano wyżej, ruch ten musiał mieć miejsce w rejonie, odznaczającym się bezdrożami i gruntem lesisto-bagnistym, gdzie organizacja tyłów napotkaćby musiała, przy naszych nędznych środkach, przeszkody nieprzezwyciężone. Oto dlaczego, przy wypracowaniu planu działań zaczepnych, dla uderzenia głównego zostały obrane wrota smoleńskie.

III.

UGRUPOWANIE SIŁ.

Według planu głównodowodzącego, główną rolę strategiczną odegrać miał front zachodni. Tu, w rejonie Witebsk — Tołoczyn — Orsza, skupiły się wielkie siły, przewożone z różnych likwidowanych frontów. Wybrany przez głównodowodzącego rejon koncentracyjny rozwiązywał dowództwu frontu ręce, jeżeli chodzi o wybór tego lub innego kierunku operacyjnego. Kilku przemarszami można było podciągnąć te siły do wrót smoleńskich i w takim samym czasie skoncentrować się w kierunku Ihumenia (szkic Nr. 1).

Nasze skupione oddziały nie mogły być podciągnięte do jednakiego poziomu. Te oddziały, które już poprzednio znajdowały się na froncie zachodnim, nie wydawały się godne szczególnego zaufania. Stały one tu przez kilka lat, rozciągnięte szeroko, przyczem wojsko polskie, bardziej przedsiębiorcze, przez ciągłe wycieczki i drobną szarpaninę męczyło i demoralizowało naszych żołnierzy. Tracili działa, karabiny maszynowe i rannych. Jednocześnie z żadnej strony nie stosowano poważnych działań aktywnych. To wszystko, w połączeniu z niepowodzeniami zeszłorocznemi w walkach z Polakami, rzucało na nasze oddziały jak gdyby cień niepewności i pewnej nieśmiałości. Odwrotnie, oddziały, przybywające z innych frontów, dopiero co przez nas zwycięsko zlikwidowanych, pełne były wojowniczego nastroju i bardzo wysokiego napięcia ducha. Zdolność ich do boju była bezwarunkowo wielka.

Oddziały miejscowe frontu zachodniego (48, 53, 8, 10, 17, 2. i 57. dyw. strz.) zajmowały linję frontu bojowego. Oddziały, przerzucone z innych frontów, skoncentrowane były w wyżej wskazanym rejonie Witebsk — Tołoczyn — Orsza. Dowództw armij na froncie zachodnim było tylko dwa: dowództwo armji 15-ej i 16-ej. Tymczasem zamierzona koncentracja, (stosownie do ilości dwudziestu jeden dyw.) wymagała nie mniej jak 4 do 5 dowództw armij. Oddziałów technicznych, łączności i kolejowych było na froncie zachodnim bardzo niewiele, bezwarunkowo za mało do choć trochę poważniejszych działań wosunku do ściągania zasadniczych rodzajów broni, skutkiem czego działania następne odbywać się musiały w nadzwyczaj trudnych warunkach.

Wojsko polskie rozciągnięte było kordonem wzdłuż całej zajętej przez nie linji mniej więcej równomiernie. Każda ich dywizja starała się wydzielić odwód; armje ze swojej strony czyniły to samo. W ten sposób, oddziały, rozciągnięte równomiernie wzdłuż frontu, eszelonowały się również mniej więcej równomiernie wgłąb. Ta pozorna równowaga rozmieszczenia polskiego przez samo swoje założenie rodziła pewne niebezpieczeństwo, a mianowicie to, że dowództwo polskie, bez względu na wysiłki, nie mogłoby skupić w jakimkolwiek kierunku głównej masy wojska. Nasze natarcie zawsze napotkać musiało zaledwie nieznaczną część armji polskiej, a następnie mogło kolejno odpierać przeciwnatarcie odwodów.

Te błędy rozmieszczenia polskiego były przez nas wzięte pod uwagę, i przy organizacji natarcia liczono na to, aby silne uderzenie naszych przeważających sił odrazu zniszczyło pierwszą linję polską. Ażeby osiągnąć w najkrótszym czasie najlepszy wynik, dowódcy dywizyj otrzymali rozkaz wprowadzenia swoich oddziałów w bój odrazu, bez pozostawiania jakichkolwiek odwodów. Nasze oddziały masą swoją gniotły i, w całem tego słowa znaczeniu, znosiły w punkcie uderzenia oddziały pierwszej linji polskiej. Potem kolejne uderzenia odwodów nie były już straszne i odwody dzieliły losy swej pierwszej linji.

Zato pod względem wyszkolenia stan wojska polskiego był naogół wyższy, niż naszych oddziałów. Uzbrojenie i umundurowanie również było lepsze.

Wzajemny stosunek liczebny naszych i polskich sił, po zakończeniu naszej koncentracji, równoważył się. Sztab polowy uważał

nawet, że będziemy silniejsi. Ale to wynikało stąd, że my liczebność oddziałów obliczaliśmy według walczących, Polacy zaś — według bagnetów i szabel (tabl. 1), co znacznie utrudniało wyliczenia.

IV.

OFENZYWA MAJOWA.

Podczas koncentracji naszych głównych sił na froncie zachodnim, Polacy walczyli nadal zwycięsko na południowo - zachodnim. Sukcesy ich odbiły się i na północy. Polacy zajęli Mozyrz i rozpoczęli z powodzeniem natarcie na Rzeczycę. Intensywne wypady i działania drobnych i średnich oddziałów wojska polskiego dały się odczuć na całym froncie zachodnim. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy w przededniu rozpoczęcia przez Polaków ofenzywy. Ażeby utrzymać nasze pozycje i nie dać Polakom możności wciągnięcia naszego zasadniczego ugrupowania w narzucone nam działania, stało się dla nas koniecznością przejść od obrony do natarcia. Z tego powodu 14 maja przedsięwzięta została ofenzywa.

Ofenzywa ta była rozpoczęta, zanim wszystkie nasze siły zdążyły się skoncentrować. Opóźnione dywizje wypadło traktować, jako odwód. Jednocześnie trzeba się było liczyć z tem, że powodzenie naszej pierwszej ofenzywy powinno było bezwarunkowo być we właściwym czasie rozwinięte i nie mogło ograniczyć się drobnemi zadaniami chwilowemi.

Plan ofenzywy przewidywał przebicie się przez wrota Smoleńskie, rozbicie lewego skrzydła armji polskiej i wciśnięcie reszty jej sił w błota Pińskie. Plan ten miał tę dobrą stronę, że pozwalał w znacznej mierze zaoszczędzić siły. Wrogo względem Polski usposobiona Litwa mogła, wrazie naszego posunięcia się naprzód, z powodzeniem osłaniać nasze skrzydło i tyły. Dalej to samo zadanie mogło przypaść Prusom Wschodnim, niezależnie nawet od ich na to zgody. W ten sposób, natychmiast po pierwszem przebiciu się, wszystkie nasze siły mogły być wyzyskane dla działań aktywnych przeciw głównym siłom armji polskiej, a na prawe nasze skrzydło i na tyły moglibyśmy nie zwracać wielkiej uwagi. W kierunku Ihumenia działania armji 16-ej (dowódca Sołłohub, szef sztabu Batorskij) powinny były, po sforsowaniu rz. Berezyny, uderzyć z frontu w główne ugru-

BIBLIOTEKA NARODOWA

TABLICA I.

Stosunek wzajemny sił na froncie zachodnim na dzień 15 maja 1920 roku.

Nieprzyjaciel				Nasze oddziały				
	Oddział	Bagnetów	Szabel	Uwagi	Oddział	Bagnetów	Szabel	Ogółem walczących	Uwagi
Kierunek wrót smoleńskich.	8. dyw. piech. .	4800	400	linja bojowa	**Grupa północna.**				
	1. dyw. Lit.-Biał.	3500	400		48. dyw. strz. .	2028	—	4929	Większa część dyw. na granicy Łotwy. Pozatem przybywa 18 dyw. strz.
	Razem:	8300	800		164. bryg. strz. .	1141	—	2320	
	3. dyw. Legj. .	4800	—	Głęboko oddzielone odwody, licząc w to i oddziały wystawione przeciw Litwie	Razem:	3169	—	7249	
	6. dyw. piech. (1 pułk) . . .	1200	—		**Armja 15.**				
	10. dyw. piech. .	4800	—		4. dyw. strz. . .	5597	—	7923	
	2. dyw. Lit.-Biał.	4800	—		6. „ „ . .	3162	—	6700	
	Dywizja jazdy . .	—	1800		11. „ „ . .	2638	72	5999	
	Razem:	15400	1800		29. „ „ . .	9863	605	13567	
	Ogółem	23900	2600		53. „ „ . .	3157	—	5142	
					56. „ „ . .	2500[1])	—	5162	[1]) około
					Różne oddziały .	1144	—	1803	
					15. dyw. jazdy .	—	1967	2315	
					Razem:	28061	2644	48647	
					Ogółem	31230	2644	55896	
Rejon południowy frontu.	2. dyw. piech. .	4800	400	linja bojowa	**Armja 16.**				
	6. „ „ (3 pułki) . . .	3400	600		2. dyw. strz. . .	2500[1])	—	6500[1])	[1]) około
	14. dyw. Wlkp. .	4000	600		8. „ „ . .	4291	991	7972	
	9. dyw. piech .	5000	1600		10. „ „ . .	2730	—	6930	
	Razem:	17200	3200		17. „ „ . .	6841	301	11270	Prócz tego przybywa 21. dyw. strz.
	17. dyw. Wlkp. .	4800	—	odwody	57. „ „ . .	1580	57	3230	
	16. dyw. Pomor. .	4800	—		Różne oddziały .	302	—	595	
	Razem:	9600	—		Razem:	18244	1349	36506	
	Ogółem	26800	3200		Ogółem	18244	1349	36506	
	Wszystkiego na przeciw frontu zachodniego . .	50700	5800		Wszystkiego na froncie zachodnim	49474	3993	92402	

powanie „białych" sił polskich i nie pozwolić im na manewr w celu przeciwdziałania głównemu uderzeniu armji 15-ej.

Oddziały armji 15-ej, działające na północ od rz. Dźwiny, były złączone pod dowództwem tow. Sergiejewa w grupę północną ,której za zadanie postawiono sforsowanie Dźwiny w rejonie na zachód od Połocka, dla działania na skrzydło i tyły nieprzyjaciela, walczącego z armją 15-tą.

Armja 15-ta (dowódca Kork, szef sztabu Kuk), jak taran, uderzyła na słabe oddziały dywizji Litewsko-Białoruskiej, zajmującej mniej więcej bieg rz. Ułły. Oddziały tej dywizji zostały rozbite, zdemoralizowane i rozproszone zaraz pierwszego dnia. Stopniowe wprowadzanie w bój odwodów polskich wzmogło jeszcze porażkę i jeszcze bardziej moralnie pognębiło armję polską. Nasza ofenzywa zaczęła rozwijać się szybko i gwałtownie (szkic 2). Armja 15-ta bez trudności wykonała zwrot we wrotach smoleńskich i szła dalej w kierunku Mołodeczna.

Powodzenie było tak decydujące i tak niespodziewane dla Polaków, że ich naczelne dowództwo dało dowód zupełnej chwiejności i rozpoczęło przerzucanie sił z południowo-zachodniego frontu na zachodni.

Wprowadzenie w akcję tych nowych odwodów odegrało pewną rolę, naprzykład na linji Postawy — Budsław — Ziembin. Wojsko nasze spotkało się z szeregiem uzgodnionych przeciwuderzeń i zostało powstrzymane. Niepowodzenie w przeprawie armji 16-ej jeszcze bardziej skomplikowało położenie. Wypada zauważyć, że prócz przyczyn rzeczowych, które przeszkodziły ofenzywie armji 15-ej, miało również miejsce pewne rozproszenie jej sił. Dywizje, rozciągnąwszy się w trzech kierunkach (Postawy — Mołodeczno — Ziembin), nigdzie nie stworzyły ugrupowania napierającego, a dywizja, znajdująca się w odwrocie, nie mogła na czas zdążyć z jednego kierunku na drugi.

Wreszcie decydujące uderzenie Polaków z kierunku Postaw przesądziło losy operacji. Oddziały armji 15-ej zostały złamane, i cała armja była zmuszona śpiesznie się cofnąć. Jak to bywa zwykle po wielkiem przemęczeniu lub wielkiem zwycięstwie, ciężkie niepowodzenie akcji w ważnym kierunku błyskawicznie obiega cały front, skutkiem czego równowaga wojska natychmiast się załamuje. Rozpoczyna się szybki odwrót.

Ażeby powstrzymać uchodzące wstecz masy, postanowiono zorganizować obronę wrót smoleńskich w sposób następujący (szkic 3): Grupie północnej rozkazano zająć rejon Hermanowicz i zamknąć mocno przejścia między jeziorami: Białem, Jelnem i Żadem. 15-ej armji, przez wzmocnienie jej grupy południowej — zamknąć wejście do błot Berezyny w kierunku Wielkiej Czernicy. Pozostałym siłom armji 15-ej — bronić przejść do rz. Mniuty. Dalsze posuwanie się wojsk polskich w kierunku Połocka dostawało się w kleszcze.

Dowództwo polskie, obawiając się ruchu czołowego, postanowiło przedewszystkiem rozbić nasze ugrupowanie północne. Przeciw 18-ej dyw. (świeżo przybyłej do grupy północnej) wysunięto 10. dyw. piech. i 7. bryg. rez.

Walka trwała całą dobę, i wreszcie 18. dywizja musiała cofnąć się z wielkiemi stratami. Ale też i nacierający nieprzyjaciel zachwiał się i stracił zdolność do dalszych działań rozstrzygających. To stało się punktem przełomowym w działaniu. Pewne wahanie trwało jeszcze dość długo, ale naogół wrota smoleńskie zostały w naszych rękach aż do chwili, w której przedsięwzięliśmy drugą, decydującą ofenzywę.

WNIOSKI.

Pierwsze to nasze działanie miało dla nas duże znaczenie. Wojsko nasze zobaczyło, że może zwyciężać Polaków. Prawda, że wojsko polskie w całym szeregu walk wykazało wyższość swojego wyszkolenia, ale nasza energja, śmiałość i umiejętność grupowania dowiodły naogół, że nasze oddziały są pod względem taktycznym zdolniejsze od polskich. To ostatecznie rozproszyło tę chwiejność, jaka istniała w niektórych oddziałach. O przyszłych walkach wszyscy myśleli z hartem w duszy i całkowitą pewnością zwycięstwa.

Drugim ważnym wynikiem naszej pierwszej ofenzywy było, że ulżyliśmy położeniu frontu południowo-zachodniego i w najcięższej dlań chwili zmusiliśmy część wojsk polskich do porzucenia kierunku Kijowa.

Wreszcie najważniejszym dla nas wynikiem było zajęcie wrót smoleńskich. Pozwoliło nam to na znacznie łatwiejsze organizowanie dalszej ofenzywy i odrazu postawiło nasze wojsko na linji kolejowej Mołodeczno — Połock.

V.

PRZYGOTOWANIE DO GŁÓWNEJ OFENZYWY.

W pierwszej połowie czerwca na całym froncie zachodnim zapanował spokój. Stosunek wzajemny sił w tym czasie uwidoczniony jest w tabl. II.

Oczywiście, przy takich siłach i biorąc pod uwagę, że wszystkie posiłki wreszcie już przybyły, nie podobna było liczyć na decydujący rozwój głównej operacji. Niezbędną rzeczą było znaleźć sposób uzupełnienia naszych osłabionych oddziałów.

Dowództwo frontu wzięło pod rozwagę zasadę zdwojenia liczby bagnetów w każdej dywizji strzelców.

Powstawało przy tem niezmiernie trudne zagadnienie — uzupełnienie. Działał jeszcze wówczas wszechrosyjski Sztab Główny, urząd wysoce biurokratyczny, który nie umiał wykonywać włożonych nań zadań. Praca w oddziałach rezerwowych, praca mobilizacyjna i walka z bandytyzmem prowadzona była formalistycznie, bezdusznie i nie dawała żadnych wyników. Naczelne dowództwo dysponowało armją zapasową, na którą spadło główne zadanie uzupełnienia naszych armij czynnych. Ale i jej środki były ograniczone i nie mogły zaspokoić naszych potrzeb.

Należy przytem zauważyć, że wyszkolenie krasnoarmiejców w oddziałach rezerwowych stało na niezbyt wysokim poziomie. Bez otrzymania umundurowania nie można było go postawić należycie wobec chłodów wiosennych, nie pozwalających na ćwiczenie żołnierzy boso. Natychmiast po otrzymaniu umundurowania tworzono naprędce kompanje i bataljony marszowe, wagonowano je i wysyłano na fronty.

W takim nędznym stanie znajdowała się w tym okresie sprawa uzupełnienia naszych armij. Wszystkie fronty i armje czynne musiały we własnym zakresie, przy pomocy środków miejscowych, uzupełniać straty w oddziałach. Oczywiście, trudne to jest zadanie i wprowadza niejednolitość do spraw poborowych, ale innego wyjścia nie było.

Prócz czysto technicznych zastrzeżeń przeciw uzupełnieniu miejscowemu, były również i ważkie objekcje polityczne. Istniało wielu

TABLICA II.

Stosunek wzajemny sił na froncie zachodnim ku końcowi działań majowych (z oddziałami nowoprzybyłemi).

	Polacy				Nasze oddziały				
	Oddziały	Bagnetów	Szabel	Uwagi	Oddziały	Bagnetów	Szabel	Ogółem walczących	Uwagi
Kierunek wrót smoleńskich	10. dyw. piechoty (z 1 p. prz.).	5000	500		**Grupa północna.**				
	7. bryg rez. . .	3000	—		18. dyw. strz. .	3650	260	8768	48. dyw. strz. na granicy łotewskiej przybywa 54. dyw. strzelców
	8. dyw. piech. .	1800	500		160. br. strz. . .	2109	205	3849	
	1. dyw. jazdy .	—	1800		164. „ „ . .	906	—	1692	
	2. dyw. Lit.-Biał.	4800	—		Razem:	6665	465	14309	
	11. dyw. piech. .	4800	—		**Armja 15.**				
	6. dyw. piechoty (bryg.) . .	1600	—		4. dyw. strz. .	4385	304	10727	
	17. dyw. piech. .	1800	—		5. „ „ .	7766	490	10800	
	1. dyw. Lit.-Biał.	2000	—		6. „ „ .	2815	35	6000[1])	[1]) około
					11. „ „ .	2211	35	6000[1])	
					12. „ „ .	2500[1])	—	5363	
					53. „ „ .	2938	144	6286	
					56. „ „ .	1894	—	4271	
	Ogółem	28800	2800		Razem:	24509	1008	49447	
					Ogółem	31174	1473	63756	
					Armja 16.				
					2. dyw. strz. .	2500[1])	—	6500[1])	[1]) około
Rejon południowy frontu	16. dyw. piechoty (3 pułki). .	4200	—		8. „ „ .	3200	177	5626	
	4. dyw. piechoty (3 pułki). .	4000	—		10. „ „ .	2405	81	7483	
	9. dyw. piechoty	4000	1700		17. „ „ .	3273	238	7222	
	2. „ „	3200	500		21. „ „ .	3358	1424	5942	
	6. „ „ (bryg.) . .	1600	600		Razem:	14736	1920	32773	
	10. dyw. piechoty	4800	600		**Grupa mozyrska.**				
					57. dyw. strz. . .	1099	63	3749	
					Różne oddz. . .	1833	—	3597	
	Ogółem	21800	3400		Razem:	2927	63	7346	
					Ogółem	17663	1983	40119	
	Wszystkiego na przeciw frontu zachodniego . .	50600	6200		Wszystkiego na froncie zachodnim	48837	3456	104075	

zwolenników tego poglądu, że krasnoarmiejcy biją się źle niedaleko od miejscowości, z których są rodem, że najmniejsze niepowodzenie powoduje dezercję do ognisk domowych i rozpylanie się oddziałów.

Jednakże życie, które wszystkich i wszędzie zmuszało uciekać się do podobnego uzupełnienia miejscowego, wykazało błędność tego ostrożnego poglądu. W wypadkach klęski, mieszkańcy najdalej położonych obszarów dezerterowali równie łatwo, jak ludność miejscowa. Różnica pod tym względem była niewielka. Ale za to wszystkie znaczniejsze wysiłki, wszystkie śmiałe operacje i kampanje opierały się prawie zawsze na mobilizacjach miejscowych i na miejscowem uzupełnieniu. To samo miało miejsce i w czerwcu r. 1920. Słaba liczebność oddziałów, konieczność szybkiej ofenzywy i beznadziejny stan centralnych oddziałów rezerwowych, zmusiły front zachodni do szukania uzupełnień przy pomocy własnych środków.

Według posiadanych przez nas wiadomości, front zachodni przepełniony był dezerterami z roczników, podlegających mobilizacji. Obliczaliśmy, że przy prawidłowem zorganizowaniu kampanji w tym celu, można będzie wydusić ze wsi 40.000 dezerterów.

Został opracowany staranny plan tej kampanji, puszczono w ruch czynniki polityczne i administracyjne, ustanowiono w jak najszerszym zakresie surową władzę karzącą, i kampanja poszła odrazu bardzo intensywnem tempem. Wynik jej przewyższył wszelkie oczekiwania. Dezerterzy poczęli meldować się dobrowolnie. Najczęściej starali się oni, w charakterze ochotników, stawiać się w oddziałach walczących. Zaledwie nieliczne elementy ściągano drogą administracyjną. W ciągu czerwca wcielono około 100.000 dezerterów, co dwa i pół razy przewyższyło nasze nadzieje.

Cała ta masa została rzucona do naszej armji zapasowej i do pułków rezerwowych w armjach czynnych, gdzie rozpoczęła się gorączkowa praca nad wyszkoleniem jej, celem dalszego skierowania do pułków walczących. Trudności w tej mierze były ogromne. Zupełny brak jakiegokolwiek umundurowania, niedostateczna ilość pomieszczeń koszarowych, utrudniały naukę i obniżały jej poziom.

Przybyli do nas na front zmobilizowani komuniści i członkowie związków zawodowych (profsojuznicy) zostali zmieszani z tą świeżo zwerbowaną masą, szybko ją opanowali i wleli w nią ducha męstwa i odwagi w walce z Polską „panów".

Naogół w końcu czerwca, dzięki intensywnej energji działaczów, pracujących nad armją czerwoną, to kolosalne, prawie nie do rozwiązania zadanie zostało wykonane, i uzupełnienie tysiącami zaczęło przybywać do naszych dywizyj. W końcu czerwca wytknięty plan podwojenia składu bojowego był wykonany prawie całkowicie. To z góry przesądzało nasz przyszły sukces i dawało nam możność szerokiego i długotrwałego rozwinięcia działań.

Nastrój wojska naszego był bardzo dobry. Świadomość powagi położenia i konieczności bez względu na ofiary bronienia Rosji sowieckiej przed najazdem polskich „panów" wywołały nietylko wśród krasnoarmiejców w naszych oddziałach, ale wśród całej ludności robotniczej i włościańskiej, mocne przeświadczenie, że walczyć wypadnie do końca.

Z takiem samem napięciem została przygotowana organizacja tyłów naszych przyszłych działań. Istniejące oddziały kolejowe (czołowe pociągi remontowe i dywizjony kolejowe) zostały ściągnięte i, chociaż liczebnie nie odpowiadały zamierzonym zadaniom, jednak dawały możność odbudowywania dróg żelaznych, zgodnie z zasadą koncentracji sił.

Budowa mostu na Dźwinie pod Połockiem była na ukończeniu, i na początku działań mieliśmy połączenie kolejowe do st. Ziabki. Wobec trudności odbudowy mostu pod Borysowem (długość przeszkody 75 sążni), zaczęliśmy zawczasu przygotowania do budowy tego mostu. Wywiad przez szpiegów wskazał nam, że Berezyna w tym rejonie ma około 25 sążni szerokości. Profil plantu był nam znany. Mając zamiar zbudować most na zrębach na linjach podjazdowych, zbudowaliśmy zawczasu i złożyli na platformach części składowe tego mostu. Taka zapobiegliwość pozwoliła nam podczas ofenzywy w ciągu 5 dób odbudować ten most, mający 75 sążni długości. Nasze organy kolejnictwa wojskowego zupełnie nie wierzyły w możność tak szybkiej budowy.

Biorąc pod uwagę brak środków przewozowych w naszych oddziałach, wypadło uciec się do jak najszerszej mobilizacji podwód. Armja 4-ta zmobilizowała ich do 8.000 sztuk, 15-ta i 3-cia—do 15.000, 16-ta zaś — około 10.000. Było to wielkim ciężarem dla ludności miejscowej, ale lęk jej przed najściem „panów" pozwolił nam z łatwością uciec się do tego sposobu. Ta wielka ilość środków przewozowych pozwoliła naszemu wojsku rozwinąć szybkie i śmiałe dzia-

łania z zachowaniem ciągle czynnych i działających tyłów. Prawda, że w pracy tej był wielki chaos, ale też aż do podejścia do Bugu i Narwi wojsko nasze było stale dość dobrze zaopatrzone we wszystkie niezbędne dla niego produkty.

Środki łączności ściągano także ze wszystkich stron; poczęści tworzono je w armji zapasowej frontu zachodniego. Ale, pomimo wielkiego nacisku w tym zakresie, rozpoczęliśmy działania lipcowe słabo przygotowani pod tym względem. Środków brakło, i ostatecznie sama operacja nie udała się z powodu ich braku. Zaznaczyć trzeba, że w działaniu lipcowem po raz pierwszy zastosowano planowo punkty operacyjne i linjowe organy łączności.

„Białe" dowództwo polskie też nie siedziało z założonemi rękami, lecz uzupełniało i wzmacniało swoje oddziały (tabl. III.).

W powyższej tablicy, w składzie naszych dywizyj strzelców wzięte są również w rachubę bataljony rezerwowe dywizyj. Dlatego w obliczeniach figurują także bataljony rezerwowe polskich pułków walczących.

Chociaż rozmieszczenie wojsk polskich zdradzało pewną dążność do wzmocnienia się naprzeciw naszego prawego skrzydła, nie mogło być jednak nazwane zdecydowanem i nosiło cechy kordonowe oraz pasywne. Te słabe strony armji polskiej były przez nas wzięte pod uwagę i wykorzystane w decydującej ofenzywie lipcowej.

VI.

STOSUNEK WZAJEMNY SIŁ.

Plan ofenzywy był bardzo podobny do planu majowego. Podstawą jego była nadal ta sama myśl oparcia naszego prawego skrzydła o Litwę i Prusy Wschodnie i odrzucenia sił polskich ku błotom Polesia. W ten sposób kierunek głównego uderzenia przechodził znowu przez „wrota smoleńskie". Za to teraz ruch przez „wrota" był dla nas bez porównania dogodniejszy. Nie byliśmy już zmuszeni zaginać lewego skrzydła, i można było działać wprost na skrzydło armji polskiej, usiadłszy mocno okrakiem na czynnej już drodze żelaznej Połock — Mołodeczno.

Zapobiegliśmy do pewnego stopnia brakom dowodzenia, które uwydatniły się w pierwszem działaniu. Mieliśmy aparat dowództw czterech armij i dowództwo grupy mozyrskiej. Prawda, że aparaty

TABLI

Wzajemny stosunek sił na froncie

	P O L A C Y		
	O d d z i a ł y	bagnetów	szabel	U W A G I
Kierunek „wrót smoleńskich".	8. dywizja piechoty	3600	500	
	10. „ „ . . .	3700	—	
	7. brygada rezerwowa . . .	2900	—	
	1. dywizja jazdy	—	1200	
	5. dywizja piechoty	4100	—	
	1. dyw. Litewsko-Białoruska	2400	500	
	4. dywizja piechoty	3700	—	
	15. „ „ . . .	4000	—	Wilno — przeciw Litwie
	6. „ „ (bryg.) .	2000	—	
	2. dyw. Litewsko-Białoruska	3200	—	
	11. dywizja piechoty	3000	—	
	R a z e m	32600	2200	
Rejon południowy frontu.	2. dywizja Legjonów . . .	4000	1100	
	6. dywizja piechoty (bryg.) .	2000	1200	
	14. dywizja piechoty . . .	5000	600	
	16. „ „ . . .	4800	—	
	3. dywizja Legjonów (1 pułk)	1000	—	
	1. dywizja górska (bryg.) . .	2000	—	
	9. dywizja piechoty	4000	1700	
	2. dywizja piechoty (pułk strzelców konnych) . .	—	600	
	17. dywizja piechoty	4000	—	
	R a z e m	26800	5200	
Odwód	Bataljony i szwadrony rezerwowe pułków walczących . .	27000	1200	Gotowe do uzupełnienia
	Wszystkiego naprzeciw frontu zachodniego	86400	8600	

CA III.

zachodnim na dzień 4 lipca 1920 roku.

	NASZE ODDZIAŁY				
	Oddziały	bagnetów	szabel	Ogółem walczących	UWAGI
Kierunek „wrót smoleńskich"	**Armja 4.**				
	18. dywizja strzelców .	4168	220	7005	48. dywizja strzelców na granicy łotewskiej.
	12. „ „ .	2500[1])	—	5000[1])	[1]) około
	53. „ „ .	2047	252	4500[1])	
	164. „ „ .	1000[1])	—	1500[1])	
	3. korpus kawalerji [2])	—	3644	4911	[2]) w składzie 10. i 15. dywizji jazdy.
	Ogółem	9715	4116	22916	
	Armja 15.				
	4. dywizja strzelców .	5000[1])	258	10000[1])	[1]) około
	11. „ „ .	5411	207	8854	
	15. „ „ .	4417	837	9660	
	33. „ „ .	3060	1289	7569	
	54. „ „ .	4401	171	8596	
	Różne oddziały	885	—	2254	
	Ogółem	23204	2714	46883	
	Armja 3.				
	5. dywizja strzelców .	7000[1])	509	10000[1])	[1]) około
	6. „ „ .	3500[1])	50	6386	
	21. „ „ .	4000[1])	1424	8805	
	56. „ „ .	3222	272	5987	
	Różne oddziały	151	—	445	
	Ogółem	17873	2255	31623	
	Razem	50792	9085	101422	
Rejon południowy frontu	**Armja 16.**				
	2. dywizja strzelców .	4282	—	8354	
	8. „ „ .	4194	324	7842	
	10. „ „ .	4370	130	7637	
	17. „ „ .	5624	249	12920	
	27. „ „ .	5000[1])	250[1])	9000[1])	[1]) około
	Różne oddziały	575	—	575	
	Ogółem	24045	953	46328	
	Grupa mozyrska.				
	57. dywizja strzelców .	3142	170	6438	
	Oddział skombinowany .	1547	313	3000[1])	[1]) około
	Różne oddziały	1416	—	3000[1])	
	Ogółem	6105	483	12438	
	Razem	30150	1436	58766	
Odwód	Bataljony i szwadrony rezerwowe dyw. walczących	[3])	[3])	[3])	[3]) Włączono w skład dywizyj.
	Wszystkiego na froncie zachodnim	80942	10521	160188	

te, za wyjątkiem armji 15-ej i 16-ej, były bardzo słabe i pozbawione specjalnych środków technicznych łączności. Jednakże widoczny był postęp i pod tym względem.

Skoncentrowaliśmy trzy nasze armje w rozstrzygających kierunkach: 4-tą (dowódca Sergiejew, szef sztabu Szuwajew (b. grupa północna), 15-tą (dowództwo poprzednie) i 3-cią. 16-ta ustawiona była nadal w kierunku Ihumenia (dowództwo poprzednie), a grupa mozyrska (dowódca armji Łazarewicz, szef sztabu Lisowski) — w kierunku Mozyrza (dowódca Chwesin). Takie ugrupowanie pozwalało skupić w kierunku Głębokiego nasze przeważające siły przy jednoczesnem zachowaniu trwałego i elastycznego władania niemi.

Armja 4-ta liczyła (bez 48. dyw. strz.) około 14.000, armja 15-ta do 26.000, a armja 3-cia do 20.000 bagnetów i szabel; armja 16-ta miała ich 25.000, a grupa mozyrska około 6.000.

W ten sposób na naszem prawem skrzydle, przeciw nieco więcej, jak 30.000 polskich bagnetów i szabel, wysunęliśmy naszych około 60.000. Należy przytem mieć na uwadze, że Polacy siły swoje eszelonowali daleko wgłąb, jednak bez określonego ugrupowania, zaś pierwsza ich linja była rozciągnięta kordonowo. Jednocześnie odwody ich nie mogły stworzyć, nawet przy przegrupowaniu, żadnego groźnego dla nas skupienia w chwili naszego przejścia do natarcia. Na to były one zbyt słabe liczebnie, zbyt rozproszone i rozrzucone. W naszym planie leżało w dalszym ciągu jednoczesne wprowadzenie w bój wszystkich posiadanych sił, ażeby odrazu znieść pierwszą linję bojową przeciwnika. Dalsze wprowadzanie w akcję odwodów polskich byłoby już nie z ich, lecz z naszą korzyścią, ponieważ pozwalałoby nam stopniowo rozbijać te siły.

Na odcinku armji 16-ej stosunek sił był mniej więcej jednakowy. Za to na mało ważnem lewem skrzydle (kierunek Mozyrza) byliśmy dwa razy słabsi od Polaków (szkic 4.).

Rozstawiając w ten sposób siły, dowództwo frontu miało na celu ruch oskrzydlający armji 4-ej na północ od jeziora W. Jelno, uderzenie czołowe przełamujące armji 15-ej na Głębokie i uderzenie skrzydłowe armji 3-ej w kierunku Parafjanowa. Armja 16-ta, skupiwszy siły, miała atakować w kierunku Ihumenia i Mińska, wiążąc całe centrum przeciwnika. Grupa mozyrska, która w tym czasie zajęła m. Mozyrz, miała współdziałać z armją 16-tą w kierunku Hłuska.

Przytoczone wyżej rozmieszczenie sił naszych było ustalone roz-

kazem dowódcy frontu zachodniego z dn. 30. czerwca. W skład armji 4-ej, nie licząc 48. dyw. strz., włączono 12., 18. i 53. dyw. strz., 164. bryg. strz. i 3. korp. konny, złożony z 10. i 15. dyw. jazdy, pod dowództwem tow. Gaja. W skład armji 15-ej włączono dyw. strz. 4., 11., 16., 33., i 54.; w skład armji 3-ej — dyw. strz. 5., 6., 21. i 56. w skład armji 16-ej — dyw. strz. 2., 8., 10., 17. i 27. Skład grupy mozyrskiej pozostał bez zmiany.

VII.

OFENZYWA 4. LIPCA.

2. lipca dowódca frontu zachodniego wydał rozkaz przejścia do zdecydowanej ofenzywy o świcie dn. 4. lipca (szkic 5. i 6.).

Armja 4-ta otrzymała zadanie skierowania głównego uderzenia na północ od jeziora W. Jelno i wejścia 5. lipca w rejon Szarkowszczyzna — Łużki. Konne masy miały być wyrzucone na lewy brzeg Dźwiny i w kierunku Święcian.

Armja 15-ta otrzymała rozkaz uderzenia w kierunku Głębokiego.

Armja 3-cia otrzymała zadanie zajęcia 5. lipca Dokszyc, a 6. odcięcia przeciwnika od linji odwrotu drogą żelazną w rejonie st. Parafjanowo.

Armja 16-ta miała forsować Berezynę z 5. na 6. lipca dla natarcia w kierunku Ihumenia.

Grupa Mozyrska miała współdziałać z armją 16-tą, działając na skrzydło przeciwnika.

Linjami rozgraniczającemi były: między armjami 4-tą i 15-tą ujście rzeki Uszacz — miast. Łużki — Budzicze, między armjami 15-tą i 3-cią Dzwonie — źródła rzeki Berezyny, między armjami 3-cią i 16-tą jezioro Pelik — górny bieg rzeki Hajny.

Ofenzywa rozwijała się z wielkiem powodzeniem. Armja 4-ta wysunęła na północ od W. Jelno 12. i 53. dyw. strz. i 164. bryg .strz.; za niemi wyruszył korpus konny; wzdłuż rzeki Dźwiny posuwała się 18. dyw. strz.

Z łatwością przełamawszy nieznaczne piesze oddziały przeciwnika, grupa uderzeniowa armji 4-ej szybko i zdecydowanie wykonała swój ruch oskrzydlający. Jednakże po drodze napotkała niespodziewanie dla siebie polskie oddziały 8. dyw. piech. Mieliśmy przedtem jeszcze wiadomości, że Polacy sami przygotowują się do

ofenzywy i że pierwszem ich zadaniem ma być wyparcie nas z rejonu dziśnieńskiego.

Najwidoczniej ruch 8. dyw. piech. od Hermanowicz północnym brzegiem jeziora W. Jelno był przygotowaniem tego manewru. Oddziały 8. dyw. zostały zaatakowane w czasie marszu, rozbite i straciły całkowicie zdolność do boju. Ale i nasze oddziały nie osiągnęły tego, co mogły były osiągnąć w tych okolicznościach. Brak środków łączności do rozporządzenia dowódcy armji 4-ej nie pozwalał mu kierować mocno oddziałami, i dlatego działania 12. i 53. dyw. miały nieco nieskoordynowany charakter. W każdym jednak razie przeciwnik był rozbity, zaś nasze oddziały prowadziły nadal ofenzywę, trochę zaledwie odchyliwszy się od postawionego im zadania. 18. dyw. prowadziła uparty bój z przeciwnikiem, i dopiero obejście, wykonane przez grupę uderzeniową, i powodzenie, osiągnięte przez sąsiednią armję 15-tą, pozwoliły jej ruszyć z miejsca.

Armja 15-ta, naprzeciw której znajdowały się główne siły przeciwnika, prowadziła całodzienną krwawą i uporczywą walkę. Dopiero wieczorem na całym odcinku wojsko polskie zostało rozgromione, pobite i z wielkiemi stratami odrzucone w kierunku Głębokiego. Wzięto jeńców, karabiny maszynowe i działa.

Armja 3-cia sforsowała Berezynę, rozbiła stojące naprzeciw niej oddziały polskie, zajęła na czas Dokszyce i również na czas przecięła drogę żelazną w rejonie Parafjanowa. Przeciwnik, rozbity na tym obszarze energicznym ruchem oddziałów armji 3-ej, musiał w popłochu odstąpić w kierunku północnym i północno-zachodnim, cofając się po terenach bagnistych, leżących na północ od linji kolejowej.

Już 7. lipca było jasne dla każdego, że oddziały przeciwnika w rejonie naszego głównego natarcia są zupełnie rozgromione.

Działania armji 16-ej były także uwieńczone całkowitem powodzeniem. Przeszedłszy przez rzekę Berezynę i bijąc napotykane po drodze polskie oddziały, posuwała się szybko naprzód w kierunku Ihumenia.

Grupa mozyrska, przez natarcie z rejonu Hłuska w kierunku północno-zachodnim, udzieliła jej czynnego poparcia.

Ażeby zabezpieczyć lepiej sukces armji 16-ej, 6. lipca dowództwo frontu rozkazało armji 3-ej współdziałać z nią przez ruch w kierunku Mińska (szkic 7.).

7. lipca wychodzi rozkaz, w którym armja 4-ta otrzymuje następujące zadanie: w dniu 9. lipca znaleźć się w rejonie Twerecz — Goduciszki — Komaj, armja ta 10. lipca ma zająć rejon st. Mołodeczno; armja 3-cia, 16-ta i grupa mozyrska zachowują poprzednie zadanie. Ofenzywa rozwija się całkowicie pomyślnie na całym froncie. Korpus konny, oderwawszy się zupełnie od głównych sił swojej armji i działając na północ od jeziornego i błotnistego rejonu Dzisny, zaszedł daleko na tyły „białej" armji polskiej i 9. lipca, po wygranej bitwie, zajął Święciany, zadając przeciwnikowi poważne straty i biorąc znaczną zdobycz wojenną. Demoralizacja, którą to uderzenie korpusu konnego wpoiło w wojsko nieprzyjacielskie, była tak wielka, że nie potrafiło ono dać odporu głównym siłom armji 4-ej na linji potężnie umocnionych pozycyj niemieckich. 9. lipca armja 4-ta wykonała wyznaczone jej zadanie. Armja 15-ta również na oznaczony termin zajęła Mołodeczno. Armja 3-cia i 16-ta, rozbijając dośrodkowem natarciem każdą próbę oporu przeciwnika, prowadziły nadal ofenzywę z powodzeniem.

Przychwyciliśmy rozkazy polskie, z których wynika, że dowództwo polskie, widząc swoją zupełną klęskę na odcinku północnym, nakazało planowy i stopniowy odwrót na odcinku naszej armji 16-ej. Jednakże manewr, przez nas przedsięwzięty, całkowicie pokrzyżował te plany, nie pozwalając Polakom zająć ani utrzymać we właściwym czasie ani jednego wytkniętego punktu. Organizacja ich odwrotu została zachwiana i przybrała charakter zupełnego bezładu.

Teraz przed frontem zachodnim powstało nowe zadanie strategiczne. Wzdłuż Berezyny, wpadającej do Niemna wraz z licznemi dopływami, rozciągają się trudne do przeprawy błota, pokryte gęstemi lasami i mające zaledwie kilka możliwych dla ruchu dróg. Górny bieg Niemna nie stanowi żadnej poważnej przeszkody dla wojsk napierających. Za to od błotnistego obszaru Berezyny płynie on w kierunku zachodnim, aż do ujścia rzeki Szczary i na całej tej przestrzeni stanowi już dość poważną przeszkodę, wskutek bystrości prądu i szerokości łożyska. Dowództwo frontu miało więc rozstrzygnąć pytanie, którędy poprowadzi swoje główne siły: na północ czy na południe od tej przeszkody rozdzielającej.

Ze względu na zasadniczy pomysł oparcia naszego prawego skrzydła o granice państw wrogich Polsce, i ze względu na mniejszą stratę czasu na przegrupowania, postanowiono główne natarcie po-

prowadzić na północ od Niemna (szkic 8.). 9. lipca wydano rozkaz, wedle którego armja 3-cia miała 11. lipca skoncentrować się w rejonie Chochło — Pierszaje — Raków; armji 16-ej rozkazano zająć 11. lipca Kojdanów; grupie mozyrskiej wskazano kierunek Słucka i Łunińca. Jako linje rozgraniczające wyznaczono: między amjami 4-tą i 15-tą Budzicze — jez. Narocz — Oszmiana; między armjami 15-tą i 3-cią miast. Ilja — rz. Berezynę — st. Listopady; między armjami 3-cią i 16-tą rz. Hajnę — miast. Wołmę. Armje północne miały dalej prowadzić ofenzywę.

Oddziały 3. korp. konn., podtrzymane przez 164. bryg. strz., nacierały w dalszym ciągu od Święcian w kierunku Michaliszek. Tutaj, na skutek braku środków łączności, co utrudniało niesłychanie dowodzenie oddziałami armji, miała miejsce niepożądana zwłoka. Dowództwo 18. dyw. niewydajnie traciło czas w rejonie jez. Swir — Michaliszki, działając w oderwaniu i rozproszeniu swemi oddziałami. Łączności pomiędzy poszczególnemi dywizjami również nie było. Dowódca armji musiał osobiście jeździć do sztabów dywizyj, otrzymywać tam niezbędne wiadomości i na miejscu dawać wskazówki. Zorganizowane i zespolone wysiłki trzech dyw. strz. dają wreszcie wynik, i rz. Wilja zostaje sforsowana. Przeciwnik, poniósłszy tu poważne straty, rozpoczyna śpieszny odwrót.

3. korpus konny nie miał również początkowo powodzenia. Kilka jego prób, aby sforsować rz. Wiljȩ, było każdorazowo odpierane przez oddziały piechoty polskiej. Wreszcie, przy pomocy 164. bryg. zadanie to zostało spełnione, i oddziały korpusu wdarły się na przedmieście m. Wilna. Przez pewien czas i tu trwały uporczywe walki, ale 14. lipca rano Wilno zostało już przez nas zajęte ostatecznie.

Kiedy tylko Litwini wyczuli, że armja czerwona odnosi zupełnie wyraźne powodzenia, ich stanowisko neutralne natychmiast zmieniło się na wrogie w stosunku do Polski. Oddziały litewskie uderzyły na polskie siły, zajmując Nowe Troki i st. Landwarowo.

Szybki ruch oskrzydlający korpusu konnego i pomoc wojsk litewskich odcięły północnej armji polskiej linję odwrotu ku Oranom i Grodnu. Część jej rozpoczęła szybki odwrót w kierunku m. Lidy. W ten sposób w tym kierunku, w którym dośrodkowo posuwały się trzy nasze armje, musiało wojsko polskie cofać się z północy i wschodu. Kwestją życia dla wojsk polskich stawało się zatrzymać natarcie armji 15-ej na pozycjach niemieckich, aby pozwolić cofnąć się głównym si-

łom i tyłom. Istotnie, natarcie armji 15-ej napotkało na gwałtowny opór na linji dawnych niemieckich umocnień. Rozpoczął się uparty bój w rejonie Smorgoni.

Ażeby dać szybszy rozwój wypadkom na prawem skrzydle armji 15-ej przez związanie jego działań z pomyślnem natarciem armji 4-ej, w kierunku Smorgoni wysunięto 5. dyw. strz., wycofaną z armji 3-ej do odwodu dowódcy frontu zachodniego.

Armja 15-ta przez kilka dni walczy na linji okopów niemieckich bez wyniku. Jednakże ruch oskrzydlający 18. dyw. strz. z armji 4-ej obala wreszcie polski opór w rejonie Smorgoni, i oddziały armji 15-ej zaczynają stopniowo od prawego ku lewemu zajmować pozycje niemieckie. Natarcie prowadzone jest znowu stanowczo, przyczem do zadań armji 15-ej należy również współdziałanie w stopniowem usuwaniu wojsk polskich z pozycyj na odcinku armji 3-ej.

W rozkazie z 12. lipca armja 4-ta otrzymuje zadanie wyjścia do rejonu Oran w dniu 17. lipca (szkic 9); armja 15-ta i 3-cia otrzymują rozkaz zajęcia w tymże terminie linji Żyrmuny — Lida. Armja 16-ta ma w tymże czasie zająć rejon Baranowicz; grupa mozyrska ma posuwać się w kierunku Pińska. Ażeby ulżyć armji 16-ej w pracy stopniowego zajmowania okopów niemieckich począwszy od prawego skrzydła, skierowano ku niej 2. dyw. strz., wycofaną do odwodu frontu. Jako linje rozgraniczające wyznaczono: między armjami 4-tą i 15-tą Oszmiana — Woronowo — Skidel; między armjami 3-cią i 15-tą Listopady — Sobotniki — Lida — st. Mosty; między armjami 3-cią i 16-tą Wołma — ujście rz. Berezyny — Dereczyn. W ten sposób armji 3-ej postawiono za zadanie częściowe forsowanie Niemna i przesunięcie części sił wzdłuż jego lewego brzegu. Ten środek miał ułatwić armji 16-ej jej ciężkie zadanie forsowania okopów niemieckich na wielkiej przestrzeni i dalszy jej ruch ku rz. Szczarze.

Można było z dużem prawdopodobieństwem przypuścić, że dowództwo polskie postanowi uporczywie bronić się na froncie armji 16-ej i w tym celu wyzyska linję okopów niemieckich oraz bieg rz. Niemna. W takim wypadku nasza grupa północna znalazłaby się w położeniu, w którem musiałaby się zatrzymać. Przewidując to, armjom dano wskazówkę, że na wypadek powstrzymania armji 16-ej na pozycjach niemieckich i na wypadek skoncentrowania na południe od Niemna wielkich mas polskich, zadaniem armji 3-ej i 15-ej będzie zmiana ich zasadniczego kierunku i uderzenie z północy na południe

w skrzydło i na tyły polskich mas; armja 4-ta powinnaby była zabezpieczyć to działanie przez natarcie w kierunku Grodna. Jednakże to przypuszczenie nie urzeczywistniło się. Armja 16-ta własnemi siłami potrafiła złamać opór rozbitych oddziałów armji polskiej, ale sam fakt manewru i gotowość naszego zasadniczego ugrupowania do manewrowania zasługuje na rozbiór nieco dokładniejszy.

Przy obecnych rozległych frontach jest rzeczą niemożliwą uderzać wszędzie jednakowo skupionemi siłami. Śmiałe prowadzenie działań musi bezwzględnie przewidywać skupienie wielkich ugrupowań wojskowych w kierunkach rozstrzygających i pozostawienie minimalnych sił na kierunkach drugorzędnych. Na wypadek powodzenia, na wypadek pomyślnego rozwoju dalszych działań, przed dowództwem wielkich jednostek wojskowych staje nieuchronnie zagadnienie: czy należy dalej prowadzić działanie, zatrzymując ugrupowania poprzednie i poprzedni kierunek operacyjny, czy też należy wybrać nowy? Czy zatrzymać w linji bojowej wszystkie wysunięte do boju masy, czy też je rozrzedzić przez wycofanie części sił do odwodów? Czy nie lepiej prowadzić dalej pościg słabemi siłami i tylko wówczas, kiedy ujawni się nowe ugrupowanie sił nieprzyjacielskich, uderzyć na nie silnemi zachowanemi odwodami?

Te zagadnienia są rozstrzygające w działaniach współczesnych, ponieważ za małemi wyjątkami niema możności znieść siły nieprzyjacielskiej jednym mocnym i decydującym ruchem. Koniecznością jest prowadzenie działania za działaniem, uderzenia za uderzeniem i zadawania przeciwnikowi ciągłych strat. Odpowiedzieć na te zagadnienia raz na zawsze odpowiedniemi formułami — nie można. Położenie bywa zbyt różnorodne, aby stosować doń zawsze określone prawidła. Ale jednocześnie zwykły rozwój działań współczesnych zmusza do wyciągnięcia pewnych wniosków. Przedewszystkiem rozległość frontu ogólnego natarcia i nieuniknione zniszczenie linij kolejowych przez armję ustępującą uniemożliwia przerzucanie wojska we właściwym czasie. Dlatego raz podjęte zmasowanie wojska, przy szybko rozwijającej się ofenzywie, może być zmienione jedynie z wielką trudnością i to częściowo. Powtóre, pozostawienie w ścigającej linji bojowej zaledwie niewielkich sił może pozwolić łatwo przeciwnikowi zorganizować się, zatrzymać nasze natarcie i doprowadzić do porządku swoje zdezorganizowane oddziały. To wszystko nie znaczy, żeby nieprzyjaciel godził się zaraz stawać znów z nami do boju. Na-

odwrót, w całym szeregu wypadków będzie on starcia unikał, zanim nie przygotuje nowego potężnego przeciwuderzenia. W tym wypadku wprowadzenie do akcji utworzonych przez nas znacznych odwodów dla rozbicia przeciwnika, który się zatrzymał, może stać się uderzeniem w próżnię, nie prowadzącem do żadnych pozytywnych wyników, ale jeszcze pociągającem za sobą nieuniknioną stratę czasu. Niemożność przy obecnych rozległych frontach zniesienia armji przeciwnika jednem uderzeniem zmusza do osiągania tego szeregiem działań kolejnych, które powinny kosztować przeciwnika drożej, niż nas. Im szybciej będziemy go pędzili, im mniej damy mu czasu na zorganizowane wycofanie się z bitwy, tem więcej wpłyniemy na rozkład jego sił zbrojnych i uniemożliwimy lub bardzo utrudnimy nową bitwę generalną. Słowem, szereg logicznie prowadzonych działań niszczących, złączonych nieprzerwanym pościgiem, może zastąpić tę rozstrzygającą bitwę, która była najlepszą formą starcia za poprzednich armij, nie mających frontów o takiej rozciągłości.

Przeciw tego rodzaju wywodom wysuwają dość uzasadnioną objekcję, że zgromadzenie na rozstrzygającym kierunku mas taranowych zbyt wyraźnie uwydatnia zasadniczą myśl operacyjną. Przepada zupełnie możliwość zaskoczenia. Rozpoczynające się ugrupowanie taranowe ułatwia przeciwnikowi zawczasu przygotowanie przeciwuderzenia i w odpowiedniej chwili z odpowiedniego rejonu spotka się z jego przeciwnatarciem.

Każda bitwa jest rzeczą złożoną i wielostronną. I te braki natarcia taranowego, które zostały przed chwilą przytoczone, istotnie odpowiadają rzeczywistości. Ale jeżeli zagadnienie rozpatrzeć szerzej, to ujrzymy takie jego strony, które te braki całkowicie wyrównują. Po pierwsze nie wolno zapominać, że pobity przeciwnik jest pod względem dysponowania siłami zbrojnemi w gorszem położeniu, niż armja zwycięska. Bezwład klęski i poczucie położenia bez wyjścia ogarnia cofającego się, jeżeli nie dają mu możności zaczepienia się o cokolwiek ani możności przegrupowania, jeżeli zmuszają go codzień do przyjmowania wciąż nowych walk i tracenia wciąż nowych i nowych sił. Dlatego, jeżeli zasadnicze ugrupowanie taranowe zwrócone jest w odpowiednim kierunku i odpowiednio ubezpieczone na skrzydle i w drugorzędnych kierunkach, to każde przejście przeciwnika do natarcia staje się dla tych mas nie przykrością, ale upragnionem, jedynem marzeniem. W nacierającym zwycięzcy każdy objaw aktywno-

ści ze strony przeciwnika może wywołać jedynie radość,ponieważ daje mu wreszcie możność dopędzenia głównych zachwianych sił wroga i wymierzenia mu ostatecznego, druzgocącego ciosu.

Skupienie mas taranowych jest, jak już wspomniano wyżej, nieuniknionym wynikiem charakteru wojny współczesnej. Armja niemiecka na froncie francuskim w r. 1914 i cały szereg naszych kampanij w okresie wojny domowej mogą być przytoczone jako dowód tego. Również na przykładzie naszej kampanji przeciw „białym" siłom Polaków w r. 1920, można z wielką korzyścią przestudjować zagadnienie o wykorzystaniu mas taranowych. Kiedy armja 16-ta potrzebuje pomocy od północy, masa taranowa, pod postacią armji 3-ej, daje ją przez natychmiastowe natarcie na Mińsk. Gdyby armja 16-ta była potrzebowała pomocy na linji starych okopów niemieckich, to potężne uderzenie nie mniej, jak dwuch naszych armij, padłoby na skrzydło i tyły działających przeciw niej wojsk polskich. W dalszym okresie naszych działań, podczas walk naszych nad Bugiem, mogła wyniknąć potrzeba takiegoż manewru ze strony naszych armij północnych. I gdyby była wynikła, to oczywiście mogła była być natychmiast zaspokojona. Niepowodzenie naszego ostatniego działania nad Wisłą nie powinno mieszać istoty zagadnienia i prowadzić do nieprawidłowych i lekkomyślnych wniosków. Tam zaszedł nie błąd w zasadniczem ugrupowaniu naszego uderzenia, ale niedopatrzenie pod względem jego skrzydłowego ubezpieczenia. O tem będzie mowa dalej.

VIII.

REWOLUCJA Z ZEWNĄTRZ.

Kiedy z całkowitą i wyraźną jasnością uwydatnił się ten ostateczny pogrom, któremu uległy armje polskie na froncie zachodnim, kiedy armje nasze forsowały nareszcie linje umocnień niemieckich, niepokój i panika ogarnęły nietylko burżuazję polską, ale i jej europejskich protektorów.

Otrzymaliśmy notę Curzona, w której proponował nam, żebyśmy zatrzymali się na osiągniętej rubieży, a rząd angielski będzie pośredniczył między nami i rządem polskim w sprawie ustalenia naszych wspólnych granic według traktatu wersalskiego, t. j. na granicy etnograficznej Polski. Oczywiście nie można było dowierzać temu wystąpieniu dyplomacji kapitału angielskiego. Mieliśmy już jedną taką

próbę pośrednictwa Anglji między nami a Wranglem, która zakończyła się wzmocnieniem i czynnem wystąpieniem Wrangla pod pokrywką pośrednictwa angielskiego. Ale jednocześnie nota Curzona, chociaż spowodowana naszemi zwycięstwami, miała niektóre cechy ultimatum. Na wypadek, gdybyśmy się nie zgodzili na propozycję angielską, groziło nam wystąpienie czynne przeciw nam kapitału angielskiego. W jaki sposób wystąpienie to miało się konkretnie wyrazić, nie wiedzieliśmy dokładnie, ale było zupełnie jasnem, że sytuacja staje się groźną. Walka polskiego kapitału z proletarjacką rewolucją rosyjską rozwijała się do skali europejskiej.

Jeżeli uchyliliśmy pośrednictwo Curzona, to rzuciliśmy tem samem wyzwanie kapitałowi europejskiemu, i walka zapowiadała się na śmierć i życie. Było zupełnie jasne, że nawet w razie zupełnego rozgromienia Polski „panów", wojna klasowa nie mogłaby być przerwana i musiałaby stanowczo przelać się żywiołowo do krajów Europy środkowej.

Jaki był stan proletarjatu zachodnio-europejskiego? Czy był on przygotowany do rewolucji? Czy mógłby był wesprzeć, wlać się w lawinę socjalistyczną, która toczyła się ze wschodu, niosąc mu wolność? Dalsze wydarzenia dają wyraźną odpowiedź twierdzącą na te pytania.

Jeszcze przed rozpoczęciem naszej ofenzywy, cała Białoruś, jęcząca pod uciskiem polskich obszarników i „białych" polskich armij, gotowała się i wrzała od powstań chłopskich. Wiedzieliśmy, że w przejściu przez Białoruś znajdziemy nietylko przyjazny do nas stosunek, ale i znaczne posiłki w postaci zmobilizowanej przez nas masy krasnoarmiejskiej. To przewidywanie sprawdziło się całkowicie. Ponad 30.000 dobrego, pewnego rekruta zaciągnęliśmy pod sztandary, wyszkoliliśmy i wlali w szeregi armji czerwonej. Jest to charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego.

Położenie w Polsce przedstawiało się równie pomyślnie dla rewolucji. Silny ruch proletarjatu i nie mniej groźny ruch robotników rolnych stawiał burżuazję polską w niezmiernie trudnem położeniu. Wielu komunistów polskich sądziło, że wystarczy nam dojść do etnograficznej granicy Polski, aby rewolucja proletarjacka w Polsce stała się nieuniknioną i zupełnie pewną. Istotnie, po zajęciu rejonu białostockiego spotkaliśmy się z gorącem przyjęciem i poparciem ludności robotniczej. Na mityngach masowych uchwalano rezolucje o wstępo-

waniu do armji czerwonej. Włościanie początkowo traktowali nas podejrzliwie pod wpływem agitacji księży i szlachty, ale bardzo szybko oswoili się z nami i uspokoili. Parobcy rolni wyraźnie z nami sympatyzowali. Tak więc to wszystko, co widzieliśmy w zajętej przez nas części Polski, bezwarunkowo sprzyjało ofenzywie socjalistycznej i gotowe było ją poprzeć.

To, co się mówi o rozbudzeniu uczuć narodowych wśród klasy robotniczej polskiej w związku z naszą ofenzywą, jest poprostu wynikiem przegrania przez nas kampanji. Strach ma wielkie oczy. Nie należy zapominać, że przy podejściu naszem pod Warszawę ludność robotnicza Pragi, Łodzi i innych środowisk fabrycznych burzyła się głucho, ale była dławiona przez burżuazyjne polskie oddziały ochotnicze. Liczenie na rewolucję w Polsce, idącą na spotkanie naszej ofenzywie, stanowiącą wynik strzaskania narzędzia ucisku w rękach burżuazji polskiej — miało poważne podstawy, i gdyby nie nasza klęska, byłoby uwieńczone zupełnem powodzeniem.

Czy Europa mogła odpowiedzieć na ten ruch socjalistyczny przez wybuch rewolucji na zachodzie? Wypadki mówią, że tak. Nasza szybka i zwycięska ofenzywa poruszyła, wzburzyła całą Europę i zahypnotyzowała wszystkich razem i każdego z osobna, ciągnąc oczy ludzkie na wschód. Zarówno robotnicze, jak burżuazyjne dzienniki zajęte były tylko tem jednem zagadnieniem: ofenzywą bolszewicką. To była myśl ogólna, na to zwracano wszędzie wytężoną uwagę. Robotnicy niemieccy otwarcie wystąpili przeciw Entencie, zawracali z powrotem transporty z zaopatrzeniem i uzbrojeniem, które Francja przesyłała Polsce, nie dopuszczali do wyładowywania francuskich i angielskich statków z amunicją i bronią w Gdańsku, powodowali katastrofy kolejowe i t. d. — słowem, prowadzili czynną walkę rewolucyjną na korzyść Rosji sowieckiej. W Prusach Wschodnich, kiedy otarliśmy się o nie, popłynęły do nas setki i tysiące ochotników, spartakusowców i robotników bezpartyjnych, pod sztandary czerwonej armji, tworząc w niej niemiecką brygadę strzelców.

Należy zauważyć, że polski komitet rewolucyjny również postanowił sformować polską armję czerwoną, która zaczęła tworzyć się w przyśpieszonem tempie, ale w chwili naszej przegranej nie zdążyła jeszcze zakończyć swojej organizacji.

Tak więc Niemcy kipiały i dla ostatecznego wybuchu czekały tylko, aby dotknął ich zbrojny potok rewolucji.

W Anglji klasa robotnicza była również ogarnięta przez najżywszy ruch rewolucyjny. Komitet ruchu stanął do jawnej walki z rządem angielskim. Pozycja tego ostatniego była silnie zachwiana. Położenie przypominało stan rządu carskiego w epoce istnienia rady delegatów robotniczych w roku 1905.

We Włoszech wybuchła prawdziwa rewolucja proletarjacka. Robotnicy zajmowali fabryki i zakłady przemysłowe, organizując swoje zarządy. Gdyby nie nikczemna działalność socjal-demokratów, rewolucja rozrosłaby się niechybnie do olbrzymich rozmiarów.

We wszystkich krajach europejskich położenie kapitału zachwiało się. Klasa robotnicza podniosła głowę i porwała za broń. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski.

Oczywiście po przegranej wojnie łatwo jest doszukiwać się błędów politycznych i nieprawidłowych posunięć. Ale sytuacja, tylko co przedstawiona, mówi sama za siebie. Rewolucja z zewnątrz była możliwa. Europa kapitalistyczna była wstrząśnięta do głębi, i gdyby nie nasze błędy strategiczne, nie nasza przegrana na polu walki, to być może, że wojna polska stałaby się ogniwem, któreby rewolucję październikową złączyło z rewolucją zachodnio-europejską.

IX.

FORSOWANIE NIEMNA I SZCZARY.

Dalsza ofenzywa naszego zasadniczego północnego ugrupowania rozwijała się bez przerwy i z ciągłem powodzeniem. W rejonie Żyrmuny — Lida przeciwnik poniósł poważną porażkę i stracił znaczną ilość jeńców i artylerji. Armja 16-ta i grupa mozyrska działały dalej z równem powodzeniem.

18. lipca dowództwo frontu wskazało dalsze zadanie (szkic 9). Armja 4-ta otrzymała rozkaz forsowania 21. lipca rz. Niemen w rejonie na południe od Grodna, armja 15-ta — forsowania rz. Niemen w dniu 22. lipca, armja 3-cia — forsowania głównemi siłami rz. Niemen w rejonie ujścia Szczary, armja 16-ta — forsowania rz. Szczary w rejonie na północ od Słonimia. Linje rozgraniczające wyglądały jak następuje: między armją 4-tą i 15-tą Skidel — Indura, między armjami 15-tą i 3-cią st. Mosty — Roś, między armjami 3-cią i 16-tą pozostawiono linję poprzednią.

Tymczasem dowództwo polskie organizowało również ze swej strony nową operację. Zamierzając za wszelką cenę utrzymać się na linji rz. Niemna i Szczary, miało zamiar skupić grupę uderzeniową z sześciu dyw. piech. w rejonie Grodna, ażeby uderzyć na skrzydło głównego ugrupowania naszej armji. W tym celu posuwały się ku Grodnu 5., 8., 10. dyw. piech. a zebrane w Białymstoku 9. i 17. dyw. piech. i trzy pułki ułanów posuwały się przez miasto Kuźnice ku Grodnu od zachodu.—2. dyw. Lit.-Biał. znajdowała się już w tym rejonie (szkic 10).

Szybkie działanie 3-go korpusu konnego rozbiło wszystkie plany polskie. Już 19. lipca zagonem zajęta została twierdza Grodno. Oddziały litewsko-białoruskie były rozbite i w nieładzie wyparte na brzeg zachodni rz. Niemna. Oddziały 15. dyw. jazdy zajęły m. Kuźnice, a 10. dyw. jazdy zajęła miasto Skidel, oczekując nadejścia sił pieszych armji 4-ej. Tymczasem piesza masa polska, doszedłszy do rozmieszczenia naszych dywizyj jazdy, przeszła do zdecydowanego natarcia i z powodzeniem zaczęła wypierać te oddziały. W czasie, kiedy na zachodnim brzegu rz. Niemna 15. dyw. jazdy była wyparta do twierdzy i ustaliła się na brzegu, 10. dyw. jazdy prowadziła uporczywy bój z rozwiniętemi „białemi" dywizjami Polaków na przedpolu Grodna ze strony m. Lidy. Tymczasem piesza masa armji 4-ej debuszowała z puszczy grodzieńskiej i wpadła na tyły i skrzydła idących naprzód dywizyj polskich. Dywizje te zostały obalone, zgniecione i w całkowitym nieładzie odrzucone na południe, ku st. Mosty. Drogę przecięły im podchodzące oddziały armji 15-ej, bijąc je ostatecznie, powodując demoralizację i odrzucając je na zachodni brzeg rzeki Niemna. Tak niepomyślnie zakończyła się dla Polaków próba przedsięwziętego przez nich ugrupowania przeciwuderzeniowego. Nasze wojsko zdecydowanie nacierało i na całym froncie, po szeregu walk, sforsowało rzekę Niemen. Armja 16-ta, po sforsowaniu rz. Szczary, na przedpolu Wołkowyska spotkała się z silnym przeciwnatarciem oddziałów polskich. Natarcie to zostało odparte, przyczem Polacy stracili wielką ilość jeńców i dział. Na całym froncie ofenzywa nasza rozwijała się w dalszym ciągu.

Po wiadomości o zajęciu Grodna, głównodowodzący dał dyrektywy dla frontu zachodniego, nakazując zajęcie Warszawy na 12. sierpnia.

Zagadnienie, czy trzeba było czy nie trzeba zatrzymywać się na polskiej granicy etnograficznej, jest również jednym z ulubionych tematów polemicznych. Większa część naszych autorów wskazuje na to, że na tej rubieży wygodniej nam się było zatrzymać, zorganizować swoje tyły, naprawić łączność i odbudować linje kolejowe, wlać w oddziały uzupełnienia, które w liczbie 60.000 ludzi znajdowały się w eszelonach i posuwały się za idącem naprzód wojskiem, następnie zaś, podremontowawszy się i wzmocniwszy, rozpocząć nową ofenzywę dla ostatecznego unicestwienia armji polskiej.

Takie postawienie sprawy jest istotnie bardzo nęcące. O ileż przyjemniej nacierać, kiedy koleje są w porządku, kiedy łączność działa bez przerw, kiedy oddziały są uzupełnione do przepisanego stanu liczebnego, a przeciwnik jednocześnie jest pod wpływem rozkładu i demoralizacji. Ale czyż tak w rzeczy samej układały się warunki? Ciągłość naszego pościgu ostatecznie demoralizowała wojsko polskie. Według świadectwa francuskich i polskich oficerów, oddziały wojskowe straciły wszelką wytrwałość bojową. Tyły polskie roiły się od dezerterów. Nie było żadnej nadziei ratunku; wszyscy uciekali w tył, nie wytrzymując najmniejszej poważnej walki. I ten brak wytrwałości panował nietylko w oddziałach wojskowych, ale i wśród wyższych dowódców polskich.

Czy to położenie, w którem my, acz liczebnie słabsi, byliśmy jednak silniejsi od przeciwnika, mogło ostać się w wypadku, gdybyśmy się byli zatrzymali na granicy Polski? Oczywiście nie. Jeżeli nam to zatrzymanie byłoby dało możność przeprowadzenia uzupełnień, wzmocnienia naszych tyłów, doprowadzania do porządku całego organizmu nacierających armij, to, rzecz jasna, Polacy pod tym względem mieli znacznie szersze możliwości. Nie należy zapominać, że stawką w grze było istnienie świata kapitalistycznego, nietylko w Polsce, ale i w całej Europie. Nieprzerwane transporty i eszelony z amunicją i bronią szły na pomoc armji polskiej z Francji i Anglji. Strejki i czynne przeciwdziałanie robotników niemieckich w Gdańsku i na kolejach tłumione były siłą przez wojska francuskie i angielskie, które brały na siebie troskę o wyładowanie i załadowanie niezbędnego zaopatrzenia. Kapitał polski wytężał wszystkie swoje siły, rozwijając wściekłą agitację przeciw ofenzywie bolszewickiej. Księża służyli mu całkowicie i wzywali ludność polską do samoobrony narodowej. Formowanie burżuazyjnych oddziałów ochotniczych szło bar-

dzo dobrze. I gdybyśmy tylko byli dali Polakom spokojnie przeprowadzić tę pracę, to po dwu lub trzech tygodniach, potrzebnych nam do zakończenia naszych spraw, spotkalibyśmy się z armjami znacznie silniejszemi od naszych i musielibyśmy znowu stawiać na kartę naszą przyszłość strategiczną. Wobec tego wstrząsu, jakiego doznała armja polska, mieliśmy prawo i powinniśmy byli prowadzić dalej naszą ofenzywę. Zadanie było trudne, śmiałe, złożone, ale zagadnień światowych nie rozstrzyga się za pomocą łatwiutkich zadań.

X.

WALKI NAD NARWIĄ I BUGIEM.

W końcu lipca rozpoczynają się nasze walki nad Narwią i Bugiem.

Po raz pierwszy od czasu początkowych działań bojowych Polacy stawili nam tu uparty opór.

Na odcinku armji 4-ej, 15-ej i 3-ej musieliśmy koniecznie forsować grząskie rzeki Biebrzę, Narew i Nurzec, które miały mało przepraw i stanowiły poważną przeszkodę. Polacy wykorzystali tę przeszkodę i, ustawiwszy nieco za nią swoje wojsko, stawili nam bardzo poważny opór. Do powodzenia ich przyczyniła się i ta okoliczność, że nasze środki łączności po dawnemu były niedostateczne, a dowodzenie wojskiem było nadzwyczaj utrudnione, co często nadawało walkom cechę pewnego rozproszenia i, oczywiście, tamowało sukces. W szczególności okoliczność ta dała się odczuć na odcinku armji 16-ej, która zajmowała rozległy front około 80-wiorstowy, mając wszystkiego pięć dyw. strz. Położenie armji 16-ej komplikowało się jeszcze przez istnienie na skrzydle twierdzy Brześć.

Po sforsowaniu Niemna, w rozkazie z dn. 23. lipca była nakreślona dalsza ofenzywa. Armjom frontu rozkazano w dniu 3. sierpnia wyjść na linję: Ostrołęka — Ostrów — Kosów — Drohiczyn — Biała — Włodawa. Jako linje rozgraniczające wskazano: między armjami 4-tą i 15-tą Indura — Sokołówka — Zambrów — Pasieki, dla 4-ej włącznie; między armjami 15-tą i 3-cią Roś — Strabla — Brok, wszystko dla armji 15-ej; między armjami 3-cią i 16-tą Dereczyn — st. Hajnówka — Boćki — Miedzna, wszystko dla armji 3-ej; między armją 16-tą i grupą mozyrską Brześć — Międzyrzec (szkic 11).

3. Korpus konny, zyskując nadal 1 do 2 przemarszów w stosunku do głównych sił armji 4-ej, ruszył na Osowiec i po walce zdobył tę twierdzę. Dalszy jego ruch skierowany był ku Łomży. W ślad za korpusem konnym szła 12. dyw. strz. Dyw. 18. i 53., podszedłszy ku brzegom Narwi na odcinku Strąkowa Góra — Babino, nawiązały z przeciwnikiem decydujące walki, sforsowawszy rzekę, ale bój trwał ze szczęściem zmiennem, bez zasadniczych wyników.

Armja 15-ta, wyszedłszy na błotniste brzegi Narwi, również zaczęła prowadzić walki czołowe bez wyników.

Armja 3-cia, doszedłszy do bagnistych brzegów Nurca, prowadziła tu walki dość nieporządne. Dowódca armji 3-ej tow. Łazarewicz w tym czasie zachorował, nie mógł się ruszać, i dowództwo armji nieco się rozprzęgło. Faktycznie, armja 3-cia otrzymała najłatwiejsze zadanie: nie miała przed sobą poważnych przeszkód naturalnych i posiadała dostateczną zdolność uderzeniową. ,

Korpus konny, podszedłszy do Łomży, atakował ją od północy 15-tą dyw. jazdy i przeprawił się na południowy brzeg Narwi 10-tą dyw. jazdy. Jednakże walki tutaj doprowadziły do wyniku nie odrazu. Dopiero przy pomocy 12. dyw. strz. udało się owładnąć tą fortalicją 2. sierpnia.

Dyw. 53. forsuje wreszcie 1. sierpnia Narew w rejonie Strąkowej Góry, bijąc w skrzydło przeciwnika, stawiającego opór 18. dyw.

18. dyw. strz. forsuje Narew w kierunku Jeziora i wśród uporczywych walk posuwa się dalej. W ten sposób na północy przeciwnik, obalony na całym froncie armji 4-ej i oskrzydlony, zaczyna cofać się przed armjami 15-tą i 3-cią, które depcą mu po piętach, nękając ciągłemi walkami tylnych straży.

W armji 16-ej sprawa przedstawiała się mniej szczęśliwie. Dowództwo frontu, biorąc w rachubę rozciągnięcie frontu tej armji, wskazywało jej konieczność ugrupowania sił głównych ku prawemu skrzydłu, żeby, wspólnie z naszem zasadniczem ugrupowaniem frontowem, szybko złamać opór przeciwnika . Ale twierdza Brześć zajęła uwagę armji 16-ej i odciągnęła główne jej siły, chociaż przy liczebności znajdującej się tam polskiej załogi twierdza ta nie była dla nas bynajmniej groźną. Rozciągnięte na olbrzymiej przestrzeni 27. i 8. dyw. strz. prowadzą walki bez wyniku wzdłuż rz. Bug, nie mając możności sforsowania jej. Dopiero po zajęciu Brześcia armja 16-ta przeprowadza wreszcie wskazane jej ugrupowa-

nie i forsuje Bug. Ofenzywa znowu zaczyna rozwijać się z powodzeniem. Grupa mozyrska, która przyszła z pomocą armji 16-ej przy zdobyciu twierdzy Brześć, również forsuje Bug i wykonywa otrzymane zadanie.

Mając na względzie, że armje 4-ta i 15-ta znowu będą musiały forsować rz. Narew, a także biorąc pod uwagę wzmożony opór przeciwnika, linje rozgraniczające między armjami 4-tą i 15-tą przeciągnięte są od Zambrowa przez m. Ostrołękę; w ten sposób cała armja 4-ta bez przeszkód obchodzi rz. Narew.

Walki naszego głównego ugrupowania frontowego nad Narwią i Biebrzą zaciągnęły się w ogólnej sumie od 28. lipca do 1. sierpnia. Było to pierwsze nasze poważne zatrzymanie. Za to na odcinku armji 16-ej sprawa stała znacznie gorzej. Z powodu wzmiankowanego wyżej rozproszenia sił, armja 16-ta dopiero 6. sierpnia zdobyła się na sforsowanie Bugu.

To ostatnie zatrzymanie, wynikające nie z siły oporu nieprzyjacielskiego i nie z trudności forsowania rzeki, ale głównie z braków w ugrupowaniu sił, stało się przyczyną nieco rozbieżnej oceny położenia przez dowództwo frontu i naczelne dowództwo. Z rozmowy hughesowej w dn. 8. sierpnia widzimy, że zdaniem naczelnego dowództwa główne siły wojsk polskich skoncentrowane są na lewym brzegu Bugu i gotowe do przyjęcia nowej rozstrzygającej bitwy. Skutkiem tego naczelne dowództwo uważało za bardziej celowe przerwać masowe natarcie naszego północnego ugrupowania na zachód i uderzyć główną masą sił na lewe skrzydło zasadniczego ugrupowania przeciwnika, ażeby, jeszcze nie dochodząc do Wisły, ostatecznie rozbić armję polską.

Według danych wywiadu frontu zachodniego położenie przedstawiało się zupełnie inaczej. Główne ugrupowanie wojsk polskich istniało w dalszym ciągu na linji kierunku naszego głównego natarcia. Stosunek wzajemny sił wykazuje tabl. IV.

W ten sposób naturalnem i jedynie prawidłowem zadaniem była dążność do rozbicia zasadniczego północnego ugrupowania przeciwnika. I to było tembardziej naturalne, że wymagało mniej, niż jakiekolwiek inne działanie, ruchów złożonych i mniej straty czasu. Przedewszystkiem zaś można było być już zupełnie pewnym, że przeciwnik zaczął się cofać za Wisłę. W ten sposób, obniżenie ku południowi naszego uderzenia taranowego oznaczałoby uderzenie w pró-

TABLICA IV.

Wzajemny stosunek sił nad Narwią i Bugiem.

	POLACY				NASZE ODDZIAŁY			
	Oddziały	Bagnetów	Szabel	Uwagi	Oddziały	Bagnetów	Szabel	Uwagi
Rejon na północ od rzeki Bug	2. dyw. Lit.-Biał. 5. „ (bryg.) 9. „ „	7300	1400	Ogółem	Armja 4. 12, 18., 54. dyw. strzelców 164. bryg. strz. 3. korp. konn.	9568	4861	Ogółem
	10 dyw. piech. 3. „ rezerw. 17. „ piech. 1. „ rezerw. 8. „ piech.	17200	1555		Armja 15. 4. dyw. strz. 11. „ „ 16. „ „ 33. „ „	12729	465	
	1. dyw. Lit.-Biał. 4. „ (bryg.) 6. „ „	—	—		Armja 3. 5., 6., 21., 56. dyw. strz.	9205	914	
	Razem	29600	3850		Razem	31492	6240	
Rejon na południe od rzeki Bug	15. dyw. piech. 4. „ (bryg.) 2. „ piech. 16. „ „ 14. „ „ 5. baonów zap.	10900	1000		Armja 16. 2. dyw. strz. 8. „ „ 10. „ „ 17. „ „ 27. „ „	10584	244	
Odwody	1. dyw. górska 9. dyw. piechoty (bryg.) Gr. Jaworskiego Oddz. Bułak-Bałachowicza	4900	1000	Inne oddziały zostały ujawnione ponieważ znajdowały się daleko na tyłach	Grupa mozyrska. 57. dyw. strz. Oddz. komb.	4193	—	
	Razem	15890	2000		Razem	14777	244	48. dyw. strz. na granicy łotewskiej
		?	?			?	?	Bez 48. dyw. strz., która liczyła 4262 bagnetów i 192 szabel
	Ze strony polskiej brało udział w walce	45400	5850		Z naszej strony brało udział w walce	46269	6484	

żnię, stratę czasu i wyprowadzenie całej masy wojsk na najtrudniejszy do przebycia kierunek ku Warszawie. Wobec tego dowództwo frontu pozostawiło w sile dane armjom zadania i prowadziło dalej ofenzywę.

Dziś, kiedy wiemy, co działo się w tym czasie po stronie polskiej, z zupełną pewnością możemy stwierdzić, że front zachodni miał słuszność w swych działaniach. Już 6. sierpnia, na posiedzeniu Rady Wojennej w Warszawie, postanowiono oderwać się od pościgu naszych oddziałów i, po przeprowadzeniu za Wisłą zasadniczego przegrupowania, przejść do kontrofenzywy. Oczywiście, byłoby nam było znacznie przyjemniej rozpocząć rozstrzygającą bitwę przed dojściem do Wisły, ale przeciwnik ustępował. Należało gotować się do najtrudniejszego, najcięższego i najniebezpieczniejszego działania: do walki ze wszystkiemi siłami polskiemi, opierającemi się o szeroką, bystrą i trudną do przeprawy Wisłę.

Nasze armje północne wśród walk o średniem napięciu bez przerwy posuwały się naprzód. Armja 16-ta i grupa mozyrska łatwo, miejscami utraciwszy kontakt z przeciwnikiem, prowadziły dalej ofenzywę.

W rozkazie z dn. 3. sierpnia armji postawiono za zadanie dojść dn. 8. sierpnia do linji Przasnysz — Maków — Wyszków — Parczew.

Zadanie zostało wykonane.

XI.

POŁOŻENIE NAD WISŁĄ.

Ciągłe niepowodzenie, ciągłe cofanie się ostatecznie złamały zdolność do boju armji polskiej. Było to już nie to wojsko, z którem wypadło nam się mierzyć w lipcu tegoż roku. Całkowite zdemoralizowanie, całkowita niewiara w możliwość powodzenia podkopały siły zarówno dowódców, jak i rzeszy żołnierskiej. Cofano się nieraz bez żadnego powodu. Tyły były wprost zawalone przez dezerterów. Żadne represje nie mogły odtworzyć porządku i zaprowadzić dyscypliny. Na dobitkę, łączyły się z tem jeszcze obostrzone antagonizmy klasowe.

Przez zastosowanie mobilizacji całej burżuazji i inteligencji polskiej środowiska robotnicze zostały zdławione, ale tętniały buntem.

Przy pomocy sztabu generalnego francuskiego oraz uzbrojenia i zaopatrzenia z Francji, Polska, wobec całkowitej swojej porażki, gorączkowo porwała się do odtworzenia swoich sił bojowych. W tym czasie armja polska nie osiągnęła jeszcze swej ostatecznej struktury, ale zato teraz formowanie szło całą siłą pary. Dywizje drugiej linji z numerami pułków od 101 i wyżej zjawiały się na naszym froncie jedna za drugą. Wreszcie pojawiły się formacje trzeciej linji, tak zwane ochotnicze. Te formacje, bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia, miały dostateczne zalety bojowe, ponieważ przeważnie kompletowały się z elementów inteligentnych i burżuazyjnych, które, pojmując, że los ich stawia się na kartę, zdradzały wielkie zdecydowanie i upór. Słowem na tyłach, za Wisłą, prowadzono intensywne przygotowanie nowych sił, mobilizację i akcję formacyjną. Wszystko to spiesznie zbierano razem i rzucano w głównych kierunkach. Pod Warszawą wzmocniono umocnienia.

Stworzono bardzo silny plac zborny od Modlina do Warszawy i nieco bardziej na południe. W tym kierunku ściągano siły ze wszystkich stron. Jeżeli w czasie naszych walk nad Niemnem i Szczarą stosunek wzajemny sił wypadał na naszą korzyść, to obecnie położenie zmieniło się zasadniczo. Front zachodni liczył w swoich szeregach zaledwie 40.000 bagnetów. Za to siły Polaków wzrosły według danych naszego ówczesnego wywiadu do 70.000, w rzeczywistości zaś były jeszcze większe.

Pojmując dobrze swoje położenie bez wyjścia, dowództwo polskie, jak należy sądzić nie bez udziału francuskiego sztabu generalnego, 6. sierpnia przesiębierze prawidłowe, śmiałe postanowienie oderwania swojego wojska od naszych ścigających je mas i zasadniczego przegrupowania sił na całym froncie polskim. Widząc, że losy Polski rozstrzygać się będą nad Wisłą, dowództwo polskie ściąga tu wszystkie swoje siły. Z kierunku lwowskiego odwołuje się prawie wszystkie oddziały polskie. Zostawia się tylko ukraińskie oddziały partyzanckie armji gen. Pawlenki i resztki armji 6-ej, według źródeł polskich [1]), w składzie zaledwie jednej dyw. jazdy. Jednakże należy przypuszczać, że z dywizyj piechoty zostało tu także choć cokolwiek. Cała ta słaba grupa otrzymała za zadanie zabezpieczenie rejonu naftowego. Wszystkie pozostałe siły polskie są przerzucone

[1]) Stan. Künstler. „Nasza ofenzywa sierpniowa".

linjami kolejowemi w kierunku północnym. Dowództwo polskie ryzykuje stratę Galicji, ale ma nadzieję wygrania bitwy generalnej i zbawienia w ten sposób Polski burżuazyjnej. Dlatego cała armja polska koncentruje się nad Wisłą.

Z naszej strony sytuacja wyglądała jak następuje: Oddziały frontu zachodniego były wycieńczone i osłabione fizycznie, ale silne duchem i nie bały się przeciwnika. Przeciwnik dwa czy trzy razy silniejszy nie mógł powstrzymać naszego natarcia. Działała siła bezwładu uderzenia, siła bezwładu zwycięstwa. Ale jeżeli oceniać nasze ogólne położenie strategiczne, sprawa przedstawiała się bynajmniej nie tak różowo. Jeszcze przed rozpoczęciem kampanji polskiej rozpatrywano zagadnienie połączenia frontów zachodniego i południowo-zachodniego. Wówczas naczelne dowództwo uznało takie zjednoczenie za przedwczesne i projektowało jego urzeczywistnienie przy osiągnięciu południka Brześcia Litewskiego. W istocie błotniste Polesie nie pozwalało na bezpośrednie współdziałanie frontów zachodniego i południowo-zachodniego; dlatego postanowienie powyższe było zupełnie możliwe. Ale kiedy po wyjściu przez nas na wskazaną linję, próbowaliśmy urzeczywistnić zjednoczenie, okazało się, że jest ono prawie niewykonalne wobec zupełnego braku środków łączności. Front zachodni nie mógł jej nawiązać z frontem południowo-zachodnim. Przy pomocy posiadanych przez nas nędznych środków mogliśmy wykonać to zadanie nie prędko, nie prędzej, jak 13. — 14. sierpnia, a położenie już w końcu lipca stanowczo wymagało natychmiastowego zjednoczenia całego wojska pod wspólnem dowództwem. W rozmowach hughesowych z głównodowodzącym i w telegramach znajdujemy ciągle roztrząsanie samego zagadnienia i tych sposobów, jakie przedsiębrano, aby je urzeczywistnić.

Dowództwo frontu zachodniego, licząc, że lada dzień otrzyma do rozporządzenia armje konne 12-tą i 1-szą, już zawczasu przeznaczało im za zadanie ściąganie ku lewemu skrzydłu zasadniczych armij frontu, ale sprawa zaciągała się, i zadanie to pozostało otwarte.

Siły frontu południowo - zachodniego nie współdziałały z zasadniczemi siłami frontu zachodniego. Szczególnie mocnem podkreśleniem powyższego była ta okoliczność, że front południowo-zachodni miał przed sobą swoje miejscowe i samo w sobie nadzwyczaj ważne zadanie owładnięcia ośrodkiem obszaru galicyjskiego — miastem Lwowem. To też w tym kierunku szły zasadnicze wysiłki frontu po-

łudniowo-zachodniego, rozchodząc się w ten sposób z wysiłkami frontu zachodniego conajmniej o 90 stopni.

Położenie złożyło się niesłychanie niepomyślnie dla frontu zachodniego. Wychodząc na przedpola Wisły był on pozostawiony swoim siłom, podczas gdy przeciw niemu były skupione siły całej armji polskiej. Ta okoliczność była już wyżej wyjaśniona przy początku naszych walk nad Wisłą. Wywiad sztabu polowego przeczył naszym wiadomościom o dokonywanem przez Polaków przegrupowaniu, uważając, że wszystkie siły, które były na froncie południowo-zachodnim, pozostają naprzeciw niego nadal. W tej sprawie istnieje spór w rozmowie hughesowej.

Do całej tej sprawy wplątała się jeszcze ta okoliczność, że front południowo-zachodni miał wzrok zwrócony w dwu kierunkach — ku Lwowu i ku Krymowi, skąd w tym czasie działał aktywnie Wrangel. Ciągłe powodzenia frontu zachodniego napełniały mocnem przeświadczeniem o naszem ostatecznem powodzeniu. Projektowano ściągnięcie z frontów zachodniego i południowo-zachodniego całego szeregu dywizyj dla przerzucenia ich w kierunku Krymu. Nieraz wypadało walczyć o nietykalność oddziałów.

Naogół położenie strategiczne można ocenić w następujących słowach: Polacy dokonywali śmiałego, prawidłowego przegrupowania, postawili na kartę kierunek galicyjski i skoncetrowali wszystkie swoje siły naprzeciw decydującego frontu zachodniego na czas rozstrzygającego starcia. Nasze siły w tej decydującej chwili były rozdrobnione i zorjentowane w różnych kierunkach. Te wysiłki, jakie przedsięwzięło naczelne dowództwo, ażeby przegrupować masę zasadniczą frontu południowo-zachodniego w kierunku Lublina, niestety, dla całego szeregu nieoczekiwanych przyczyn, nie zostały uwieńczone powodzeniem, i przegrupowanie zawisło w powietrzu.

Autorzy francuscy i polscy lubią porównywać bitwę nad Wisłą z bitwą nad Marną. Jednakże w rzeczywistości niema tu żadnego podobieństwa.

Nasuwa się zato gwałtem inne porównanie, mianowicie z działaniem w Prusach Wschodnich w r. 1914. Tam Rennenkampf postawił sobie za zadanie wziąć Królewiec i posunął całą swoją armję na północny zachód, podczas kiedy Hindenburg cofał się na południowschód, ku skrzydłu armji Samsonowa. To pozwoliło mu skupić

bezkarnie wszystkie siły przeciw połowie wojsk rosyjskich, liczących na współdziałanie sąsiada.

XII.

NATARCIE ROZSTRZYGAJĄCE.

Tymczasem nasza ofenzywa rozwijała się bez przerwy. Stawało się jasnem, że nie czas myśleć o wahaniach, odpoczynkach, ale że nadszedł czas, kiedy jednem uderzeniem ostatniem trzeba rozstrzygnąć posunięte daleko wypadki. Niejednokrotnie są dawane wskazówki w tym względzie, podkreślone jeszcze 12. sierpnia dyrektywą głównodowodzącego o konieczności możliwie rychłego zajęcia Warszawy. Rozkaz tow. Trockiego nosi ten właśnie charakter.

Dla frontu zachodniego było zupełnie jasne, że główne siły przeciwnika skupione są naprzeciw naszego zasadniczego ugrupowania w rejonie Ciechanów — Modlin — Warszawa. Według naszych obliczeń, przeciwnik, wzmocniony liczebnie, rozporządzał tutaj ilością do 70.000 bagnetów i szabel. W pozostałych kierunkach siły były znacznie mniejsze. Jedynie grupa mozyrska napotykała na swej drodze bardziej uporczywy opór „białych" polskich oddziałów.

Lewe skrzydło, t. j. ugrupowanie frontu południowo-zachodniego cały czas niepokoiło front zachodni. Oczekując co chwila oddania armji konnej do rozporządzenia frontu zachodniego i nawiązania z nią łączności, projektowano stworzenie silniejszego ośrodka w kierunku Lublina, przez skoncentrowanie tam sił głównych armij konnych 12-ej i 1-ej (szkic 12). Jak już powiedziano wyżej, powstało takie położenie, w którem trzeba było działać szybko i zdecydowanie. Jednocześnie siły frontu zachodniego nie przenosiły 40.000 bagnetów i szabel. W ten sposób wypadło nacierać na przeciwnika dwa razy silniejszego i przytem wspartego o tak potężną przeszkodę, jak Wisła. Było oczywistem, że na podstawie zwycięstwa częściowego, na podstawie rozgromienia naprzód jednego z odcinków frontu polskiego, można było wygrać bitwę rozstrzygającą.

Przy obraniu kierunku głównego uderzenia trzeba było myśleć nietylko o taktycznych jego zaletach w walce, ale także o zasadniczych życiodajnych magistralach przeciwnika. Skierowanie uderzenia w środek w kierunku Warszawy było zadaniem nad nasze siły. Pozostawało rozbicie jednego ze skrzydeł, prawego lub lewego. Wy-

chodząc na lewe skrzydło przeciwnika, tem samem groziliśmy jego połączeniom z Gdańskiem. Biorąc pod uwagę, że ruch rewolucyjny w Niemczech przerywał normalny przewóz amunicji i broni z Francji dla armji polskiej, że arterją główną było połączenie przez Gdańsk, manewr ten nietylko wyprowadzał nas na skrzydło zasadniczego ugrupowania polskiego, ale także zagrażał zasadniczej linji polskich połączeń. Dalszą zaletą tego kierunku było to, że nasze oddziały, ażeby to uderzenie wykonać, nie musiały dokonywać żadnych zasadniczych przegrupowań, przez co zyskiwano na czasie, a ponadto nie trzeba było zmieniać naszej zasadniczej linji komunikacyjnej. Ta ostatnia szła od Wilna i Lidy na południo-zachód.

Ujemną stroną wyżej wskazanego kierunku było, że oddziały oskrzydlające zwracały się poniekąd tyłem do granicy Prus Wschodnich, przez co swoboda ruchów operacyjnych, na wypadek nieudanego działania, znacznie się zmniejszała, a nawet powodowała pewne niebezpieczeństwo.

Natarcie na prawe skrzydło zasadniczego ugrupowania polskiego w istocie stawiało przed armjami frontu zachodniego zadanie złamania całego frontu strategicznego polskiego, co poza trudnościami zasadniczemi wobec przeważających sił przeciwnika komplikowało się jeszcze koniecznością forsowania w tem samem miejscu rz. Wisły. Pozatem, natarcie to wymagało dość złożonych przegrupowań naszych sił i nieuniknionej zmiany linji komunikacyjnej na Kleszczele i Brześć. Było oczywistem, że przeciwnik, znacznie wzmocniony, nie pozwoli nam bezkarnie przeprowadzić takiej manipulacji.

Natarcie dwiema grupami było dla nas zupełnie niemożliwe wobec naszej słabości liczebnej. Tak więc trzeba było zdecydować się na atakowanie lewego skrzydła polskiego, ubezpieczając się w kierunku Dęblina i licząc na ściągnięcie w czasie wykonania działania sił frontu południowo-zachodniego w kierunku Lublina.

8. sierpnia dowództwo frontu wydaje rozkaz o uderzeniu na siły polskie i sforsowaniu Wisły, z wyznaczeniem terminu na dzień 14. sierpnia (szkic 12.). Uderzenie główne projektowane jest w rejonie na północ od Warszawy. Armja 4-ta ubezpiecza się do pewnego stopnia w kierunku Torunia, głównemi zaś siłami forsuje Wisłę w rejonie Płocka; armja 15-ta forsuje ją w kierunku Łowicza; armja 3-cia forsuje Wisłę w rejonie Wyszogród — Modlin; armja 16-ta, ubezpieczając się w kierunku Garwolina, głównemi siłami forsuje Wisłę

na północ od Warszawy. Grupa mozyrska naciera dalej, aby forsować Wisłę w rejonie Dęblina. Jest ona wzmocniona, na żądanie frontu zachodniego, 58. dyw. strz. ze składu armji 12-ej frontu południowo-zachodniego. Jako linje rozgraniczające wskazano: między armjami 4-tą i 15-tą Maków — Ojrzyn — Płock — Piątek; między armjami 15-tą i 3-cią Brok — Nasielsk — Wyszogród — Sochaczew; między armjami 3-cią i 16-tą Miedznę — Modlin — Błonie; między armją 16-tą i grupą mozyrską Brześć — ujście rz. Wieprza; między frontami zachodnim i południowo-zachodnim głównodowodzący wyznaczył linję Włodawa — Puławy.

W ten sposób przeciw prawemu skrzydłu zasadniczego ugrupowania polskiego skierowaliśmy nie mniej, jak czternaście dyw. strz. i 3. korpus konny. Biorąc pod uwagę wyższość moralną naszych wojsk, mieliśmy całkowite prawo liczyć tu na zwycięstwo.

Zwraca na siebie uwagę bardzo głębokie obejście, dokonywane przez nasze armje. Jednakże obejście takie oparte było na mocnych podstawach. Gdyby przeciwnik spotkał nas przeciwnatarciem na prawym brzegu Wisły, ugrupowanie nasze byłoby mocno skondensowane i oskrzydlające. Jeżeliby zaś „białe" polskie oddziały nie były w możności wdać się z nami w otwartą walkę i cofnęły się za Wisłę, wówczas dla wygody forsowania tej nadzwyczajnie trudnej przeprawy rzeczą niezbędną byłoby dokonywać jej na rozległym froncie. Zmuszał nas do tego zwłaszcza brak materjałów pontonowych.

6. sierpnia, na dwa dni przed tem postanowieniem, Polacy w swojej głównej kwaterze ustanawiają następujący plan działań (szkic 12-ty):

W kierunku Lublina pozostają tylko partyzanckie oddziały ukraińskie i polska grupa konna, licząca półtorej dyw. Wszystkie pozostałe siły przerzuca się nad Wisłę i rozdziela pomiędzy pięć armij.

Naprzeciw naszego prawego skrzydła koncentruje się armja 5-ta w składzie trzech dyw. piech., jednej bryg. piech. oraz wielkiej liczby oddziałów granicznych i różnych nowych formacyj, w ogólnej liczbie 29.000 bagnetów i szabel. Rejon działań Modlin — Maków. Zadaniem jej jest nie dopuścić do dalszego natarcia bolszewików za Bug i Narew.

Armja 1-sza, w składzie czterech dyw. piech., jednej bryg. piechoty oraz znacznej ilości ochotniczych i różnych przypadkowych

formacyj, koncentruje się na warszawskim przyczółku mostowym i liczy w swoim składzie do 40.000 bagnetów i szabel.

Armja 2-ga, w składzie dwóch dyw. piech. i rozmaitych drobnych oddziałów, broni odcinka Wisły na południe od Warszawy do Dęblina i liczy w swoim składzie 16.000 bagnetów.

Armja 4-ta, w składzie trzech dyw. piech., koncentruje się w rejonie na południowy zachód od rz. Wieprza, ażeby uderzyć na skrzydło naszych nacierających sił głównych. Koncentrację armji 4-ej ubezpiecza armja 3-cia, złożona z trzech dyw. piech. i jednej bryg. jazdy, działających w kierunku Lublina. Liczebność tych dwu armij dosięga 22.000 bagnetów .

Oceniając to ugrupowanie „białych" sił polskich, trzeba uznać jego zupełną celowość wobec powstałych warunków i położenia. Jednakże wydaje się, że pomimo, iż w wyniku swoim dało ono całkowite zwycięstwo, w kierunku rozstrzygającym (lubelskim) skupiono zamało sił. O ileby nie było błędów z naszej strony i ubezpieczenie tego kierunku zostało zmasowane, ugrupowanie to nie tylko nie mogłoby się było zachować czynnie, ale byłoby ponadto zgniecione (szkic 13).

Tak więc, na odcinku naszych armij 4-ej, 15-ej i 3-ej, mających w swoim składzie dwanaście dyw. piech. i dwie dyw. jazdy, Polacy mogli wystawić zaledwie trzy i pół dyw. piech., prawda, że w pełnym składzie, oraz różne drobne oddziałki. Mieliśmy zupełną możność zadać tu przeciwnikowi druzgocący cios, odsłaniając jego lewe skrzydło i połączenia. Armja 16-ta wiodła natarcie czołowe na najpotężniejsze polskie ugrupowanie i musiała związać je przez czas rozwijania się całego działania. Zato lewe nasze skrzydło było niewygodnie ustosunkowane pod względem sił. Przeciw dwóm dywizjom grupy mozyrskiej i trzem dywizjom armji 12-ej, działającym w kierunku Lublina, Polacy wystawili sześć dyw. piech., doprowadzonych do pełnego składu, i w ten sposób mieli tu przewagę. Jeżelibyśmy w swoim czasie byli skoncentrowali w kierunku Lublina oddziały armji konnej, to i tutaj ugrupowanie nasze byłoby groźne dla „białych" polskich oddziałów. Polacy wówczas nietylko nie mogliby myśleć o natarciu z rejonu Dęblin — Lublin, ale sami znaleźliby się w bardzo ciężkiem położeniu i bezwzględnie musieliby być odrzuceni na zachodni brzeg Wisły. Okoliczność ta całkiem dobitnie wykazuje, że mogliśmy i po-

winniśmy byli zdecydować się na naszą ofenzywę za Wisłę i że natarcie to miałoby było zupełną podstawę powodzenia, gdyby z naszej strony nie było nastąpiło przerachowanie się w koncentracji strategicznej.

5-ta armja polska niema możności wykonać swego zadania. Zostaje odtrącona zdecydowanem natarciem naszych armij północnych i zmuszona cofnąć się na zachodni brzeg rzeki Wisły. Armja 16-ta zawiązuje walki w kierunku Warszawy.

W tym czasie na styku armij 4-ej i 15-ej ma miejsce wypadek, nieznaczny w założeniu, który jednak odegrał rozstrzygającą rolę w biegu całego naszego działania i dał początek jego katastrofalnemu wynikowi (szkic 14).

Sztab polowy armji 4-ej, który przeniósł się po ofenzywie do m. Ciechanowa, został niespodzianie zaatakowany przez drobne oddziały przeciwnika, które przedarły się między armjami 4-tą i 15-tą, skutkiem czego sztab musiał szybko się zwinąć i odjechać na zachód do swoich oddziałów. Przez to naruszona została łączność między sztabem frontu a armją 4-tą, nie nawiązana już aż do naszego odwrotu, co oczywiście wynikało z zupełnego braku jakichkolwiek środków łączności strategicznej w naszem rozporządzeniu.

Sam incydent taktyczny został bardzo szybko zlikwidowany. Armja 15-ta wysyła na styk swoją dywizję odwodową, szybko przywraca położenie, i nasza ofenzywa trwa dalej. Jednakże, jak okazało się z dalszego biegu wypadków, ta okoliczność nie była prostym przypadkiem. 5-ta armja polska, odepchnięta za rz. Wisłę, otrzymała rozkaz przejścia do natarcia i rozpoczęła je na całym froncie armij 15-ej i 3-ej.

Już od pięciu tygodni trwała nasza ofenzywa. Przez pięć tygodni dążyliśmy do tego, aby odnaleźć żywe siły wroga i w rozstrzygającem uderzeniu ostatecznie je unicestwić. Przez pięć tygodni „białe" polskie armje niezmiennie uchylały się od rozstrzygającego zderzenia ze względu na rozprzężenie swoich oddziałów, i dopiero nad Wisłą, wzmocnieni przez nowe formacje, Polacy zdecydowali się na bój. Nie wiedzieliśmy zawczasu, gdzie napotkamy główny opór przeciwnika — nad Wisłą czy za Wisłą. Ale wiedzieliśmy jedno: że gdzieś znajdziemy jego główne siły i rozbijemy je w decydującem spotkaniu. I oto teraz przeciwnik sam dawał nam możność zadanie to wypełnić. Armja 5-ta, najsłabsza co do składu jednostek i najsłabsza

duchem, przeszła do natarcia na nasze armje 15-tą i 3-cią, podczas kiedy nad jej odsłoniętem lewem skrzydłem zawisły najświeższe, najlepsze pod względem bojowym oddziały naszej armji 4-ej. Dowództwo frontu nie posiadało się z radości z powodu tego zdarzenia; armje 15-ta i 3-cia otrzymały rozkaz, aby na całym froncie na natarcie przeciwnika odpowiedziały zdecydowanem przeciwnatarciem i odrzuciły go za rz. Wkrę (szkic 14), armja zaś 4-ta, ubezpieczywszy się w kierunku Torunia, miała wszystkiemi siłami atakować rozpoczynającego natarcie przeciwnika na flankę i tyły w kierunku Modlina z rejonu Raciąż — Drobin.

Zdawało się, że zguba 5-ej armji przeciwnika jest nieuchronną; unicestwienie jej byłoby pociągnęło za sobą najdonioślejsze skutki w dalszym biegu wszystkich naszych działań. Jednakże Polakom dopisało szczęście. Nasza armja 4-ta, gdzie nowy dowódca armji stracił łączność ze sztabem frontu, nie zdawała sobie jasno sprawy z powstającego położenia. Nie otrzymując rozkazów frontu, wystawiła w rejonie Raciąż — Drobin jakieś nieokreślone półubezpieczenie i rozrzuciła swoje oddziały na odcinku Włocławek — Płock. 5-ta armja przeciwnika była uratowana, i zupełnie bezkarnie, mając na flance i tyłach naszą potężną armję z czterech dyw. strz. i dwóch dyw. jazdy, nacierała dalej na nasze armje 3-cią i 15-tą. Takie położenie, wprost potworne i nie do pomyślenia, pomogło Polakom nietylko zatrzymać ofenzywę armji 3-ej i 15-ej, ale jeszcze krok za krokiem wypierać ich oddziały w kierunku wschodnim.

Tymczasem armja 16-ta mocnem uderzeniem zmiotła polskie oddziały i podeszła już zupełnie blizko do przeprawy na Wiśle, kiedy przeciwnatarcie tych oddziałów zmusiło ją do cofnięcia się wstecz. Przechodzi ona znowu do natarcia, i tu rozpoczynają się walki ze zmiennem szczęściem, bez wyraźnych wyników.

Na lewem skrzydle armja 16-ta bez walk wychodzi na linję rz. Wisły; prawe skrzydło grupy mozyrskiej osiąga ją również bez przeszkód. Zato w kierunku Parczewa grupa ta nawiązuje walki bez rezultatów.

13. sierpnia dowódcy frontu zachodniego zostaje nareszcie podporządkowana armja 12-ta.

Naczelne dowództwo, biorąc pod uwagę konieczność utrwalenia lewego skrzydła frontu zachodniego, daje 11. sierpnia o godzinie 3. frontowi południowo-zachodniemu dyrektywę o niezbędności zmiany

ugrupowania i wysłania bez najmniejszej zwłoki armji konnej w kierunku Zamość — Hrubieszów. Obliczenie czasu i przestrzeni wykazuje, że to wskazanie naczelnego dowództwa mogło być bezwarunkowo wykonane przed przejściem polskiego ugrupowania południowego do natarcia. Gdyby nawet wykonanie opóźniło się nieco, to oddziały polskie, które przeszły do natarcia, byłyby postawione wobec nieuniknionego zupełnego pogromu, bo tyły ich otrzymałyby uderzenie naszej zwycięskiej armji konnej.

Jednakże wobec położenia, wynikłego w Galicji, gdzie kolejne ugrupowania, przeprowadzane do tej pory, kierowane były ku Lwowu, wykonanie tego wskazania zostało zatrzymane. 12. sierpnia głównodowodzący w rozmowie hughesowej zaznacza, że ta zwłoka w wykonaniu jego dyrektyw jest dla niego niezrozumiała i potwierdza swoją dyrektywę. Kiedy wreszcie przystąpiono do wykonania, było już prawie poniewczasie. Ale, co najgorsza, nasza zwycięska armja konna wplątała się w owych dniach w zacięte walki o Lwów, tracąc bezpłodnie czas i siły na jego umocnionych pozycjach w walce z piechotą, jazdą i potężnemi eskadrami lotniczemi. Walki całkowicie pochłonęły armję konną, która do wykonania przegrupowania wzięła się tak późno, że nic pożytecznego w kierunku Lublina zdziałać już nie mogła.

Tymczasem armja 12-ta przejęła rozkaz do 3-ej armji polskiej, z którego wynikało jasno, że Polacy gotują się do ofenzywy przeciwko naszemu lewemu skrzydłu w rejonie rz. Wieprz. Nawiasem mówiąc, rozkaz ten wydał się nieprawdopodobnym sztabowi polowemu, co daje się zauważyć z rozmowy hughesowej, z której wynika, że według danych wywiadu wszystkie wymienione przez nas oddziały nie są do nas przerzucone, lecz działają nadal na froncie południowo-zachodnim. Niestety, rozkaz był prawdziwy.

Armja 16-ta prowadziła swoje natarcia bez wyników na północ od Warszawy. Położenie składało się tak, że rzeczą niezbędną było wzmocnić nasze lewe skrzydło i jednocześnie dać armji 16-ej możność zaczęcia działań w kierunkach, mniej przez przeciwnika umocnionych. W związku z tem 14. sierpnia dowództwo frontu daje rozkaz, aby armja 16-ta szukała przeprawy na południe od Warszawy i żeby wydzielić jedną dyw. strz. do odwodu frontu w rejonie m. Łukowa (szkic 15). Do wykonania powyższego przystąpiono.

XIII.

KONTROFENZYWA POLSKA.

Podczas przeprowadzania tych przegrupowań armja polska przeszła do ofenzywy. Oddziały grupy mozyrskiej zostały łatwo rozbite, rozproszone i rozpoczęły bezładny odwrót. Armja 16-ta zaczęła odczuwać uderzenia flankowe, co było tem dotkliwsze, że właśnie przeprowadzano przegrupowanie i że łączność dywizyj z dowództwem armji była przerwana. Wynikało to ze zbyt wielkiej odległości polowego sztabu armji od linji bojowej. To położenie stało się dla nas nadzwyczaj groźne, zwłaszcza że armja konna uporczywie działała nadal w kierunku Lwowa, zamiast działać w kierunku Lublina.

Niestety, o ofenzywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 18. sierpnia z rozmowy hughesowej z dowódcą armji 16-ej. Ten ostatni o ofenzywie dowiedział się dopiero 17-go. Grupa mozyrska nic nie dała znać o tem, co się stało.

Dowódca armji 16., meldując w rozmowie hughesowej o wynikłem położeniu, wypowiedział się za koniecznością odwrotu dla zorganizowania się, ale nie uważał ofenzywy „białych" polskich oddziałów za poważną i przewidywał możność zlikwidowania jej. Jednakże zestawienie danych wywiadu o przeciwniku z faktem tej ofenzywy, która zaczęła się z za Wieprza, zmusiła do innego poglądu na tę okoliczność. Dowódca frontu natychmiast wydaje rozkaz całkowitej zmiany zadania dla armij frontu (szkic 16).

Na naszem lewem skrzydle położenie przedstawiało się groźnie. Na naszem prawem skrzydle, dzięki niezrozumiałym działaniom armji 4-ej, nie było zupełnie możności szybko skończyć z nacierającym przeciwnikiem. Naodwrót armja 4-ta, wysforowawszy się do Włocławka, z góry skazywała się na bardzo ciężkie położenie.

Wydany zostaje rozkaz treści następującej: armja 4-ta w pełnym składzie, pomagając w drodze armji 15-ej, ma na 20. sierpnia bezwzględnie skoncentrować się w rejonie Ciechanów — Przasnysz — Maków. Telegram szefa sztabu frontu zachodniego dawał armji 4-ej dyrektywę, aby, jeżeli współdziałanie z armją 15-tą będzie ją zatrzymywało w ruchu, tego współdziałania unikała, ponieważ celem jej jest skupienie się we wskazanym rejonie i w oznaczonym terminie. Armje 15-ta i 3-cia otrzymały za zadanie powstrzymywanie przeciwnika i zabezpieczenie koncentracji odwodów armji 4-ej.

Armja 16-ta miała za zadanie cofnąć się nad rz. Liwiec. Grupa mozyrska — ubezpieczać lewe skrzydło armji 16-ej. Armja 12-ta otrzymała rozkaz rozpoczęcia natarcia, celem związania przeciwnika, nacierającego z za rz. Wieprz. 21. dyw. armji 3-ej i jednej dyw. armji 16-ej rozkazano forsownym marszem skierować się do odwodu frontu w rejonie Drohiczyn — Janów.

Było oczywiste, że straciwszy czas i możność zadania przeciwnikowi klęski, samiśmy wpadli w ciężkie położenie i zmuszeni jesteśmy do odwrotu. Znając charakter walk i działań przy naszych przerywanych i rozrzedzonych frontach, dowództwo frontu nie łudziło się, że się nie utrzymamy i że odwrót będzie trwał prawdopodobnie do linji Grodno — Brześć. Tam mieliśmy możność wlać w szeregi tych 60.000 ludzi uzupełnienia, którzy już byli w eszelonach i szli marszem do bataljonów zapasowych naszych armij. Tam mogliśmy odpocząć, zorganizować się i przejść z powrotem do ofenzywy. Ale zasadniczym warunkiem tego było wyprowadzenie w dobrym stanie naszych armij z wynikłego położenia. Dlatego oderwanie się armji 4-ej stanowiło źródło pewnego niepokoju; postawiono jej zatem ostateczny termin odwrotu.

Jednak nie na tem koniec naszych nieszczęść. Brak środków łączności i błądzenie armji 4-ej po manowcach korytarza gdańskiego widocznie przeszkodziły dowódcy tej armji w otrzymaniu wydanego rozkazu w swoim czasie. Na dobitkę nieszczęścia, dowódca armji 4-ej, oderwany od sztabu frontu i od armij sąsiednich i wobec tego nie mający pojęcia o ogólnem położeniu na froncie, uważał to ostatnie za zupełnie pomyślne, a odwrót za rzecz zupełnie nie na czasie. 19. sierpnia, wypadkowo połączywszy się z dowódcą frontu, w rozmowie hughesowej wyraził mu cały swój pogląd, lecz otrzymał potwierdzenie kategoryczne wydanego rozkazu. Samo się przez się rozumie, że armja 4-ta tyle straciła czasu, iż we właściwym terminie nie mogła w żadnym razie wypełnić postawionego jej zadania. Okoliczność ta w związku z dezorganizacją grupy mozyrskiej, która doszła do szczytu, i z tem, że przeciwnik, który się od nas nauczył śmiałości, nacierał tu ze wściekłą szybkością, z góry skazywała armję 4-tą prawie na pewną zgubę. Jedyna nadzieja mogła być jeszcze w tem, że przeciwnik, dla organizacji swoich tyłów, zatrzyma się choć na czas jakiś lub zwolni tempo swojej ofenzywy. Ale tego przeciwnik nie zrobił. Dnia 20. sierpnia, odrzucając oddziały armji 16-ej w nieładzie

i bijąc po kolei we flankę oddziałów armij 3-ej i 15-ej, przeciwnik zajmuje linje Przasnysz — Maków — Ostrów — Bielsk — Brześć (szkic 17). Tymczasem armja 4-ta dopiero maszeruje ku Przasnyszowi i znajduje się w rejonie Ciechanowa. 22. sierpnia przeciwnik wychodzi na linję Ostrołęka — Łomża — Białystok. Armja 4-ta dopiero zbliża się do pierwszego punktu. Oddziały armji 15-ej i 3-ej wytężają wszystkie siły, aby zatrzymać natarcie przeciwnika i pozwolić armji 4-ej przejść wązkim korytarzem między Narwią a granicą wschodnio-pruską. Ale to zadanie okazuje się niewykonalnem. Armja 3-cia i 15-ta w nierównych walkach, w jak najcięższem dla siebie położeniu, tracą znaczną część sił, a armji 4-tej już uratować nie mogą. Większą jej część przeciwnik przyciska do granicy Prus Wschodnich i zmusza do przejścia na terytorjum niemieckie.

Tak kończy się ta nasza świetna operacja, wobec której drżeć musiał cały kapitał europejski, który odetchnął swobodnie dopiero po jej ukończeniu.

Polacy, włożywszy w swoją kontrofenzywę tę całą resztę energji, jaka im została, stracili dech i nie mogli rozwinąć osiągniętych powodzeń. Nasze oddziały w najżałośniejszym stanie ściągały na linję Grodno — Wołkowysk i stąd wracały do swoich armij. Praca zawrzała na nowo. Uzupełnienia zostały wlane do istniejących nadal kadr, i po mniej więcej 2 — 3 tygodniach siły frontu były przywrócone. Jednakże przywrócenie tych sił pojmować trzeba względnie. Przybyłe uzupełnienie było nieumundurowane, nieobute, pomimo pory jesiennej.

O ofenzywie można było myśleć dopiero po otrzymaniu umundurowania. Zaś bez ofenzywy trudno mówić o wartości bojowej wojska. Gdyby przeciwnik przeszedł do ofenzywy, zanim mybyśmy to zrobili, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bylibyśmy pobici. Jednakże nastrój w wojsku był dobry. Przegrana operacja wywoływała w niem pragnienie nowej ofenzywy. Mieliśmy wszystkie warunki, żeby znowu zwrócić szczęście na naszą stronę. Cała sprawa polegała na tem tylko, kto wcześniej się przygotuje i kto wcześniej przejdzie do natarcia. Niestety, położenie gospodarcze Republiki nie pozwoliło nam urzeczywistnić naszego zadania. Polacy przeszli pierwsi do ofenzywy, i odwrót nasz stał się nieunikniony.

Armja konna, która przybyła na kierunek lubelski z wielkiem opóźnieniem, była wysunięta przez naczelne dowództwo celem wykomania głębokiego zagonu na Zamość, ale to już było poniewczasie.

ZAKOŃCZENIE.

Zasadniczy wniosek z naszej kampanji r. 1920 jest ten, że przegrała ją nie polityka, ale strategja. Polityka postawiła przed armją czerwoną trudne, ryzykowne i śmiałe zadanie. Ale czy to ma oznaczać, że zadanie to było postawione nieprawidłowo? Nie było ani jednego wielkiego dzieła, któreby nie wymagało śmiałości i zdecydowania. I jeżeli porównać rewolucję październikową z naszą zewnętrzną ofenzywą socjalistyczną, to oczywiście trzeba przyjść do wniosku, że zadanie październikowe było znacznie śmielsze, znacznie bardziej karkołomne. Czerwony front miał możność wypełnienia postawionego mu zadania, ale go nie wypełnił. Za zasadniczą przyczynę nieudania się operacji należy uznać zamało poważny stosunek do zagadnień przygotowania dowództwa wojskowego. Środków technicznych brakło głównie dlatego, że nie zwrócono na nie należytej uwagi. Dalej, brak przygotowania niektórych naszych wyższych dowódców czynił niemożliwem poprawianie na miejscu braków dowodzenia technicznego. W chwili decydującego starcia rozejście się prawie pod kątem prostym głównych sił zachodniego i południowo - zachodniego frontu przesądziło niepowodzenie działania właśnie w tej chwili, kiedy front zachodni był wciągnięty w ofenzywę nad Wisłą. Nieskoordynowane działania armji 4-ej wyrwały nam z rąk zwycięstwo i, w ostatecznym obrachunku, pociągnęły za sobą naszą katastrofę.

Klasą robotniczą Europy zachodniej na wieść o ofenzywie naszej armji czerwonej wstrząsnął ruch rewolucyjny. Żadne hasła narodowe, które rzucała burżuazja polska, nie mogły przyćmić istoty rozgrywającej się wojny klasowej. To poczucie objęło i proletarjat i burżuazję Europy, i wstrząśnienie rewolucyjne ogarnęło świat. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli wyrwali z rąk burżuazji polskiej jej burżuazyjną armję szlachecką, wówczas rewolucja klasy robotniczej w Polsce stałaby się faktem dokonanym. A pożar ten nie dałby się ograniczyć ścianami polskiemi. Jak wzburzony potok rozlałby się po całej Europie zachodniej. Tego doświadczenia rewolucji z zewnątrz armja czerwona nie zapomni. I jeżeli kiedykolwiek burżuazja europejska wyzwie nas do nowej walki, to armja czerwona potrafi ją pogromić, zaś rewolucję w Europie wesprzeć i rozprzestrzenić.

JÓZEF PIŁSUDSKI

ROK 1920

Z powodu książki p. Tuchaczewskiego.

I.

Analizę pracy p. Tuchaczewskiego rozpocząć muszę nie według jego układu, lecz od specjalnej pracy wojennej, której nie wyodrębnił w osobny rozdział, a dał ją w różnych uwagach w tekście czy też w osobnych tablicach. Mówię tu o rachunku, który podczas wojny czynić muszą wszyscy wodzowie i wszystkie sztaby — o rachunku sił liczebnych swoich i nieprzyjaciela. Praca ta nie jest tak prostą, jak to się nieraz ludziom wydaje. W każdym sztabie istnieją specjalnie do tego wyznaczeni oficerowie, którzy niczem innem się nie zajmują, jak tylko ciągłem zestawianiem rachunku sił, będących w stanie rozporządzalności dla pracy wojennej. Na dowód zaś, jak zawiłemi są te rachunki, przytoczę fakt, że historycy wojny, przystępujący do swej pracy z całą obfitością materjałów, jaką nie rozporządzał napewno nikt podczas wojny, bardzo często różnią się pomiędzy sobą w obliczeniach przy badaniu jednej i tej samej bitwy czy operacji.

P. Tuchaczewski, robiąc rachunek sił naszych i prawdopodobnie wiedząc, że z łatwością można mu zarzucić nieścisłość, usprawiedliwia się odrazu twierdząc, że system naszego rachunku był zawiły, gdyż brał za podstawę liczbę bagnetów i szabel. Dziwnym zbiegiem okoliczności w literaturze historycznej, tyczącej się działań wojsk, któremi dowodził p. Tuchaczewski, spotkałem obliczenia, prowadzone akurat w ten sam sposób, na bagnety i szable. P. Sergiejew, o którym wspomniałem, tak właśnie liczy swe siły. Jedna z sowieckich dywizyj (2-a), opisując wzięcie przez siebie podczas tej kampanji Brześcia, daje obrachunek swych sił tą samą metodą. I jeśli w rachunku armji sowieckiej zwykłym był dodatek obliczenia nietylko na bagnety i szable, lecz i na „bojców", to u nas próbowano inaczej rachować to, co

stanowi istotę nowoczesnych bojów — siłą ognia. W każdym jednak razie dziwnym wydał mi się fakt, że p. Tuchaczewski nie chciał rozumieć naszego rachunku na bagnety i szable, gdy dowodzone przezeń wojsko nie różniło się w tej sprawie od nas. Gdy zaś dokładniej starałem się zanalizować tablice podane przez p. Tuchaczewskiego, mimowoli nasunęło mi się przypuszczenie, że kłopoty, jakie wynajdował p. Tuchaczewski dla rachunku sił naszych, były conajmniej przesadzone, prawdopodobnie rozmyślnie, by w ostatecznej sumie, co mimowolnie rzuca się w oczy, dojść do cyfr, wyrównywujących siły liczebne swoje z naszemi, albo też nawet dających przewagę liczebną nam, a nie sobie. Wyznaję, że ten publicystyczny sposób rachowania zniechęcił mnie prawie zupełnie do poważnego zastanawiania się nad każdą z cyfr, przytoczonych przez p. Tuchaczewskiego.

Dla przykładu jednak chcę przytoczyć kilka wybranych na chybił trafił cyfr z rachunku p. Tuchaczewskiego, aby dowieść, jak on, że tak powiem, igra składowemi częściami swoich obliczeń. W pierwszej tablicy w rachunku sił jego pomieszczona jest 15-ta dywizja kawalerji, w tablicy drugiej ta dywizja znika, by znowu w tablicy trzeciej wypłynąć. W tablicy pierwszej, stanowiącej jakgdyby anneks do operacji, prowadzonej w połowie maja 20-go r., po naszej stronie zaliczona jest 2-ga białorusko-litewska dywizja z 4.800 bagnetów, gdy nie brała ona wcale udziału w tej operacji. Najzabawniejszem jednak jest obliczenie i wyrównanie rachunku wyraźnie celowo na tablicy trzeciej, dającej rachunek sił przed rozpoczęciem 4-go lipca głównej operacji sowieckiej, zakończonej pod Warszawą. Na samym dole tablicy dodana jest rubryka pod tytułem: zapasowe bataljony i szwadrony pułków czynnych. Dla nas liczone one są cyfrą 27.000 bagnetów i 1.200 szabel „gotowych do wlania do szeregów". Natomiast po stronie rosyjskiej znajdziemy w tej rubryce dla bagnetów i szabel tylko trzy gwiazdki nie oznaczające żadnej cyfry, lecz dające wyjaśnienie, że te bataljony i szwadrony są już liczone w składzie dywizyj. Wyrównuje to znakomicie rachunek sił naszych i sowieckich, dając nawet odrazu przewagę prawie 30.000 bagnetów dla naszej strony.

Komiczne też wrażenie czynią drobne błędy przy zestawieniu tablic pomiędzy sobą; tak więc: w pierwszej tablicy niewiadomo dlaczego jedne z naszych dywizyj pieszych są obdarzone konnicą w stale powtarzającej się liczbie 400 szabel, gdy inne tego dobrodziejstwa nie

posiadają. W drugiej zaś tablicy, która przedstawia stan naszych wojsk po 15-tu dniach, spędzonych przeważnie w bojach, liczba konnicy nagle wzrasta i zamiast 400 figuruje już liczba 500 szabel tak, jak gdyby podczas bojów liczba bagnetów i szabel nie zmniejszała się, lecz odwrotnie zwiększała. Gdy poprzednio wspomniałem o zniknięciu z drugiej tablicy całej dywizji kawalerji, to ten sam sposób dla tych samych tablic został użyty najzupełniej spokojnie dla wyrównania rachunku i w stosunku do najpoważniejszej cyfry, mianowicie 29. dywizji piechoty, która ze swemi prawie 10.000 bagnetów i 600 szablami zniknęła bezpowrotnie dla wszystkich innych rachunków.

Ten dziwaczny i upstrzony rażącemi błędami rachunek sił naszych i sowieckich mógłby być bardzo smutnem świadectwem pracy sztabów sowieckich, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego, gdyby nie wyraźna tendencja w rachunkach, tendencja o charakterze publicystyczno-agitacyjnym, nie podnosząca wcale wartości dziełka p. Tuchaczewskiego. Tendencja ta wyraża się w tem, aby w końcowym rachunku, w sumie wyprowadzonej u dołu kolumny, zwiększyć tendencyjnie siły nasze i odwrotnie zmniejszyć siły swoje. P. Tuchaczewski nie krępuje się w tej pracy faktem, że w tekście przy opisie działań swoich jako wodza raz po raz przeczy cyfrom w tablicach. Na str. 20. przy opisie prac przygotowawczych do głównej operacji, p. Tuchaczewski stwierdza, że „dzięki intensywnej energji działaczów, pracujących nad armją czerwoną... uzupełnienie tysiącami zaczęło przybywać do naszych dywizyj". Dzięki temu został wykonany plan zdwojenia stanu bojowego, lecz w rachunku w tablicach tego zdwojenia nie spostrzeżemy. Jeszcze raz na stronicy 33. p. Tuchaczewski stwierdza, że więcej niż 30.000 całkiem pewnych ludzi zostało zmobilizowanych i wtłoczonych w szeregi dowodzonych przezeń armij podczas marszu od Berezyny i Dźwiny ku Warszawie [1]). Znowu też w rachunkach i obliczeniach stanów armji nie dostrzeżemy wcale śladów nowego uzupełnienia. Naturalnem więc jest pytanie, gdzie właściwie kryje się przesada p. Tuchaczewskiego, czy w agitacyjnym cyfrowym rachunku umieszczonym w tablicach, czy też w publicystycznej pochwale dla energji krasno-armiejskich robotników i dla systemu klasowego kompletowania wojska.

---

[1]) P. Tuchaczewski dodaje, że „jest to charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego".

Wobec tego wszystkiego niepodobna brać cyfr p. Tuchaczewskiego oraz zestawionych przezeń tablic za materjał historyczny, i dlatego zdecydowałem się we wszystkich swoich wywodach i analizach przejść nad niemi do porządku dziennego. Nie chcę jednak pominąć milczeniem ogólnikowych rachunków, które podczas kampanji 1920 r. zestawiałem dla siebie.

Siły własne obliczać się dają na podstawie perjodycznych raportów o stanie liczebnym, składanych przez dowódców poszczególnych jednostek. Ostrzegałbym jednak każdego, ktoby chciał oprzeć się jedynie na tych danych. Przedewszystkiem jako człowiek zamiłowany w studjach historycznych stwierdzić muszę, że każdy raport, bez względu na to, o czem by traktował, może historyk brać jako źródło pewne jedynie po krytycznej analizie, każdy raport bowiem jest pisany dla przełożonego i zawsze ma na celu nietylko sprawozdanie, lecz i chęć skłonienia przełożonego do tych czy innych myśli w stosunku do piszącego raport. Jeżeli tak jest w armjach o długiej tradycji i długotrwałem szkoleniu, to cóż dopiero w armji naszej, zupełnie świeżo zbudowanej i zestawionej pod względem dowódców z ludzi prawie przypadkowo zebranych z najrozmaitszych armij i szkół. Dla tych właśnie powodów nigdy nie odnosiłem się zbyt serjo do ścisłości raportów naszych o stanach liczebnych. Wprowadzałem zaś do nich zawsze jedną sumaryczną poprawkę, mianowicie: w wojsku naszem rozwielmożnił się bardzo system odkomenderowywania mnóstwa ludzi z szeregów czynnych bojowo na bliższe lub dalsze tyły dla wygody wojsk i dowódców, i dla różnych gospodarczych czynności. W raportach zaś nigdy albo prawie nigdy nie uwzględniano tych odkomenderowanych i liczono ich dla przełożonych jako stale będących w pułkach. Względność pod tym względem w naszej armji była niezmiernie daleko posunięta i prawie nie znam wypadku, aby którykolwiek z dowódców chciał stosować w tych sprawach surowsze środki dyscyplinarne. Zawsze więc przy otrzymywaniu raportów perjodycznych o stanie liczebnym armji, w ogólnym rachunku, zestawionym dla mnie, wprowadzałem sumaryczną poprawkę, polegającą na tem, że conajmniej trzecia część ludzi liczonych jako bagnety i szable nie powinna być przezemnie rachowana, jako siła rozporządzalna dla boju. Dla niektórych dywizyj tę poprawkę czyniłem znacznie wyższą, przyjmując połowę cyfry, podanej w raporcie.

Nie chcę twierdzić, że armja sowiecka nie znała podobnie jak my systemu gospodarczych odkomenderowań bagnetów i szabel. Jestem nawet przekonany, że tak było. Muszę jednak zwrócić uwagę, że dyscyplina nieraz bywała u przeciwnika tak bezwzględną, a środki przedsiębrane ku jej utrzymaniu tak nadzwyczajne, że wątpię, aby wódz naszego przeciwnika ówczesnego miał potrzebę czynić takie smutne rachunki jak ja. Z prawdziwą też zazdrością spotkałem np. w opisie działań 27-ej dywizji pod Warszawą, że jej dowódca 10-go sierpnia na Liwcu zwiększył stan bojowy swej dywizji przez wciągnięcie do jej składu komend tyłowych i części żołnierzy z taboru [1]). Mogę zapewnić czytelników, że nie znam w naszej armji podobnego wypadku.

Chciałbym również usunąć z myśli czytelników rozmyślny, jak pisałem, błąd w rachunku p. Tuchaczewskiego w stosunku do zapasowych bataljonów i szwadronów. Według organizacji, która u nas istniała, zapasowe bataljony i szwadrony nietylko służyły dla kompletowania składu armji, lecz również miały za zadanie pieczę nad całem dobrem i majątkiem pułków, które były w polu. Dlatego też przy cofaniu się, a to było naszym udziałem, aż do Wisły, wszystkie zapasowe bataljony i szwadrony nie spełniły pierwszego swego zadania — kompletowania pułków w polu, lecz zajęte były pracą ewakuacji całego swego dobra i urządzenia. Mowa więc być może jedynie o pracy organizacyjnej na głębszych tyłach. Przy gwałtownym zaś odwrocie naszym, który zanalizuję potem, zabroniłem formalnie dawać uzupełnienia, nim wojska nie nadejdą do Bugu, gdyż, jak wskażę później, po cofnięciu się z linji Baranowicze — Wilno nie spodziewałem się wcale, aby generał Szeptycki, dowodzący na tym froncie, zatrzymał gdziekolwiek atak nieprzyjacielski. Na Bug też i Narew zostało wysłanych kilkanaście bataljonów uzupełnienia, które były pierwszą udzieloną w ten sposób pomocą wojskom, cofającym się od Dźwiny i Berezyny.

Nie mając w obecnej chwili przed sobą wszystkich materjałów nawet dla wojsk przezemnie dowodzonych, nie chcę iść w ślady p. Tuchaczewskiego i przeciw tablicom, danym przez niego, zestawiać swoje, któreby nie dały dostatecznej gwarancji historycznej. W stosunku zaś do sił nieprzyjacielskich nie chciałbym także podawać na-

[1]) W. Putna — Pod Warszawoj.

szego ówczesnego rachunku, z natury rzeczy jeszcze bardziej zawodnego. Za najpewniejszy w tej pracy uważany był u nas system rachowania następujący: na podstawie danych od jeńców zestawiano stan liczbowy kompanij czy szwadronów i starano się stąd zrekonstruować stany liczebne bataljonów, pułków i dywizyj. System ten wydawał się najodpowiedniejszym, gdyż armja sowiecka odznaczała się według naszych obserwacyj nadzwyczajną pstrokacizną pod względem stanu liczebnego nietylko przy porównywaniu wyższych jednostek, jak dywizje i brygady, lecz nawet przy porównywaniu pułków wewnątrz brygad i bataljonów wewnątrz pułków.

Podam jeszcze jeden sumaryczny sposób, którego nieraz używałem, gdym chciał się zorjentować w tem, czem właściwie rozporządzam dla operacyj bojowych. System ten polegał na wzięciu jako podstawy wszystkiego, co pod broń w kraju było postawione. Z tej ogólnej cyfry, jeszcze może najbardziej pewnej ze wszystkich, starałem się sumarycznie, na podstawie znajomości pracy wojskowej, określić odsetek tych, którzy byli w stanie rozporządzalnym dla boju. Odsetek ten w różnych okresach był różny i zależał od chwili przesyłania uzupełnień ku frontowi. Zgodnie z mojemi obliczeniami odsetek ten u nas nie przewyższał nigdy 12 — 15 procent. Ten smutny stan naszej organizacji wojennej wynikał z nadzwyczaj pośpiesznej, a zatem niedokładnej pracy budowy armji, którą przecie w roku 1918 zaczęliśmy nieomal od kompletnego zera. Zarazem jednak niezwykły wpływ wywierał fakt, że olbrzymia większość naszej administracji wojskowej poprostu unikała jak jakiegoś grzechu stosowania surowszych środków dyscyplinarnych zarówno wewnątrz samej administracji, jak i nazewnątrz. Taka nadzwyczajna względność w stosunku do pracy tyłowej dawała w rezultacie fakt, który charakteryzowałem zawsze słowami, że olbrzymia część materjału ludzkiego przepływa stale pomiędzy palcami administracji. Śmiałem się zawsze, że nie możemy zatracić charakteru armji ochotniczej, gdyż bije się u nas ten tylko, kto chce, lub wreszcie ten, kto jest głupi.

Sądząc z własnych słów p. Tuchaczewskiego i znając system dyscyplinarny u naszego przeciwnika, doprowadzony do nadzwyczajnej bezwzględności, nie przypuszczam, ażeby nasz nieprzyjaciel stał w tej ważnej sprawie tak źle, jak to było z nami. Dlatego też pozwoliłbym sobie wyżej przytoczony odsetek dla nas podwyższyć dla p. Tuchaczewskiego conajmniej o 10%, doprowadzając w ten sposób odsetek

sił bojowych w stosunku do stanu żywnościowego armji do 25%. Sądzę, że liczę za mało, gdyż cyfra nasza dotyczy odsetku ludzi będących pod bronią w całem państwie, gdy dla p. Tuchaczewskiego biorę cyfrę związaną tylko z jego frontową siłą.

Na szczęście przy studjach nad naszym przeciwnikiem znalazłem cyfrę, określającą stan żywnościowy ludzi i koni na miesiąc sierpień 1920 r. Cyfra ta dla wojsk, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego jest: ludzi 794.645 i koni 150.572 [2]). Jeżeli więc zastosujemy nasz sumaryczny rachunek, znajdziemy, że siła bojowa, którą rozporządzał p. Tuchaczewski w początku sierpnia, a zatem mniej więcej również i w lipcu, wynosiła do 200.000 ludzi.

Dla nas, śmiem to twierdzić stanowczo, w ciągu całej naszej wojny cyfra ta nigdy do 200.000 nie doszła i to na całym froncie, nietylko na tej jego części, która była przeciwstawiona p. Tuchaczewskiemu. Sądzę więc, że od czasu rozwinięcia przeciwko nam w lipcu 1920 r. całej siły sowieckiej, na froncie walczącym mieliśmy stale przewagę liczebną nieprzyjaciela. Piszę to nie dlatego, bym się chciał specjalnie tem chwalić, przeciwnie uważam te fakty za smutny objaw, świadczący źle o nas. A uwaga ta tembardziej okaże się słuszną, gdy dodam, że ogólna charakterystyka wojny naszej 1918 — 20 r. nie polegała na krwawych bojach, wystawiających na próbę bohaterstwo w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdyż krwawe straty, które wojska nasze poniosły w tej wojnie, były znikomo małe w porównaniu z odsetkami takich strat w wojnie t. zw. światowej.

Dla zakończenia rozdziału podam swój bardzo niestety sumaryczny rachunek, który w swoim czasie czyniłem i co do którego nie chcę się nawet upierać. Liczyłem nieprzyjaciela, dowodzonego przez p. Tuchaczewskiego z rozpoczęciem akcji 4. lipca na 200.000—220.000 siły bojowej — p. Tuchaczewski podaje ją w tablicy w sumie 160.188. Siły gen. Szeptyckiego, który dowodził w tej samej roli co p. Tuchaczewski, rachuję najwyżej na 110.000 — 120.000 siły bojowej.

Przy końcowym epizodzie nad Wisłą liczyłem siły p. Tuchaczewskiego na 130.000 — 150.000 siły bojowej, siły zaś nasze, biorąc jedynie pod uwagę te siły, które mogły być użyte w t. zw. bitwie pod War-

---

[2]) Frołow. Snabżenje krasnoj armji na zapfrontie.

szawą, na 120.000 do 180.000. Jeżeli ostatnia cyfra dana jest przezemnie z takiem wahaniem, to dlatego, że panował u nas wtedy tak wielki chaos organizacyjny i że w owe czasy niepodobna było nawet myśleć o wprowadzeniu w bój tego, co się miało uzbrojonego czy gotowego do wymarszu.

II.

Jak to zwykle bywa przed rozpoczęciem operacji o większem znaczeniu, p. Tuchaczewski, a zarazem jego przełożeni, zastanawiali się nad wartością terenu operacyjnego oraz nad ugrupowaniem sił swoich i przeciwnika. Zgodnie z tem i w samej książce p. Tuchaczewski poświęca rozdział II. i III. obu tym tematom. Nie będę się zatrzymywał na części opisowej terenu, która jest zupełnie zgodna z prawdą i należy do dziedziny prawie czystej geografji. Zatrzymam się nieco dłużej na niektórych częściach rozważań geograficznych p. Tuchaczewskiego, gdyż sądząc ze wszystkiego, co o swojej pracy dowodzenia napisał, odegrały one wybitną rolę przy decyzjach wojennych. Będzie mi tem przyjemniej, że jedno z określeń, które z pewnem jakgdyby zamiłowaniem p .Tuchaczewski powtarza, jest określeniem polskiem, i z tego powodu mam niejako prawo do stosowania tego określenia w ten sposób, jak go stworzono, a nie w ten dość wyznaję dziwny sposób, jak go stosuje p. Tuchaczewski. Mianowicie: p. Tuchaczewski stwierdza, że przedsiębiorąc operacje o daleko wytyczonym celu, miał do wyboru dwa główne kierunki dla swych głównych sił. Jeden z nich nazywa kierunkiem ihumeńskim, prowadzącym wprost do Mińska, drugi — jak sam określa — „Polacy nazywają smoleńskiemi wrotami". P. Tuchaczewski dla swoich operacyj wybrał ten drugi kierunek.

Jak już zaznaczyłem, nasze określenie oznacza całkiem inny, bardziej zbliżony do samej nazwy szmat ziemi. Istotnie, dwie główne rzeki pogranicza istniejącego niegdyś pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a państwem carów, Dźwina i Dniepr, formują swym górnym biegiem względnie wąski korytarz, zamknięty u swego wyjścia ku wscho-

dowi największem miastem w tamtym kraju — Smoleńskiem. To też wszystkie najazdy i wyprawy, czy to ze strony polskiej, czy rosyjskiej, z konieczności o Smoleńsk zawadzały, robiąc zeń jakgdyby wrota, do których pukano przedewszystkiem, gdy chodziło o operacje w większych rozmiarach. Smoleńsk był zdobywany przez tę czy przez inną stronę w przeciągu wieków za każdym razem, gdy szło o większe wojny, toczone w owych czasach. W nowszych czasach podczas marszu Napoleona ku Moskwie znowu jedna z większych bitew stoczona została o panowanie nad temi istotnemi wrotami. To też Smoleńsk nosi dotąd ślady bardzo wyraźne swego znaczenia, posiadając zachowane jak rzadko gdzieindziej, mury i wały. P. Tuchaczewski jednak przenosi tę nazwę do całkiem innego rejonu, nie mającego zdaniem mojem żadnego związku ze Smoleńskiem, ani też z jedną z rzek, charakteryzujących owe wrota — z Dnieprem. Co więcej, jakby dla zmniejszenia wielkiej historycznej wartości Smoleńska, przenosi całe jego znaczenie do drobnej mieścinki Orzechownej. Ta niespodzianie wypływająca nazwa — wyznaję — przeraziła mnie niezmiernie. Jako naczelny wódz armji polskiej rozważałem podczas paru lat wiele najrozmaitszych możliwości, brałem pod uwagę wiele najrozmaitszych pociągnięć jak ze swej strony, tak i ze strony przeciwnika, lecz ani razu przez myśl mi nie przeszło, że przez pewien czas byłem w posiadaniu tak ważnego punktu strategicznego, którego w dodatku za moją zgodą wyzbyliśmy się przy ostatecznem układaniu granicy podczas traktatu ryskiego. Gotów jestem podejrzewać nawet, że żydowska ludność tego drobnego miasteczka rozmyślnie starała się o należenie do państwa Sowietów, gdyż właśnie z powodu jej nalegania zrobiliśmy to niebezpieczne ustępstwo.

Z przedstawienia i rozważań p. Tuchaczewskiego, gdy już cały ten rejon nazywa smoleńskiemi wrotami, pozwoliłbym sobie zaproponować, by miasteczko Orzechowna, leżące obecnie tuż na naszej granicy, nazwać już nie wrotami, ale furtką, furteczką smoleńską. Lecz żart na stronę, Orzechowna odegrała jednak, sądząc z przedstawienia w pracy p. Tuchaczewskiego, wielką rolę.

Dowódca sił sowieckich uważał, że właśnie w rejonie Orzechownej musi zmienić swoją linję operacyjną, zachodząc, jak pisze, prawem ramieniem o 90°, czyli zmieniając ją pod prostym kątem. Z tego też powodu pomimo, że został rozbity w pierwszej swojej próbie, którą nazywa „majową ofenzywą", pociesza się tem, że „wrota smoleń-

skie pozostały w naszych rękach, aż do chwili, w której przedsięwzięliśmy drugą, decydującą ofenzywę". (str. 16).

Jeśli we wstępie mówiłem o zbytniej abstrakcyjności traktowania przedmiotu przez p. Tuchaczewskiego, to doprawdy trudno o lepszy dowód, że ta abstrakcyjność umysłu p. Tuchaczewskiego istnieje realnie, gdy z taką łatwością może wiązać swoją pracę dowodzenia z tak nieznacznemi aż do komizmu punktami na mapie. Jeżeli mu szło o istotnie zawiły i zabierający dużo czasu manewr zachodzenia tem czy innem ramieniem większej ilości wojska pod kątem prostym, to niepodobna tego wiązać z jakiemiś nieznacznemi punktami, chociażby leżącemi na głównych drogach. Równie dobrze można ten trudny manewr czynić poza takiemi punktami, co do których nigdy upierać się nie wolno. Geografja i geometrja! ileż zasadzek kryje się w nich dla wodzów!

Historja wojenna zna niejeden taki przykład. Przy zatrzymaniu przezemnie naszej kontrofenzywy w końcu maja anim podejrzewał, że p. Tuchaczewski łamał poprzednio „smoleńskie wrota" i walczył w końcu boju o utrzymanie przynajmniej ich surogatu, „furtki w Orzechownej". Przypomina mi to niezmiernie znany i studjowany nieraz przezemnie wielki bój styczniowy w 1905 r. pomiędzy armjami Kuropatkina i Oyamy. Rosjanie, którzy atakowali, nazywają ten bój „bitwą pod San-de-pu"; nazywają go tak dlatego, że zarówno generał Kuropatkin, jak i dowódca 2-ej armji Grippenberg czynili zależnym rozwój całej operacji od powodzenia przy braniu tej Orzechownej na tamtym teatrze wojny. Wiązało się to tak ściśle z ich myślami, z ich planami postępowania, z ich trwogami i nadziejami, że ten węzeł myślowy nadał dużej operacji swoje nazwisko. I trzeba wypadku, że Japończycy, którzy przeszli do kontrataku, bitwę tą chrzczą całkiem innem mianem, nazywają ją bowiem „bitwą pod Hei-kau-tai", innej Orzechownej, która ich bardziej przeraziła i gdzie mając do czynienia z wyborowem wojskiem, odczuli najwięcej kłopotów, najwięcej trwogi i dali największy wysiłek. W swoich wykładach lubiłem zawsze cytować ten przykład, nazywając go komedją pomyłek i przykładem komicznego nieporozumienia. Przestrzegałem też zawsze swych słuchaczy, by w operacjach wojennych, zarówno małych, jak wielkich, unikali starannie zasadzek ukrytych w geografji i geometrji. Niech mi wybaczy szanowny mój przeciwnik wojenny z 1920 r., gdy teraz do San-de-pu dodawać będę przykład i Orzechownej. Gdy przejdę

do analizy działań wojennych, sądzę, iż uda mi się przekonać, że uparte deptanie myśli koło podobnych węzłów myślowych u wodzów, prowadzi prawie zawsze nieuchronnie do deptania również, ale przez wojsko, ziemi nieudeptanej ze stratą czasu i wysiłków.

Zatrzymałem tak długo uwagę czytelnika na tej części rozważań p. Tuchaczewskiego dlatego, że właściwie sam p. Tuchaczewski nie dał nic innego przy rozpatrywaniu swych zasadniczych myśli, oprócz manewru zakręcenia gros swych sił pod prostym kątem z chwilą owładnięcia, jak on twierdzi, „smoleńskiemi wrotami". Widocznem jest, że myśli p. Tuchaczewskiego były silnie z tym zamiarem związane. Manewr ten uczynił dwa razy: raz przy operacji majowej, drugi raz w lipcu przy głównej operacji, zakończonej pod Warszawą. Związanem to było z chęcią wykorzystania linji kolejowej od Połocka do Mołodeczna, jako najdogodniejszej linji transportowej dla wszelkich potrzeb głównej masy sił p. Tuchaczewskiego.

Myśl prosta i zrozumiała, lecz opanowanie i osłona głównej linji operacyjnej nie wymaga wcale materjalnego, że tak powiem, wydeptania jej przez gros zebranych sił i związania ich z geograficznemi punktami, leżącemi przy niej. Takie myślowe związanie się z nazwami geograficznemi i figurami geometrycznemi daje zawsze, powtarzam, w rezultacie zagadkę, polegającą nie na czem innem, jak na usunięciu z rozważań na dalszy plan głównej przeszkody, jaką na wojnie są siły nieprzyjaciela i ich praca. Te zaś niekoniecznie wiążą swe działania właśnie z temi samemi punktami geograficznemi i figurami geometrycznemi i najczęściej mają swoje Orzechowne, nie pokrywające się z Orzechownemi przeciwnika. Będę miał sposobność przypomnieć te wywody przy analizie działań p. Tuchaczewskiego.

Gdy chodzi o rozważanie p. Tuchaczewskiego rozkładu strategicznego sił swoich i przeciwnika, to jest ono bardzo krótkie, gdy mówi o sobie, znacznie dłuższe, gdy mówi o nas. O sobie mówi niewiele, jest pod tym względem jako podwładny związany decyzjami swego naczelnego wodza. Ten zaś wybrał miejsce głównej koncentracji wojsk dla niego i określił ilość tych sił, które mają iść pod dowództwem p. Tuchaczewskiego do boju. Są to ciekawe pod względem historycznym szczegóły, nad któremi p. Tuchaczewski prawie że się nie zastanawia. Stwierdza on tylko, że domem mu był obszar koncentracyjny, ograniczony przez Witebsk, Orszę i Tołoczyn, i określone zostało skoncentrowanie pod dowództwem p. Tuchaczewskiego do 21 dywizyj.

Istotnie, gdy się przeliczy ilość dywizyj — wraz z dwoma konnemi — z któremi p. Tuchaczewski rozpoczął swą główną operację w lipcu, będziemy mieli tę właśnie określoną z góry ilość wojsk, przeznaczonych dla niego. Pierwsza jednak próba operacji, rozpoczęta w maju, czynioną była z 13-tu tylko dywizjami, zatem brakowało więcej niż trzeciej części sił, obliczonych dla operacji.

Zasadę ugrupowania sił swoich p. Tuchaczewski czerpał z rozpatrzenia i rozważenia ugrupowania sił naszych. W ogólnych zarysach zdanie jego o naszem ugrupowaniu jest następujące: Polacy rozciągnęli się w linji mniej więcej równomiernie, w kordonie. Żałuję mocno, że p. Tuchaczewski inną część swoich rozważań strategicznych, rozważań stanowiących upiększenie całej książeczki, pomieścił w całkiem innem miejscu, mianowicie przy rozważaniu operacji głównej, lipcowej. Być może, że powodem tu była niechęć zatrzymywania się dłużej nad nieudaną ofenzywą majową, lecz wyznaję, że z pewnym trudem zgodziłem się na konstruowanie swej pracy i z mojej strony w ten nielogiczny sposób. Wątpię bowiem, by p. Tuchaczewski, który swą próbę majową koncypował równie szeroko, jak i w lipcu, nie miał na myśli tych samych zasad działania taranem, które elokwentnie rozwija dopiero później. Byłoby mi z tym wygodniej, gdyż wobec niesłusznej, zdaniem mojem, krytyki naszego rozkładu strategicznego, a zatem moich osobistych w tej sprawie rozkazów, utrudnił mi znacznie wypowiedzenie paru słów pro domo mea.

P. Tuchaczewski charakteryzując więc nasz kordon stwierdza, że ta równomierność kordonu nie pozwalała nam „bez względu na wysiłki skupić w jakimkolwiek kierunku głównej masy wojska. Nasze natarcie zawsze napotkać musiało zaledwie nieznaczną część armji polskiej, a następnie mogło kolejno odpierać przeciwnatarcie odwodów". (Str. 12). Na tej podstawie p. Tuchaczewski przypuszczał, że zdoła sprawić, aby „oddziały masą swoją gniotły i, w całem tego słowa znaczeniu, znosiły w punkcie uderzenia oddziały pierwszej linji polskiej. Potem kolejne uderzenia odwodów nie były już straszne..." (str. 12).

Gdy czytałem i odczytywałem powtórnie to rozumowanie p. Tuchaczewskiego, przypominałem sobie moje rozumowanie w tej samej sprawie. Jeżeli określenia i różne motywy nie były podobnemi do tych, które daje p. Tuchaczewski, to wynik myślowy, do którego zawsze dochodziłem, był zupełnie analogiczny i streszczał się w ostatecznej konkluzji, zrobionej już w końcu 1919 r. Sądziłem, że w naszej

wojnie, którą prowadzimy z sowietami, ten kto naciera z energją zawsze będzie miał powodzenie i przebije kordon czy linję w wybranem przez siebie miejscu. Dlatego też szukałem zawsze wyjścia, jak mówiłem w owe czasy, w manewrze, chociażby to był manewr wstecz złączony z cofaniem się wojska. Stąd też przyznaję, ubodło mię do pewnego stopnia mniemanie p. Tuchaczewskiego, że polskie „dowództwo" przeciwstawiło mu na wiosnę 1920 r. lichy kordon, z którym tak łatwo miał sobie dać radę.

Przedewszystkiem p. Tuchaczewski zapomina o zasadniczej różnicy ról, jakie były nakazane jemu i jego bezpośredniemu przeciwnikowi. Gdy jemu nakazano mieć inicjatywę i atakować przeciwnika, odwrotnie wojska polskie na północnym froncie, przeciwstawionym p. Tuchaczewskiemu, miały nakaz defenzywy. W defenzywie zaś pierwszy jej człon, najbliższy do nieprzyjaciela, nie może mieć nigdy innego charakteru jak właśnie kordonu, jak właśnie cienkiej niegłębokiej linji. Nawet wojna czysto okopowa, dająca jako zasadę linję w najczystszej swojej postaci, przy swoim rozwoju doprowadziła do konieczności przedniego kordonu słabego w sile, łatwo dającego się skruszyć i postawionego jedynie dla celów obserwacyjnych, jedynie dla celów osłony. Kordon czy linja w defensywie jest konieczna, inaczej niepodobna zbadać ani sił nacierającego nieprzyjaciela, ani jego istotnych zamiarów, ani kierunków jego uderzeń. Jest to pierwsza uwaga, która musiałaby przyjść do głowy p. Tuchaczewskiemu, gdyby zechciał wejść głębiej w sytuację swego przeciwnika. Kordon więc był—i w kordonie, co stwierdzam, stało wówczas na całym froncie naprzeciw p. Tuchaczewskiego 6 dywizyj piechoty i 2 brygady kawalerji (dyw. 8., 1-a litewsko-białoruska, większość 3-ej dyw. leg., 2-a dyw. legjonowa, 14-a, 9-a).

Można byłoby prowadzić spór o to, czy dobrem było danie aż 6-ciu dywizyj na tę niewdzięczną służbę, można byłoby odwrotnie, tak jak to robili moi podwładni, stwierdzać, że przy tak wielkiej rozciągłości frontu siły te nawet dla ścisłej obserwacji są zupełnie niedostateczne, lecz fakt pozostaje faktem, że jeśli idzie o kordon to ten był udziałem tej tylko części wojsk polskich. Wreszcie niech mi wolno będzie zauważyć, że we wrześniu tegoż roku, gdym przeszedł do ofenzywy w stosunku do tegoż p. Tuchaczewskiego, znalazłem go kordonowo rozciągniętym za rzeczną zasłoną Niemna i Szczary. Był w defenzywie, a ta pomimo, iż mógł być zapalonym krytykiem wszelkich

kordonów i linij, zmuszała go do stania ugrupowanym tak nierozsądnie, jak to przypisuje nam w maju.

Przechodzę do kwestji odwodów i odrazu zaznaczę, że te swojem ugrupowaniem zupełnie zaprzeczały jakiejkolwiek zasadzie kordonu. Rozpoczynając w kwietniu ofenzywę na południowym froncie na Ukrainie, starannie obliczałem, jak będę mógł dopomóc północnemu frontowi w razie, gdyby był zaatakowany. Nad tą kwestją — możliwościami kontrataku ze strony przeciwnika — zastanawiałem się nieraz, przyczem trzymałem się opinji rozbieżnej z najbliższem mojem otoczeniem. Mianowicie generał Haller, ówczesny mój szef sztabu, przypuszczał, że przeciwnatarcie nastąpić musi na tym samym terenie, na którym myśmy przechodzili do ofenzywy. Zdaniem bowiem jego właśnie na południu skoncentrowane wtedy były największe siły przeciwnika, które zlikwidowały front przeciw Denikinowi i tam narastało nowe niebezpieczeństwo w postaci krymskiej próby Wrangla. Wydało mu się więc logicznem, by oczekiwać stamtąd i kontruderzenia, któregośmy wogóle byli pewni. Co do mnie osobiście skłaniałem się do zdania, że oczekiwać należy przeciwnatarcia na tym froncie, gdzie mniej jesteśmy skoncentrowani. Gdybym więc wybrał dla wiosennej ofenzywy front północny, oczekiwałbym kontrataku na południu; wybrawszy zaś południe, liczyłem się bardziej z uderzeniem przeciwnika na północy. Tembardziej więc musiałem sobie starannie przeliczyć, czem będę parował uderzenie przeciwnika.

W odwodzie więc na północnym froncie zostawione zostały: w Osipowiczach i okolicy 6-ta dywizja piechoty, jako odwód 4-ej armji; na Polesie, do tejże 4. armji jechała 16-ta dywizja. Obie te dywyzje dane były do zupełnego rozporządzenia dowódcy 4-ej armji, gen. Szeptyckiego. Daleko z tyłu, bo aż w Lidzie, rozłożoną była dywizja 17-a, którą zatrzymałem w swojem rozporządzeniu. Obok tego na froncie obserwacyjnym przeciw Litwie, nie toczącym żadnego boju, w 7-ej naszej armji miałem dwie dywizje, z których trochę więcej niż pół dywizji zawsze stało w odwodzie, zawsze zdatne do użycia gdzieindziej. Na samym więc północnym froncie jako odwód liczyć mogłem trzy i pół dywizyj. Jeżeli zaś odliczę 16-tą, którą wciągnięto prawie natychmiast do rozwijających się bojów na Polesiu, to pozostanie dwie i pół dywizyj.

Stanowiło to prawie połowę sił rozciągniętych w defenzywnym kordonie, przeciwstawionym p. Tuchaczewskiemu; stały więc te dywi-

zje tak daleko, że nie mogły podlegać w pierwszych dniach uderzenia p. Tuchaczewskiego jego działaniom i zdatne były, wbrew jego zdaniu, do rzucenia w kierunku najzupełniej swobodnie wybranym przez jego przeciwnika.

Jeszcze bardziej tyczy się to dalszych, głębszych odwodów.

Jeszcze głębiej na dalekich tyłach miałem dywizję 11-tą, która była w stanie reorganizacji, oraz formującą się t. zw. 7-mą brygadę rezerwową, złożoną z trzech pułków. W ten sposób mamy dla głębokiego odwodu, niedostępnego dla p. Tuchaczewskiego, już koło 5-ciu dywizyj, czyli siły prawie równe tym, które stały w kordonie.

Nie dość tego, przy rozplanowywaniu ofenzywy ukraińskiej nakazałem, zaczynając już od trzeciego dnia operacji ściągnąć do odwodu rozporządzalnego dla mnie, 4-tą dywizję w Korosteniu, a od 4-go dnia operacji 15-tą w Koziatynie i Berdyczowie. Co się zaś tyczy jeszcze jednej dywizji, którą chciałem mieć gotową do wyprawienia na miejsce spodziewanego przeciwuderzenia, mianowicie 5-ej, czyniłem to zależnem od stopnia reorganizacji dyw. 18-ej, która w pierwszych dniach operacji była wycofana do odwodu, gdyż reorganizacja dla niej była konieczną. Mianowicie zarówno 11-a jak i 18-a dywizje były zapełnione staremi rocznikami, z których czy to we Francji, czy to we Włoszech z jeńców były sformowane. Odbijało się to tak fatalnie na stanie moralnym tych obu dywizyj, że bez reorganizacji niezdatne były do boju. Zaznaczam, że istotnie dla sparowania majowej ofenzywy p. Tuchaczewskiego dywizje 4-a, 15-a i połowa 5-ej przybyły na czas.

Odwody więc, na które rachowałem, oczekując przeciwnatarcia, obliczałem przy wyjściu na ofenzywę na Ukrainie w sumie na 8 dywizyj. Z nich dwie mogły być użyte do wzmocnienia zagrożonego frontu i dla prób zatrzymania nieprzyjaciela, sześciu lub pięciu można było użyć dla sformowania grupy uderzeniowej w którymkolwiek miejscu lub kierunku.

Nie wydaje mi się więc słuszną ocena naszego strategicznego rozkładu przez p. Tuchaczewskiego. Skłonny jestem przypuszczać, że ta fałszywa ocena wypływała z względnie wąskiego pola obserwacji p. Tuchaczewskiego, który pozostawiał wnioski z całości frontu polsko-sowieckiego swemu przełożonemu głównodowodzącemu. Usprawiedliwienie to w oczach moich jest jednak niedostateczne, gdyż sam p. Tuchaczewski pisze, że główna rola w wojnie z Polską według pla-

nu głównodowodzącego była dana jemu i wojskom przez niego dowodzonym. A w tym wypadku obowiązkiem p. Tuchaczewskiego było szerzej ująć zarówno swoje zadanie, jak i obliczenia, które musiał robić. Majowa ofenzywa p. Tuchaczewskiego nie udała się i została całkowicie sparowana nie przez co innego, jak przez skoncentrowanie wszystkich, wymienionych przezemnie sił z głębokich odwodów, wprost sprzecznie z rozważaniem p. Tuchaczewskiego [1]).

Kwestja kordonu i linjowego rozkładu wojska zasługiwała, zdaniem mojem, na dłuższe jej rozpatrzenie — będziemy mieli z nią do czynienia i przy dalszych analizach operacyj 1920 roku. Byłem w ciągu ubiegłej wojny równie zasadniczym jej przeciwnikiem, jak p. Tuchaczewski. Szukałem zawsze rozstrzygnięcia wszelkich sytuacyj za pomocą manewru, jak niekiedy twierdzą, co i ja sam uznaję, bardzo śmiało skoncypowanego i wymagającego zarówno ze strony dowódcy jak i wojsk wielkiego natężenia sił moralnych, jak i fizycznych. Zdaniem mojem tem właśnie dwuletnią naszą wojnę doprowadziłem do szczęśliwego dla nas rezultatu. Nie chcę jednak twierdzić, że p. Tuchaczewski w obserwacjach swoich w stosunku do nas nie ma pewnej dozy słuszności, gdy swoje plany i przypuszczenia nieledwie opierał na skłonności naszej do kordonów i linij. Sprawa polegała na tem, że wszyscy, nie wyłączając i mnie, dowódcy polscy, przystępując do wojny z Sowietami, byli pod wrażeniem i wpływem długotrwałej wojny okopowej, będącej stwierdzeniem zwycięstwa strategji linjowej nad przestarzałą, zdawało się, strategją żywego ruchu i manewru. Gdy się przejrzy mnóstwo rozkazów operacyjnych, wydanych przez naszych dowódców w przeciągu roku 1919, a zapewne i 1920, znajdziemy, że rozkazy te aż pstrzą się od linij rzek, rzeczółek, jezior i nawet strumieni, jako podstaw myślenia strategicznego. Nieraz przy przeglądaniu raportów przedkładanych mi, przy odczytywaniu kopij różnych rozkazów, wreszcie przy rozmowach, które miewałem z moimi podwładnymi o sytuacji, przypominały mi się wesołe anegdoty z czasów, gdym dowodził brygadą legjonową. Śmieliśmy się bowiem czę-

[1]) Dziwnym zbiegiem okoliczności krytyka p. Tuchaczewskiego naszego rozkładu strategicznego zbiega się prawie zupełnie z wielu mało głębokiemi, ale za to bardzo publicystycznemi wywodami krytycznemi w stosunku do mego dowodzenia polskich zoilów strategicznych, którzy nigdy niczem nie dowodzili, albo tych, co dowodzili, ale marnie. Uwaga ta nieraz nasuwała mi się przy czytaniu dziełka p. Tuchaczewskiego.

sto wówczas, przesiadując w okopach, z różnych strachów i trwóg naszych sąsiadów Austrjaków z powodu stu czy dwustumetrowych luk, których leniwy legjonista nie zechciał fortyfikować.

Wiem też dobrze, że takie same strachy i trwogi opanowywały wielu z naszych dowódców, gdy nie byli pewni, że na jakimkolwiek kierunku, chociażby najmniej prawdopodobnym, nieprzyjaciel nie spotka jakiegokolwiek oporu, chociażby najmniejszego.

Z tego powodu mapy detalicznych rozkładów wojska wyglądały zawsze nadzwyczajnie uposażone w różne „zastawy", „wachy" rozciągające niechybnie wojsko w liche kordony. Gdy się zaś weźmie olbrzymią przestrzeń tysiąca kilometrów frontu i zestawi z ilością wojska, które na tej przestrzeni postawić było można, łatwo zrozumieć ile luk już nie sto i dwieście-metrowych lecz znacznie większych, budzić musiało trwogę i przekonanie o swej bezsilności wśród dowódców, nie mogących od pojęć linjowych się oderwać. Stąd też w raportach najczęstszem słowem zwróconem do mnie, jako do naczelnego wodza, było żądanie pomocy dla usunięcia trwóg i strachu. Stąd też ciągłe namawianie, które miałem w ciągu wojny: „faites une ligne forte!", jako wynik najbardziej technicznego i najbardziej doświadczonego konsyljarza wojny.

Te przyzwyczajenia myślowe, te trwogi nie mogły się nie odbijać, jestem tego pewien, i na rozkładzie szczegółowym wojsk, które obserwował p. Tuchaczewski. Powtarzam jednak, że gdy zechciał w końcu kwietnia opierać swój plan postępowania na takiej właśnie kordonowej chorobie, popełnił błąd, który się zemścił na nim w tym wypadku niepowodzeniem szeroko pomyślanej ofenzywy. Do analizy tej właśnie ofenzywy przechodzę teraz.

III.

Nad operacją ofenzywną w maju, jak już powiedziałem, p. Tuchaczewski zatrzymuje się bardzo niedługo. Daje on tylko najogólniejszy jej zarys, usuwając się od wszelkich szczegółów, tak jak gdyby nie miały wielkiego znaczenia. Przeczy jednak temu sam, gdy mówi, że plan jej przewidywał przebicie się przez „wrota smoleńskie", rozbicie lewego skrzydła armji polskiej i wciśnięcie reszty jej sił w błota pińskie. Plan więc daleko wytknięty, oznaczający zupełne rozbicie i usunięcie z dalszej gry całego naszego frontu prawie do Prypeci. Operacja zatem niemałego znaczenia.

W historji naszej wojny istotnie operacja ta odegrała swą wybitną rolę. Przedewszystkiem więc przeniosła ona dużą część naszych polskich sił (do czterech dywizyj) na front północny, co z natury rzeczy odbiło się na całym dalszym przebiegu wojny. Następnie, będąc jakgdyby przygrywką do wielkiej lipcowej ofenzywy Sowietów, dała ona dużo nauki i doświadczenia dla wojsk obu stron, a przykro mi zaznaczyć, że doświadczenia znacznie umiejętniej były wykorzystane przez naszych przeciwników, niż przez nas. Wreszcie miała ona w stosunku do naszego przeciwnika wpływ ten, iż zużyła zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym znaczną część jego sił, tak, iż łatwo będzie nam dostrzec to przy analizie specjalnie pierwszego okresu lipcowej ofenzywy. Dlatego też chciałbym się zatrzymać nieco nad naturalnem pytaniem, które sobie nieraz zadawałem podczas wojny, jak i po niej — z jakiej właściwie racji robiono tę pierwszą, jakgdyby próbną ofenzywę. Pytanie to tembardziej jest naturalnem, gdy wiemy, że rozpoczęta ona została bez zakończenia nakazanej koncentracji tak, iż zgodnie z wykazanem przezemnie obliczeniem, brako-

wało więcej niż trzeciej części sił, przeznaczonych dla głównej operacji wojennej.

Pamiętam dobrze tę chwilę, gdym otrzymał pierwsze wiadomości o spodziewanym przezemnie kontrataku na północy. Depesze o tem otrzymałem w Żytomierzu na wyjezdnem do Warszawy; była to rzecz dla mnie, jak już mówiłem, prawie że obliczona z góry. Więcej, na jaki tydzień przedtem wezwałem do Kalenkowicz generała Szeptyckiego, i tam rozmówiłem się z nim co do planowanego przezemnie rozszerzenia naszej pomyślnej na południu ofenzywy i na północ. Myślałem wtedy o uderzeniu z Polesia z jednej strony ku Rzeczycy (co w tym czasie istotnie było dokonywane) oraz w kierunku Żłobina i Mohilowa. Sądziłem, iż mając już na południu w odwodzie 4. dywizję i znaczną przewagę sił na Polesiu (9., 16., 14. dyw.), mogę spróbować zlikwidowania rozpoczynających się koncentracyj w kierunku, który jest nazwany przez p. Tuchaczewskiego ihumeńskim, a na który zwracał mi uwagę gen. Szeptycki. Na południowym froncie miałem wtedy zacisze, gdyż obie armje sowieckie, które tam operowały, były silnie przez nas rozbite, a zbliżającą się ku nam konnicę Budiennego, wyznaję otwarcie, negliżowałem.

Wobec tego, gdy na dworcu kolejowym żytomierskim szef mego Sztabu gen. Haller przyniósł mi do wagonu świeżo nadeszłe depesze, puściłem odrazu w ruch to, com przygotowywał w myśli zawczasu. Kazałem mianowicie zadepeszować zaraz do gen. Szeptyckiego, by objął na razie dowództwo i nad 1-szą armją, oddałem w jego rozporządzenie stojącą w Lidzie 17-tą dywizję i kazałem przystąpić natychmiast do transportowania naprzód 4-ej dywizji z Korostenia, a potem 15-ej z Chwastowa. Miałem zamiar, który mi się tylko kręcił po głowie, przystąpić odrazu do kontrataku na obu skrzydłach: od Polesia i od najbardziej północnego skrzydła. Sam fakt natarcia p. Tuchaczewskiego nie wywołał we mnie ani przez jedną chwilkę niepokoju. Cofanie się bowiem 1-ej armji z pod Głębokiego, co mi anonsowały przeczytane depesze, nie było dla mnie niczem wielkiem, gdyż z żalem to wyznaję, do Orzechownej nie przywiązywałem żadnej wagi, a wrót ani smoleńskich, ani żadnych innych tam nie dostrzegałem.

Po przyjeździe do Warszawy znalazłem nowe depesze, brzmiące bardziej trwożnie, depesze gen. Szeptyckiego, który sądził, że sytuacja jest bardzo poważna i wołał o możliwie wydatną pomoc. Byłem już bardzo przyzwyczajony do tego rodzaju depesz, jednak, cze-

go obecnie żałuję, skurczyłem znacznie rozmiar mego kontr-uderzenia. Mianowicie wyrzekłem się głębszego kontrataku od Polesia i wobec trwóg gen. Szeptyckiego zdecydowałem obu przybywającemi z południa dywizjami wzmocnić przedewszystkiem Mińsk, który, zdaniem gen. Szeptyckiego, był przedewszystkiem zagrożony od Ihumenia. Kontratak w takim razie mógł być prowadzony jedynie po zachodnim brzegu Berezyny, nie po wschodnim, jak to zamierzałem poprzednio.

Wyznaję otwarcie, że wtedy przy czytaniu depesz nie widziałem żadnego powodu, aby być niespokojnym i specjalnie natarcie głównych sił p. Tuchaczewskiego, prowadzone w kierunku Mołodeczna, najmniej mnie trwożyło. Wyczekiwałem nawet parę dni dla wyznaczenia miejsca koncentracji wojsk do kontruderzenia w kierunku wschodnim. Nie mogłem wtedy sobie określić, o co właściwie nieprzyjacielowi chodzi i wobec tego nie byłem pewien, czy koncentracja koło Święcian jest dostatecznie bezpieczną i możliwą. Coprawda gen. Szeptycki nie ułatwił mi zadania, gdyż w jego depeszach, jak to już zaznaczyłem, bardzo dużo miejsca zajmowały drobne wypadki koło Ihumenia, które — wydawało się — trwożyły go znacznie więcej niż cokolwiek innego; lecz i te dane, które mi dawało wojsko, walczące z głównemi siłami p. Tuchaczewskiego, brzmiały jak dla mnie bardzo uspakajająco. Wydawało mi się z tych danych, że po pierwszem względnie silnem uderzeniu siła natarcia znacznie zmalała i jak gdyby się rozproszyła w próbach, skierowanych w najrozmaitszych kierunkach. System pracy p .Tuchaczewskiego w owe czasy tłómaczyłem sobie w sposób następujący: albo — sądziłem — wszystkie te natarcia mają tylko lokalny charakter, bez głębszego znaczenia, albo też po pierwszem powodzeniu nieprzyjaciel się orjentuje, wybierając drogi dalszego postępowania. Działania więc p. Tuchaczewskiego w tym czasie były tak nieokreślone, że właściwego ich celu wyrozumieć nie byłem w stanie. Z raportów zaś swoich podwładnych nie mogłem go wyjaśnić dostatecznie i przyznaję się, że po przybyciu do Warszawy wahałem się parę dobrych dni przed decyzją.

Albowiem jeśli nieprzyjaciel, jak w jednej z hipotez swoich oceniałem, miał zamiar lokalnemi natarciami na Ihumeń i Głębokie, zmusić mnie do zajęcia się bardziej północą niż południem, szedłbym mu zbytnio na rękę, robiąc większemi siłami kontrofensywę o lokalnem jedynie znaczeniu. Uderzałbym w ten sposób jakgdyby w próżnię. Żałowałem więc wtedy, żem się dał — że tak powiem — sprowoko-

wać gen. Szeptyckiemu przez strachy ihumeńskie i zwęził zanadto wytknięte sobie poprzednio cele kontruderzenia. Odwrotnie zaś, gdyby nieprzyjaciel zachowywał się, jak mi się zdawało według drugiej hypotezy, wyczekująco, badając jedynie sytuację i szukając za pomocą wstępnych bojów dróg i środków dla dalszego rozwoju swych działań, bałem się wyrzucić przedwcześnie odwody dla działania z dwóch punktów wyjścia, gdyż przy trwodze i niepokoju, jakie odczuwałem w raportach mi składanych, nastąpićby musiało rozdrobnienie uderzenia po ich przybyciu. Gen. Szeptycki już w ten sposób zaczął postępować. Już szósta dywizja, którą miał w odwodzie, zużyła się w części w bojach pod Ihumeniem, w części zaś odbywała podróże na skrajne lewe skrzydło całego rozkładu strategicznego.

Wreszcie zdecydowałem sformować osobną armję koło Święcian tak, by mogła być użyta niezależnie od lokalnych trwóg i niepokojów. Koncentracja odbywać się musiała pod przykryciem 8-ej dywizji, która się cofnęła z pod Połocka. Do tej armji, tak zwanej rezerwowej, przeznaczyłem wszystkie części wojska, ściągnięte z głębokich odwodów. Od Mińska zaś kazałem uderzyć siłami, przybywającemi z południa. Jako cel zaś wytknąłem jedynie lokalne zlikwidowanie natarcia, idącego w kierunku na Mołodeczno tak, abym po skończeniu tej lokalnej operacji mógł całą dotychczasową pierwszą armję, minimalnie zaś trzy dywizje wyciągnąć do odwodu, i w ten sposób mieć zupełną swobodę dla dalszych działań w jakimkolwiek kierunku.

Z tego mego wyjaśnienia widocznem jest, że w działaniach nieprzyjaciela było coś takiego, iż jasne zrozumienie jego pracy wojennej było dla nas dosyć trudnem. Nieporozumienia takie w historji wojen są częste, gdyż wojna jest działaniem w niebezpieczeństwie i niepewności, jak mówi stary Clausewitz.

Jednak w omawianej przezemnie operacji były — jak mnie się zdawało — zawsze cechy, czyniące z niej ową komedję pomyłek, o której poprzednio mówiłem. Nawet po skończonej operacji, gdym zebrał wszystkie wrażenia, pozostało mi w niej coś niewytłómaczonego, coś z tego, co mi wciąż mówiło, że nieprzyjaciel sam dobrze nie wiedział co robi. I gdym po zakończonej wojnie rozważając ten jej epizod starał się wytłómaczyć działanie p. Tuchaczewskiego, stawiałem zawsze hipotezę, że jedyną przyczyną tej — jak ją nazywałem — próbnej ofenzywy była chęć wyrównania szans wojny przez usunięcie za wszelką cechę efektu moralnego, wywartego przez gwałtowną

i z powodzeniem przeprowadzoną ofenzywę naszą na Ukrainie. Dlatego też z ogromną ciekawością szukałem u p. Tuchaczewskiego jak również u p. Sergiejewa wyjaśnienia tej zagadki.

Niestety obaj panowie bardzo silnie się różnią w tej sprawie. P. Sergiejew jest bardzo bliskim mojej hipotezy i daje dosłownie następujące wytłómaczenie: „Inicjatywa była w rękach Polaków. Szeroko rozwinięty ruch armji polskiej na południowo-zachodnim froncie, wzięcie Kijowa i owładnięcie przeprawą przez Dniepr, zastały nasze wojska zachodniego frontu w stanie niegotowości do przejścia do natarcia — były one niedostatecznie jeszcze uzupełnione, źle wyekwipowane, prawie bez taborów i niedostatecznie liczne. Lecz koniecznem było odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie i odciągnąć uwagę Polaków od południowo-zachodniego frontu. Kwestja więc natarcia z naszej strony na froncie zachodnim była stanowczo zdecydowana w sztabie gławkoma. Kierunek uderzenia nie odrazu został wyjaśniony. W centrum narazie zamierzano uderzyć wzdłuż północnej części Polesia od Mozyrza na Brześć Litewski" [1]).

P. Tuchaczewski zaś, jak to widać na str. 13 stwierdza, że główną przyczyną przejścia od defenzywy do ofenzywy było wrażenie, że Polacy sami są w przededniu przejścia do natarcia. Nie chcąc więc pozwolić nieprzyjacielowi wciągnąć zasadnicze ugrupowanie do działań narzuconych, postanowiono przejść do natarcia w dniu 14. maja.

Wobec tych tak sprzecznie brzmiących motywów nie uważam dla siebie za możliwe rozstrzygnąć historycznie, jak w istocie rzecz się miała. Skłonny jednak jestem do przypuszczenia, że p. Sergiejew ma więcej słuszności, niż p. Tuchaczewski.

Ale niechybnie p. Tuchaczewski, zgodnie ze swym temperamentem wodza, rozszerzył znacznie zadanie wyznaczonej mu operacji, gdy przechodząc do ofenzywy wytknął sobie cel, sięgający równie daleko, jak to uczynił potem przy głównej operacji, gdy był znacznie silniejszy pod względem liczby i pod względem wyekwipowania technicznego. Przyznaje się do tego otwarcie sam p. Tuchaczewski. Pomimo niedostatecznych sił nie chciał małych celów, sięgał po największe. Szukał decydujących uderzeń, chcąc widzieć w napływających podczas operacji wojskach — odwody. Czytelnik pewnie przypomi-

[1]) E. N. Sergiejew. Od Dźwiny do Wisły str. 5.

na sobie śmiałe plany p. Tuchaczewskiego rozgromienia naszego lewego skrzydła i rzucenia reszty sił na pińskie błota.

Przy tak zakreślonej ofenzywie dziwnem wydać się musi, że same działania wojsk sowieckich ani przez jedną chwilę nie były zrozumiane z naszej strony w ten właśnie sposób. W żadnym raporcie obu dowódców armij, którzy z naszej strony walczyli z p. Tuchaczewskim, niema ani śladu tłómaczenia działań wojsk sowieckich na modłę, przedstawioną przez p. Tuchaczewskiego. O moich wahaniach i o moich hypotezach, opartych na obserwacji pracy wojennej mego przeciwnika, mówiłem wyżej. Skądżeż więc znowu to dziwaczne nieporozumienie, skądżeż znowu ta komedja pomyłek?

P. Tuchaczewski w swojem przedstawieniu rzeczy tak jest skąpym w podawaniu faktów i danych ze swojej operacji majowej, że z trudem daje się rekonstruować historję działań wojsk mu podwładnych. Znacznie bogatszym w szczegóły, znacznie bardziej ścisłym jest p. Sergiejew, który w swojej książce poświęca parę długich rozdziałów analizie wypadków podczas tej operacji i w anneksach przytacza in extenso swój referat z dnia 12. czerwca, streszczający doświadczenie, jakiego nabył podczas nieudanej ofenzywy majowej.

Czytelnik przypomina sobie pewnie zasadnicze rysy manewru, którego chciał dokonać p. Tuchaczewski: przełamanie „wrót smoleńskich" w Orzechowej i zachodzenie główną masą wojsk prawem ramieniem o 90° dla zmiany kierunku z zachodniego na południowo-zachodni. Manewr ten z natury rzeczy zabiera dużo czasu, gdyż zachodzące dla zmiany kierunku prawe skrzydło ma do przejścia względnie duży łuk, gdy lewe musi stać lub poruszać się drobnym krokiem, czekając na równanie linji wojsk, mających razem operować w nowym kierunku. Naturalnem też jest, że im więcej wojsk taki manewr czyni, tem więcej zabrać to musi czasu. Manewr ten ma i inne niedogodności. Dając czas w ręce przeciwnika, naraża on zarazem zachodzące swe skrzydło — tym razem prawe — na możliwości uderzenia go z flanki, przez chwycenie, że użyję tu zwykłego wyrażenia, in flagranti manewrującego jeszcze nieprzyjaciela. Dlategoteż koniecznem jest osłanianie tego manewru osobno wydzielonemi dla tego celu siłami. Oto, co pisze p. Sergiejew w tej sprawie: „wypadło nam na zabezpieczenie skrzydła wydać około jednej trze-

ciej wszystkich sił przeznaczonych do operacji. Ale siły okazały się daleko niewystarczające dla sparowania kontrataku Polaków" [1].

Żeby dać czytelnikowi pojęcie o czasie wypełnienia przez wojska manewru p. Tuchaczewskiego, wskażę daty na podstawie pracy p. Sergiejewa. Natarcie rozpoczęło się 14. maja rano, a dopiero od rana 18. maja, więc w cztery długie dni potem, rozpoczęło się ugrupowanie, odpowiadające zamiarowi p. Tuchaczewskiego. Mianowicie, dopiero wtedy 6-ta sowiecka dywizja, będąca na skrajnem prawem skrzydle, została ściągnięta z dotychczasowego kierunku i postawiona jako odwód dla dalszych operacyj za prawem skrzydłem tej części armji, która już miała operować w zmienionym o 90° kierunku. I dopiero od 19-go rano 53. dywizja otrzymuje rozkaz ochrony zagrożonej od zachodu flanki. Cztery więc, może pięć dni wygranych zostało przezemnie nie z przyczyny działań naszych wojsk, lecz jedynie przez skomplikowany manewr, zarządzony przez p. Tuchaczewskiego, który nie mógł wyzyskiwać tego czasu dla pościgu cofającej się naszej 1. armji. Był to akurat ten czas, gdym wróciwszy z Żytomierza do Warszawy wahał się, nie mogąc zrozumieć działań mego przeciwnika. A przez ten czas odwody moje czy to z głębokich tyłów, czy to z Ukrainy, jechały w dziesiątkach pociągów, zbliżając się bardzo efektywnie do miejsc zbiórki dla decydującego się jeszcze kontrataku.

Przy analizie początków operacji w większym stylu — operacji lipcowej, będę miał sposobność powrócić raz jeszcze do tej upartej myśli p. Tuchaczewskiego i mam nadzieję udowodnić wtedy prawdziwość moich słów, że geografja i geometrja zawiera dużo zasadzek dla wodzów. Tu ograniczę się tylko stwierdzeniem, że nasz kontratak wygrał na czasie i sile z powodu manewru, z którego p. Tuchaczewski wydaje się być dumnym. Nie mogłem czytać bez pewnego uśmiechu ustępu, pomieszczonego na str. 15: „Nasza ofenzywa zaczęła rozwijać się szybko i gwałtownie. Armja 15-ta bez trudności wykonała zwrot we wrotach smoleńskich". Dziwna sprzeczność zawarta jest w tym frazesie: „szybkość", gdy się traci kilka dni czasu, oddając go przeciwnikowi, „gwałtowność", gdy duża część armji depcze drobnym kroczkiem nieudeptaną ziemię czekając na wyrównanie zachodzącego skrzydła, które jedynie jest w ruchu, ale bez kontaktu z nieprzyjacielem, od którego w dodatku chronić się musi wydzie-

[1] E. N. Sergiejew, l. c. str. 14.

laniem coraz większych sił od głównej operacji. Ten węzeł myślowy smoleńskich wrót w Orzechownej, ten geometrycznie zarysowany manewr, jakże głęboko świadczy o abstrakcyjnej podstawie myślenia strategicznego mego szanownego przeciwnika z 1920 r.! Nie chcę przez to powiedzieć, że dzięki temu operacja majowa p. Tuchaczewskiego została względnie łatwo rozbita i zniweczona, lecz niechybnie zostały w ten sposób stworzone warunki, ułatwiające znakomicie sparowanie zamiarów p. Tuchaczewskiego, sięgających tak daleko. Głównym bowiem błędem, który prawie z góry skazywał p. Tuchaczewskiego na niepowodzenie w jego wielkich planach, był błąd w rachunku sił własnych i przeciwnika, rachunku, zrobionym bez drugiego gospodarza wojny, którym zawsze jest wódz partji przeciwnej. Liczono na znalezienie u nas kordonu i linjowego rozkładu wojsk w czystej postaci, a cały zamiar i plan rozbił się i w niwecz został obrócony przez głębokie i przygotowane przezemnie odwody, nietknięte wcale przez wstępne działanie p. Tuchaczewskiego. Dlatego też z całą stanowczością zaprzeczam prawu do dumy p. Tuchaczewskiego, gdy mówi: „Powodzenie było tak decydujące i tak niespodziewane dla Polaków, że ich naczelne dowództwo dało dowód zupełnej chwiejności i rozpoczęło przerzucanie sił z południowo - zachodniego frontu na zachodni" (str. 15). Z poprzedniego ściśle historycznego mego przedstawienia rzeczy widocznem jest, że p. Tuchaczewski do tej kwaśnej zresztą pociechy po nieudanej operacji niema żadnego prawa.

Takie same mniej więcej nieporozumienie znajduję przy analizie zakończenia w początkach czerwca naszej kontrakcji przeciw wojskom sowieckim. P. Tuchaczewski, przerażony możliwością ponownej utraty ukochanych smoleńskich wrót, zmuszony do cofania się zewsząd, organizował w końcu obronę tej ziemi wybranej. I znowu podnosi wielkie zasługi swojej 18. dywizji, która niedaleko od Hermanowicz broniła 7. czerwca dostępu do Orzechownej.

W boju tym dywizja straciła zgodnie ze świadectwem p. Sergiejewa do 70% swego stanu i zmuszona była do cofnięcia się. Lecz za to, pisze p. Tuchaczewski, przeciwnik stracił zdolność do dalszych decydujących działań i wypieszczona w marzeniach Orzechowna została w rękach p. Tuchaczewskiego. Było to, dodaje p. Tuchaczewski, momentem przełomowym w operacji. Tymczasem historycznie z naszej strony nic podobnego nie było. Więc przedewszystkiem, nie potrzebuję chyba jeszcze raz stwierdzać, że w całej operacji ani razu

przez myśl mi nie przeszło zazdrościć p. Tuchaczewskiemu posiadania w Orzechownej wielkich historycznych wrót, zwanych smoleńskiemi. Nie o nie walczyłem. Głównym celem było jedynie zamknięcie wrót całkiem innych. Szło mi bowiem o zetknięcie dwóch skrzydeł mego kontrataku od południa i od zachodu z wielkiego obszaru błotnego przy źródłach Berezyny i Wilji. W ten bowiem sposób odcinało się wszystkie drogi odwrotu dla zaawanturowanych aż pod Mołodeczno głównych sił p. Tuchaczewskiego, a w dodatku cała szarpnięta w swej sile nasza armja 1-a mechanicznie wychodziła do odwodu. Plan ten udał mi się tylko w części, gdyż szybkość uderzeń obu kontratakujących grup była w ciągu całej operacji zanadto nierównomierna. Gen. Sosnkowski ze swą armją rezerwową, idąc od Święcian i Postaw, uderzył szybko decydująco. Odwrotnie grupa południowa, idąca od Mińska równolegle z biegiem Berezyny, szła znacznie wolniej i metodyczniej.

Przewidując to z góry, wyznaczyłem dla południowej grupy rozpoczęcie natarcia o cały dzień wcześniej, jednak 1-a armja, gdy nieprzyjaciel się zawahał, przeszła z pod Mołodeczna do kontrataku frontowego i w pościgu frontowym doszła do błot Berezyny znacznie wcześniej, nim drogi te od południa zostały osiągnięte przez południową grupę. Z tego też powodu części tej armji zostały wciągnięte do ogólnej linji frontu, zmniejszając w ten sposób rozporządzalny dla mnie odwód.

Z chwilą dojścia do tych błot kazałem zatrzymać operację, nie będąc wcale do tego zmuszonym przez nieprzyjaciela. Przy wyborze zaś ogólnej linji frontu kierowałem się głównie dwoma motywami, które akurat były sprzeczne z jakąkolwiek chęcią konkurencji o smoleńskie wrota.

Po pierwsze szukałem włączenia do frontu możliwie wielkiej ilości błotnych przestrzeni, oszczędzających mi żywą siłę wojska przy ochronie przedniej linji i ułatwiających zwiększenie odwodów. Po drugie zaś chciałem mieć jaknajmniej pracy przy ochronie lewego skrzydła, ochronie, która musiała być rozciągnięta wzdłuż Dźwiny. Ten ostatni wzgląd uznałem za ważniejszy niż również poważny wzgląd na bliską obserwację węzła kolejowego w Połocku. To też po wysłuchaniu w tej sprawie opinji obu dowodzących, p. gen. Sosnkowskiego i p. gen. Szeptyckiego, opinji jak zawsze w takich wypadkach rozbieżnych, bo kierowanych przez wrażenia i interesy lokalne, dałem swoją decyzję i zatrzymałem wszelki dalszy pościg.

Przytaczam tu fakt historyczny nie dlatego, bym ujmę miał czynić sądowi p. Tuchaczewskiego, że zatrzymanie naszego uderzenia przypisać należy działaniom jego i jego wojska. Sądy bowiem takie są naturalne i są zwykłym zjawiskiem w historjach wojen, a już specjalnie prawie bez pudła znaleźć je można w raportach dowódców, którzy po przegranej mogą się zatrzymać, nie mając na sobie dalszego nacisku nieprzyjaciela. Jest to jednak choć drobna lecz charakterystyczna ilustracja tych trudności, jakie istnieją dla każdego dowódcy przy próbach określenia sytuacji i zamiarów przeciwnika.

Wnioski p. Tuchaczewskiego z majowej operacji streszczają się w trzech punktach: jeden tyczy się moralnej strony wojska, która jakoby znacznie się podniosła; drugi punkt mówi o zmniejszeniu się sił naszych na południowo-zachodnim froncie, co ulżyło tam sytuacji przeciwnika; wreszcie trzeci punkt, który p. Tuchaczewski uważa za najważniejszy, to zajęcie ukochanych smoleńskich wrót. Pomijając punkt ostatni, co do którego będę miał możność jeszcze wypowiedzieć się w analizie operacji lipcowej, zatrzymam się nieco na pierwszych dwóch punktach, przeciwstawiając ocenie sytuacji p. Tuchaczewskiego ówczesną ocenę moją.

Zadowolenie p. Tuchaczewskiego z poprawy moralnej podwładnych mu wojsk jest związane z jego oceną stanu moralnego tych dywizyj, które walczyły z nami przed przybyciem p. Tuchaczewskiego, w ciągu 1919 r. Mówi on, że wojska te nie wywołały w nim w stosunku do siebie wielkiego zaufania, gdyż z powodu niepowodzeń wojennych odznaczały się one pewnym strachem i przekonaniem o swojej niższości w porównaniu z wojskiem polskiem. Wyznaję, że niebardzo rozumiem, na jakiej podstawie wyraźne niepowodzenie operacji majowej wpłynąć mogło na rzekome podwyższenie stanu moralnego. Wątpię bowiem, aby w szeregach czerwonej armji rozmiłownie wrót smoleńskich było tak powszechnie zrozumiane, że nieszczęsna Orzechowna mogła zasłonić zarówno straty, które wojsko poniosło, jak i wrażenie z przegranej. To też p. Sergiejew, który jest bardziej ścisłym obserwatorem wojska, pisze o tem inaczej. Według niego w 53. dywizji zostało po operacji 1500 bagnetów, w 12-ej — 1200, w 18-ej — 2000 wtedy, gdy weszły one do operacji: 53-a z 3157, dla 12-ej nie mam danych, 18-a z 5000 bagnetów. Odpowiednio do tego p. Sergiejew stwierdza, że „53-a i 12-a dywizja były o tyle wstrząśnięte ciężkiemi bojami, że kilka razy odskakiwały

wstecz prawie w panice pod najsłabszym naciskiem nieprzyjaciela... Obniżenie ducha bojowego dawało się spostrzegać także i w 18-ej dywizji" [1]). Dodaje on potem, że przy organizacji wojska do nowej operacji p. Tuchaczewski nakazał najlepsze dywizje z tych, co brały udział w operacji majowej, zostawić w armji 15-ej, „oddając słabe liczebnie i wstrząśnięte moralnie dywizje (53., 12., 6., 56.) do sąsiednich nowoformujących się armij" [2]).

Świadectwo to oświetla moralną wygraną, o której pisze p. Tuchaczewski w całkiem innem świetle. Znajdujemy odbicie tego stanu w początkach operacji głównej w lipcu tegoż roku. Wyznaję, że pod tym względem wolę przełożyć aktywa na rachunek polski twierdząc, że majowa ofenzywa p. Tuchaczewskiego, przedsięwzięta przed zakończeniem koncentracji ze zbyt daleko wytkniętemi dla zebranych sił celami, dała w rezultacie zużycie sił fizycznych i moralnych wojsk, które w tej operacji brały udział. Co do drugiego punktu, to zdaniem mojem p. Tuchaczewski w swoim wniosku postawił sprawę zbyt wąsko, gdy mówi o wpływie operacji majowej na ogólny rozkład strategiczny naszej armji. Operacja ta miała głębsze znaczenie. Co się tyczy zmniejszenia wojsk naszych na froncie na południe od Prypeci, to było ono nieznaczne, gdyż jeśli przyjechały stamtąd dwie i pół dywizje (4-a, 15-a i połowa 5-ej — ta ostatnia przybyła na samo zakończenie naszej kontrofenzywy), to prawie natychmiast odjechały na tamten front 3. dywizja legjonowa i trzy pułki rezerwowe świeżo sformowane, tak, że zmniejszenie wyraziło się zaledwie w jednej niespełna dywizji. Znacznie większe znaczenie miało wprowadzenie wszystkich głębszych odwodów do linji i zatrzymanie przez generała Szeptyckiego potem wszystkich wyciągniętych do odwodu części wojsk w odległości zaledwie od kilkunastu do trzydziestu kilometrów za frontem. Wojsko w ten sposób otrzymywało formę owego kordonu, na którym się bazował i na którego słabe strony tak rachował w swoich obliczeniach p. Tuchaczewski.

Nie chcę w ten sposób usuwać ze swoich bark odpowiedzialności na moich podwładnych i szukać historycznego usprawiedliwienia siebie za pomocą wytykania ich błędów. Staram się jedynie być możli-

---

[1]) E. N. Sergiejew, l. c. str. 25.
[2]) E. N. Sergiejew, l. c. str. 32.

wie ścisłym historycznie. Będąc zasadniczym przeciwnikiem rozkładu linjowego wojsk ze zdrewniałą, trudno zdatną do manewru formą ich użycia, byłbym niechybnie zmusił do innej metody pracy, gdybym nie miał na swem sumieniu zasadniczego błędu w ocenie sytuacji podczas pierwszej połowy kampanji naszej w 1920 roku. Do tej mojej oceny ówczesnej przechodzę.

Jeżeli, jak już pisałem poprzednio, przy wyjeździe z Żytomierza, gdy p. Tuchaczewski rozpoczynał swoją majową ofenzywę, byłem zupełnie spokojny o stan rzeczy na południu, to przez czas mojej pracy na północy sytuacja zaczęła się tam zmieniać na naszą niekorzyść. Miałem podczas wyjazdu w połowie maja przed sobą na tamtym froncie dwie sowieckie armje: 12. i 14. Pierwsza z nich rozbita przezemnie była podczas ofenzywy do tego stopnia, że już do końca wojny nie mogła dojść do takiej moralnej wartości, aby stać się dla nas niebezpieczną. W każdym zaś razie, co w owym czasie wciągałem sobie do rachunku, musiało przejść sporo czasu, nim bez przypływu nowych i świeżych sił stałaby się zdatną do walki z nami z widokami na jakiekolwiek powodzenie. Druga z nich, 14-a armja, mniej rozbita, była tak słaba liczebnie, że utrzymywała ją w szachu jedna tylko nasza dywizja (12-a). Zbliżała się coprawda do nas jazda Budiennego. O zbliżaniu się jej miałem względnie ścisłe i dokładne wiadomości. Szła ona długim marszem, gdzieś z pod Rostowa nad Donem, w składzie czterech dywizyj, co do których stanu liczebnego wszystkie dane zdawały mi się mocno przesadzone. Jak już zaznaczyłem, znaczenie tego nowego nieprzyjaciela w owe czasy negliżowałem.

Jazda, jak wiadomo, w pojęciach nawet z przed 1914 roku, spadała coraz niżej w swem znaczeniu wojennem. Przeznaczono jej role pomocnicze jak wywiady lub ochrona skrzydeł, nie dając jej nigdy samodzielnych rozstrzygających zadań. Wraz z rozwojem siły ognia podczas olbrzymich zapasów wojennych w Europie rola jazdy spadła poprostu do zera. Konie oddawano artylerji, a kawalerzystów przekształcano pospiesznie na piechurów. Wydawało mi się więc wprost niemożliwem, aby jako tako uzbrojona piechota z dodatkiem karabinów maszynowych i artylerji nie dała sobie rady za pomocą ognia z jazdą. Miałem zresztą oryginalne wspomnienia, gdy w roku 1916 brygada moja legjonów, stojąca prawie izolowanie na froncie już przełamanym dokoła mnie, została zaatakowana przez liczną jazdę

rosyjską na polach pod Kostiuchnówką i Wołczeckiem. Prawie bez artylerji, bo strzelała tylko jedna baterja, w kilkanaście minut ogień piechoty i karabinów maszynowych zmiótł poprostu szarżę jazdy, która chciała przeszkodzić nam w spokojnem odejściu. Nie mogłem sobie wyobrazić w owe czasy, aby wypadki, których byłem świadkiem potem, mogły mieć miejsce. Z niedowierzaniem również przyglądałem się metodzie użycia jazdy nieledwie na sposób Nomadów, sposób, przypominający mocno starodawne czasy, tak znane naszym praojcom czasy najazdów tatarskich. Jazda, idąca — że tak powiem — bez zorganizowanych tyłów na dalekie przestrzenie, żywiąca ludzi i konie jedynie wyjadaniem jak szarańcza tego, co znajdzie na miejscu, ciągnąca za sobą zapasy amunicyjne na czas dłuższy, czego nie potrzebował wozić za sobą tatar uzbrojony w spisy i łuki, jazda taka, sformowana w samodzielną armję, wydawała się i wydaje mi się dotąd pewnym nonsensem strategicznym. Nie przypisywałem jej więc, powtarzam, wielkiego znaczenia i sukcesy jej na innych frontach sowieckich, o czem ogólnikowe miałem dane, przypisywałem raczej wewnętrznemu rozkładowi wojsk z nią walczących, niż istotnej wartości tego sposobu wojowania.

Nie widziałem też powodu do zmiany swego zdania i po pierwszych sukcesach jazdy Budiennego, które się zbiegły z końcem naszej kontrofenzywy przeciwko p. Tuchaczewskiemu. Nie widziałem bowiem nigdzie wojsk naszych rozbitych przez nią. Pierwsze próby przekroczenia naszych ogólnych linij na wschód od Koziatyna zostały odparte przez części naszej 13. dywizji. Nie dziwiłem się też wcale, gdy jazda Budiennego, że użyję niezupełnie odpowiadającego określenia, przerwała nasz front, co było rzeczą łatwą i znalazła się niegłęboko zresztą na naszych tyłach. Przypuszczałem, że uda się nam względnie łatwo, za pomocą wspólnego użycia piechoty i jazdy, rozbić choćby częściami jazdę Budiennego i zmusić ją do odwrotu. A wobec tego, że nie szło mi wcale o uparte trzymanie tej czy innej części zajętego terytorjum, byłem zdecydowany manewrować swobodnie, nie wiążąc się wcale trzymaniem jakiegoś punktu tego czy innego kawałka ziemi. Niepokoiłem się nieco gwałtowną paniką na tyłach, lecz nie spostrzegłem jeszcze żadnego większego wpływu, wpływu moralnego, na frontowych wojskach.

Dlatego też, gdym przy końcu naszej kontrofenzywy na północy oceniał sytuację i wyciągał z niej konkluzję dla swych decyzyj, prze-

chodząc zbyt lekko nad działaniem jazdy Budiennego, postanowiłem, nie szukając w tej chwili decyzji na froncie północnym, postarać się skończyć możliwie szybko z jazdą Budiennego i przerzucić potem więcej sił na północ, by przejść do ostatecznej ofenzywy tam, gdzie się zbierały największe siły nieprzyjaciela. Nie licząc zaś na szybkie w najbliższym miesiącu zorganizowanie się nieprzyjaciela na północy, gdzie świeżo poniósł porażkę, sądziłem, że nie reorganizując swego frontu północnego, zdążę na czas z dodaniem nowych sił, by rozpocząć decydującą operację. Rzuciłem więc na południe jedną z lepszych naszych dywizyj — trzecią, która wyszła do odwodu i pozostawiłem generałowi Szeptyckiemu urządzenie narazie frontu, który mi się wydawał w owe czasy tylko tymczasowym.

IV.

Po zatrzymaniu przezemnie kontrofenzywy na północy, p. Tuchaczewski przystąpił do przygotowań dla nowego, silniejszego uderzenia. Rozdział, traktujący o tem przygotowaniu, napisany jest przez p. Tuchaczewskiego z wielkiem zamiłowaniem i — jak widać z treści — z gruntownem znawstwem pracy i jej rezultatów. Istotnie trzeba przyznać, że robota prowadzona była z wielkim rozmachem i dużym nakładem wysiłków i energji. W książce p. Sergiejewa zauważyć też można, że p. Tuchaczewski umiał energją swoją i celową pracą zarazić i swoich podwładnych. Ten piękny wysiłek dowodzenia świadczyć zawsze będzie o zdolności p. Tuchaczewskiego, jako wodza zdatnego do śmiałych pomysłów i energicznego ich wykonania.

Zatrzymam się nieco na pewnej części decyzji p. Tuchaczewskiego w sprawach organizacyjnych, miało to bowiem duży wpływ na jego pracę wojenną. Opieram się w tym wypadku głównie na danych, wziętych od p. Sergiejewa. Mianowicie idzie mi o podział sił i środków pomiędzy poszczególne armje, który został dokonany przez p. Tuchaczewskego w przygotowaniach do decydujących operacyj, zakończonych pod Warszawą. P. Tuchaczewski pod wszelkiemi względami bardzo wyraźnie uprzywilejował jedną z armij, mianowicie piętnastą.

Już poprzednio zaznaczyłem, że p. Tuchaczewski nie miał dobrej opinji o tych dywizjach, które rok cały poprzednio walczyły na naszym froncie i nabrały z przeciągu tego roku pewnego, że tak po-

wiem, respektu dla nieprzyjaciela. Przejawiały one pewną w stosunku do nas trwogę (robost'). Żadna z tych dywizyj nie została wyznaczona do armij 15. a większość z nich zostało ugrupowanych w składzie armji 16., stojącej naprzeciw naszej 4. armji na Berezynie. Już przez to samo skazywał p. Tuchaczewski kierunek Ihumeń — Mińsk na odegranie podrzędnej dodatkowej roli. To samo zrobił on z frontem poleskim, gdzie zostawił minimalne siły, zużyte już poprzednio w długich walkach, prowadzonych bez powodzenia. Teraz po niepowodzeniu majowej operacji, wyrzucił on najbardziej wstrząśnięte moralnie dywizje do armji 4. mającej operować na północ od armji 15. i do armji 3. sąsiadki południowej tejże wybranej 15. armji.

Według p. Sergiejewa uprzywilejowanie to tyczyło się także wyekwipowania 15. armji w znacznie wyższej mierze w środki pomocnicze. Czy to będą środki łączności, czy to środki przewozowe w postaci zebranych furmanek, czy to wreszcie uposażenie poszczególnych dywizyj w środki techniczne — zawsze 15. armja otrzymywała najwięcej w porównaniu z innemi. Nawet pomimo, iż p. Tuchaczewski zbierał na skrajnem północnem skrzydle duży oddział jazdy, zwany trzecim korpusem konnym, nie wzmocnił go osobną brygadą kawalerji, którą jednak pozostawił przy 15. armji.

Takie postawienie sprawy z góry — że tak powiem — przesądzało, że w projektach p. Tuchaczewskiego największą rolę przeznaczano armji tak wyraźnie uprzywilejowanej. Czyniąc tę uwagę nie szukam wcale słów krytyki, gdyż rzecz prosta, dowódca koncypujący swoje plany i projekty musi mieć pełne prawo do doboru oddziałów wojsk odpowiednio do zadań mu stawianych oraz do wyposażenia ich w środki zgodnie z temi zadaniami. Rzucił mi się jednak w oczy ten fakt, gdyż z przebiegu operacji, tak jak ją widziałem ze strony przeciwnej, przypisywałem zawsze największą rolę najbardziej północnej armji 4-tej. Dlatego też z pewną ciekawością śledziłem bieg pracy strony przeciwnej, szukając wszędzie udziału w niej uprzywilejowanej 15. armji, oraz powodów, dla których mogłem podczas operacji nabrać wrażenia, nie odpowiadającego — jak widzę — zamiarom i celom dowódcy strony przeciwnej.

Poza tą uwagą chciałbym jedynie zaznaczyć staranne i energiczne przeprowadzenie przygotowań dla możliwie szybkiego puszczenia w ruch kolei za poruszającem się naprzód wojskiem. Energja

pod tym względem, wykazana przez p. Tuchaczewskiego, zdumiewała mnie podczas operacji w lipcu i sierpniu 1920 r. Dość powiedzieć, że po zwycięstwie mojem pod Warszawą, znalazłem w Małkini — stacji o 80 kilometrów oddalonej od Warszawy — wagony szerokotorowe, zostawione przy pospiesznem cofaniu się nieprzyjaciela. To szybkie postępowanie naprzód z naprawą kolei i puszczeniem jej w ruch po dokonanych na niej przez nas ciężkich zniszczeniach, stanowić musi jedną z wielkich zalet naszego nieprzyjaciela. A niechybnie zawdzięcza on to w znacznej mierze energji i przewidywaniu p. Tuchaczewskiego.

W ocenie sytuacji po stronie nieprzyjacielskiej przed główną swoją ofensywą jest p. Tuchaczewski tak skąpy w słowach i określeniach, że wydaje mi się nieprawdopodobnem, aby w końcu czerwca miał z tą konieczną pracą tak mało kłopotu. Wydaje mi się, że ta lakoniczność jest wynikiem dwóch rzeczy. Po pierwsze—p. Tuchaczewski nie pisze historji i nie próbuje nawet starać się o historyczną ścisłość, po wtóre — co mnie znowu wydaje się ściśle historycznem — p. Tuchaczewski patrzył przed rozpoczęciem nowej ofenzywy w lipcu temi samemi oczami, jakie sobie urobił w początkach maja. Stawiał sobie ten sam cel, chciał pracować temi samemi metodami, ba—chciał nawet iść temi samemi drogami. Różnicę widział tylko w tem, że tym razem był silniejszy i miał więcej środków do przeprowadzenia swego zamiaru. Sprawia on na mnie wrażenie wodza, skłonnego do myślenia abstrakcyjnego, lecz obdarzonego wolą, energją i rzadko spotykaną u ludzi uporczywością w pracy według zakreślonych przez siebie metod. Wodzowie tacy rzadko są zdolni do szerszej analizy, gdyż związują się — że tak powiem — całem swojem jestestwem wyłącznie ze swojem jedynie zadaniem, lecz za to dają gwarancję, że wziętą na siebie pracę będą wykonywać bez wahania. I jeżeli p. Tuchaczewski dla tego wyłącznego zajęcia się sobą może znaleźć usprawiedliwienie w tem, że w wojnie z Polską wyznaczono mu główną rolę, to jednak — a powtarzam to po raz drugi — ta niechęć czy nieumiejętność analizy sytuacji na całym froncie niechybnie zwęziła znacznie horyzont jego myślenia w ciągu całej kampanji, dowodzonej przez niego.

Już przy analizie operacji majowej wskazywałem, że p. Tuchaczewski, opierając swe działania na rzekomo istniejącym w naszym rozkładzie strategicznym kordonie, omylił się i został rozbity przez przygotowane przezemnie odwody. Przypuszczam nawet, że to za-

patrzenie się w siebie wpłynęło i na końcowe niepowodzenie całej operacji, która spotkała p. Tuchaczewskiego pod Warszawą.

Siłami swojemi p. Tuchaczewski rozporządził bardzo zręcznie, i każdy dostrzeże łatwo cechy wodza większej miary w śmiałym i konsekwentnym rozkładzie sił. Gdy raz zdecydował, zgodnie ze swoją koncepcją, związaną z umiłowaniem „smoleńskich wrót", prowadzić przez nie główne uderzenie, nie zaniedbał niczego, by kosztem innych części swego frontu wzmocnić się w decydującym kierunku. Ze słuszną więc dumą stwierdza, że uzyskał w wybranem przez siebie miejscu, na północnem swem skrzydle, wielką przewagę nad nieprzyjacielem. Skupił tam trzy armje, z których jedną, właśnie w „smoleńskich wrotach", uposażył najsilniej, dobierając do niej najlepsze swe wojska. Dalej ku południowi osłabiał swe siły, czy to liczbowo, czy też dając tam słabsze duchem jednostki wojskowe. Wreszcie na skrajnem swem skrzydle nad Prypecią zostawił bardzo słabe siły, którym, pomimo ich słabości, nakazał jednak dodatkowo okazać pomoc sąsiedniej ku północy 16. armji w kierunku, jak on pisze, Głuska. Kierunek ten oznacza działanie wzdłuż szosy Bobrujsk — Słuck, a więc na północ od właściwego Polesia.

Co do nas, p. Tuchaczewski streszcza swoje zdanie krótko, mówiąc, iż jakkolwiek wzmocniliśmy w porównaniu z poprzednią operacją siły, stojące na linji głównego jego uderzenia, to nie miało to charakteru określonego i zachowywało wszystkie cechy kordonu i pasywności. Przewagę, jak zupełnie słusznie twierdzi p. Tuchaczewski, mieliśmy jedynie na „mało ważnem lewem (nieprzyjacielskiem) skrzydle (kierunek Mozyrza)", gdzie według obliczenia postawił dwa razy mniejsze siły w stosunku do wojsk polskich tam zebranych. Ten rozkład sił p. Tuchaczewskiego, prawie odwrotny do rozkładu sił u nas, jest zgodny z główną zasadą wojny, głoszącą, że być silnym, to znaczy być silnym tam, gdzie walka się decyduje. Zasada ta powtarzana tak często przez wszystkich, tak rzadko jednak jest urzeczywistniana w pracy wodzów, gdyż pomimo swej prostoty ma swe duże trudności przeważnie natury psychicznej. Na wojnie, jak słusznie mówi jej wielki znawca Napoleon, „le simple est le plus difficile". Komplikuje tę prostotę zwykle słabość duszy wodzów, dająca w rezultacie chęć, by być silnym wszędzie, co, będąc ideałem nieziszczalnym, w skutkach daje odwrotną rzecz — wszędzie słabość.

Nie mogę zaprzeczyć, że tej częstej wady wodzów p. Tuchaczewski nie miał.

Nie mogę też zaprzeczyć słusznej w tym wypadku ocenie p. Tuchaczewskiego naszego rozkładu strategicznego wojsk jemu przeciwstawionych.

Był to w istocie kordon w najczystszej prawie postaci. Odwody były, lecz z wyjątkiem jakiegoś jednego lub drugiego pułku, wszystkie stały zgodnie z pożądaniem p. Tuchaczewskiego o kilkanaście kilometrów za przedniemi elementami wojsk polskich. Głębszych odwodów, zdatnych do kontr-manewrów, front północny nie posiadał wcale. Jak już powiedziałem, w takiem czy innem urządzeniu frontu północnego po zakończeniu kontrofenzywy w początku czerwca, nie brałem wcale udziału. I chociaż, jako naczelny wódz, niechybnie ponoszę dużą dozę odpowiedzialności i w tym wypadku, dla ścisłości historycznej stwierdzam, że północnym frontem zacząłem się zajmować w większym stopniu dopiero na krótko przed rozpoczęciem ofenzywy przez p. Tuchaczewskiego, gdy wszystkie moje próby doprowadzenia do zwycięstwa nad jazdą Budiennego na południu kilkakrotnie spełzły na niczem. Mniej więcej pod koniec czerwca stało się dla mnie oczywistem, że szybkie uspokojenie na froncie południowym nie da się osiągnąć, i że zatem poprzedni mój projekt, oparty na zniegliżowaniu wartości jazdy, musi być zmieniony. Nie mogłem bowiem liczyć na bezwłoczne wyciągnięcie wojsk z południa dla utworzenia manewrowej siły i próby decydującego uderzenia na północy.

Wobec tej zmiany w ocenie mojej chcę w krótkich słowach streścić motywy, które mnie do tego doprowadziły i dać konkluzję, do której doszedłem przed 4-tym lipca, t. j. dniem rozpoczęcia przez p. Tuchaczewskiego decydującej operacji. Jak już zaznaczyłem, nie nadawałem zbyt wielkiego znaczenia faktowi znalezienia się jazdy Budiennego na bliskich tyłach jednej części naszych wojsk na Ukrainie. Jazda Budiennego nie wykazała zbyt wielkiej aktywności w tej sytuacji, tak, że pomimo, iż już się znalazła na flance i nawet bezpośrednio w tyle za lewem skrzydłem najbardziej południowej naszej 6. armji, Koziatyn, gdzie to skrzydło było, stał przez dłuższy czas, nie odczuwając nacisku stojącej bardzo niedaleko armji konnej. Najbardziej izolowaną i na pół odciętą wydawała się armja 3. stojąca w Kijowie i okolicach, gdzie dowodzący nią generał Rydz-Śmigły negliżując, tak jak prawie wszyscy w owym czasie działanie jazdy nieprzy-

jacielskiej, upierał się wciąż przy żądaniu, aby łatwe, jak mu się zdawało, zadanie zlikwidowania jazdy, będącej na jego tyłach, zostało dokonane bez potrzeby wycofywania go z nad Dniepru. Najciężej było dotknięte słabe zresztą liczebnie centrum frontu, do którego jednak wnet wysłano posiłki w postaci 3-ej dywizji i trzech pułków rezerwowych, świeżo sformowanych.

Pierwsza więc moja próba polegała na zespoleniu oddziałów dla uderzenia na jazdę Budiennego, gdy stał jeszcze pomiędzy niemi w Żytomierzu i okolicach. Projekt ten spełzł na niczem. Dałem wyraźny rozkaz do generała Śmigłego, by porzuciwszy niepotrzebne w tej sytuacji stanie w Kijowie, odwrót swój skierował głównemi siłami wzdłuż szosy Kijów—Żytomierz, uderzając w ten sposób na główne siły Budiennego koło Żytomierza. Mógł być wtedy poparty w boju przez lewe skrzydło 6. armji i zgrupowaną koło Koziatyna naszą jazdę. Nawet słabe poparcie od zachodu nadjeżdżających oddziałów mogło było, zdaniem mojem, być zaarażowane. W niewytłómaczony dotąd dla mnie sposób depesza moja do gen. Śmigłego nie doszła i wycofał on swe wojsko w kierunku północno-zachodnim wzdłuż kolei Kijów—Korosteń—Sarny, t. j. wzdłuż Polesia południowego, jakgdyby omijając starannie możliwości zetknięcia się z jazdą Budiennego. Zaznaczam, że przy tym manewrze jedna z dywizyj, a mianowicie 21-a, wyszła na południowe Polesie pod Mozyrz, zwiększając w ten sposób siły nasze na—że powtórzę określenie p. Tuchaczewskiego — „mało ważnem" skrzydle armji, będącej pod rozkazami generała Szeptyckiego.

Po tym wypadku kilka prób, zarządzonych przezemnie, by zgrupować uderzenie na jazdę Budiennego z paru stron tak, by móc korzystnie wprowadzić w grę naszą słabszą znacznie, w porównaniu z przeciwnikiem, jazdę, zawsze spełzły na niczem z powodu jakiejś fatalnej niemożliwości zgrania kilku jednostek wojskowych do wspólnie czynionego manewru. Ostatnią taką przed 4-ym lipca próbą były prawie komiczne wypadki pod Równem, gdy raz 18. dywizja z 6. armji szła do ataku od południa, a 2. armja w tym samym czasie wykonywała odwrót ku północy; odwrotnie zaś, gdy 2. armja przeszła do natarcia i jej 1. dywizja nocnym atakiem zdobyła Równe, 18. dywizja już się znajdowała we wstecznym ruchu ku Dubnu.

Nie mogę twierdzić, ażeby te śmieszne teraz kontredanse wpływały zanadto demoralizująco na samo walczące wojsko, gdyż, poza

niektóremi jednostkami, większość wojsk walczących na południu zachowała w zupełności swą moralną siłę i wartość, i niezrażona niepowodzeniami stawała do walki raz po raz. Lecz niechybnie stałe niepowodzenie nie mogło się nie odbić i rzeczywiście się odbijało na ogólnym nastroju, wyrażającym się w myśli o konieczności wprowadzenia jakiejś nowej metody dla zatrzymania i zwyciężenia nieuchwytnego dotąd przeciwnika. Za taką metodę powszechnie uważano, z czem i ja się zgadzam, wprowadzenie w grę większej ilości jazdy i z naszej strony. Do zorganizowania tego instrumentu walki przystąpiono też natychmiast z energją. Z góry jednak można było przypuszczać, że tak trudna rzecz łatwo i szybko zaimprowizować się nie da i że upłynie sporo czasu, nim efekt pracy będzie widoczny.

Najgorszy jednak wpływ tych wypadków dawał się spostrzec nie na samym froncie, lecz poza nim, na tyłach. Panika w miejscowościach nawet o setki kilometrów w tyle położonych wybuchała raz po raz, nieraz nawet w sztabach wyższych jednostek, rozszerzając się coraz głębiej i głębiej. Zaczynała pękać nawet praca państwowa, odczuwać w niej można było jakieś niepewne, chwiejne tętna. Obok nieuzasadnionych oskarżeń następowały chwile nieopanowanej trwogi z nerwowemi odruchami. Obserwowałem to stale naokoło siebie. Ten nowy instrument walki, jakim się okazała dla naszych nieprzygotowanych do tego wojsk jazda Budiennego, stawał się jakąś legendarną nieprzezwyciężoną siłą. I rzec można, że im dalej od frontu, tem wpływ tej suggestji niepoddającej się rozumowaniu był silniejszy i bardziej nieodparty. Zaczynał się formować w ten sposób dla mnie najniebezpieczniejszy front, front wewnętrzny.

W takiej właśnie sytuacji pożegnałem się z poprzednio ułożonym projektem i, wiedząc z meldunków i wywiadów o koncentracjach nieprzyjacielskich na północy, wykoncypowałem dla siebie bardzo ogólnikowy plan postępowania na froncie przeciwko p. Tuchaczewskiemu. Mianowicie wobec stałego odsłaniania, przez cofanie się południowego frontu, prawego skrzydła wojsk, stojących na północ od Prypeci, zgodziłem się w myśli na dobrowolne, bez nacisku nieprzyjaciela cofnięcie całego frontu północnego wstecz, mniej więcej do linji niemieckich okopów w centrum, wraz ze sformowaniem silniejszych grup manewrowych na obu skrzydłach.

Nie chcę w tem miejscu poruszać kwestji, dlaczego tego na czas nie uczyniłem, gdyż uczynię to później, stwierdziwszy jednak tę moją zasadniczą myśl, przechodzę do próby analizy szczegółowszej otwarcia głównej kampanji roku 1920 przez natarcie wojsk sowieckich 4 lipca.

V.

Analiza pierwszych dni decydującej operacji p. Tuchaczewskiego sprawiła mi bardzo dużo kłopotów. Natykałem się wciąż na coraz nowe sprzeczności, których wyjaśnienie zajęło mi sporo czasu. Jedne z tych sprzeczności wynikały z niedostatecznie uporządkowanych u nas dat i danych o działaniu wojsk w tym okresie, co pozwoliło się ustalić fałszywym i błędnym przedstawieniom rzeczy. Inne zaś sprzeczności wyrastały natychmiast, gdym porównywał wszystko to, co pisze p. Tuchaczewski, z datami i danemi, ustalonemi powoli przezemnie co do naszych wojsk, a również z datami i danemi, które znajdowałem u p. Sergiejewa co do wojsk, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego. Wszystkie te sprzeczności są tak rażące, a realna historyczna sytuacja była tak dziwaczna, że długo nie mogłem się pogodzić z faktami, szukając ustawicznie sprawdzianów swych poglądów w nowych szczegółach, dobywanych od poszczególnych uczestników walk z tego okresu. Dodam, że jeszcze i teraz, podając swoją analizę, nie mogę się pozbyć pewnych wątpliwości, gdyż zanadto jaskrawo przeczą one wszystkiemu temu, co mówi p. Tuchaczewski, którego nadzwyczajna abstrakcyjność pracy pomieszana jest z publicystyczną przesadą określeń, jak „rozgromiony", „zmiażdżony" i t. d.

Gdy przerzucając po kilka razy dziełko p. Tuchaczewskiego chciałem nabrać pewnego poglądu na jego myśl przewodnią, przychodziłem zawsze do przekonania, że p. Tuchaczewski wytknął sobie daleko sięgający plan, oczekując od siebie i od dowodzonych przez siebie wojsk znalezienia ostatecznej decyzji daleko od miejsca, gdzie operacje rozpoczynał, usuwając przytem starannie naturalne zresztą chęci szukania natychmiast lokalnych częściowych powodzeń. Wszyst-

ko, co mówi p. Tuchaczewski przy przedstawieniu operacyj zarówno majowej, o czem mówiłem wyżej, jak i lipcowej, zdawałoby się stwierdzać, że należy on do umysłów jeżeli nie abstrakcyjnych, to jednak umiejących szerzej i ogólniej patrzeć zarówno na teatr wojny, jak i na działania większych mas wojska. Widzieliśmy to już poprzednio, jeszcze bardziej cecha ta przejawia się w szerokiem ujęciu jego rozważań, wciśniętem w części jego dzieła, mówiącem o operacji lipcowej. Tutaj właśnie, jak zaznaczyłem wyżej, pomieszcza on najpiękniejszą może część swojej pracy, gdy szuka rozstrzygnięcia problematu prowadzenia większej ilości wojska na wielkich przestrzeniach w ofenzywnej operacji.

Odkładając rozpatrzenie ze swojej strony tych poglądów p. Tuchaczewskiego zaznaczę, że widzi on wyjście w nagromadzeniu, jak się wyraża, mas taranowych, które muszą nieraz zmieniać kierunek swego ruchu, zależnie od działań przeciwnika, stawiającego próby oporu atakowi w tem czy innem miejscu, chociażby nawet połączone to było czy ze stratą czasu, czy z przedwczesnem wykryciem przez nieprzyjaciela zasadniczej myśli operacyjnej; jest to, jak on mówi, jedyny sposób dla porównania przeciwuderzeń przeciwnika, który może wycofać swoje wojsko dla zorganizowania kontrataku. Przy przedstawieniu tej rzeczy widać na p. Tuchaczewskim wpływ początków kampanji 1914 roku we Francji, a p. Tuchaczewski zachęca, by na przykładzie naszej (sowieckiej) kampanji przeciw biało - polakom w 1920 r. z wielką korzyścią prześledzić kwestje wykorzystania mas taranowych. Opiera się on w tym wypadku na pewniku, że w tegoczesnych operacjach niepodobna zniszczyć siły nieprzyjaciela jednem szybkiem uderzeniem i ruchem.

Jakżeż byłem zdumiony, gdy u p. Sergiejewa przeczytałem (str. 31. l. c.), że w ostatnich dniach czerwca p. Tuchaczewski osobiście odwiedził wszystkich dowódców armij i nakazał przepracować w szczegółach plan, który miał doprowadzić w razie powodzenia do okrążenia części naszych sił, ugrupowanych w okolicy Hermanowicze—Łużki—Głębokie. Więc plan dla działań 4 lipca sprowadzał się do lokalnego czysto powodzenia, mającego na celu zrobienie małego Sedanu dla kilku naszych dywizyj. P. Sergiejew, zastanawiając się nad tym planem, podaje nawet graficzne szkice, przedstawiające jasno, na czem on polegał. Mianowicie 15. armja, jak wiemy złożona z najlepszych sił i najlepiej uposażona, miała atakować ten mały Sedan w Her-

manowiczach i Głębokiem z frontu, natomiast sąsiednie dwie armje, 4. i 3. miały być jak gdyby prawem i lewem ramieniem, wyrzucającem ręce od północy i południa na tyły Głębokiego i Hermanowicz dla odcięcia wszystkich dróg odwrotu. P. Sergiejew stwierdza, że dla tego planu centrum (15. armja) było za silne a skrzydła za słabe, i temu rozkładowi sił, który zresztą usprawiedliwia brakiem czasu, słusznie przypisuje nieudanie się planu (str. 32, 33. l. c.). Lecz gdzież tu jest taran, gdzie wreszcie operacja o szerokich i wielkich celach? Jak zobaczymy przy analizie, skrzydła nie wypełniły swego zadania, lecz p. Sergiejew stwierdza, że jeszcze w nocy z 5 na 6-ty lipca otrzymał on od p. Tuchaczewskiego dyrektywę, wskazującą na konieczność natężenia wszystkich sił, by do nocy z 6-go na 7-my lipca odciąć drogę cofającemu się nieprzyjacielowi w rejonie Osinogródek — Kuryłowicze (20 — 30 kilometrów na zachód od Głębokiego) (str. 50. l. c.). Więc jeszcze na trzeci dzień operacji armja północna (4-a) ma to samo sedańskie zadanie.

Zdumienie moje jeszcze bardziej się powiększyło, gdy przechodząc dzień po dniu działania głównej siły p. Tuchaczewskiego—15. armji — dostrzegłem, że już od trzeciego dnia operacji, a może nawet w drugim dniu zaczęła się ona grupować nie do trwania w pracy o stylu Sedanu, lecz do robienia taranu dla dalszych operacyj. Ten dziwny rozdźwięk podczas pierwszych paru dni operacji nie był wywołany przez działania naszych wojsk, gdyż jedyną aktywną grupą, działającą jeszcze w przeciągu 5-go i 6-go lipca, była najbardziej północna grupa generała Żeligowskiego, złożona z dwóch dywizyj (10. i 8.), która nie otrzymawszy rozkazu o odwrocie, z małemi zresztą bojami straży tylnych, miała do czynienia i była w kontakcie jedynie z 4. północną armją sowiecką, więc nie oddziaływała wcale na akcje armji 15-ej. Reszta zaś sił — grupa gen. Jędrzejewskiego — odchodziła spokojnie prawie bez zetknięcia z przeciwnikiem w kierunku południowo-zachodnim na Mołodeczno. Oryginalny Sedan!

Wogóle pierwsze dni operacji lipcowej p. Tuchaczewskiego zasługują na szczegółową analizę. Wpłynęły one bardzo silnie na zasadnicze ugrupowanie naszych polskich sił, na przebieg całej operacji z naszej strony prawie aż do Warszawy, a obok tego, wobec wyżej wyłuszczonego rozdźwięku w ideach operacyjnych p. Tuchaczewskiego, mającego inicjatywę w tym wypadku, dają one charakterystyczny obraz tego, co zwykle nazywam komedją pomyłek i niezrozumienia

się wzajemnego przeciwników. Jak zwykle w takich wypadkach bywa, nawet nazwy takich bitew są sprzeczne. Dowódca naszych sił na tym froncie generał Szeptycki w swojem usprawiedliwieniu się nazwał ją, zgodnie ze swem ciążeniem do linjowych rozkładów, bitwą na Aucie, maleńkiej rzeczce, którą z trudem znaleźć można na mapie, i której to nazwy nie spotkałem wcale ani razu u p. Tuchaczewskiego, ani u p. Sergiejewa. Widocznie nie przypuszczali wcale, że ta Orzechowna, tym razem rzeczna, gra dla ich przeciwnika wielką rolę. P. Sergiejew uważa tę bitwę za nieudany Sedan pod Głębokiem, czego znowu nikt z naszej strony nie rozumiał, a najczynniejszy aktor w tej bitwie, gen. Żeligowski, jak mi niedawno jeszcze mówił, zastanawiał się, czy czasami źle nie zrobił, nie uderzywszy na ów Sedan — Głębokie, gdy to zostało już zajęte przez nieprzyjaciela; nie mając bowiem na sobie nacisku, czuł się zupełnie swobodnym w decyzjach. Sam zaś p. Tuchaczewski zadowolony z posiadania, już teraz zupełnie pewnego, „smoleńskich wrót", przechodzi łatwo do porządku dziennego nad ochrzczeniem ze swej strony tego dziwactwa wojennego, gdyż już 7-go lipca wyjaśnił z zupełną pewnością, że „oddziały przeciwnika w rejonie naszego głównego natarcia są zupełnie rozgromione" (str. 26). Taką bitwę warto zanalizować szczegółowiej [1]).

Zaczynam od północnej 4. armji, dowodzonej przez p. Sergiejewa. Zgodnie z sedańskiemi zamiarami p. Tuchaczewskiego, zostawia on na lewem swojem skrzydle 18-tą dywizję, dając jej rozkaz za pomocą natarcia zatrzymać odwody przeciwnika w tym rejonie. Resztę zaś swoich sił t. j. 12. i 53. dywizję oraz 164. brygadę ściąga na wąski przesmyk pomiędzy Dźwiną a błotnistem jeziorem Jelnia, przesmyk, nie przewyższający 10-ciu kilometrów (według p. Sergiejewa 4 wiorsty), z zadaniem przerwania tutaj frontu przeciwnika i skręcenia natychmiast całą piechotą wyraźnie na południe na Hermanowicze i Szarkowszczyznę, oraz rzucenia kawalerji narazie ku zachodowi na głębokie tyły przeciwnika. Wobec tego, że p. Sergiejew pisze o rozpoczęciu bitwy huraganowym ogniem artylerji, zaznaczam, że skupił on na tym odcinku 70 dział lekkich i 8 ciężkich. P. Sergiejew streszcza pogląd na swoje zadanie w sposób następujący: „Wobec tego, że powodzenie manewru 4. armji wymagało szybkości wykonania, a dane o przeciwniku wskazywały, że między Dźwiną a jeziorem Jelnia

[1]) Patrz szkice Nr. 1, 1a, 1b.

znajduje się tylko jeden pułk piechoty i kilkuset ułanów, postawiono jednostkom grupy aktywnej zadania, wymagające po przerwaniu nieprzyjaciela przejścia:

dla jazdy 40 wiorst pierwszego dnia i 24 wiorst drugiego
dla 164. brygady 27 wiorst pierwszego dnia 24 wiorst drugiego
„ 53. dywizji 29 „ „ „ 30 „ „
„ 12. „ 22 „ „ „ 18 „ „

Takie przestrzenie można było przewidzieć po przerwaniu przeciwnika jako ruch kolumnami, gdyż słaby przeciwnik powinien był być rozpylony od naszego uderzenia, a odwodów widocznie tu nie miał" (str. 43. l. c.).

W istocie stał tutaj niecały 33. pułk, który jeden bataljon miał w dalekim względnie odwodzie. Natarcie rozpoczęto z powodu mgły dopiero o 8 godz. rano, po przygotowaniu go huraganowym ogniem, trwającym pół godziny. Pierwsze słabo widocznie obsadzone linje zostały zajęte już o g. 9-ej. Odtąd posuwanie się p. Sergiejewa poszło tak powoli i z takim oporem, że po całym szeregu kontrataków z naszej strony dopiero koło godziny 4-ej po południu zmęczone bojem nasze dwa bataljony rozpoczęły szybki odwrót. Dopiero koło 6-ej wieczorem dywizje i jazda p. Sergiejewa mogły się ściągnąć w kolumny i rozpocząć nakazany marsz. Nic dziwnego, że ani jedna z jednostek nie mogła wypełnić swego zadania, co ze smutkiem konstatuje p. Sergiejew (str. 46. l. c.).

Ta bohaterska obrona dwóch bataljonów naszego 33-go pułku przeciwko dwóm i pół dywizjom przeciwnika podtrzymywaną była, zgodnie z naszemi danemi, zaledwie przez 10 dział 8. dywizji, do której pułk należał. Zniweczyła ona prawie, albo conajmniej zrobiła wątpliwą zamierzoną operację o sedańskim stylu, zatrzymując główne siły 4. armji w ich zamiarze szybkiego wyjścia na tyły i skrzydła naszych wojsk, walczących dalej na południu. Z przyjemnością zaznaczam ten fakt ze źródeł naszego przeciwnika, gdyż nieraz u nas przy doraźnych analizach ówczesnych bojów, zarzucano zarówno temu pułkowi, jak i całej 8-ej dywizji, że dopuściły do przejścia jazdy nieprzyjacielskiej, która nam w przeciągu całej operacji do Warszawy jak najwięcej zaszkodziła. P. Sergiejew wyraźnie konstatuje, że uporczywy opór silnie zatrzymywał rozwój ich powodzenia i dopiero koło 16-ej godziny opór polski został złamany. Dodam, że ani jedno nasze działo nie zostało w rękach nieprzyjaciela.

Na sąsiednim odcinku 18-a dywizja — a p. Sergiejew uważał ją za najlepszą — spędziła cały dzień w bezskutecznych zupełnie atakach na jedną z brygad 10-ej naszej dywizji. P. Sergiejew spokojnie stwierdza, że pomimo ciężkich strat dywizji i względnie wielkiego wydatku amunicji (300 naboi na lekkie i 50 — 80 na ciężkie działo) natarcie 18-ej dywizji zostało odparte (str. 47. l. c.). Pierwszy więc dzień dla 4. armji skończył się względnem niepowodzeniem, gdyż oddalił możność wykonania sedańskich zamiarów i nie zużył żadnej części naszych odwodów, które w tem miejscu stanowiły trzy pułki 8. dywizji. Te, zgodnie z naszemi danemi, bez rozkazu większością swych sił ruszyły ku północy w stronę Pohostu i jeszcze dalej na północ dla osłony zagrożonego skrzydła.

Dalej na południe atakowała 15-a armja, mając rozciągnięte w linji cztery dywizje. Natarcie prowadzone było na rozciągłości mniej więcej 50-ciu kilometrów i spotkało również rozciągnięte w długiej linji 11. naszą dywizję na południowym odcinku, brygadę 5. dywizji i 7. rezerwową brygadę na północnej części atakowanej przestrzeni. W odwodzie za nimi stała zgrupowana dywizja 17., której bez pozwolenia dowódcy frontu w Mińsku nie wolno było użyć. Perypetje tego boju z trudem dają się wyjaśnić w jego szczegółach. Faktem jest, że na południowym odcinku wojska sowieckie poszły szybciej naprzód niż na północnym. Mianowicie na południe od kolei Połock—Mołodeczno wojska p. Tuchaczewskiego doszły w walce do rzeczki Mniuty, zrobiwszy mniej więcej 8 kilometrów od spotkania z pierwszemi naszemi linjami. Na północy zaś od tej kolei, gdzie walczyła większość 15. armji, pomimo pierwszych powodzeń wojska sowieckie zostały zatrzymane przez kontrataki zarówno 17-ej naszej dywizji od południa, jak i 10-ej dywizji od północy, które zatrzymały ruch atakujących sił, tak, że w końcu dnia przestrzeń, przebyta przez natarcie, nigdzie nie przewyższała 3 — 4 kilometrów. To względne powodzenie głównych sił p. Tuchaczewskiego nie odgrywało zresztą tak wielkiej roli dla sedańskiego planu, gdyż centrum w tym wypadku mogło postępować wolniej, a miało za sobą to powodzenie, że ściągnęło ku sobie nasze odwody. Z wojsk naszych duża część po tym dniu boju została prawie zupełnie zużyta, tak, że na długo stała się niezdolną do dalszej pracy. Tyczy się to brygady 5-ej dywizji i 7-ej brygady rezerwowej. Oprócz tego pozostawiono

w ręku nieprzyjaciela niewielką zresztą ilość materjału artyleryjskiego.

Trzecia sowiecka armja atakowała dalej na południe aż do Berezyny, uderzając częścią swoich sił na część naszej 11-ej dywizji, a trzema dywizjami prowadząc silne natarcie na brygadę pierwszej litewsko-białoruskiej dywizji, z rozkazem zajęcia już 5-go lipca Dokszyc, oddalonych od frontu w linji powietrznej o 25 kilometrów, z tem, że już 6-go zarówno kolej Połock — Mołodeczno, jak i drogi odwrotu w kierunku południowo-zachodnim miały być dla nas odcięte. Rezultatem dnia tego było, że po nadzwyczajnie ciężkich całodziennych bojach siły sowieckie nigdzie nie przebyły 7-miu do 8-miu kilometrów drogi i bodaj największym rezultatem walki tego dnia, prawdopodobnie nie zauważonym przez przeciwnika, była przerwa kontaktu i łączności pomiędzy 11. dywizją na północy i pierwszą litewsko-białoruską na południu. Natomiast rzeka Berezyna, która stała w oddaleniu 4 — 6 kilometrów od frontu jako przegroda na drodze do Dokszyc, prawie nigdzie przez nieprzyjaciela nie była przekroczona. Znowu więc, jak na północy, skrzydło mające szybkim ruchem przeciąć drogi odwrotu nieprzyjaciela ku południowemu zachodowi, zostaje w ruchu zatrzymane pomimo wielkiej przewagi sił, jaką w stosunku do dywizji litewsko-białoruskiej posiada. Sedański manewr i tu, jak na lewem skrzydle, zawisł w powietrzu. Tu jest nawet gorzej, gdyż pan Sergiejew na północy zdążył jednak po uporaniu się z pierwszą przeszkodą ku wieczorowi zaznaczyć swój ruch na flanki i tyły nieprzyjaciela, podczas gdy cała trzecia armja stała właściwie wieczorem 4 lipca w jednej długiej linji z centrum frontu — armją 15-tą.

Jeśli, jak widzieliśmy, celem wojsk p. Tuchaczewskiego było szybkie okrążenie naszej pierwszej armji w okolicy Hermanowicze — Głębokie, to znowu celem walki, prowadzonej przez nas, było poprostu odparcie ataku nieprzyjacielskiego i restytucja sytuacji z przed 4 lipca. Wszystkie rozkazy, czy to dowódcy frontu w Mińsku, czy to dowódcy 1. armji w Wilejce, czy wreszcie dowódców grup na odcinkach, nie pozostawiają pod tym względem żadnych złudzeń. Stąd cały dzień 4. lipca schodzi na próbach różnego rodzaju drobnych i większych kontrataków, mających na celu wyrzucenie przeciwnika poza linje, zajmowane rano tegoż dnia. Bitwa prowadzona była z naszej strony mniej więcej tak, jak się ją prowadziło w czasach wojny

okopowej. Wszystkim zaś próbom przeciwnatarć, w rozmaitym czasie i w różnych miejscach czynionym, przyświeca nie co innego, jak „osiągnięcie poprzedniej sytuacji". Słowo to i określenie powtarza się dziesiątki razy jako charakterystyka celu, dla którego pierwsza nasza armja dnia 4 lipca walczyła na rozległym stukilometrowym froncie. Cel ten na całej tej przestrzeni osiągnęła właściwie tylko dziesiąta nasza dywizja, która nie dała się zepchnąć ze swej pozycji i dzień zakończyła w stosunku do zadań sobie postawionych zwycięsko. Natomiast wszędzie gdzieindziej wojska nasze musiały odczuwać wrażenie przegranej, gdy w ciągu całego dnia ciężkich bojów, w których poza 8-ą dywizją na skrajnej północy brały już udział wszystkie nasze siły, cel postawiony bojowi — osiągnięcie poprzedniej sytuacji — okazał się niemożliwym do osiągnięcia.

Pierwszy więc dzień boju 4 lipca zakończył się dla obu stron brakiem satysfakcji w osiągnięciu zamierzonych celów. P. Tuchaczewski dla zamierzonego Sedanu nie postąpił daleko naprzód, natomiast nasza pierwsza armja, wobec wielkiej przewagi nieprzyjaciela i nieposiadania już odwodów, zwątpić musiała w możliwość spełnienia postawionych sobie zadań. Lecz świt dnia 5-go znalazł obu przeciwników z niezmienionemi dotąd celami pracy i zadaniami boju.

Na północy 4. armja p. Sergiejewa posuwa się dalej w zamierzonym kierunku prawie w próżni, gdyż dwa bataljony 33. pułku, straciwszy w walce poprzedniego dnia bardzo dużo, szybko wycofały się bez zetknięcia się z nieprzyjacielem nie w kierunku swojej dywizji na południe, lecz wprost na zachód tak, że w dalszych perypetjach boju swojej dywizji nie brały zupełnie udziału. Pierwsze zetknięcie z nieprzyjacielem nastąpiło dopiero popołudniu dnia 5-go, gdy, jak oświadcza relacja naszej 8. dywizji, pod Pohostem i dalej ku północy miała ona w tym czasie walki ze strażami przedniemi nieprzyjaciela. Potyczki te, pomimo swojej nieznaczności, zatrzymały większość sił sowieckich w dalszym marszu. P. Sergiejew skarży się specjalnie na swoją 53. dywizję, która w dniu tym nietylko nie doszła do Szarkowszczyzny, jak to jej było nakazane, lecz nawet pod wpływem tych nieznacznych walk zmieniła zupełnie front z południowego na zachodni. To samo okazało się i dla sąsiedniej 12. dywizji, której silne prawe skrzydło i odwodowa brygada zatrzymały się w ruchu, i w okolicy Starego Pohostu również zmieniły swój

front z południowego na zachodni. Sedan stanowczo nie uśmiechał się wojskom p. Sergiejewa [1]).

P. Tuchaczewski o dniu tym w 4. armji pisze z pewną nonszalancją, mianowicie twierdzi, że części 8. dywizji „zostały zaatakowane w czasie marszu, rozbite i straciły wszelką zdolność do boju. Ale i nasze oddziały nie osiągnęły tego, co mogły były osiągnąć w tych okolicznościach" (str. 26.). P. Sergiejew jest skromniejszy, i twierdzi tylko, że bez względu na wyraźną słabość przeciwnika, którego należało dobić i rozpędzić, wojska rozwijały się kilka razy w kierunku prawego swego skrzydła i wreszcie zupełnie nie wypełniły swego zadania na 5-go lipca (str. 49. l. c.). Dodam, że w pojęciu p. Sergiejewa, a więc prawdopodobnie i p. Tuchaczewskiego, większa część 8. dywizji, która wcale w dniu 4-ym lipca nie brała udziału w bojach, była już rozbita. Tak silnym był opór dwóch bataljonów 33-go pułku, że nieprzyjaciel w swoich relacjach i obliczeniach zwiększał nasze siły, czyniąc z boju dwóch bataljonów bój większej części 8. dywizji. P. Sergiejew dodaje, że „sytuacja obchodzącej grupy zaniepokoiła i sztab frontu, i dyrektywa dana w nocy z 5-go na 6-ty wskazywała na konieczność zrobienia wszystkich wysiłków, by do nocy z 6-go na 7-my lipca odciąć drogę cofającemu się przeciwnikowi w rejonie Osinogródek — Kuryłowicze". Ostatni wysiłek sedański!

Tymczasem dnia tego generał Żeligowski nakazał od świtu wycofać 10. dywizję na rzekę Mniutę, dla wyrównania swego frontu z sąsiadami z prawa. Zgodnie z relacją tej dywizji od 5-go o świcie dywizja bez żadnego trudu i bez nacisku wycofała się na Mniutę, zajmując w okolicach Łużek oba brzegi rzeczki, 8-a zaś dywizja koncentrowała się w okolicach Pohostu. W tem cofnięciu 10-ej dywizji ze stanowisk, utrzymanych zwycięsko dnia poprzedniego, jest już element niewiary, by dzień 5-go lipca dał to, czego nie osiągnięto dnia poprzedniego. Jest to zapowiedź zaczynającego się odwrotu naszej 1-ej armji.

Przejdźmy do centrum, do działań 15-ej armji sowieckiej.

Armja ta w ciągu 5-go lipca idzie naprzód niezwykle powoli, znacznie wolniej niż to było dnia poprzedniego, a już dzień 4-go lipca nie był, jak widzieliśmy, rekordowym dniem pod względem przestrzeni, którą armja przeszła. Na szkicu p. Sergiejewa przed-

[1]) Patrz szkic Nr. 1 c.

stawiona jest ona w ten sposób, że południowe dywizje (11. i 33.) minęły rzekę Mniutę, do której doszły dnia poprzedniego, zaledwie o parę kilometrów. Północna zaś grupa (54. i 16.) doszła dnia tego do tej rzeczki, nie mijając jej wcale. W relacjach wojsk naszych, walczących przeciwko 15-ej armji, nie znalazłem żadnego zrozumiałego dla mnie powodu, którym bym mógł wyjaśnić to zjawisko. Pomimo, iż ostatni rozkaz naszej 1. armji z dnia 4-go nakazywał dalszy kontratak dla osiągnięcia poprzedniego celu, wojska nasze właśnie od świtu prowadzą tylko boje o charakterze straży tylnych, grupując się właściwie do odwrotu. Niektóre grupy wspominają jedynie o boju artylerji, przykrywającej odwrót i tylko najbardziej północna grupa, część 10-ej dywizji w Łużkach, na którą wyjść musiała 54-a, najbardziej północna dywizja 15-ej armji, wspomina o ciężkich bojach, które miała po południu dnia 5-go na wschodnim brzegu rzeczki Mniuty.

To samo dzieje się w sąsiedniej 3-ej armji sowieckiej, która, po gwałtownych natarciach dnia poprzedniego, zaczyna poruszać się wolno, nie spiesząc wcale do sedańskiego celu, nakazanego uprzednio. W dniu tym wisi nad całym długim placem boju jakgdyby jakiś kryzys bojowy oraz brak decyzji i obustronnej energji.

Inicjatywę w decyzji wzięła w swe ręce wreszcie nasza strona. na froncie 1-ej armji wymaga cofnięcia jej, odłączenia od nieprzyjatu, nakazał odwrót. Pierwszy punkt jego rozkazu głosi: „Sytuacja na froncie 1-ej armji wymaga cofnięcia jej, odłączenia od nieprzyjaciela i przeprowadzenia ugrupowania na nowej *linji* celem przejścia do kontrakcji".

Rozkaz wobec sytuacji ówczesnej nie dochodzi jednocześnie do wszystkich wojsk, a najbardziej północna grupa pod dowództwem generała Żeligowskiego nie otrzymuje go wcale. Pierwszy otrzymuje go generał Rządkowski w Dokszycach o godzinie 13. min. 45 i nakazuje podwładnym mu dywizjom 1-ej litewsko - białoruskiej i 11-ej odmarsz z oderwaniem się od nieprzyjaciela w kierunku południowo-zachodnim, ogólnie na Mołodeczno. Wykonanie tego rozkazu przez grupę generała Rządkowskiego otwiera zupełnie od południa dnia 5-go wszystkie drogi marszu w kierunku zachodnim dla oddziałów sowieckich w całej 3-ej armji i dużej części armji 15-ej na jej odcinku południowym, dotąd najdalej w kierunku zachodnim zaawansowanym. Następna ku północy grupa generała Jędrzejewskiego rozkaz o cofaniu się i oderwaniu się od nieprzyjaciela otrzymała, że tak powiem,

częściami w różnych porach dnia. Sam generał Jędrzejewski świadczy, że rozkaz otrzymał dopiero późnym wieczorem 5-go lipca. Grupa ta, złożona z 17. dywizji oraz z 7-ej rezerwowej brygady wielkopolskiej i brygady 5. dywizji, znajdowała się właściwie już od rana w odwrocie, krytym przez słabe straże tylne i artylerję w naturalnym dla siebie kierunku odwrotu — wyraźnie ku zachodowi wzdłuż głównej drogi Głębokie — Duniłowicze i dalej w kierunku Wilna czy przez Postawy i Świenciany, czy też przez Świr i Michaliszki. Generał Jędrzejewski zajęty był zorganizowaniem tego odwrotu i ułożeniem ruchu wielkiej ilości taborów i bagażów na Duniłowicze. Tam właśnie wieczorem zastał go rozkaz. Odwrót w tym naturalnym i już organizującym się kierunku byłby dla całej grupy bardzo łatwym i nie zostawiłby najbardziej północnej części naszej armji pod dowództwem generała Żeligowskiego, stojącego jeszcze w boju pod Łużkami i Hermanowiczami, w sytuacji zupełnie izolowanej. Rozkaz jednak generała Szeptyckiego chciał inaczej. Łamał on naturę rzeczy i nakazywał całej grupie generała Jędrzejewskiego ściągać się ku południowi na osłonę skrzydła 4. naszej armji, która już miała zaczynać swój niewymuszony odwrót. W ten sposób grupa generała Jędrzejewskiego, najbardziej zużyta w poprzednich bojach, miała dokonać w biały boży dzień nadzwyczaj trudnej operacji wojennej, flankowej defilady wzdłuż frontu nieprzyjaciela, dotąd zwycięskiego. Zamiast zaś zerwać, zgodnie z pisemnym punktem rozkazu, kontakt z wrogiem, co nastąpić może jedynie przez szybki ruch wstecz, musiała dokonać złożonego manewru zmiany naturalnego kierunku i iść na nowy kontakt z nieprzyjacielem, zbliżając się doń z każdą godziną swego marszu. Większość bowiem sił generała Jędrzejewskiego dla dokonania żądanego odwrotu musiała iść w kierunku południowo-wschodnim, to znaczy w kierunku nieprzyjaciela. Jeżeli kiedykolwiek w ciągu tych dwu dni boju ta część armji naszej była narażona na tak pożądane dla p. Tuchaczewskiego „zmiażdżenie", „rozpylenie" i „doszczętne rozbicie", to właśnie w popołudniowych i wieczornych godzinach dnia 5-go lipca, gdy wykonywała ten dziwaczny manewr, osłabiający w dodatku i resztę naszej armji, zwycięskiego dotąd generała Żeligowskiego. Oto naprzykład krótki opis manewrującego w ten sposób pierwszego bataljonu 69. pułku piechoty z 17-ej dywizji, który ostatni opuszczał Głębokie. Odmarsz nastąpił po południu dnia 5-go. Bataljon maszerował traktem Głębokie — Porpliszcze,

gdzie na przestrezni prawie 20 kilometrów szedł pod ogniem dalekim artylerji, który go bił ze wschodu. To też bataljon rwał nieledwie galopem. Wyszedłszy z Głębokiego po południu, już pod wieczór był w Porpliszczach, mając w swoich kościach dwudziestoparokilometrowy marsz, by jeszcze dalej w nocy przejść kilkanaście kilometrów do Parafianowa. Generał Jędrzejewski wskutek swego nienaturalnego odwrotu znalazł się w nadzwyczajnie kłopotliwej sytuacji, gdy skierowawszy już tabory i bagaże w kierunku zachodnim, musiał wojsko przerzucać w kierunku prawie południowo-wschodnim. Twierdzi on w swojej relacji, że skutkiem tego oddziały w wielkiej swej części pozostały w ciężkich warunkach bojowych bez taborów, a nieraz nawet bez kuchni polowych.

Jeżeli ten nieszczęśliwy rozkaz nie wzmocnił sytuacji naszej na północy, to niechybnie cała grupa generała Jędrzejewskiego uratowaną została nie przez co innego, jak przez zaznaczoną wyżej bezczynność u nieprzyjaciela. Ani południowa część 15-ej armji, ani cała 3-a nie próbują nawet wyzyskać sytuacji i dopuszczają do defilady nieostrożnej grupy generała Jędrzejewskiego wzdłuż swego frontu, czynionej w biały boży dzień po południu dnia 5-go lipca. Karcą go niekiedy za ten nierozsądny manewr jedynie dalekim ogniem artylerji. Bankructwo zamierzonego Sedanu święci tu swój jaskrawy tryumf.

Jeszcze oryginalniejszy jest sposób wyjścia z Sedanu grupy generała Żeligowskiego, najbardziej północnej i najbardziej na los sedański narażonej. Do końca dnia 5-go lipca bije się ona najlepiej ze wszystkich grup 1-ej armji i jak zwykle to się dzieje przy porażkach, dzieli los najtęższych, bo znajduje się w najgorszem położeniu. W dodatku rozkaz o odwrocie nie dochodzi do niej wcale. Czuje ona tylko już od południa 5-go lipca, że dokoła niej dzieje się coś niesamowitego. Za prawem jej, południowem skrzydłem, atakowanem na wschodnim brzegu Mniuty pod Łużkami, znika wszelki nasz opór. Oddziały 10-ej dywizji, które tu zwycięsko odpierają nieprzyjaciela, już pod wieczór mają na swych tyłach patrole i drobne oddziały nieprzyjacielskie. Na całym zaś froncie 10-ej dywizji na Mniucie i 8-ej dywizji w okolicach Pohostu odczuwa się nacisk zbliżających się większych sił 4-ej nieprzyjacielskiej armji p. Sergiejewa. Generał Żeligowski w tej sytuacji zdecydował wykonać odwrót jeszcze nocą na 6-ty, i wyjść, zbliżając się do grupy generała Jędrzejewskiego, którą spodziewał się znaleźć w odwrocie w okolicach Duniłowicz.

Marsz nocny był szybki, chociaż uciążliwy. Nie ścigany i nie napierany przez nieprzyjaciela, generał Żeligowski rano dnia 6-go ściągnął całą dywizję 10-tą w okolicy Mosarza, gdy 8-ma dywizja ciągnęła jeszcze po długim marszu od Szarkowszczyzny ku południowi [1]). Generał Żeligowski zastał tutaj zupełną pustkę — ani swoich, ani nieprzyjaciela. Zaniepokojony prawdopodobnie tą pustką, po krótkim wypoczynku ruszył gen. Żeligowski do Duniłowicz, gdzie przyszedł pod wieczór, nie spotykając nigdzie nieprzyjaciela, nie mając również żadnego z jego strony nacisku skądkolwiek. 8-ma dywizja poruszała się w ten sam sposób nieco bliżej ku zachodowi, kierując się bezpośrednio na Postawy. Dwie dywizje dzień cały manewrowały w próżni — ani swoich, ani nieprzyjaciela. Gdzieniegdzie prawdopodobnie spotykano spóźnionego taborytę, popędzającego strudzone konie z kierunkiem na zachód. Gdzieniegdzie w przydrożnych rowach leżał złamany wóz lub zdychający koń, zwykłe świadectwo minionej burzy wojennej przy spiesznych odwrotach. Ludność miejscowa prawdopodobnie twierdziła, że nasi już dawno przeszli, a nieprzyjaciela dotąd niema. Generał Żeligowski w dniu tym musiał sobie setki razy zadawać pytanie, gdzież są swoi a gdzie nieprzyjaciel? Nacisku od północy, od armji p. Sergiejewa nie odczuł wcale w ciągu dwóch dni boju. Bił się dwa dni z frontem na wschód, z takim samym frontem biła się również cała armja 1-a. Wiedział, że tam się działo coś niedobrego, że wtedy, gdy jeszcze wieczorem dnia poprzedniego pod Łużkami i niedaleko od Hermanowicz toczył boje, na południu bój zamilkał, i że miał z tego powodu zagrożone prawe swe skrzydło. Teraz więc idąc ku południowi, defilował przed frontem nieprzyjaciela, gdyby ten szedł tak jak atakował — na zachód. Tymczasem z tej właśnie strony nic w przeciągu dnia całego mu nie groziło. Nic więc dziwnego, że gdy wieczorem i wśród niespokojnej nocy w Duniłowiczach namyślał się nad swą sytuacją, przyszedł do przekonania, że jest właściwie na tyłach nieprzyjaciela, który całą swą masą ruszył na południowy-wschód w kierunku Mołodeczna. Miała za sobą przecie cały dzień 6-go lipca, a może i nawet dużą część poprzedniego dnia, piątego.

Do takich oryginalnych sytuacyj doprowadziła nieudana sedańska operacja. Oddział silny, bo stanowiący trzecią część naszej

[1]) Patrz szkic Nr. 1 d.

armji, dla której przygotowywano Sedan, oddział w dodatku najbardziej na skutki tego zamysłu narażony, oddział najbardziej w ruchu opóźniony, znajduje się nagle w przeciągu dnia całego wolny, jak ptak niebieski wolny w wyborze swych decyzyj i kierunku swych poruszeń. Jeżeli defilada generała Jędrzejewskiego jest bankructwem wyraźnem idei sedańskiej, to generał Żeligowski ze swemi dwoma dywizjami w dniu 6-ym lipca jest tak jaskrawym jej zaprzeczeniem, że niekiedy trudno przypuścić, by ten plan i zamiar kiedykolwiek u p. Tuchaczewskiego istniał.

Generał Żeligowski parokrotnie mnie zapytywał potem o mój stosunek do jego decyzji cofania się dalej ku zachodowi, gdyż wahał się długo przed jej powzięciem. Sądził bowiem, że może należało wykorzystać tak niezwykłą sytuację na tyłach przeciwnika, i mając pod ręką spokojnego i dobrego żołnierza, uderzyć na te tyły, robiąc w nich zamieszanie. Jako centrum tych tyłów suponował wtedy największy punkt tej okolicy, Głębokie. Myśl ta uparcie prześladowała generała Żeligowskiego w dniu 6-ym lipca. Pomimo, iż wszystkie próby wyjaśnienia kwestji „co by było gdyby było" są bezpłodne historycznie, prawa analizy sytuacji wojennej są inne, gdyż takie próby ją pogłębiają i uwypuklają znaczenie poszczególnych poruszeń wojsk i wpływ rozkazów dowódców. Dlatego też zatrzymam się nieco na tej oryginalnej sytuacji, w której się znalazł generał Żeligowski i na możliwej w tych warunkach decyzji wykorzystania zupełnej swobody jej wyboru, którą w dniu 6-go lipca posiadał. Korzystając z prawa analityka, przeniosę zapadnięcie decyzji nie do Duniłowicz, lecz do Mosarza, gdy gen. Żeligowski stał na odpoczynku i po wyjściu z lasów nad rzeką Dzisną, po raz pierwszy odczuł próżnię, która go otaczała. Przypuszczenie moje nie jest niemożliwem, generał Żeligowski równie dobrze mógł się wahać w Mosarzu czy jego okolicach, jak i w Duniłowiczach. Był i tu i tam w zupełnie analogicznej sytuacji, a marsz do Duniłowicz mógł go tylko utrwalić w przypuszczeniu, że się znalazł na tyłach nieprzyjaciela.

Dla analizy sytuacji chcę przedewszystkiem oswobodzić generała Żeligowskiego od jakiegokolwiek nacisku armji 4-ej p. Sergiejewa. W dniu bowiem 6-go lipca dywizje p. Sergiejewa osiągnęły dopiero wieczorem, i to prawdopodobnie tylko strażą przednią, linję Mosarz—Szarkowszczyzna. Dzień więc 6-go lipca stanowczo był wolnym z tej strony dla generała Żeligowskiego. Gdyby więc po dłuższym odpo-

czynku koło Mosarza, którego niechybnie wymagała jego dywizja, więc mniej więcej koło południa generał Żeligowski zdecydował uderzyć na jakoby tyły w kierunku Głębokiego, co by zastał? Od Mosarza do Głębokiego, miał mniej więcej do 20 kilometrów. Marsz więc z ostrożnościami względnie niewielkiemi trwałby jakich 5 godzin. Koło więc godziny 5-ej byłby w okolicach Głębokiego. Znalazłby tam niewielką grupę jazdy — brygadę kubańską, która, sądząc z opisu p. Sergiejewa, nie odznaczała się wtedy bitnością i niechętnie wdawała się w boje. Obok tego podchodziłaby swemi strażami przedniemi lub może większą kolumną, gdyż szła marszem podróżnym, 54-a dywizja sowiecka od północy, od strony Łużek. Byłaby to akurat ta sama dywizja, która jeszcze dnia wczorajszego bezskutecznie atakowała generała Żeligowskiego na jego prawem skrzydle koło Łużek. Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że generał Żeligowski miałby w tym wypadku duże szanse zaskoczenia tej dywizji w marszu i pomieszania w ten sposób dużego manewru, dokonywanego w tym dniu przez 15-ą armję. Dywizja ta była prawo-skrzydłową dla armji 15-ej i zgodnie z rozkazami i zasadniczą ideą p. Tuchaczewskiego zachodziła w dniu tym, jako prawe ramię armji, długim, bo trzydziestokilkokilometrowym marszem, zmieniając w dniu tym od Łużek kierunek z zachodniego prawie na południowy. Na szkicu p. Sergiejewa narysowana ona jest, jako zajmująca 6-go wieczorem Głębokie, na prawem skrzydle całej 15-ej armji. Na podstawie notatki p. Sergiejewa na str. 59. jego dzieła mam prawo przypuszczać, że właśnie w tym dniu 15-ta armja przyjmowała szyk nowy, który nie dopuszczał, aby w dniu 6-go lipca w okolicach Głębokiego generał Żeligowski pod wieczór znalazł co innego oprócz 54-ej dywizji. Mówi on bowiem, że 15-a armja po bitwie zmasowała się silnie dla dalszego manewru i dodaje: „Jeszcze od Głębokiego miała armja w pierwszej linji 54-ą, 33-ą i 11-ą dywizję. W drugiej zaś linji 4-ą i 16-ą". Gdy więc 54-ta była skrzydłową w Głębokiem, musiały 33-a i 11-a masować się gdzieś dalej na wschodzie w okolicach kolei Połock — Mołodeczno i nie miałyby możności w ciągu dnia 6-go do nocy w czemkolwiek 54-ej dywizji dopomóc. 16-ta zaś musiała być znacznie w tyle i także do nocy wpłynąć na sytuację nie mogła.

Nie chcę twierdzić, że w ten sposób generał Żeligowski zmieniłby zasadniczo sytuację na naszą korzyść, lecz niechybnie wpłynąć by to

musiało na stratę conajmniej połowy następnego dnia, a może i więcej w manewrach przeciwnika.

Generał Żeligowski zaś mógłby zupełnie spokojnie po tem krótkiem uderzeniu, przekonawszy się, że nie jest wcale na tyłach nieprzyjaciela, cofać się w kierunku jeziora Miadzioł, do którego i tak następnego dnia t. j. 7-go bez żadnego nacisku ze strony nieprzyjaciela dochodził. U p. Sergiejewa 18-a jego dywizja dochodzi do jeziora Miadzioł dopiero 10-go lipca wieczorem. Miał więc generał Żeligowski dla swego odwrotu dosyć czasu.

Zatrzymałem uwagę czytelnika na tym charakterystycznym epizodzie dlatego, iż uwypukla on w nadzwyczaj wydatny sposób sytuację obu stron, walczących w dniu 6-ym lipca, gdy boje wszędzie ustają. Jest to ten dzień, w którym po nieudanym Sedanie nieprzyjaciel bez kontaktu z nami robił manewry dla nowego ugrupowania swoich sił. Dzień ten był — że tak powiem — nam darowany, jako czas dla naszego manewru również.

Pierwszy więc bój 4-go, 5-go i 6-go lipca został zakończony. Stworzył on początek nowych niepowodzeń na froncie północnym, które się zakończyły dopiero w półtora miesiąca potem naszem zwycięstwem aż pod Warszawą. A skutki jego ciążyły nad wojskami strony naszej tak długo i tak silnie, żeśmy od wpływu tego boju oswobodzić się mogli tylko nadzwyczajnym wysiłkiem. Dziwnem musi się to wydać, gdyż — jak to wykazałem — nie był ten bój właściwie rozstrzygającem zwycięstwem nieprzyjaciela. Przeciwnie, zamiar jego okrążenia naszej 1. armji i możliwie doszczętnego jej zniszczenia nie powiódł mu się wcale, gdyż oba skrzydła (4-a i 3-a armja) zostały względnie łatwo zatrzymane w biegu. A jednak, fakt pozostaje faktem, po tem półzwycięstwie wojska nasze prawie bez próby boju cofają się ustawicznie i to coraz szybciej tak, że w miesiąc znalazły się u wrót stolicy, leżącej o prawie 600 kilometrów w tyle. Sam opis boju oraz dotychczasowa moja tej bitwy analiza nie daje dostatecznego wyjaśnienia tego zjawiska. Zbyt mało ważną wydaje się przyczyna wobec ogromu jej skutków i umysł bezwiednie zmuszony jest szukać głębiej i dalej. Szukajmy naprzód u przeciwnika.

P. Tuchaczewski nad bitwą tą zastanawiał się mało. Traktuje ją jako jeden z epizodów i, jak już wskazałem, nie wspomina wcale o swoim zasadniczym planie, który znalazłem wyświetlony u p. Sergiejewa. Wydaje się być zupełnie zadowolonym ze siebie i swoich

wojsk i stwierdza spokojnie wbrew faktom, że wszystkie zadania jego armji zostały spełnione w nakazanych terminach. P. Sergiejew temu zupełnie przeczy. O działaniach swej 4-ej armji nie pisze tak chwalebnie, a w końcu swojej książki pomieszcza w anneksie swój rozkaz z 7. lipca, w którym daje swym podwładnym ostrą naganę. Charakterystycznemi są niektóre jej ustępy: „Dowództwo brygady 164-ej wykazało brak inicjatywy i zdecydowania. Cały dzień 5-go drepcze ona na tym samym miejscu pod pozorem nie otrzymania rozkazów i tem zatrzymuje ruch dywizji 53-ej. Ta ostatnia wyszła do okolic Szarkowszczyzny ze spóźnieniem o całą dobę i także dreptała 5-go lipca w jednym i tym samym miejscu, mając w odwodzie całych 5 pułków. Po zajęciu Szarkowszczyzny 53-a dywizja nie wiadomo po co ruszyła w kierunku Stukany, to znaczy na tyły 12-ej dywizji". A nieco dalej dodaje p. Sergiejew ostro: „Żądam, aby przerwano stały strach z powodu skrzydeł i przestano brać w rachubę (uczytywat') moralny stan przeciwnika. Nie dopuszczam nadal, aby poszczególne kompanje rozbitego przeciwnika, które nie zdążyły jeszcze uciec, były brane za świeże pułki, które groźbą uderzenia zatrzymują ruch całych naszych dywizyj". Tak mówi prawdomówny p. Sergiejew o dniu 5-go lipca, gdy nasza 8. dywizja, jakoby „rozpylona", „rozgromiona" i „zmiażdżona" zniweczyła wszystkie sedańskie zamiary od północy.

Co do drugiego, południowego skrzydła, 3-a armja według p. Tuchaczewskiego zajęła, jak jej kazano, 5-go lipca Dokszyce, a 6-go Parafianowo. Tymczasem w istocie opór pierwszej litewsko-białoruskiej dywizji zatrzymał 3-ą armję o tyle, że jak p. Sergiejew na str. 52-ej stwierdza, „rejon Parafianowo został osiągnięty przez nią dopiero 8-go lipca, to znaczy wtedy, gdy mogły tam być z naszej strony jedynie ostatnie patrole straży tylnych.

Dla p. Tuchaczewskiego fakty te nie istnieją, jest on pewien, że rozgromił i zmiażdżył przeciwnika, co mu prawdopodobnie zastępuje nieudany Sedan. Jak dalece nie orjentuje się p. Tuchaczewski co uczynił on i jego wojska, można przypuszczać z jego rozkazu, danego ze Smoleńska 7-go lipca o godz. 9 min. 40 rano. Dane o swym przeciwniku streszcza on krótko w pierwszych słowach tego rozkazu: „Główne siły rozgromionego przeciwnika odeszły w popłochu (odchłynuli) w kierunku Postaw" (anneks Nr. 10. str. 122, Sergiejew l. c.). Tymczasem wiemy, że niestety na ten naturalny kierunek główne siły pierwszej armji nie odeszły wcale, gdyż zostały 5-go po południu

ściągnięte rozkazem generała Szeptyckiego w całkiem innym kierunku, w kierunku Parafianowa i Mołodeczna. Na postawski zaś, że się wyrażę stylem mego przeciwnika, kierunek, wyszły tylko i to przypadkowo dwie dywizje — 10-a i 8-a, których dowódca, generał Żeligowski, zupełnie swobodny od jakiegokolwiek nacisku nieprzyjaciela, zamierzał przez pewien czas przejść do ofensywy przeciwko jego wojsku.

Na podstawie tych błędnych danych o nas, p. Tuchaczewski nakazuje najsłabszej swojej armji, wzmocnionej zresztą kawalerją, pościg za rozgromionym i doszczętnie rozbitym przeciwnikiem w kierunku na Postawy i Wilno. Natomiast zbiera główne swe siły, armję 15-ą i 3-ą, w silnie zaciśnięty kułak, z którym oddalając się ku południowi od ścigającej armji 4-ej, rusza na dokończenie zwycięstwa, by „zmiażdżyć" i „rozgromić" resztę sił naszych na tym froncie, naszą 4-ą armję, stojącą na Berezynie. Ma ona teraz być atakowana z frontu przez armję 16-ą i większą część grupy mozyrskiej, nacierającej na Bobrujsk i mającej kierunek na Słuck; na jej lewe skrzydło już 6-go lipca skierowana jest 3-a armja. Najbardziej zaś uposażona i najsilniejsza 15-a armja idzie w kierunku Mołodeczna, jako główny odwód, jakby stara gwardja Napoleona, by złamać ostatni opór, gdyby taki był jeszcze stawiany.

Gdy myślę o tych wszystkich działaniach i pracach naszego przeciwnika w przeciągu tych pierwszych dni operacji, prowadzących ku Warszawie, nie mogę znaleźć w nich nic takiego, coby usprawiedliwiało wielkie znaczenie tego boju i brak poważnego oporu aż do Warszawy. Gdy myślę o tych bojach, gdy je analizuję, nie mogę nie widzieć jakiejś dziwnej obawy i braku silnej decyzji w wojskach sowieckich. Pomimo olbrzymiej przewagi, jaką mają specjalnie na skrzydłach, dywizje nieprzyjacielskie istotnie zbyt często „drepczą na miejscu", nie wyzyskując ani swej przewagi, ani niezaprzeczonych taktycznych zwycięstw. Nie sądzę, bym się omylił przypuszczając, że owa obawa (robost'), którą p. Tuchaczewski przypisywał jedynie 16-ej swej armji, a p. Sergiejew, jak widzieliśmy, rozszerzał ją po majowej przegranej i na inne dywizje, specjalnie w skrzydłowej 3-ej i 4-ej armji — że obawa ta przed wartością przeciwnika działać jeszcze musiała silnie podczas bojów na początku lipca. Zobaczymy, jak wkrótce nauczą się sowieccy żołnierze negliżować nas, jak niezdatny do boju tłum; lecz jeszcze w pierwszych dniach lipca obawa ta istnieje. Nawet wybrana 15. armja, złożona z dywizyj najlepszych, które do-

tąd z nami szpady nie krzyżowały, po niechybnych sukcesach w dniu 4-ym i początku 5-go lipca staje w bezczynności, gdy nasze wojska się cofają. Czyżby wietrzyła ona jakąś zasadzkę, jakgdyby oczekując niespodziewanego, a zwykłego dotąd u nas Polaków manewru? Czuć jeszcze we wszystkiem naszą dotychczasową przewagę moralną nad przeciwnikiem. Na drodze drepczącym na miejscu dywizjom stoją jeszcze dotąd fantomy poprzednich porażek i niepowodzeń tak, że wojska zdają się nie wierzyć przesadnym, zaczerpniętym z publicystyki agitacyjnej, określeniom swych dowódców. U przeciwnika więc nie znajdziemy wytłómaczenia głębokiego strategicznego znaczenia taktycznej przegranej, którąśmy ponieśli w dniach 4-go i 5-go lipca. Poszukajmy więc tego u siebie.

Już poprzednio mówiłem, że dowodzący z naszej strony bojem 4-go i 5-go lipca postawili jako cel swym podwładnym utrzymanie swego stanu posiadania, a gdzie ten został przez nieprzyjaciela naruszony, „osiągnięcie poprzedniej sytuacji". Ostatnie słowa postawiłem w cudzysłowie, gdyż powtarzają się one tak często w depeszach, raportach i rozkazach, że stanowią jakby myślowy refren w muzyce bojowej z tych dni. Słowa charakterystyczne! Wydaje się, że ten marny skrawek ziemi jest jakimś utraconym skarbem, dla którego wytężyć trzeba wszystkie wysiłki. Czyżby tak istotnie było w pojęciach dowodzących? Gdy odczytuję raz po raz oceny wartości wojennej tego skrawka terenu, znajduję akurat sąd odwrotny. Każdy z dowodzących w swoich relacjach skarży się na różne jego braki. Więc jeden twierdzi, że z powodu błot na linji frontu były trudności komunikacji wzdłuż niego, gdy odwrotnie dla nieprzyjaciela z powodu suszy błota te nie stanowiły dostatecznej przeszkody. Inny stwierdza, że z powodu wielkiej ilości krzaków przed frontem pole obstrzału było bardzo małe i nieprzyjaciel miał wielką łatwość podejścia. Nawet nieszczęśliwa Auta, której mianem chrzczą główni dowódcy samą bitwę, doczekała się zjadliwej oceny w relacji jednego z nich. Generał Jędrzejewski, dowodzący grupą w centrum, pisze: „O ile mogła na oko (z mapy) rzeczka Auta budzić zaufanie jako przeszkoda, to w rzeczywistości wątły ten strumyk nie przedstawiał żadnej wartości obronnej". Jedynie może generał Ledóchowski, dowodzący 11-ą dywizją, nie mówi ujemnie o tym skarbie utraconym. Stwierdza on bowiem w relacji krótko, że pozycja była dobra i zdatna do trzymania. Wszyscy zaś w jeden głos, nie wyłączając i wyższych dowódców, jak

generała Zygadłowicza, dowodzącego 1. armją i generała Szeptyckiego, dowodzącego frontem, stwierdzają, że pozycja, na której przyjęto bitwę, była zbyt rozciągła dla naszych sił oraz za mało uposażona przy tej rozciągłości w artylerję. Powstaje więc naturalne pytanie, po co właściwie jako cel prawie dwudniowych bojów stawiano „osiągnięcie poprzedniej sytuacji?" Jeżeli ta pozycja nie była tak dobrą, to względnie łatwo znaleźć by można było inną chociażby nienajlepszą, lecz mającą te same lub inne nieco wady, na której równie dobrze a może i lepiej bić się można było. Po co tak się upierać przy pozycji niedogodnej, a uporczywie przez nieprzyjaciela w przewadze atakowanej?

Gdy się mówi o pozycji, o którą bitwy się toczą, prowadzi to każdego, znającego historję wojen, do tak zwanej wojny pozycyjnej. Pozycją nazywamy taki czy inny szmat gruntu, który ze względu na swą budowę daje możliwie dużo przewagi obrońcom nad atakującym. Przez pewien więc czas w historji wojen sztuka wojenna wysilała się na wyszukanie w terenie takich pozycyj, na których wojsko bezpieczniej boje przyjąćby mogło. Lecz doświadczenia wojenne zaprzeczyły podobnej podstawie myślowej, gdyż nieprzyjaciel zwykle takie pozycje obchodził, nie kusząc się o ich zdobywanie. A zresztą gdy okop wzmaniać począł prawie każdy jaki chcąc skrawek ziemi, pozycje wogóle straciły dużo na wartości. Nie dla pustego więc słowa „pozycje" stawiali nasi dowódcy jako cel naszym wojskom osiągnięcie straconych, a złych według nich pozycyj. Szło tu o co innego, i gdyby w rozkazie zamiast abstrakcyjnego określenia „osiągnąć poprzednią sytuację", użyto bardziej materjalnego określenia „odebrać straconą linję okopów", bylibyśmy w domu, gdyż właściwie o to jedynie toczono bój. Nie pozycja, uznana zresztą za marną, a łatwa do odnalezienia w innem miejscu, grała tu rolę, lecz długa linja w ten czy inny sposób wybudowanych umocnień, przeprowadzonych okopów. Tylko wtedy zresztą, gdy tak pojmiemy cel bitwy, nabiera ona strategicznego znaczenia, zamiast być szeregiem nieskoordynowanych niczem walk bez większego celu.

Umyślnie podkreślam tę różnicę, jaka istnieć musi, zdaniem mojem, pomiędzy pozycją a okopem, pomiędzy wojną pozycyjną a okopową. Gdy wojna pozycyjna, tak jak ją określiłem wyżej, należy już dość dawno do przeszłości, wojna okopowa, trwając długich kilka lat na wielkich przestrzeniach podczas wojny europejskiej, nietylko stała

się powszechnie znaną, gdyż brało w niej udział dziesiątki miljonów ludzi, lecz swemi wymogami zdążyła urobić głowy i dusze ludzkie i stworzyć nawet specjalny język wojskowy. W początkach wojny europejskiej w 1914 r. okop należał wyłącznie do taktyki, do metody, jaką boje prowadzono. Obok karabinu, każdy żołnierz niósł w boje łopatkę, jako część nieodłączną swego uzbrojenia. I czy się miał bronić przeciwko nieprzyjacielowi, czy miał iść na niego w natarciu, musiał swej łopatki używać jako środka walki. Więc w gwałtownych ruchach i manewrach, któremi otwarto czteroletnią olbrzymią wojnę, okop używany był wszędzie, czy w natarciu, czy w obronie, lecz nigdzie jako cel wielkich bojów nie był wyznaczony i do dziedziny strategji wyznaczającej te cele nigdy się nie wdzierał. Niekiedy dzięki swej sile, sile obronnej, nabierał on znaczenia pozycji, którą to nazwą chrzczono ongiś specjalne skrawki terenu, od natury mające wartość obronną; lecz i wtedy był on tylko epizodem olbrzymich zapasów miljonowych armij, które aż do końca roku 1914 wyrzec się nie chciały głównego czynnika zwycięstwa — ruchu.

Dopiero w następnym roku na polach Francji i Belgji obaj przeciwnicy stanęli w bezruchu i bezwładni, zatrzymani naprzeciw siebie długą, nieprzerwaną linją okopów. Okop wtedy, jako nieprzezwyciężona zagroda, niszcząc główny czynnik dotychczasowy — manewr i ruch, wdarł się zwycięsko z dziedziny taktyki do strategji.

Jako dumny zwycięzca zaczął tyć, zaczął opływać w rozkosze i żądać od prowadzących wojnę, jak Moloch, coraz to nowych ofiar. Wyrastały więc linje okopów jedna za drugą, tworzyły się całe labirynty tak, że człowiek świeży, gdy w nie trafiał, był jak w nowem nieznanem mieście, gdzie bez planu, drogowskazów, nazw ulic i ciągłych rozpytywań zabłądzić trzeba. Okop zażądał ofiary z codziennego życia ludzkiego. Żołnierze uczynili z nich swe mieszkania, a ogromne wysiłki ludzkie próbowały z tego niezwykłego miejsca uczynić mieszkanie dogodne, zdatne do pracy i odpoczynku. Dla żądań nowego fetysza wojny w jego rydwan zwycięski wprzągnięto wszystko, co kraj wojujący miał do swego rozporządzenia. Więc inżynier, nie marny piechur, stosował tam swą wiedzę techniczną, a liczne fabryki dostarczały ogromnej ilości materjału budowlanego, które okop w siebie wchłaniał. Jak w wielkiem mieście biegły we wszystkich kierunkach druty, łączące sztaby i dowódców, składy i magazyny, szpitale i stajnie. Okop tył, wzmacniał z każdym miesiącem swą po-

tęgę, i coraz dokładniej, coraz gruntowniej burzył i niweczył siłę dotychczasowego zwycięzcy wojennego, ruchu i manewru. W tej kilkuletniej wojnie o okopy wyrobiła się specjalna psychologja u żołnierzy i u dowódców. Psychologja, związana po pierwsze z budownictwem wojskowem o specjalnym charakterze, budownictwie, zużywającem masy materjału budowlanego, a następnie ze zmechanizowaniem ogromnej części działań bojowych, jak to jest zawsze przy skupieniu wielkich ilości ludzi w ciasnem współżyciu i współdziałaniu dla jednego celu. Walczono wtedy z największym wysiłkiem o cząsteczki labiryntu okopowego, zwycięstwem zwano przejście pół kilometra tej nowej, nieznanej dotąd przeszkody. Okupywano te zwycięstwa wielkiemi stratami ludzi i jeszcze większą stratą drogocennego materjału wojennego. I wtedy, w takiej właśnie wojnie okopowej, która ruch i manewr tak dalece ograniczyła, strategja wyznaczać poczęła dla boju skromniejsze niż dawniej cele, i wtedy „osiągnięcie poprzedniej sytuacji" oznaczało odebranie zdobytych przez nieprzyjaciela okopów, jako straconego skarbu.

Wojna w dawnem tego słowa znaczeniu zdawała się znikać i długo wszystkie próby i wysiłki najświetniejszych umysłów, by do strategji z tryumfem dawnego zwycięzcę wprowadzić z powrotem, zdawały się bezpłodnemi. Wielki wódz świata wojny, który olbrzymim swym genjuszem przełamał ongiś strategję linji i niezdobytych pozycyj, wielki Napoleon musiał nieraz w grobie się przewracać, myśląc o zaniku jego nauk i zgubie w bezpamięci jego świetnych czynów. Gdy on dumnie mówił, że wiele wojen wygrał nogami żołnierza, ich ruchem i błyskawicznym manewrem, tu wojna najwidoczniej się wyradzała, degenerując się w bezpłodne usiłowania wszelkiego rzemiosła i industrji, wysilających swe ręce dla podaży olbrzymiego materjału, potrzebnego dla prowadzenia tego rodzaju zapasów. Złamania woli przeciwnika oczekiwano od zmęczenia przez ustawiczny mord ludzi i przez wypompowanie sił przemysłu i rękodzieła.

Główną więc zasadą wojny okopowej jest postawienie tak silnej przeszkody ruchowi nieprzyjaciela, że tylko za pomocą olbrzymiej zatraty sił i żyć ludzkich oraz materjału wojennego ruch jest dozwolony, każda więc próba tego ruchu karaną być musi takiemi właśnie stratami i bój przybiera charakter przekonania przeciwnika, który ośmielił się atakować, że wszelkie jego próby są daremne. W ten sposób dopiero okop z całą jego komplikacją techniczną i ze zmianą wy-

woływaną przezeń w duszach żołnierzy i ich dowódców, staje się częścią strategji wojennej, opuściwszy niziny taktyczne.

Gdy z tego punktu widzenia wojny okopowej staram się zanalizować naszą wojnę polsko-sowiecką, znajduję zawsze zarówno w swoich wspomnieniach, jak i w dokumentach, wewnętrzne tarcie w naszem wojsku w tej właśnie sprawie. Wtedy, gdy ja, jako naczelny wódz, wyrzekłem się odrazu próby prowadzenia wojny okopowej, nie widząc możności nawet zastosowania jej metod pracy u nas, spotykałem zawsze zarówno u swych podwładnych, jak i w społeczeństwie hołdowanie zasadzie „faites une ligne forte". Będąc pod silnem wrażeniem świeżo minionej wojny w Europie, ludzie w moich próbach wprowadzenia w naszej wojnie metod ruchu i manewru zbyt często niestety chcieli widzieć niedorozwój myśli strategicznej, uciekającej od całej krasy i potęgi niedawnego pana strategji — tłustego i opasłego okopu. Okop zaś u nas właśnie mógł być bardzo chudym i bardzo mizernym. Nie mógł być żywiony, by nabrać potrzebnej strategicznej tuszy, ani przez przemysł, którego nie było, ani przez wysiłek ludzi dla dostatecznego zaludnienia okopu i utrzymania go w należytej tuszy i znaczeniu. Do roku 1920 wpływ mój przeważał o tyle, że okop wracał do należnej mu dziedziny, dziedziny taktyki i metody boju, a stałe zwycięstwa, któreśmy odnosili, zdawały się potwierdzać słuszność mego zapatrywania. Okop jednak niechętnie ustępował ze swego tronu. Mścił się — szukał rewanżu, pozostawiając na swojem miejscu nieodłączną swą siostrzycę—linję, kłócącą się w stałej sprzeczności z wprowadzonym przezemnie ruchem i manewrem. Mścił się — zostawiał naokoło mnie i specjalnie za plecami wzruszanie ramion, niezadowolone szepty i ciche bolesne skargi na przestarzałe dziecinno-romantyczne pomysły strategiczne naczelnego wodza . Faites une ligne forte! To jest wojna współczesna, to jest zbawienie Polski! Ileż wstydliwych zakątków historji mógłbym wyświetlić, związanych z tą kontrowersją!

Wracając do analizy lipcowych bojów zaznaczam, że cel stawiany bojowi 4-go i 5-go lipca przez naszych dowódców zaczerpnięty był nie skądinąd, jak z psychologji i strategji okopowej. Szukał on, zgodnie z tą strategją, dowiedzenia przeciwnikowi, który nas atakował, że okop, wybudowany przez nas jest nie do przebycia i że, gdy stąpił na nim nogą, ukaranym być musi za to świętokradztwo. Gdy zaś przeglądam dokumenty, rozkazy, raporty i relacje, znajduję w nich ja-

sne dla mnie dowody, że okres poprzedzający bitwę, był okresem rewanżu pana strategji — okopu, w stosunku do naczelnego wodza.

Oto jeden z takich dokumentów, pełnych określeń i pojęć, zrozumiałych jedynie przy prowadzeniu wojny okopowej w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Mówię o planie obrony odcinka 1-ej armji. Generał Zygadłowicz otrzymał rozkaz od dowódcy frontu głoszący, że „obecnie zajęta linja 1-ej armji stanowi *zasadniczą linję obronną*, umocnienie której należy wszelkiemi środkami przyspieszyć". Plan obrony, nakazany przez generała Zygadłowicza, polegał na następującem:

„Każda grupa operacyjna w swoim odcinku miała przeprowadzić umocnienie linji obronnej i odcinek swój we współudziale z artylerją i przy pomocy własnych rezerw, przygotowanych przeciw *wszelkim atakom* nieprzyjacielskim, utrzymać. *Automatyczne* współdziałanie artylerji i rezerw z obsadą pierwszej linji obronnej według *zasad znanych* i rozkazem 2226/III. z dnia 1.VII do ogólnej wiadomości przypomnianych". Dalej czytamy: „W razie przerwania frontu miała wkroczyć odnośna, *dla odcinka z góry* przeznaczona, rezerwa, zasadniczo" jednak na rozkaz dowództwa armji. Na dobitkę zaś w końcu planu dodaje: „*Rezerwy operacyjne* stały tak blisko, że mogły w przeciągu 5 — 6 godzin na każdym punkcie przynależnego im frontu do boju wkroczyć".

Gdy czytam teraz nieznany mi w owe czasy dokument o „zasadniczej linji obronnej i automatycznem działaniu piechoty z artylerją", z podziwem myślę, czyżby to było istotnie? Czyżby nie było jakichś wahań i jakiejś samokrytyki w stosunku do takich rozkazów? Owszem, były. Oto inny dokument tegoż generała Zygadłowicza, oceniający jego sytuację 3. lipca przed samym bojem. Pisze on tak, jak profesor. „Jak z doświadczeń wojny światowej wynika, obsada powyższa linji bojowej przez piechotę była w ogólności dosyć gęsta, o ile linja bojowa tak *linearnie* jak i w głąb jest *wybudowana* i posiada odpowiednie *przeszkody druciane*". Jednak generał nadmienia, że „szerokość odcinka dywizyjnego w wojnie światowej na frontach atakiem zagrożonych nie przekracza 3 — 4.000 metrów"; wtedy, gdy u nas „szerokość odcinków dywizyjnych 1-ej armji ponad kilkanaście kilometrów, uniemożliwiała pożądane liczne wydzielenie rezerw i dostateczne ich ugrupowanie w głąb".

Gorzej jest z artylerją, albowiem „do podparcia frontu zagrożonego należy według doświadczeń wojny światowej na 150 metrów

frontu najmniej liczyć 2 lekkie i 1 średnie działo". Według rachunku generała dla jego armji wypada, jako minimalne zapotrzebowanie 880 dział polowych lekkich i 440 dział 15 cm." Tymczasem — skarży się boleśnie generał — stało na froncie bojowym około 100 dział lekkich i koło 45 dział średnich. A dalej, po wzmiankowanym wyżej rozkazie o automatycznem współdziałaniu artylerji z piechotą, generał przy ocenie, po przedstawieniu cyfrowych danych, dodaje: „Chociaż sytuacja nasza materjalna nie pozwalała wymogom powyższym zadośćuczynić, to jednak dane te ilustrują, jak słabo zaopatrzony artylerją był front i że na skuteczne poparcie piechoty przez ogień artyleryjski w krytycznych chwilach, tak w formie automatycznego ognia zaporowego, jak skoncentrowanego ognia odpierającego, można było liczyć jedynie w razie lokalnych — tylko części frontu obejmujących ataków".

Najgorzej jednak jest z ukochanem dzieckiem okopów, nieodłącznym jego opiekunem, drutem kolczastym. Tak więc generał skarży się na „opłakane stosunki przewozowe". Z trudem dano 5 wagonów drutu kolczastego dla pierwszej dywizji litewsko-białoruskiej z Mołodeczna do Parafianowa, a 13 zaledwie wagonów przepchano do stacji Podswilje, a przecież — płacze generał — ilość tego drutu nie wystarczała, aby jeden rząd przeszkody wzdłuż frontu wykonać! I w biednej skłopotanej głowie generała powstawały pewnie złote sny, gdy ku frontowi zagrożonych odcinków, w których stał ongiś, biegły specjalnie w tym celu wybudowane koleje i kolejki, wiozące ofiary jego panu — okopowi, setki wagonów drutu, setki wagonów, napełnionych klocami, setki z materjałem budulcowym drzewnym i żelaznym, i gdy na ogromnej przestrzeni, pokrytej drutami telefonicznemi, kłócono się zawzięcie o dostarczenie czemprędzej rolek papy dla pokrycia dachów nad mieszkaniami żołnierzy. Wobec tego wszystkiego generał sądzi, że w lipcu 1920 roku armja znalazła się „przed zadaniem, którego przezwyciężenie wymagało nadludzkich sił", a „elementarnej fali" nie można było postawić zapory.

Nie przeszkadza to jednak wydawaniu rozkazów i ich wykonaniu, sprzecznym najzupełniej z tak słusznie ocenianą sytuacją. Więcej, czytam oto rozkaz generała Rządkowskiego, dowodzącego grupą. Rozkaz z dnia 30. czerwca. Punkt pierwszy głosi: „W załączeniu przesyła się: a) szkic systemu linji obronnej na obszarze 1-ej i 4-ej armji, nakazanej przez dowództwo frontu generała Szeptyckiego.

b) szkic systemu linji obronnej na obszarze 1-ej armji rozwinięty z poprzedniego przez dowództwo tejże armji. Nadmienia się, że projektowana przez dowództwo 11. dywizji *„1-a linja 2-ej pozycji"* zgadza się z 1-ą linją dowództwa frontu i 1-ej armji i za taką ma być uważaną". Mają tam być „place, względnie węzły obronne t. zn. większe lub mniejsze kompleksy punktów oporu w taktycznie najważniejszych punktach oraz poszczególne punkty oporu między tymi węzłami na taktycznie mniej ważnych punktach. Odległość węzłów, uwzględniając konieczność taktyczną, powinna być tak obliczoną, ażeby pomiędzy dwoma sąsiedniemi węzłami był związek ogniowy, a rezerwy rozlokowane z tyłu mogły na czas zdążyć (zapewnie automatycznie — uwaga moja) w przerwy między węzłami i paraliżować wtargnięcie nieprzyjaciela. Odległość punktów oporu taka, by mogły się wzajemnie popierać ogniem karabinów (flankowym). W myśl powyższego odpowiednio do lokalnych warunków należy uzupełnić liczbę punktów oporu". Szkic przysłany do wykonania, który teraz po raz pierwszy widzę, przedstawia głębokość tego ufortyfikowanego obszaru na mniej więcej 50 kilometrów!! Mnóstwo mniejszych i większych gwiazd i gwiazdeczek, mających reprezentować „place i węzły obronne" upiększa plan generała Szeptyckiego, a wszystkie połączone są nieprzerwanym okopem. I to ma być wykonane! Tym mają sobie zaprzątać umysły i dowódcy i żołnierze, gdy — jak widzieliśmy — obsada linji przez piechotę jest niedostateczna, przez artylerję zupełnie niewystarczająca, a konieczny materjał dla umocnień — druty, jak widzieliśmy nie wystarcza dla przeprowadzania jednego rzędu drutów na pierwszej linji. Ten projekt jednak istniał historycznie i zdaje się tylko dzięki niewykonaniu tego projektu dowódca frontu uznał siebie za pobitego i nie zatrzymał dalej „elementarnej fali" innemi metodami.

Nie będę cytował wielu innych dokumentów, świadczących o rozpanoszeniu się systemu wojny okopowej w owym czasie na północnym naszym froncie. Zatrzymam się na jednym z nich, który tyczy się działania artylerji, według rozkazu zautomatyzowanej dla współdziałania z piechotą. Leży przedemną szkic dla takiej pracy III-go dywizjonu 1. pułku art. pol. litewsko-białoruskiej dywizji. Ileż wspomnień obudził we mnie ten szkic! Jest to rok 1916 w całej swej krasie! Ileż takich szkiców przeglądać musiał w owe czasy każdy z dowódców, ilu oficerów było zajętych w sztabach dowództw wykończeniem, skon-

trolowaniem i poprawieniem takich właśnie szkiców! Na leżącym przedemną szkicu jest prawie wszystko, co raj okopowej wojny żąda mieć. Cyfry, litery, różne kolory ołówków, długie strzałki, oznaczające kierunek ognia, i wreszcie tak charakterystyczny plan zmechanizowanego ognia zaporowego z notatką o z góry określonym wydatku amunicji. Wymienione jest wszystko, i minuty, w ciągu których ogień ma trwać, i szybkość tego ognia. Nadmienię, że oszczędność amunicji jest bardzo widoczna, albowiem baterja 7-a ma tylko przez dwie minuty strzelać po 3 strzały na działo i na minutę, a zatem w sumie, dla ognia mającego zatrzymać dywizję nieprzyjacielską, baterja 7-a ma oddać aż 24 strzały!! Ależ koń by się śmiał z takiej zapory!! A gdy dodam, że tych nieszczęsnych 12 dział dywizjonu ma pokryć ogniem zaporowym 9 kilometrów przedpola frontowego, gdzie według „doświadczeń wojny światowej" minimalnie stałby musiało 120 dział lekkich z odpowiednią ilością średnich dział, z których ani jednego na odcinku nie było, a o ciężkich nawet mowy być nie mogło, to chyba czytelnik wybaczy moje żołnierskie zaklęcie! Gdy pomyślę o żołnierzu, co pod huraganem żelaziwa, miotanego nań z setek i setek paszcz działowych, szedł w obawie przedśmiertnej na okop nieprzyjacielski w istotnej wojnie okopowej, i gdy przypomnę szare, ziemiste twarze swych żołnierzy po jednodniowym, nie dwuminutowym trwaniu w okopach w piekle istotnego ognia, nie mogę bez goryczy myśleć o tych kpinach z żołnierza i z oficera, mającego czas marnować na głupie naśladownictwo marnej żabki, wyciągającej łapkę do podkucia jej olbrzymią podkową. Okopie, okopie, wielki fetyszu, coś największe umysły i najtęższe charaktery zwyciężał, strzeż się swych małych przyjaciół, bo ci według przysłowia zgubią cię i ośmieszą!!

Dlatego też ze wszystkich dokumentów, w których się rozejrzałem, najbardziej mi się podobała relacja gen. Jędrzejewskiego, który skarżąc się na „wątły strumyk" — Autę, na słabość ufortyfikowania pozycji i na brak drutów, stwierdza, że „zawczasu należało wypracować dokładny plan odwrotu, nie narażając oddziałów na niepotrzebne straty, dając możność zmierzenia się z siłami nieprzyjacielskiemi na *dogodnych dla nas pozycjach*, a nie zmuszać nasze oddziały bić się na pierwszej linji, niepotrzebnie niszcząc materjał ludzki bez nadziei powodzenia". A raj okopów przecie istniał! Gdzieś w tyle świeciła „niemiecka linja obronna z czasów wojny światowej; linja ta stanowiąca doskonałą pozycję o niezliczonych odrutowaniach", z któ-

rych we dnie nawet trudno było się wydobyć. No czyż nie raj! Nawet przy jasnem słoneczku zabłądzić w drutach można!

Ta dziwna, niezrozumiała dla mnie tęsknota do wojny okopowej u naszych dowódców mieć musiała inne groźne następstwa. Okop, wdzierając się zwycięsko do strategji, stać się musiał własnością, że się tak wyrażę, tych dowódców, których przywilejem służbowym była praca strategiczna, praca wyższego dowodzenia. A taktyka teatru wojny, jak niektórzy nazywają strategję, zazdrośnie swych przywilejów strzeże, ograniczając w swobodnem użyciu objektów swojej uwagi taktykę niższą, taktykę placu boju. Stąd zawsze oczekiwać można, że użycie okopu, określenie jego siły, kierunku, ilość pracy nań wydanej, więcej zależeć będzie od wyższych dowódców, niż od niższych i żołnierza. Im bardziej więc łopata staje się bronią strategiczną, tem mniej bez rozkazu użyje jej żołnierz i młodszy oficer. W naszych więc warunkach, gdzie niepodobna było myśleć o rozwoju okopowej wojny, jako taktyce teatru wojny, wszelkie próby w tym kierunku czynić musiały naszego żołnierza i oficera słabszym i gorzej uzbrojonym, gdy wyższy dowódca brał na siebie rozporządzenie się jego łopatką.

Dla psychologji okopowej dowódców nadzwyczajnie charakterystycznym jest fakt z 17-ą naszą dywizją, która, jak wiemy, stała w odwodzie i, będąc zachowaną do rozporządzenia dowódcy frontu, nie wchodziła do automatycznego współdziałania ani z artylerją, ani z piechotą. Od pierwszej chwili boju, gdy do Wilejki, a zatem i do Mińska, miejsca pobytu dowódcy frontu, przyszły wiadomości o cofaniu się 11-ej naszej dywizji, zaczęto pertraktacje pomiędzy dwoma wyższemi dowództwami o użycie do boju tej dywizji.

Pertraktacje trwały przez pewien czas, gdyż zwykle są różnice zdań, które trzeba wyrównać, lecz szło nie o zasadę samą ani o czas, lecz o metodę i sposób użycia siły 17-ej dywizji. Tymczasem sytuacja bojowa zmieniała się, powoli dochodziła do świadomości dowódców. Generał Jędrzejewski znalazł się w sytuacji znacznie cięższej, niż 11-a dywizja nasza, która utrzymała się po pierwszem cofnięciu. Musiały być więc nowe narady i znowu o metodę pracy odwodu. Wreszcie dowódca frontu oddaje dywizję lecz *z tem*, że użyta będzie w całości, zbierze się w Mazniewie i Kolanie i atakować będzie ku północy. Naturalnie, obraz ten, który został uwieczniony w rozmowach pomiędzy Mińskiem a Wilejką za pomocą aparatu Hughesa, na-

wet przez przeciętną sztukę wojenną jest dawno osądzony. Nie można zwykle dowodzić szczegółami boju będąc o kilkaset kilometrów oddalonym od placu, gdzie szpady wojenne się krzyżują. Lecz jest to zupełnie dozwolone i naturalne przy wojnie okopowej. Tam daleko sięgająca rozbudowa sieci telefonów i komunikacji, rozbudowa, w którą włożono masę materjału i wysiłków ludzkich daje warunki, przy których istnieje ciągła styczność dowódcy z najdrobniejszemi szczegółami boju. Tam często takie dyrygowanie jest nawet koniecznem, gdyż zawsze istnieje obawa, że zmechanizowana i z konieczności automatycznie działająca część funkcji bojowej wojsk może ucierpieć i być nieraz powodem niepowodzeń, nie dających się naprawić. Lecz tutaj, gdzie dowodzący z trudem przepychają kilka wagonów drutu kolczastego, tutaj, gdzie wiadomości z pola bitwy dochodzą tylko w ogólnikowej, często zagadkowej a trudno sprawdzalnej formie, dowodzenie bataljonami o kilkaset kilometrów jest nadużywaniem taktyki teatru wojny kosztem taktyki placu boju bardzo jaskrawem. Dywizja 17-a, jak stwierdza generał Jędrzejewski, przyszła do pracy dopiero po południu z opóźnieniem, jak pisze ten generał, o 5 — 8 godzin. Lecz zato miejsce koncentracji 17. dywizji, Mazniewo — Kolano, daje akurat frontu 4 kilometry, co zgodnie z „doświadczeniem wojny światowej" stanowi należyty odcinek dywizji na „zagrożonym" froncie!!

Jeżeli zatrzymałem się tak długo na rozważaniach, związanych z wojną okopową i jej systemem, to dlatego, iż jest to jedyna bodaj próba nasza w ubiegłej wojnie, by wbrew moim—naczelnego wodza— poglądom, zakosztować istotnej jakoby wojny, wojny europejskiej. Próba nie udała się. W pierwszych dnia lipca została ona skompromitowana. Lecz dzięki niej taktyczna, łatwa do zniesienia porażka, stała się przegraną strategiczną, której skutki sięgały bardzo daleko. Nie są to próżne słowa. Ta sama 1. armja, niedawno jeszcze, bo w maju, swobodnie się cofnęła przed przewagą nieprzyjaciela, a gdy przybyły dalekie, nie o pięć czy sześć kilometrów, jak z dumą mówił generał Zygadłowicz, stojące odwody, równie swobodnie przeszła z niemi do kontrataku, nie mając na sobie wrażenia klęski, wrażenia swej bezsilności; teraz dla fantomów wojny okopowej bez żadnych środków do prowadzenia walki tą metodą wszystkie siły wciągnięto do boju z iście okopowym celem osiągnięcia „poprzedniej sytuacji", jako jedynego celu godnego wysiłku żołnierza. Żołnierz pod takiem dowództwem miał zasłużyć na ostrogi rycerza europejskiej miary, nie ober-

wusa polskiego, nie wiedzącego dobrze, co czyni. Kopał przecie okopy według szkiców najwyższych dowódców i niechybnie o uszy jego obijały się spory o to, gdzie właściwie jest pierwsza linja drugiej pozycji, a gdzie druga pierwszej. Gdzie są rygle, a gdzie zasadnicze linje. Biednemu żołnierzowi tem trudniej było zgadnąć tę wielką sztukę okopów, że wszystkie te place, węzły obronne, rygle, i numerowane linje i pozycje były najczęściej bliźniaczo podobne do siebie, to znaczy, istniały tylko na papierze, lub na terenie oznaczone były jakimś marnym, zasypującym się rowem. Gdy więc wszystkie te cudactwa trzeba było opuścić i wysiłek żołnierza dla osiągnięcia poprzedniej sytuacji, tak widocznie ważny dla wyższych dowódców, poszedł na marne, żołnierz — jak zwykle w takich wypadkach — stanął przed alternatywą: albo on wraz ze swemi wysiłkami jest niezdatny i bezsilny i ostrogi europejskie nie są dla niego, albo jego dowódcy nie wiedzą, co czynią. Było to więc wstrząśnięcie moralne żołnierza, które niełatwo było naprawić i stąd płynie ten niezaprzeczony, wielki wpływ boju nad „wątłym strumieniem" — Autą, który będąc wobec wielkich zamiarów nieprzyjaciela zaledwie pół-zwycięstwem jego, stał się dla nas nie porażką taktyczną, lecz wielką przegraną strategiczną.

VI.

Boje naszej 1. armji z trzema armjami p. Tuchaczewskiego zakończyły się właściwie 5. lipca. Zwycięskie dywizje nie ruszyły do natychmiastowego pościgu. Jazda, która w tych wypadkach jest bardzo czynną i skuteczną, idąc na skrajnem, północnem skrzydle, szła właściwie w próżnię, nie mając przed sobą żadnego nieprzyjaciela, a połowa jej, bo cała jedna dywizja, została zatrzymana do obserwacji naszych sąsiadów i niedawnych sojuszników — Łotyszów. Jakgdyby dla pościgu w centrum rzucona była osobna brygada jazdy kaukazkiej, która minąwszy Głębokie 6-go lipca szła bardzo wolno ku zachodowi. O działaniach tej jazdy relacje nasze nic nie mówią. Dużo zaś opowiada o niej p. Sergiejew. Działania jej w żadnym wypadku pościgiem nazwać nie można; natomiast, sądząc z opowiadań p. Sergiejewa, brygada ta dość starannie unikała jakiejkolwiek łączności ze swemi wojskami. Rozkazem p. Tuchaczewskiego z 7-go lipca brygada oddana została dla prowadzenia pościgu w kierunku zachodnim, nakazanym tym rozkazem dla całej 4. armji pod dowództwem p. Sergiejewa. Dużo kłopotu miał ten dowódca z odszukaniem właściwego miejsca pobytu tej brygady; stwierdza on z całą stanowczością, że 15. armja, której ta brygada podlegała, nie mogła mu wskazać ani miejsca, gdzie ona się znajduje, ani też sposobów, jak ją odszukać. Nic dziwnego więc, że p. Tuchaczewski tak się mylił, gdy twierdził w swoim rozkazie z 7-go lipca, że główne siły polskie odeszły w kierunku zachodnim, w kierunku Postaw. Brak pościgu i brak jasnego obrazu sytuacji po niezaprzeczonem zwycięstwie, które w dodatku wyolbrzymia p. Tuchaczewski publicystyczną przesadą określeń, jest bardzo

charakterystycznem zjawiskiem wojennem. Nie chcę być złośliwym, lecz przypomina mi to niezmiernie sytuację armji niemieckiej w 1870 roku, gdy po bezładnej, wypadkowej, przez nikogo nie dowodzonej i wbrew naczelnemu dowodzeniu zrobionej, a także zwycięskiej bitwie pod Spicheren, armja ta zaczęła działać w próżni, natykając się raz po raz na niespodzianki, które ją drogo kosztowały, jak naprzykład następna bitwa pod Vionville. Bitwa 4-go i 5-go lipca nie była Spicherenem, gdyż niewątpliwie była jak z jednej, tak i z drugiej strony dowodzoną, i tej złośliwości w stosunku do p. Tuchaczewskiego nie chcę czynić; lecz niechybnie już 5-go lipca armje p. Tuchaczewskiego zaniechawszy pościgu, utraciły kontakt z nieprzyjacielem i mogły być narażone na niespodzianki.

Skądżeż jednak płynie ten brak ruchu tak naturalnego i tak koniecznego na wojnie? Jedną z przyczyn już spróbowałem zanalizować: to charakterystyczne dreptanie na miejscu różnych dywizyj. Widzimy je i w pościgowej brygadzie jazdy. Udaremniło to pomysły sedańskie, dając p. Tuchaczewskiemu tylko pół-zwycięstwo; świadczyło ono również o pewnej obawie przed nieprzyjacielem. Lecz niechybnie pozatem był pewien brak i w dowodzeniu. Nie chcę zaś, bo nie mogę bez danych i materjałów, analizować, gdzie właściwie ten brak miał miejsce. Bez posiadania raportów, które dnia 5-go wpływały do rąk p. Tuchaczewskiego, trudno to stwierdzić. Faktem jest jednak, że gdy jeszcze w nocy z 5-go na 6-ty popycha p. Tuchaczewski swą armję 4. w kierunku sedańskim ściśle na południe, to już 6-go, jak sam to pisze, wyrzekając się sedańskich zamiarów, zaprzestał pchać armję 3-ą — południowe skrzydło — w kierunku sedańskim na zachód i na północ. Armja bowiem 3-a już 6-go otrzymuje zadanie poparcia jeszcze bardziej południowej armji 16. ruchem na Mińsk prawie ściśle południowym. Nasze relacje stwierdzają, że tego właśnie dnia lewoskrzydłowa dywizja naszej 4. armji (15.), przygotowując się do odwrotu, osłaniała się niewielkiemi posterunkami wzdłuż rzeczki Ponji, gdy pierwsza litewsko-białoruska już była odeszła na południe od Dokszyc. Tam też notują nasze relacje słaby kontakt z patrolami nieprzyjacielskiemi.

Cóż jednak robiła wybrana armja, najbardziej uposażona 15.? Skierowana była wyraźnie ku zachodowi, przeszła w ataku dnia 4-go od 4 do 10 kilometrów i — jak wiemy — stanęła, nie czyniąc wcale wielkich postępów w dniu 5-ym lipca. Zrzekła się jakiegokolwiek po-

ścigu, oddając go w ręce słabej brygadzie jazdy. Dnia zaś 6-go widzimy ruch najbardziej północnej prawo-skrzydłowej dywizji 54-ej, zmieniającej gwałtownie kierunek z zachodniego na południowo-zachodni, takim bowiem jest kierunek marszu z Łużek na Głębokie [1]). Czy i 15. armja otrzymała 6-go rozkaz zaniechania Sedanu i zmiany dotychczasowego kierunku swego marszu, p. Tuchaczewski nie pisze. Jest to uwidocznionem dopiero w rozkazie z 7-go lipca, danym w Smoleńsku o godz. 9 min. 40 rano. U p. Sergiejewa przytoczony on jest w całości. Zmienia p. Tuchaczewski kierunek 4-ej armji z południowego na zachodni, 17-ej z zachodniego na południowo-zachodni, 15-ej z zachodniego na południowo-zachodni na Mołodeczno, co do 3-ej armji rozkaz nakazuje dalsze wypełnianie postawionego już zadania, t. zn. marszu w kierunku na Mińsk.

Z tych wszystkich danych niezwykle trudno określić, kiedy właściwie p. Tuchaczewski wyrzekł się idei Sedanu i jaki nań wywarło wpływ to dreptanie na miejscu wszystkich jego armij dn. 5. lipca. Skłonny jestem przypuszczać, że w dalekim Smoleńsku raporty przechodzące przez alembik dowództw armij musiały być bardzo sprzeczne w przeciągu tych dwu dni boju, i p. Tuchaczewski musiał mieć te rozdźwięki w duszy, które się uwidoczniły w braku nacisku na swych podwładnych i w stopniowem rozchwiewaniu się i wreszcie zaniku idei sedańskiej. W tym rozdźwięku wracały mu echem ideje niedawnej przeszłości, węzeł myślowy geograficzno-geometryczny związany ze smoleńskiemi wrotami i skrętem wojska o 90° w nowym kierunku. Wskutek tego rozdźwięku i wskutek pracy koło węzła myślowego widzimy zaniechanie pościgu, widzimy utratę kontaktu z nieprzyjacielem i powolne dreptanie na miejscu ogromnej większości wojsk p. Tuchaczewskiego, obracających się półsennie koło jakiejś wyobrażalnej osi. Dzięki temu tańcowi chocholemu koło węzła myślowego p. Tuchaczewskiego, nasze wojska wyszły zupełnie cało z opresji, pomimo, iż rozkaz gen. Szeptyckiego zmuszał je do odchodzenia w nienaturalnym i — dodajmy—niepotrzebnym kierunku. Dzięki temu też jedynie gen. Żeligowski — nie gros nasze, jak chce p. Tuchaczewski— najzupełniej niedotknięty rozbiciem i porażką, reprezentował dla p. Tuchaczewskiego „zmiażdżone", „rozgromione" resztki armji, zmykające ku zachodowi w „postawskim kierunku". Siły dowodzenia w tej

[1]) Parz szkic Nr. 1 d.

pierwszej bitwie „pochodu za Wisłę" nie mogę dostrzec. Wojska p. Tuchaczewskiego dreptały za często na miejscu w obawie przed „rozgromionym" nieprzyjacielem, a ich dowódca kiwał się pomiędzy Sedanem, którego wojska nie czyniły, a pomiędzy „taranem", którego znowu p. Tuchaczewski nie zrobił. W środku zaś boju, gdy przerwał się Sedan, przerywa bój i pościg sam wódz, przerzucając się do taranu i zwrotów geometrycznych, zostawiając swobodę działania przeciwnikowi.

Przeciwnik już 5-go szuka swobody działania. Rozkaz gen. Szeptyckiego dnia tego przed południem nakazuje całej armji dotąd walczącej oderwać się od nieprzyjaciela, by właśnie tę swobodę działań uzyskać. Celem tego, jak głosi pierwszy punkt rozkazu, jest „przeprowadzenie ugrupowania nowej *linji*, celem przejścia do kontrakcji". Nie wiem czy dowódca frontu wyjaśnił dostatecznie dowódcy armji myśl swoją, lecz rozkaz pierwszej naszej armji, powtarzając zresztą w pierwszym punkcie polecenie dowódcy frontu o przejściu do kontrakcji, w punkcie piątym zarządza zajęcie „nowej *linji obronnej*". Kontrakcją więc ma być linja obronna; a w jednym z ostatnich punktów wyraźnie nakazano „linję obronną wzmocnić technicznie". Niewątpliwie samo sformułowanie tych rozkazów wywołać musi w umyśle podwładnych wrażenie sprzeczności. Sprzeczność tembardziej wyrasta i tembardziej dziwną się staje, gdy się na mapie wytknie nową linję kontr-akcyjno-obronną. Zaczyna się ona w Niebyszynie na rzece Ponji, a kończy się daleko na północy, na trakcie od Szarkowszczyzny ku Świencianom, w Kozianach. Rozciągłość tej kontrakcji, czy linji obronnej technicznie wzmocnionej, wynosi mniej więcej 100 kilometrów, to znaczy akurat tyle, co jeszcze przed paru dniami zajmowała nasza 1. armja na linji obronnej nad „wątłym strumieniem — Autą". A gdy sobie przypomnimy, jak techniczne wzmocnienie owej linji wyglądało i ile skarg z powodu niedostateczności wzmocnień ona wywołała, gdy przypomnimy, jak smutnie skończyła się próba linji obronnej w boju 4-go i 5-go lipca, zrozumiemy, jak gorzką ironją dla wojsk, czytających ten rozkaz brzmieć musiała chęć dowódcy armji, wyrażona w tymże piątym punkcie słowami: „utrzymanie tej linji jest konieczne". Wobec tego, odcinki „linji obronnej" całkiem już nie odpowiadają „doświadczeniu wojny światowej".

Odcinki te jednak mają jeszcze jedną charakterystyczną własność. Gdy dwie północne dywizje, 8-a i 10-a, mają zająć odcinki

nowej linji obronnej na 55 kilometrów (8-a — 30, 10-a — 25), to trzy dywizje na południu (17-a, 11-a i 1-a lit.-biał.) mają odcinki znacznie mniejsze, przeciętnie nie przenoszące 15 kilometrów, t. j. tej gęstości obsady, którą miały i w boju 4-go, 5-go lipca. Nie jest to chyba bezcelowe, i chociaż wątpliwem mi się wydaje, aby względne zmasowanie na południu miało zadość uczynić żądaniom dowódcy frontu prowadzenia jakiejś kontrakcji, jednak zanalizować trzeba, po co właściwie zrobionem jest to zgęszczenie na południu a rozrzedzenie na północy. Muszę to uczynić tembardziej, że taki właśnie rozkład strategiczny 1-ej armji jest wynikiem wspomnianej już defilady całego naszego centrum w boju 4. i 5. lipca, defilady, która istotnie narażała wojska na „rozgromienie" i „rozpylenie". Sądząc z rozkazu gen. Szeptyckiego, przypuszczać by można było, że ma on za swojem lewem skrzydłem gdzieś bezczynnie stojącą 7. armję. Przynajmniej punkt drugi i trzeci rozkazu zajmują się względnie dużo tą sąsiednią „armją". Przytaczam oba dotyczące punkty in extenso. Punkt drugi głosi: „7. armja otrzyma od Naczelnego Dowództwa rozkaz cofnięcia oddziałów, stojących na północy, do rejonu Świecian"; w punkcie trzecim czytamy: „Trakty Duniłowicze — Postawy — Hoduciszki oraz Szarkowszczyzna — Koziany — Twerecz (oba trakty, prowadzące do Wilna — uwaga moja) zajmie dow. 1. armji odpowiedniemi oddziałami grupy generała Żeligowskiego, względnie 8-ej dywizji piechoty, by dać możność dow. 7. armji przesunięcia jeszcze do dyspozycji stojące oddziały, względnie przeprowadzenie ewakuacji Wilna".

Dla wyjaśnienia tej zagadkowej 7. armji muszę zaznaczyć, że pomimo tak szumnej nazwy składała się ona z jednej formującej się jeszcze dywizji t. zn. drugiej litewsko-białoruskiej. Dywizja ta liczyła w swoim stanie 2.700 bagnetów i użytą była do pilnowania i obserwacji naszej ówczesnej linji demarkacyjnej między nami a Litwą na przestrzeni nie mniejszej nad sto kilkadziesiąt kilometrów, to znaczy, że samo zebranie rozsianych po tej dużej przestrzeni posterunków zająć by musiało dobrych kilka dni. Szumna zaś nazwa była przeżytkiem, utrzymywanym po likwidacji tego jej stanu, gdy liczba wojsk, które posiadała, była znacznie większa. Niejasne więc sformułowanie rozkazu gen. Szeptyckiego, nieledwie podsuwające już zgóry ewakuację najważniejszego centrum politycznego — Wilna, upoważniało zdaniem mojem dowódcę 1-ej armji do rozrzedzenia siły swojej na północnym odcinku, gdy jego bezpośredni przełożony wi-

docznie o ten północny odcinek dbać nie chciał. Nie mógł bowiem dowódca 1. armji ani chwili przypuszczać, że generał Szeptycki wartość bojową „7. armji" wyżej ocenia, niż ona była realnie. Nie chcę analizować wpływów tej decyzji, gdyż wogóle unikam w tej swojej pracy tak zw. przezemnie „wstydliwych zakątków historji". Zaznaczam tylko fakt, potrzebny do zrozumienia operacji z naszej strony, że rozkaz 5-go lipca gen. Szeptyckiego po naszej przegranej taktycznej dnia 4-go i 5-go lipca ugrupował cofającą się po bitwie naszą 1. armję w sposób nienaturalny i nie odpowiadający sytuacji. Miała ona mieć w ten sposób silniejsze prawe skrzydło, ściśle związane z lewem skrzydłem 4. naszej armji, do której spieszył już rozkaz o jej odwrocie, tak jakgdyby 4. armja, dotąd niezagrożona, musiała mieć oparcie na dotkniętej już porażką sąsiadce. Oparcie zaś zostało uczynione kosztem północnego skrzydła, osłaniającego kierunek zachodni, prowadzący do głównego centrum politycznego kraju — Wilna. Rozkaz ciężko zaważył na szali nietylko dla Wilna, ale, jak to zobaczymy przy dalszej analizie, i dla całego frontu, dowodzonegop przez gen. Szeptyckiego. Nieszczęsny ten rozkaz gen. Szeptyckiego, ściągający na lewe skrzydło 4. naszej armji ogromną większość sił naszej 1. armji, mógłby być jeszcze związany z pierwszym punktem rozkazu, który mówi o przegrupowaniu dla kontrakcji. Lecz w tym wypadku rozkaz byłby ogromnie spóźniony. Na kontrakcję 4. armji był czas dnia 4. i 5. lipca, gdy jej aktywna pomoc sąsiedniej armji, będącej w ciężkim boju z przeważającemi siłami nieprzyjaciela, mogłaby niechybnie wpłynąć silnie na stan rzeczy. Wtedy jednak 4. armja, zgodnie z systemem myśli okopowej, stała biernie przyglądając się zapasom na północy i bodaj jedyny ruch, który wykonała, było zrobienie, mówiąc językiem okopowym, ryglowej pozycji nad nowym wątłym strumieniem, rzeczce Ponji. Ta bierność w pracy wojennej daje się zauważyć również w zupełnie niepotrzebnej stracie czasu, gdy 4. armja rozpoczęła swój odwrót dopiero 7-go lipca. Nie chcę analizować powodów i przyczyn tego opóźnienia, gdyż w historji ten dzień czy dwa dni nie odegrały, zdaniem mojem, roli strategicznej wobec ogromu zjawisk wojennych, które nastąpiły potem. Zaznaczam ten fakt tylko dlatego, że jeżeli, jak wykazałem wyżej, p. Tuchaczewski dzień 6-go i prawdopodobnie 7-go darował nam, czyniąc w próżni swoje manewry, to my mówiąc o kontrakcji, a trzymając się w istocie zasady pasywnego zupełnego oporu, nietylko nie wykorzystaliśmy tych dni, lecz

zwróciliśmy je w całej pełni p. Tuchaczewskiemu. Dodam, że z Warszawy rozkaz o odwrocie 4. armji został wysłany 6-go lipca.

Tak czy inaczej odwrót zarówno 4. armji, jak i 1-ej od dnia 7-go lipca był w pełnym toku, zmierzając ku zachodowi. Odwrót 1. armji odbywał się w większości wypadków bez żadnego kontaktu z nieprzyjacielem, albo z bardzo małemi nieznacznemi potyczkami nieledwie patroli. Armja 4. zaś miała pewne trudności w pierwszych paru dniach odwrotu, później jednak cofała się bez wielkich przeszkód, odrywając się stopniowo od nieprzyjaciela. Dla olbrzymiej większości wojska postawił gen. Szeptycki jako cel strategiczny odwrotu długą linję okopów niemieckich. W nich aż do południowego krańca jeziora świrskiego miały stanąć dywizje obok dywizyj, i tylko dwie dywizje, 8-a i 2-a litewsko-białoruska, zostały poza temi okopami [1]).

Co do samej metody odwrotu jako strategicznej operacji mam do zaznaczenia, że zarówno w 1., jak i w 4. naszej armji trzymano się niestety systemu linji tak uporczywie i tak bezwzględnie, przynajmniej w rozkazach, że wojska nasze musiały dokonać tego odwrotu z wielkim trudem i ciężarem. System w 1. armji nieco się różnił od systemu armji 4. Przedewszystkiem w 1. armji odwrót był w rozkazie zupełnie schematyczny, gdy w 4., będącej teraz pod rozkazami gen. Skierskiego, są próby uniknięcia schematu i jakiegoś indywidualizowania sytuacji w poszczególnych jednostkach. Wyznaję, że ten suchy schemat rozkazów jest poprostu przerażający. Wydaje się czytającemu rozkazy, jakgdyby dowódca działał w jakiejś próżni i przesuwał bezduszne pionki na mapie. Dla względnie łatwo układającego się odwrotu 1. armji zarządzono w drodze do „ostatecznej linji obronnej" aż trzy pośrednie także „linje obronne". Co właściwie te „obronne linje" oznaczały, nie wiedział chyba sam piszący, lecz, że wojsko musiało gorzko odczuwać ten system niemożliwy do wykonania, jeżeli go brać serjo, to pewne. Przecież istotnie to są kpiny z żołnierza, gdy on może przypuszczać, że dowódca żąda od niego urządzenia linji obronnej na rozciągłości zgórą 100 kilometrów po to tylko, ażeby natychmiast prawie ją opuścić i dążyć do nowej równie bezpłodnej pracy. Oprócz tego samo pojęcie *linji obronnej* zmusza, o ile rozkaz jest słuchany, do cofania się nieledwie patrolami, rozciągniętemi na

[1]) Patrz szkic Nr. 2.

ogromnej przestrzeni, czyniąc ten dziwny manewr pod groźbą nadejścia nieprzyjaciela, któremu przed kilku dniami nie sprostano w otwartym boju. Jestem przekonany, że olbrzymia część wojska tego rozkazu nie wypełniała i zaledwie może jacyś nieszczęśliwcy padali ofiarą dla „Molocha linij obronnych", tego surogatu wielkiego pana strategji okopu. Przy czytaniu późniejszych meldunków, które o stanie 1. armji mówiły ujemnie, należy stanowczo brać pod uwagę, że armja ta po półzwycięstwie przeciwnika dnia 4-go i 5-go lipca dobitą do reszty być mogła przez tę beznadziejność pracy, na którą skazywały ją rozkazy operacyjne.

W 4. armji mamy również przekleństwo linij obronnych, z dodatkiem podziału ich pomiędzy fazy. W pierwszej fazie jest ich aż trzy. To samo rozumowanie, które zrobiłem w stosunku do pojęcia „linji obronnej" dla 1. armji, stosuje się w całej rozciągłości i do 4-ej. Te same, prawie niewykonalne rozkazy, te same prawie słowa z dodatkami koniecznemi, związanemi z kontaktem z nieprzyjacielem. I dopiero dnia 11-go nowy rozkaz daje jakąś zmianę. Punkt drugi tego rozkazu wreszcie mówi: „Dalszy odwrót dywizyj ma odbywać się w zwartych kolumnach na głównych linjach komunikacyjnych, z pozostawieniem tylnych straży tylko w celach wywiadowczych". Wyobrażam sobie jak głęboko i serdecznie były wdzięczne wojska, że wreszcie zrozumiały co robią! Zatrzymałem się na tych rozkazach jedynie dlatego, że odwrót obu naszych armij jest właściwie dalszym ciągiem systemu, który panował przy prowadzeniu boju 4-go i 5-go lipca. Jak tam, dzięki hołdowaniu zasadzie strategicznej okopowej wojny, widzieliśmy bierny opór, dany nieprzyjacielowi, bez żadnej próby zmiany w czasie boju strategicznego rozkładu, tak teraz w odwrocie widzimy tę samą bierność w cofaniu się wszystkich dywizyj równoległemi linjami, nie dotykając w żadnym wypadku idei manewru, nie czyniąc najmniejszej próby zmienienia w czemkolwiek tego, co nieprzyjaciel zastał w dniu 4-go lipca. Rozkład strategiczny zostaje ten sam, co był poprzednio, lecz za to błędy jego wyrastają niepomiernie.

Dnia 4-go lipca 1. nasza armja, dotknięta bojem, miała frontu 100 kilometrów. Sąsiednia 4. armja, biernie czekająca na wynik bitwy na północy, miała tegoż frontu prawie 200 kilometrów. Przy nakazanym przez gen. Szeptyckiego odwrocie stosunek ten zmienia się gwałtownie. Gdy 4. armja dojdzie do linji niemieckich okopów,

front jej zwęża się i dojdzie do owych 100 kilometrów, które poprzednio miała armja 1-a. Odwrotnie 1. armja, odchodząc zgodnie z rozkazem ku zachodowi, front swój szybko rozszerza, tak, że „linja obronna" nakazana do zajęcia przez dowódcę, wynosi kilometrów 200. Sytuacja więc strategiczna dla 4. armji, porażką niedotkniętej, znakomicie się poprawia, gdy odwrotnie dla 1. z niesłychaną szybkością się pogarsza. Skutki fatalnego błędu rozkazu gen. Szeptyckiego z dn. 5-go lipca dają swoje gorzkie owoce. Gdy gros sił 1. armji, zmuszone rozkazem do niebezpiecznej defilady przed frontem nieprzyjaciela, zeszło z naturalnych dróg odwrotu odchodząc w kierunku Mołodeczna, zbliżało się ono, jak wiemy, ku 4. armji, zostawiając dalej na północy nieznaczną tylko część sił swoich. Przy analizie rozkazu wykazałem, że skutkiem jego było zgęszczenie sił naszych ku południowi, a rozrzedzenie ku północy. Działo to się wewnątrz 1. armji. Teraz widzimy to samo zjawisko wewnątrz całego frontu, dowodzonego przez gen. Szeptyckiego, gdy odcinek południowej armji w dwójnasób zwęził, a odcinek północny w dwójnasób rozszerzył. Dzieje się zaś to wszystko wtedy, gdy właśnie na północy 1. armja uległa przeważającej przemocy silnie skoncentrowanego nieprzyjaciela, a południe miało przed sobą nieprzyjaciela w niektórych miejscach równego sobie, a na większości swego frontu posiadało niezaprzeczoną nad nim przewagę.

W ten sposób nasza armja coraz bardziej rozrzedza północne swoje skrzydło, rozrzedza do tego stopnia, że wreszcie najbardziej północna cząstka naszej armji, złożona z dwóch dywizyj (8-ej i 2-ej litewsko - białoruskiej), dywizyj może najsłabszych liczebnie w całej armji, zajęła — bez przesady — 100 kilometrów frontu. Z góry przesądzamy więc tam o swojej przegranej, gdyby nieprzyjaciel w tę właśnie stronę uderzył. Ten jednak, wiedziony rozkazem p. Tuchaczewskiego z 7-go lipca, zmienił swój dotychczasowy nacisk na północ i zachód i większość swoich sił skierował w innym kierunku. W kierunku najbardziej zagrożonym, a najmniej przez nas obstawionym ruszyła jedna tylko armja 4-a p. Sergiejewa, armja, której piechota lubiła dreptać na miejscu, a jazda dotąd nie przejawiła swoich właściwości. Reszta wojsk, które się biły 4-go i 5-go lipca, w zawiłym manewrze, czynionym w próżni, skręcała się w kułak, odwracając się bokiem i prawie plecami od 4. armji. Rozkład strategiczny wewnątrz każdej z tych armij jest także zasadniczo inny. Armja 4. idzie sze-

rokim bardzo frontem, może się więc poruszać szybko, a szybkość jej jeszcze bardziej może być zwiększona przez to, że ogromną część jej sił stanowi jazda; odwrotnie reszta wojsk jest, jak my mówimy, zaciśnięta w kułak, czy jak chce p. Tuchaczewski, w taran. Raz jeszcze zacytuję charakterystyczne określenie w tej sprawie p. Sergiejewa: „Wąskie korytarze dla 15. i 3. armji pozwalały prowadzić dywizje w dwóch, a nawet w trzech linjach, zmasowane na głębokość i zatem mając zawsze gotowe w zaciśniętym kułaku dywizje dla jakiegokolwiek manewru. 15. armja przyjęła taki system marszu jeszcze od Głębokiego, mając w pierwszej linji 54-ą, 33-ą i 11-ą, a w drugiej, za skrzydłami 4-tą i 16-tą. Po dwóch, trzech marszach dywizje, maszerujące na czole, były zmieniane przez tylne odwodowe i w ten sposób osiągano znaczną oszczędność sił piechoty". Ten system marszu nie mógł być szybkim; armja z pięciu dywizyj piechoty z przynależną do nich artylerją i taborami, maszerująca, jakgdyby była pułkiem!

Ma ona w dodatku zmieniać co pewien czas straż przednią. Połączone to być musi z „oszczędnością sił piechoty", lecz za to z ogromną stratą czasu—za każdym razem najmniej pół dnia, a może i całej doby. Taka armja jak żółw pełznąć musi w porównaniu z chartem, puszczonym ze smyczy dla pościgu, jak to było przeznaczone północnej 4. armji. — Żółw i chart, oddalający się w dodatku wzajemnie, nie są kolegami w ruchu, i niechybnie do celu jednocześnie lub mniejwięcej jednocześnie dojść nie są w stanie.

Z błędu strategicznego gen. Szeptyckiego i z dziwnej rozbieżności celów i ruchów dwóch sowieckich armij wynika niezwykle oryginalna bitwa o posiadanie Wilna. Bitwa ta znowu, jak boje 4-go i 5-go lipca, nie miała przejściowego, taktycznego znaczenia, lecz osiągnęła wyżyny strategji. Jest zaś dziwaczną i oryginalną, gdy pomimo jej wielkiego znaczenia dla całej kampanji, nie należy wcale do dziedziny sztuki wojennej, gdyż niezwiązana jest w niczem z myślami i zamiarami obu dowodzących frontem, gen. Szeptyckiego i p. Tuchaczewskiego. Pierwszy z nich celowo odcinek ten, tak zwanych linji obronnych, wszelkiemi sposobami osłabia, rozrzedzając obsadę, więc nie ma zamiaru i chęci dawać tam lub przyjmować bitwy o większem znaczeniu. P. Tuchaczewski zaś — jak wiemy — po zupełnie nieudanym Sedanie, uwierzywszy w „rozgromienie", „rozpylenie" i „zmiażdżenie" uciekającego jakoby w popłochu przeciwnika, rzuca

w tym kierunku także rozrzedzoną i rozsypaną na wielkiej przestrzeni najsłabszą swą armję. Siłą zaś istotną, gros swojem, w decydujący kułak je zagiąwszy, nie spieszy, bo pewny jest swego, festinat lente krokiem żółwia, by decyzję znaleźć gdzieindziej. Wielka strategja święcić ma swój dzień uroczysty gdzieindziej; gdzieindziej zaszumi Nike, z ramienia Marsa i Minerwy darząc zwycięstwem i karząc klęską — tak chcą obaj dowódcy. Pocóż dla nich ta niespodzianka, że nie tam gdzie oni wyznaczają, szale losów nie bitew, lecz wojny się chwieją? Czyżby dla pociechy strapionego poprzednim bojem p. Sergiejewa? Bo w tej bitwie wileńskiej Nike, szumiąca skrzydłami, jemu na głowę zwycięskie laury włożyła.

Nim jednak laur ten otrzymał, spieszy upiększyć w swej książce nie samą bitwę, lecz swój marsz do bitwy. A wobec tego, że marsz ten wcale nie należy do ładnych, a jest jakiś dość przypadkowy, upiększa go jak zwykle w takich wypadkach — słowami i określeniami, dającemi piękno wielkości, gdy treści brakuje. Istotnie piękna skądinąd książka p. Sergiejewa upstrzona jest, niestety, wielkiem określeniem „place d'armes". W tym marszu pod Wilno przecina on powiat, którym się szczycę jako kolebką mego życia — powiat świenciański. Nigdym nie przypuszczał, że tak bogaty jest on w strategiczne rozkosze, w „place d'armes". Place d'armes jest w naszej stolicy w Świencianach, place d'armes jest również pod Świrem. A że miasto Świenciany ma marną jedynie kolejkę wąsko-torową, a piękne miasteczko Świr i jego stare zamczysko od czasu gdy stoi nigdy świstu parowozu nie słyszało, więc by w wieku dwudziestym jako strategiczne „place d'armes" służyć komukolwiek mogły, trzeba wielkiej, olbrzymiej wartości ziemi i piękna jej tworów, by tak wysokim objektem strategji służyć miały. Dumnymi być mogą miejscowi incolae, mówiąc stylem makaronicznym! Widzieliśmy Orzechowną, zastępującą dumny Smoleńsk w bujnej wyobraźni p. Tuchaczewskiego, widzieliśmy marny rząd drutów i parę lichych rowków, zmuszające naszych dowódców wyższych do nakazu, by 7-a baterja 1-ej litewsko-białoruskiej dywizji 24 pociskami huragan ognia zaporowego czyniła; więc nic dziwnego, że i wojska p. Sergiejewa pomimo, iż za „rozpylonym" wrogiem idą, są ostrożne w stosunku do sławnego powiatu świenciańskiego, gdy tyle „place d'armes" im grozi. Pomimo, że być miała chartem, spuszczonym ze smyczy, zanadto nie spieszy. Oto określenia samego dowódcy armji, p. Sergiejewa: „Rozkaz był prze-

słany konnemu korpusowi telegrafem bez drutu, lecz wypełniony przez jazdę nie był" (str. 53. l. c.). „Brygada 164-a cały dzień 8-go lipca przestała na miejscu w okolicy Zamosza". Następnie ruszyła, zdaniem p. Sergiejewa, w niepotrzebnym zupełnie kierunku. Ruch jazdy p. Sergiejew charakteryzuje słowami: „Ruszała się ona bardzo wolno szerokim frontem" (str. 54) tłómaczy zaś ją następnemi słowami: „Nieznaczne potyczki z jazdą przeciwnika (nasz 13-ty wileński pułk ułanów) i z jego odchodzącemi małemi pieszemi grupami (nasz tak zw. Słucki pułk) silnie zatrzymywały ruch konnej masy (str. 54). Oto dalej opis p. Sergiejewa działania jego piechoty i jazdy kaukazkiej: „Pomimo paniki, rozpowszechniającej się na tyłach przeciwnika z powodu zjawienia się naszej jazdy w okolicach Widze i Dukszty, udało się Polakom jednak zorganizować jako tako opór na niemieckich pozycjach, przyczem w okolicy na południe od Postaw do jeziora Miadzioł opór ten okazał się dostatecznym, (była ta „rozpylona" 8-a dywizja nasza), aby zatrzymać jazdę kubańską do wieczora 9. lipca t. j. do podejścia 18-ej dywizji". Ruchy więc 4. armji teraz bardzo przypominają dreptanie na miejscu podczas manewru sedańskiego 4-go i 5-go lipca. Znowu straty dni całych, powolne ruchy żółwia, gdy trzeba być chartem. Jeszcze w tym czasie działają naprzeciw armji p. Sergiejewa trzy nasze dywizje. Na prawem skrzydle dywizja 10. gen. Żeligowskiego, w środku dywizja 8. pułkownika Burhard - Bukackiego i na północnem skrzydle powoli się ściągająca i zbierająca 2. dywizja litewsko-białoruska gen. Boruszczaka wraz z niecałym pułkiem wileńskich ułanów. Lecz przy cofaniu się ku Wilnu już dywizja 10. odchodzi—odchodzi do ważniejszych zadań—na południe, by stanąć na południe od jeziora świrskiego w raju drutów — okopach niemieckich. Naprzeciw 4. armji sowieckiej pozostają więc dwie nasze dywizje poza okopami, więc w gorszej sytuacji taktycznej, lecz za to strategicznie obdarowane czy obciążone rozciągłością niezwykłą, bo aż prawie 100-u kilometrową od Świrskiego jeziora po miasteczko Dubinki. A jednak! E pur si umove! Są groźne places d'armes'y! I wojska p. Sergiejewa zaczynają znowu dreptać na miejscu. Dnia 11-go lipca rozpoczyna się na północy naszego frontu pod Wilnem „trzydniowy bój na Wilji", jak pisze p. Sergiejew. Więc — zgodnie z jego słowami — koło Podbrodzia jazda spotkała 11-go lipca „silny opór przeciwnika i prowadziła wyczekujący bój", czekając na podejście reszty jazdy i piechoty.

Dywizje 53-a i 12-a, rozciągnięte na długim froncie, przekonały się tegoż 11-go lipca, że „na całej linji rzeki Wilji przeciwnik trzymał się mocno i odpierał wszystkie próby naszych (sowieckich) strzelców owładnięcia przeprawami". Dalej na południu nie było lepiej. Jazda kubańska znalazła piechotę przeciwnika już w rejonie miasteczka Świr i szukając jego skrzydła wyjaśniła, że cała linja rzeki Straczy od Świru do Michaliszek silnie zajęta jest przez przeciwnika, który trzymał się także i za rzeką Wilją na zachód od Michaliszek". Jeździe się nie udało! „Lecz — pisze p. Sergiejew — po nadejściu 18-ej dywizji nie poszło lepiej. Kilka ataków na miasteczko Świr zostało odpartych i dowódca dywizji zdecydował podciągnąć ciężką artylerję". Pościg się zatrzymał. Ogólne wrażenie p. Sergiejewa było, że my zdecydowaliśmy się bronić Wilna, i to przypuszczenie opierał — o ironjo losów i dowódców! — „na dosyć *gęstem* ugrupowaniu sił przeciwnika" na linji rzeki Wilji i na świrskim „place d'armes". Walka o Wilno trwała według p. Sergiejewa trzy dni, i w wielu miejscach miała charakter „długotrwałego i uporczywego boju"; zaczęła się 11-go lipca, zakończyła wzięciem Wilna 14-go.

Faktem zaś jest, że te trzy dni spędziły w boju dwie najsłabsze w całem naszem wojsku dywizje. Faktem jest, że jedna z nich, 2-a litewsko-białoruska, szła w tych dniach do natarcia i pułk białostocki zdobył stację Podbrodzie już o 10 kilometrów poza linją Wilji. Faktem jest, że nie w gęstem ugrupowaniu sił stały owe dywizje, lecz w najrzadszem, w najsłabszem strategicznie na całym długim froncie gen. Szeptyckiego. Gdy wróg nie „rozpylił" poprzedniemi bojami tych dywizyj, pomimo, że w to wierzył, „rozpylić" je musiał rozkład strategiczny, dający im poza okopami i rajem drutów prowadzenie trzydniowego boju na rozciągłości prawie 100 kilometrów!

Cóż robią w tym czasie, w dniu 11-go lipca, inne szczęśliwsze dywizje, co mają stanąć w bardziej zgęszczonej formacji osłonięte rajem okopów, olbrzymią ilością drutów, w których i przy jasnem słoneczku zabłądzić można? Idziemy po kolei ku południowi. Sąsiednia dywizja 10-a, targnięta na bok z naturalnej drogi odwrotu na Świr i Michaliszki, po bezdrożach niekiedy, jeszcze 10-go po południu lub wieczorem osiąga linję okopów bez jakiegokolwiek kontaktu z nieprzyjacielem. Dzień 11-go lipca przechodzi tam spokojnie. Dalej ku południowi ma stać 17-a dywizja. Znowu dnia 11-go lipca kontaktu z nieprzyjacielem nie ma. Jeszcze dalej 11-a dywizja w dniu

11-ym lipca ma, jak piszą jej relacje, forsowny marsz odwrotowy bez kontaktu z nieprzyjacielem do istotnego raju drutów pod Bogdanowem. Wysłane przed front dnia 12-go patrole powróciły nad ranem 13-go nie napotykając nigdzie nieprzyjaciela. Wreszcie najbardziej południowa dywizja 1-ej armji, 1-a litewsko-białoruska, dnia 11-go osiąga okopy na południe od Bogdanowa, także nie widząc wroga. W dniu więc 11-go, gdy p. Sergiejew z całą swoją armją skonstatował „zgęszczoną" obsadę nie drutów i okopów, lecz właściwie świeżego powietrza, pełnego zresztą „places d'armes", a wojska jego starym zwyczajem zaczęły dreptać na miejscu, cała reszta 1-ej naszej armji w błogim spokoju używa lub spieszy używać raju drutów i okopów na dawnych pozycjach niemieckich, wybudowanych ongiś ze zniszczeniem lasów litewskich i ogromnym nakładem pracy, przemysłu i rękodzieła najbardziej przemysłowego kraju Europy — Niemiec.

Jeszcze szczęśliwsza pod względem sytuacji strategicznej nasza 4. armja, oddawszy dnia 11-go Mińsk, zgodnie z cytowanym już rozkazem, wydanym tegoż dnia, zwija się w kolumny marszowe i jest w pełnym odwrocie bez jakiegokolwiek kontaktu z nieprzyjacielem ku zachodowi do swojej części okopów niemieckich. A część to niemała! Dla najliczniejszej naszej armji i najmniej bojami dotkniętej wynosi akurat tyle, co rozciągłość frontu dwóch dywizyj na północy, w dniu tym rozpoczynających trzydniowy, przeciągły i uporczywy bój o Wilno.

Im dalej ku południowi, tem we froncie gen. Szeptyckiego dzieje się lepiej wojsku. Ciężar taktyki jest mniejszy, a prezenty strategji większe. Najbardziej południowa grupa poleska nie jest wyjątkiem z tego prawa. Złożona z trzech dywizyj naszych, na przeciwko sobie niewielki oddział nieprzyjacielski, gdyż tak zwana w armjach sowietów grupa mozyrska ma dwa wręcz rozbieżne kierunki natarcia. Dobra jej połowa atakuje naszą 14-tą dywizję, idąc za nią od Bobrujska ku Słuckowi na północ od właściwego Polesia. Nasza więc poleska grupa ma przeciwko sobie najsłabszego nieprzyjaciela. Mamy tam olbrzymią przewagę, jakiej w ciągu całej długiej wojny nie mieliśmy nigdzie i nigdy. To też raporty stamtąd brzmiały zawsze tryumfalnie, upiększone zresztą wielkim huraganowym ogniem artylerji, którym błota poleskie w raportach pokrywano z jednej i z drugiej strony.

Mniej więcej to samo się dzieje w armjach, dowodzonych przez p. Tuchaczewskiego. Dnia 11-go lipca, gdy wojska północnej 4. armji zaczęły dreptać na miejscu „place d'armes" świenciańskiego powiatu, oczekując w jednem miejscu ciężkiej artylerji, w innem nadejścia piechoty czy jazdy, ściśnięte w kułak dwie armje — 15. i 3. — idą prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, daleko od zaagażowanego w boju p. Sergiejewa. W dniu tym wieczorem armja 15. zajmuje dopiero Mołodeczno, będąc w ten sposób najmniej o dwa dni marszu od okopów niemieckich. I tylko najbardziej północna jej dywizja 54-a wejdzie nazajutrz 12-go najbardziej przedniemi swemi strażami w kontakt z naszą dywizją 10-ą i 17-ą. Obok kroczy również „taranowa" 3. armja. Dnia 6-go lipca — jak wiemy — ruszyła w kierunku prawie południowym, z okolic Dokszyc w stronę Mińska. Idzie zapewne równie powoli, jak 15-ta, gdyż jest zmasowanym taranem. Gdy jednak nieprzyjaciel, t. zn. Polacy, nie czekając na uderzenie ani mu przeciwdziałając dobrowolnie odeszli wstecz i oddali Mińsk, taran armji 3. nie zrobiwszy nic, zawraca, prawdopodobnie znowu ze stratą czasu, ku północnemu zachodowi, zbliżając się tym razem ku armji 15. Jest ona także w dniu 11-go lipca, jak i w następnych, bez kontaktu z nieprzyjacielem. Armja 16. zajmuje w dniu tym Mińsk, mając wszędzie do czynienia jedynie z patrolami straży tylnych, zostawionych zgodnie z rozkazem nie dla celów bojowych, lecz wywiadowczych.

Jasnem więc jest chyba, że trzydniowy bój pod Wilnem jest dziełem przypadku, nie celowego kierownictwa wojną ze stron obu. A jednak znaczenie tej bitwy i jej wynik zaciężyły na dziejach wojny w znacznie większym stopniu, niż poprzednie cięższe znacznie boje 4-go i 5-go lipca. Po pierwsze, od tej chwili my Polacy mieliśmy dwie wojny zamiast jednej. Zgodnie ze stwierdzeniem i p. Tuchaczewskiego i p. Sergiejewa Litwa wyszła z dotychczasowej neutralności i wzięła udział w wojnie po stronie Sowietów. Na szali wypadków wojennych późniejszych aż do zakończenia orężnego starcia fakt ten był dodatkowym ciężarem, nieraz wielkim, cisnącym naszą polską szalę ku dołowi na wagach dziejowych. Ciśnie ją nieraz może i dotąd. Sam bój nie był ciekawy, chociaż p. Sergiejew charakteryzuje go jako uporczywy, gdyż z chwilą, gdy osobisty jego wpływ skupił w paru miejscach większe siły dla ataku, iluzja „place d'armes" prysnąć musiała i rozrzedzone do stopnia pyłu szeregi obrońców Wil-

na utrzymać linji nie były w stanie. Natomiast próby natarcia z polskiej strony, które były jednak robione i doprowadziły, jak wiemy, nawet do zajęcia Podbrodzia, nie mogły przy takiem uszykowaniu wojsk, będących w mniejszości, dać jakiegokolwiek rezultatu. Gdy więc 14-go Wilno padło, znajdziemy natychmiast wpływ tego wypadku na cały rozkład strategiczny jednej i drugiej strony. W rozkazach polskich odtąd aż do samej Warszawy powtarzać się będzie raz po raz w punkcie pierwszym sakramentalne jakby określenie: „Z powodu obejścia naszego lewego, północnego skrzydła przez nieprzyjaciela" — cofa się reszta wojska ku zachodowi. Zaraz po wzięciu Wilna 14-go cofają się wstecz ku Lidzie najbliżsi sąsiedzi, dywizje 10-a i 17-a, osłonięte rajem drutów i okopów. Za niemi cofa się reszta 1. armji prawie bez boju na okopach, a jeszcze dalej to samo się dzieje z 4. armją, która porzuca okopy dla nowej linji, już bez raju drutów, za rzeką Szczarą. — Wszystkie więc myśli i plany strategiczne pękły w jednej chwili z powodu przypadkowej bitwy pod Wilnem. Prezenty strategji dla południa, ciężary taktyki dla północy, których początkiem był rozkaz gen. Szeptyckiego z 5-go lipca, zemściły się srodze na stronie polskiej.

Obok zaś nowej wojny i przewrócenia zasady rozkładu strategicznego, mieliśmy w dodatku olbrzymi upadek moralny wojska, dowódców i całego narodu. Czego nie zrobił jeszcze „wątły strumień" Auta, to dokończyła Wilja, „naszych strumieni rodzica". Prawie zabawnym, a charakterystycznym tego objawem były wypadki następnych dni pod Lidą; po raz pierwszy od 4-go lipca formuje się tutaj coś w rodzaju silniejszego ugrupowania wojsk polskich. Zbiera się tu jakgdyby dla jakiejś większej pracy kilka dywizyj, spieszących w tym kierunku z różnych stron. Robi się to, co jeszcze przed kilku dniami rozstrzygać by mogło boje pod Wilnem na naszą korzyść. Lecz robi się to pod batem nieprzyjaciela w ujemnym dla zwycięstwa celu — odwrotu, ucieczki, utraty artylerji, cofania się prawie w bezładzie. Od tej bitwy wraz z jej skutkami kończy się też tak częste dotąd dreptanie na miejscu wojsk sowieckich, które w obawie przed dotąd zwycięskim nieprzyjacielem nie miały pewności siebie, pewności zwycięzców. Nieznaczne więc starcie, gdy weźmiemy ilość wojska zaangażowanego w tej bitwie, stało się ogromnym wypadkiem, zmieniającym głęboko taktykę teatru wojny.

Przy całej powyższej analizie sytuacji wojennej, zakończonej na-

szą przegraną pod Wilnem, ani razu nie wspomniałem o roli w tem naczelnego wodza z naszej strony. Zostawiłem go z gotową prawie decyzją, powziętą jeszcze przed bojem 4-go lipca, gdy doszedł do przekonania, że musi zmienić swój poprzedni pogląd na sytuację strategiczną, którą wytworzyły sukcesy jazdy Budiennego na południu. Szukając dalszych wysiłków dla zwiększenia ilości jazdy po naszej stronie, dla północnego frontu miałem w owe czasy wyrobione zdanie, że najlepiej jest cofnąć dobrowolnie bez nacisku nieprzyjaciela cały front ku zachodowi, i oparłszy centrum o linję niemieckich okopów, sformować gdziekolwiek w okolicy istotnego „place d'armes", Wilna, silniejszą grupę manewrową, zdatną do operacji nie w rozciągłej i słabej linji. Na Polesiu wtedy większe siły mogłyby się stać odwodem, gdyż front tameczny po cofnięciu się za rzekę Ptycz zwężał się tak niepomiernie, że dla rozwoju większych sił nie było właściwie miejsca. Nie przyszło jednak do tego.

Gdym, dla omówienia wszystkich tych spraw, w końcu czerwca wezwał do Warszawy gen. Szeptyckiego, znalazłem w nim ogromny upadek ducha. Na zebraniu kilku generałów u mnie w Belwederze oświadczył mi, że właściwie wojna jest przegrana i że sądzi, iż należy zawierać pokój za wszelką cenę. Motywy, które przytaczał, polegały na następującem: na południu sukcesy konnej armji Budiennego tak dalece demoralizują wojska na całym teatrze wojny, a demoralizację czuć już silnie w kraju, że nie wydaje mu się możliwem, by wysiłki nasze zatrzymać te sukcesy mogły. I dlatego oczekuje on, że na najgłębszych jego tyłach, w Brześciu zjawi się wkrótce Budienny ze swoją jazdą, co uniemożliwi mu stanie dalej na froncie, a odwrót zamienić może w bezład i nieporządek. Na północy, mając pod swem dowództwem najlepsze części naszej armji, front swój utrzymać może, chociaż naprzeciw niego grupuje się coraz większa siła nieprzyjacielska z głównym celem wzięcia Mińska. Najbardziej zaś niebezpiecznym wydaje mu się silny wzrost narodowego uczucia w armji przeciwnika, wywołany przez zajęcie przez nas Kijowa. Spowodowało to dobrowolne wstąpienie do armji sowieckiej wielkiej ilości oficerów świeżo rozbitej przez Sowiety armji Denikina, którzy jako fachowcy zdołali w bezład sowiecki wprowadzić ład i należytą dyscyplinę. Więc wtedy, gdy u nas zwiększa się bezład, jest odwrotnie u nieprzyjaciela i nie jest wykluczone, że wobec niepowodzeń na po-

łudniu mogą wybuchnąć u nas rewolucyjne zamieszki, które będą potrzebowały interwencji armji; ta zaś może być dana jedynie przez zupełnie pewne wojska, będące pod jego, gen. Szeptyckiego, dowództwem.

Motywy te nie trafiały mi wcale do przekonania, projekt zaś zawierania za wszelką cenę pokoju odrzuciłem. Natomiast wypowiedziałem swoje zdanie o sytuacji, nadzieję zatrzymania postępów Budiennego na południu i chęć dla wygrania czasu cofnięcia całego frontu północnego wstecz w powyżej wyłuszczonem ugrupowaniu. Generał Szeptycki uważał jednak za lepsze przyjęcie boju na przygotowanych jakoby pozycjach, na których stały wojska. Czuł się na nich — dodał — pewniejszym, niż przy wykonywaniu żądanego przezemnie manewru.

Miałem więc wtedy do wyboru: albo zmienić gen. Szeptyckiego na dowództwie frontu, albo też w przeciwnym wypadku zatrzymać się na rozstrzygnięciu gen. Szeptyckiego, gdyż wolę zawsze mieć gorsze rozstrzygnięcie, lecz pewniejszego siebie dowódcę. Po pewnem wahaniu wybrałem decyzję drugą, wskazując jednak na konieczność w razie cofnięcia się armji urządzenia rozkładu strategicznego, zgodnego z mojem pojęciem. Gdy minął 4-y lipca z niekorzystnym dla nas wynikiem, już 6-go lipca szedł mój rozkaz z Warszawy, przypominający gen. Szeptyckiemu urządzenie frontu zgodnie z moim poglądem. Pogląd ten wynikał nietylko z poczucia wielkiego strategiczno-politycznego znaczenia Wilna, jako centrum życia wielkiego obszaru ziemi, a zatem głównego węzła dróg w tych okolicach, lecz i z prostego obliczenia niemożliwości rozciągania frontu wzdłuż linji okopów niemieckich, sięgających aż pod Dyneburg. Gdzieś więc w okolicach Wilna musiała być na północnej flance naszych armij wolna od okopów grupa, dla której osłony drutów znaleźć nie można. Grupa ta w tem czy w innem miejscu natarcia osłaniałaby jednocześnie i samo Wilno. W rozkazach i rozmowach z owych czasów zwykłym przymiotnikiem, stosowanym z Warszawy dla tej grupy, był przymiotnik *„silna"*. Dlatego też niespodzianką, i to bardzo przykrą, był rozkaz gen. Szeptyckiego z dn. 5-go lipca, wręcz przeciwny tej zasadniczej myśli. Wszystkie próby do dnia 11-go lipca wywołania zmiany pod tym względem okazały się w stosunku do gen. Szeptyckiego zupełnie daremnemi. Zaznaczam i tutaj, jak zawsze dotąd, że jako naczelny wódz niosę zawsze swoją dozę odpowiedzialności. Jak się wyraziłem w jednym

z dokumentów, pisanych pod moje osobiste dyktando, a będących w biurze historyczno-wojennem, właśnie w sprawie gen. Szeptyckiego, rozumiem, iż ta doza odpowiedzialności mojej leży w pozostawieniu przy dowodzeniu gen. Szeptyckiego, niezdatnego do tego pod względem moralnym. Lecz doprawdy, pomimo iż bardzo surowo się odnoszę do słusznie i niesłusznie ciążącej na naczelnych wodzach odpowiedzialności, nie mogę brać na barki wszystkich dziwadeł strategicznych gen. Szeptyckiego, wykazanych przy odwrocie po bitwie 4-go i 5-go lipca. Być zawsze silniejszym tam, gdzie bój się nie toczy, a słabszym, gdzie w bitwie decydują się losy wojny, nie starać się nigdy o zmiany widocznie złego rozkładu strategicznego, jest przeczyć temu — jak Napoleon mówi — zdrowemu sensowi wojny i ulegać biernie woli dowódcy nieprzyjacielskiego.

Jedynem pytaniem, jakie postawić można, jest, czy było choć cokolwiek możliwem, by zadośćuczynić woli naczelnego wodza, który palcem wyraźnie wskazywał na okolice Wilna, gdzie chce mieć zebraną silniejszą grupę? Zadawałem sobie nieraz to pytanie, zadawałem je i przy niniejszej analizie; dla odpowiedzi przytoczę in extenso ustęp z rozkazu, wydanego dn. 7. lipca dla 4. armji, która jak wiemy cofała się po linjach zbliżających się do siebie tak dalece, że z każdym dniem marszu stawała się coraz bardziej zgęszczona i znajdowała się po każdym marszu w coraz lepszej sytuacji strategicznej. Jeden z punktów tego rozkazu głosi: „Dywizja 4. w związku z odwrotem 4. armji koncentruje swoje oddziały w rejonie Mińska, zajmując linje fortyfikacji Mińska. Pułk 31. (nawiasem mówiąc, należy do 10. dywizji), znajdujący się dwoma bataljonami na linji fortyfikacyjnej, a jednym bataljonem w Mińsku, oraz 37. pułk (należący do 6. dywizji) zdążający z Bobrujska do Mińska, przechodzą pod rozkazy pułk. Kaliszki, jako dowódcy grupy operacyjnej. Zadaniem grupy jest utrzymanie Mińska do chwili przejścia oddziałów tyłowych 2. dywizji legjonowej, poczem krycie dalszego odwrotu". Mamy więc przykrycie Mińska właściwie dwoma i pół dywizjami. Mińska, który ma się zamiar opuścić bez boju. Mamy nawet luksus, że jedna dywizja drugą kryje przy odwrocie. Mamy także pułk, stojący bezczynnie w Mińsku, a należący do dywizji, będącej pod Wilnem. Mamy wreszcie jeden pułk odosobniony i zdążający także nie do Wilna, gdzie palec naczelnego wodza wskazuje konieczność dla niego silnej grupy, lecz do tegoż Mińska, który za parę dni ma być opuszczony. A w dodatku stoją w Mń-

sku gotowe pociągi i linja kolejowa gotowa do usług w kierunku Wilna, niezagrożona wcale przez nieprzyjaciela, skoro w najbliższym do niego punkcie, Mołodecznie, stoi jeszcze tegoż 7-go lipca dowództwo armji 1-ej.

Połowa tego luksusu, to znaczy choćby dywizja, mogłaby spokojnie zastąpić bezczynnie stojącą 10. dywizję generała Żeligowskiego, którą jakby umyślnie dla osłabienia północnego skrzydła pod Wilnem ściągnięto ciężkim marszem z nad jeziora Miadzioł, gdzie stała w związku z 8. dywizją; ściągnięto ją, jak wiemy na południe, osłabiając grupę wileńską. A gdy sobie uprzytomnimy owe charakterystyczne dreptanie na miejscu 4. armji p. Sergiejewa przed „rozpylonemi" przez nas samych na 100-kilometrowej przestrzeni dwoma dywizjami; gdy uprzytomnimy, że ani 11-go lipca, ani 12-go, ani nawet może 13-go żadna z części innych armij sowieckich wmieszać się do boju nie mogła; gdy wreszcie weźmiemy pod uwagę, że pomimo oczywistej słabości obrońców Wilna była to jedyna na całym długim froncie generała Szeptyckiego atakująca grupa, której atak nie był nawet bez powodzenia — to łatwo sobie wyobrazić można, że przy tej zupełnie możliwej do okazania pomocy, zgodnie ze wskazaniami i rozkazami naczelnego wodza, mogłoby być odniesione zwycięstwo nad drepczącą nieśmiało 4. armją p. Sergiejewa; zwycięstwo nad tą właśnie armją, która w dalszym rozwoju operacji decydowała stale i zawsze, aż do Warszawy, o bezstronnem nieprzerwanem cofaniu się frontu gen. Szeptyckiego. Lecz na poddanie się jasne i wyraźne woli nieprzyjaciela jeszcze dotąd nigdzie na wojnie nie znaleziono lekarstwa!!

VII.

Dwie bitwy, które zanalizowałem, rozstrzygnęły losy kampanji, dowodzonej przez p. Tuchaczewskiego, aż do Warszawy. Pierwsza z nich, 4-go i 5-go lipca, stoczoną została z całą naszą 1. armją, gdy większość naszych wojsk, 4. armja i grupa poleska, stały bezczynnie nie przeszkadzając nieprzyjacielowi w odniesieniu nad nami półzwycięstwa przeważającemi siłami. Druga, od 11-go do 14-go lipca, toczona była z małą zupełnie cząstką naszych wojsk wtedy, gdy cała reszta frontu w żadnych bojach nie brała udziału. Obie te bitwy otworzyły drogę nie dla gros p. Tuchaczewskiego i nie dla jego taranu, lecz dla najbardziej północnej części jego wojsk, 4. armji z grupą jazdy. Odtąd wszystkie próby zatrzymania nieprzyjaciela rozstrzygane były z jego strony w ten sam sposób, jak rozstrzygniętą została bitwa pod Wilnem. P. Sergiejew ze swoją armją i jazdą, idąc od Wilna już względnie wąskim korytarzem, systematycznie obchodził północne skrzydło naszych wojsk, jakby jakaś boczna awangarda, ciągnąca za sobą resztę sił sowieckich. Każde takie obejście rozstrzygało, jak pod Wilnem, o próbach oporu wpierw w 1. armji, która się cofała, za nią spieszyła również wycofać się południowa 4. armja. Wobec istnienia na skrajnem skrzydle wojsk sowieckich jazdy, te rozstrzygnięcia przybierały niekiedy rozmiary właściwie klęsk, gdy szybkość w opanowaniu terenu uderzała w wyobraźnię. Próby oporu z naszej strony były właściwie epizodami, które pod względem strategicznym były bliźniaczo podobne do siebie. Pomimo, że p. Tuchaczewski poświęca najrozmaitszym swoim kombinacjom podczas swego pochodu ku Wiśle względnie dużo miejsca, pomimo także, że i po naszej stronie tworzono mnóstwo najrozmaitszych kalkulacyj i kombinacyj,

nie chcę poświęcać ze swojej strony miejsca dla ich analizy. Wszystkie bowiem te próby miały charakter zupełnie jednakowy i zasadniczo naszego rozkładu strategicznego w niczem nie zmieniały. Były one stale jakgdyby rozpaczliwemi skutkami pierwszych niepowodzeń. Wobec zaś tego, że pierwszy bój był — jak próbowałem wykazać — półzwycięstwem, drugi zaś pod Wilnem był na pół przypadkiem, historyk wojen zawsze zastanawiać się będzie nad dziwną zagadką, ukrytą w znaczeniu takich bojów.

Ruch wojsk p. Tuchaczewskiego po otwarciu drogi dla 4. armji i jazdy trwał nieustannie. Przeciętna przestrzeń na jeden dzień aż do Warszawy i jej okolic wypada około dwudziestu kilometrów, więc prawie jeden marsz dzienny. Takie długie marsze, przerywane jednak bojami, stanowić mogą zaszczyt zarówno dla armji, jak i dla dowódców.

Specjalnie zaś główny wódz, który ma dosyć sił i energji, woli i umiejętności, by podobnych prac wojennych dokonywać, nie należy do miernot i przeciętnych. I doprawdy szczerze wolałbym teraz, gdy o tem piszę, dostrzec w dziełku p. Tuchaczewskiego, zamiast dziwnych przesadnych określeń i niesmacznych wymyślań, metodę dowodzenia i organizację tego pięknego marszu. Powinszuje mu go każdy historyk i każdy analityk. Wpływ tego marszu był olbrzymi. P. Tuchaczewski chce go porównać w jednym ze swych strategicznych orzeczeń do marszu armji niemickiej w kierunku na Paryż. Istotnie, ten nieustanny robaczkowy ruch większej ilości nieprzyjaciela, przerywany od czasu do czasu jakgdyby skokami, ruch, trwający tygodnie, sprawia wrażenie czegoś nieodpartego, nasuwającego się jak jakaś ciężka potworna chmura, dla której przegrody się nie znajdzie. Jest w tem coś beznadziejnego, łamiącego wewnętrzne wartości człowieka i tłumu. Przypominam sobie rozmowy, które w owych czasach toczyłem. Jeden z generałów, z którym często mówić musiałem, prawie codzień rozpoczynał swą rozmowę i raport słowami: „ależ marsz! ależ marsz!". Było coś w tem z podziwu i coś z goryczy bezsilności. Na wojskowych marsz taki robi wrażenie jakiegoś potwornego kalejdoskopu, w którym codzień układa się jakaś nowa sytuacja, z nowemi nazwami punktów geograficznych, pomieszanych z numerami pułków i dywizyj, nowym układem czasu, nowym obliczaniem przestrzeni. I chociaż ten poczwarny kalejdoskop przesuwa obrazy powoli, lecz swą nieodpartą jednostajnością ruchu po pewnym czasie czyni chaos. chaos niezakoń-

czonych kontrkombinacyj, niewypełnionych rozkazów i raportów, niezwiązanych z nową już istniejącą realnie sytuacją.

Pod wrażeniem tej nasuwającej się chmury gradowej łamało się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy. Wszędzie dookoła wpływ tego marszu widziałem. I gdy już poprzednio wspomniałem o takim samym wpływie jazdy Budiennego, to teraz marsz nieustanny p. Tuchaczewskiego przewyższył znacznie swem znaczeniem i wpływem poprzednie wypadki. Dla naszej polskiej strony pod wpływem wydarzeń wytwarzał się coraz wyraźniej i coraz jaśniej poza frontem zewnętrznym front wewnętrzny, który swą siłą we wszystkich historjach wojen był zwiastunem klęski i największym czynnikiem przegranej nie bitew lecz wojen. P. Tuchaczewski chce porównywać swój marsz ku Warszawie z marszem Niemców ku Paryżowi. I tam niechybnie powstawać musiał front wewnętrzny, front nieodpieralnego rozumu bezsilności i mędrkowania tchórzów i słabych, lecz Paryż, który tyle prób w historji swojej zwycięsko przebył, nie był Warszawą, ledwie wyłonioną z błota wiekowej niewoli — niewoli, gdy wiek cały tryumf święciły rozum bezsilności i mędrkowania tchórzów. Więc front wewnętrzny był silniejszy, niż w 1914 r. w Paryżu, a opór przeciwko podszeptom trwogi i natchnieniom bezsilności był mniejszy i słabszy. Państwo trzeszczało, wysiłki wojsk rozdrabniały się w odruchach, a praca dowodzenia z dniem każdym była trudniejszą i cięższą moralnie. Niechybnie wśród powodzi trwogi, bezwładu i bezsilności, były próby zorganizowania elementu walki i elementu siły, lecz nie trzeba ich historycznie przesadzać. Nie miały one wcale żywiołowej potęgi i mocy, a osłabione były krzykactwem i nadmiarem bezładu organizacyjnego. Dla krzykactwa rzucono hasło nonsensowne nowej armji ochotniczej, armji, w której przedewszystkiem wyrastały w nonsensie organizacyjnym liczne sztaby, przepełnione nowymi prowenistami. Zdołałem zatrzymać ten nonsens, nakazując podstawę organizacyjną tylko bataljonową i dozwalając z najsilniejszych i najmniej krzykliwych elementów sformować jedną tylko dywizję ochotniczą, która zresztą jako taka do końca wojny dzieliła los razem z innemi dywizjami.

Ten proces rozkładu sił, ten proces łamania się woli u nas, zdaniem mojem był największym tryumfem, który przypisać mogę p. Tuchaczewskiemu. Tym marszem ku Warszawie, żywionym niechybnie jego wolą i siłą pracy jako dowodzącego, złożył p. Tuchaczewski do-

wód, że musiał wyrosnąć nad przeciętność i pospolitość. Lecz gdy książeczkę jego przerzucam, znajduję raz po raz jakieś świadome, czy nieświadome fałsze, któremi upiększa niepotrzebnie swój marsz. Dla charakterystyki tych niepięknych piękności wskażę na romans czy bajkę z tysiąca i jednej nocy, tyczącą się Grodna i Niemna. Czego tam niema! Jakaś dziwna nieznana w naszej historji koncentracja z zachodu i wschodu prawie sześciu naszych dywizyj na Grodno. Jakieś dziwadło ruchów, których nie było w istocie i ogromne mnóstwo słów i jeszcze raz słów o „pieszych masach", o „zmiażdżeniach", o dziwnych manewrach i kontrmanewrach, które wreszcie są zakończone „ostatecznem rozbiciem i zdemoralizowaniem" biało-polaków. Gdy się czyta ten romans, który się dzieje w wyobraźni p. Tuchaczewskiego — a tych romansów p. Tuchaczewski tworzy w swem dziełku dość dużo — rzuca się z pewnym niesmakiem książkę. Po co tyle pajaca w wielkiej dziejowej pracy wojny!

Historja Grodna jest prosta. Gdy „wrota wileńskie" przed armją p. Sergiejewa i jego jazdą się otworzyły i gdy 2. litewsko-białoruska dywizja w przeważnej swej części uległa w podwójnej wojnie z Sowietami i Litwą, jazda prostym ruchem, paru szwadronami straży przedniej, zajęła Grodno; Grodno dla upiększenia życia wojennego fortecą zwane, fortecą zresztą tylko w pojęciu literatury naszej i sowieckiej, gdzie łatwo o „place d'armes" bez kolei, o fortyfikacje bez drutów kolczastych, o huraganowy ogień z kilku podpsutych armat i o fortecę z „rozpylonemi" fortami, które i teraz oglądać każdy może. W ten sposób jazda p. Sergiejewa prześcigała znacznie lewe skrzydło naszej 1. armji, która nie dla żadnych koncentracyj koło Grodna, lecz dla zwyczajnego, niezmiennego obsadzenia linji Niemna i Szczary, równoległemi znowu drogami cofała się od modrej Wilji ku szaremu jej kochankowi Niemnowi. Na skrajnem zaś skrzydle, gdy drugiej dywizji litewsko-białoruskiej zabrakło, cofały się dwie dywizje, 8-ma i 10-ta, których ani „rozpylać", ani „miażdżyć", ani „doszczętnie rozbijać" raz jeszcze ani p. Tuchaczewski, ani p. Sergiejew nie potrzebował, gdyż przecie w swojej drodze od Sedanu w Hermanowiczach — Szarkowszczyźnie, były w książkach obu autorów „miażdżone" i „rozpylane" conajmniej pięć razy. Wbrew temu nadmiarowi klęsk, które w książkach p. Sergiejewa i p. Tuchaczewskiego poniosły, spełniły i tym razem swój żołnierski obowiązek. A będąc pod rozkazami gen. Żeligowskiego, który dotąd tego ogromu publicystycznych klęsk nie

odczuwał, musiały obie dywizje, gdy dojście nawet do Niemna było dla nich zamknięte, drogę sobie ku Niemnu otworzyć. I tak ongiś 6-go lipca w Duniłowiczach, tak po paru tygodniach pod Grodnem gen. Żeligowski wraz z pułkownikiem Burhard-Bukackim, dowodzącym 8. dywizją, wahali się, czy drogi tej ku Niemnowi nie otwierać w Grodnie, zajętym już przez jazdę sowiecką. Gdy zaś udało się przejście koło Łunnej Woli otworzyć, zaniechali boju o Grodno, przechodząc przez Niemen ku zachodowi.

Tak samą bajką a nie historją jest koncentracja sił naszych ku Grodnu od zachodu. Poza kilku bataljonami, na gwałt rzuconemi dla zasłonięcia najbardziej północnego skrzydła na nowej linji Niemna i Szczary, zdołano jeszcze na czas przywieźć z Polesia jedną brygadę 9. dywizji, którą skierowano pod Grodno, jako na punkt najsłabszy długiej linji frontu gen. Szeptyckiego. Jest to zresztą jedyny wypadek wzmocnienia rozrzedzonej kosztem południa północnej części tego frontu.

Oprócz grodzieńskiej bajki jest niemało i innych bajek u p. Tuchaczewskiego. Jest ich tak dużo, że każdej z nich prostować nie sposób. Nie mogę jednak nie być względnym jako analityk i historyk dla p. Tuchaczewskiego. Miał on napewno w ręku różne daty i dane, tyczące się naszej strony czy w zeznaniach jeńców, czy to z takich czy innych dokumentów, wziętych przez jego wojska w tej epoce. A wobec niechybnej ich sprzeczności pomiędzy sobą daty te i dane reprezentowały może dość wiernie ten chaos w ocenach sytuacji i prób kontrmanewrów, jaki istniał u nas w owe czasy. Mógł zarazem czerpać z tego prawdopodobnie obfitego materjału wszystko co zechciał. Sam ja, naczelny wódz wojsk polskich, z pewnym podziwem i poczuciem krasy nowości odnajduję teraz przy mych pracach dokumenty i pisma nieznane mi wcale z czasów pochodu p. Tuchaczewskiego ku Warszawie. Ba, nie uważam tego wcale sobie za ujmę, gdyż w owe czasy, nie poddając się wcale nastrojom trwogi bezwładności, zatrzymałem się w stosunku do frontu, dowodzonego przez gen. Szeptyckiego, na zupełnie określonej decyzji i szukałem dróg dla zatrzymania pochodu ku Wiśle czy Warszawie za pomocą jedynego sposobu, kontrataku. Dla charakterystyki mego stosunku w tych sprawach przytaczam dosłownie notatkę moją, uczynioną na jednym z dokumentów historycznych, zatytułowanych „Sprawa gen. Szeptyckiego", notatkę,

napisaną w roku 1921., więc przy świeższej znacznie pamięci, niż to jest obecnie.

„Co się tyczy — pisałem w tej notatce — wszelkich operacyj na północy od przegranej na Aucie i Berezynie muszę powiedzieć, że uważałem za względnie bezcelowe rozważanie szczegółowe tych czy innych decyzyj. Zasadniczo wróciłem do idei niemieckich okopów i silnego lewego skrzydła poza okopami pod Wilnem. Lecz przy pierwszych atakach na 4. armję przestałem wierzyć w wykonanie tego planu, a to dla przyczyn następujących: Wykonanie tego planu z jego konsekwencjami wymagało — a) bardzo szybkiego odwrotu z poświęceniem wielu rzeczy dla wygrania czasu, b) uporządkowania choć trochę oddziałów, c) co główne dla podniesienia moral i znaczenia nowej ery dla wojska, wyznaczenie nowych dowódców. Rozmyślałem nad tem wszystkiem parę dni i dałem święty spokój, a to dla przyczyn następujących: 1) Panika na tyłach, nawet dalekich od frontu, zaczęła się odrazu, usposabiając bardzo popłochowo wojska i nie wróżąc wielkiego powodzenia dla pracy tyłowej i kolejowej. 2) Stosunki personalne w armji i specjalnie pośród wyższych oficerów należały do najgorszych, jakie kiedykolwiek przy studjach moich historycznych znałem. Zmiany więc w większym stylu przy złym moralnym stanie już wtedy w całym kraju — mogłyby doprowadzić do katastrofy organizacyjnej i tak zawsze wiszącej nad moją głową. 3) Odruch moralny, jaki miałem i nad którym zastanawiałem się najdłużej, było wyjechać samemu na front i objąć tam dowództwo bezpośrednio. Z przykrością niezmierną dla siebie odrzuciłem i ten projekt. Główną przyczyną tego było poczucie, że stan moralny kraju całego zaczynał być tak fatalny dla celów wojny, nastrój popłochowy i nerwowy tak napięty i wielki, że od tego czasu poza frontem zewnętrznym zacząłem mieć jako poważny minus w moich kalkulacjach front wewnętrzny. Nie chciałem usunąć się od odpowiedzialności, co byłoby rzeczą łatwą. Uznałem wtedy, że narazie miejsce moje jest w Warszawie dla zmiany moral wewnętrznej i trzymania frontu wewnętrznego chociażby dobrą miną i zupełną pewnością siebie. Nie uważałem więc za możliwy odjazd swój na dłuższy czas. Wobec tego wszystkiego ogólną strategiczną myślą moją od tego czasu było — aż do sierpniowych dni pod Warszawą — 1) front północny wygrywa tylko czas — 2) w kraju energiczne przygotowanie rezerw — dyrygowałem je wtedy na Bug bez plątania ich w walki odwrotowe frontu północnego, 3) skończenie

z Budiennym i ściągnięcie z południa większych sił dla kontrataku, który planowałem z okolic Brześcia. Uparcie też do końca trzymałem się tej zasadniczej myśli".

Pominąwszy notatkowy styl uwag na marginesach dokumentów, oddają one ściśle moje, naczelnego wodza strony polskiej, rozważania. Jeżeli tak myślałem zaraz po pierwszym boju 4-go i 5-go lipca, to tem silniej utwierdzałem się w tem mniemaniu, gdym widział bezowocność wszelkich usiłowań zmiany nonsensownego strategicznego rozkładu wojsk naszych na północnym froncie. Już po utracie Wilna przyszedłem do przekonania, że momentem zmiany dowódców na północnym froncie będzie przejście przez nasze wojska Bugu i Narwi. Przypuszczałem, że większa ilość wojsk na Polesiu, prawie niezaangażowanych przy cofaniu się w bojach, utrzymać zdoła Brześć i okolice i w ten sposób osłonić zdoła koncentrację wojsk od południa dla silniejszego uderzenia. Koniecznym jednak warunkiem dla tej koncentracji było usunięcie z góry silnego atutu, który posiadał przeciwnik w jeździe Budiennego. Z piechotą nieprzyjacielską na południowym naszym froncie liczyłem się bardzo mało. Po klęsce, którą zadałem na polach Ukrainy 12. armji sowieckiej, piechota nieprzyjacielska nie wykazywała wielkiej siły i była właściwie dodatkiem do pracy konnej armji Budiennego. Parę nowych dywizyj, które na tym froncie się ukazały, pomimo, że jedna z nich nosiła dumną nazwę „żelaznej", prędko wyszarpały swe „żelazo" w bojach z naszą 3. armją (gen. Rydza-Śmigłego) i straciły energję i ochotę do walki. Kołem rozpędowem wojny na południu była jazda Budiennego, i nie sądziłem, by mi było trudno, po usunięciu lub przynajmniej znacznem unieszkodliwieniu tej jazdy, wyciągnąć większe siły z południa, by je skoncentrować gdzieś pomiędzy Kowlem a Brześciem i wraz z grupą poleską, mało bojami zmęczoną, przejść do kontrataku w kierunku północnym.

W tych swoich rozważaniach brałem również pod uwagę stan moralny wojska. Gdy na północy obserwowałem stale postępujący rozkład sił moralnych, to na południu odwrotnie spostrzegałem jakgdyby stężenie moralne i wzrastającą ufność w przezwyciężenie kryzysu. Tam długi front cofał się i łamał z przyczyn często drobnych, a wojska cofały się nieraz bez boju i często w nieładzie; na południu wojsko wykazywało zdolność stałą do manewru i powracało ustawicznie do walki i boju. Boje zaś, choć nie były nawet zwycięskiemi, codziennie zmniejszały siły głównego przeciwnika, Budiennego, siły bardzo

trudne dla niego do odnowienia. Duża i z każdym dniem wzrastająca różnica wartości militarnej naszego południa w porównaniu z północą, z wielką wyrazistością uwidoczniała się w przestrzeniach, które w odwrocie oddawano przeciwnikowi. Istotnie, jeżeli za datę wyjściową dla porównania weźmiemy datę 4-go lipca, gdy bój na północy się rozpoczął i zatrzymamy się na dacie 20. lipca, gdy wojska północy osiągnęły mniej więcej linję Niemna i Szczary, to cyfry łatwo zilustrują słuszność mego poglądu. W armji 1. n. p. dywizja 10. przeszła w tym czasie w odwrocie 395 kilometrów. W armji 4. wzięta dla przykładu 2. dywizja legjonów miała odwrotowy przemarsz 295 kilometrów. W tym samym czasie odpowiednie cyfry dla trzech armij na południu 6-ej, 2-ej i 3-ej wynoszą 100, 80 i 130 kilometrów. Cyfry te są wymowne, a z każdym dniem i z każdym kilometrem stawały się wymowniejsze. Dodam, że organizacja liczniejszego korpusu jazdy z naszej strony, co się odbywało w Zamościu i okolicach, szła wprawdzie powoli, lecz zbliżała się ku końcowi. Wyjeżdżałem tam, by pracę organizacyjną przyspieszyć i nadążyć z użyciem jazdy w odpowiednim czasie. Liczyłem więc, iż mogę z pewnem prawdopodobieństwem rachować, że gdzieś w końcu lipca będę mógł przystąpić do decydujących operacyj. Na Bug i Narew wysłane zostały poszczególne bataljony ochotnicze i uzupełnienia dla cofających się 1. i 4. armij, i około 25. lipca nakazałem koncentrację sił na południu dla uderzenia na jazdę Budiennego. To uderzenie podjąć miała z północy 2. armja z okolic Beresteczka, dokąd skierowane zostały świeżo zorganizowane dywizje jazdy. Od zachodu części 6. armji miały w tym ataku brać udział.

Niestety koncentracja szła tak powoli, a początki boju, który się w okolicach Beresteczka rozwijał, był tak niewyraźny, że choć jazda Budiennego silnie szarpnięta podwójnym atakiem zmuszona była do cofania się, to bitwa nie wydawała mi się taką, abym mógł liczyć na szybkie i decydujące jej rezultaty.

Nie mogłem osobiście, jak zamierzałem, dojechać do wojsk walczących. Po drogach, rozmiękłych po parodniowych deszczach, mój samochód odmówił posłuszeństwa. A gdym niecierpliwie śledził przebieg boju w Chełmie w kwaterze dowodzącego frontem gen. Rydza-Śmigłego, nieprzyjaciel zdobywał już na północy Łomżę i w szybkiem tempie zbliżał się do Bugu i Brześcia. Pamiętam — 30. lipca kazałem zapytać gen. Sikorskiego dowodzącego w Brześciu, na jak długo

liczyć mogę, że obroni Brześć i jego okolice. Było to dla mnie ważne, gdyż rozmyślnie zostawiłem na Stochodzie części 3. armji dla osłony od wschodu całego rejonu Kowla, gdzie w tym czasie zamierzałem koncentrować siły do kontrataku, gdy uda mi się skończyć z Budiennym. Odpowiedź brzmiała pocieszająco. Gen. Sikorski sądził, że uda mu się utrzymać w Brześciu i okolicach do 10 dni, a zatem — jak sądziłem — pomimo powolnie rozwijającej się operacji przeciw jeździe nieprzyjacielskiej, uda mi się ją zakończyć. Niestety obliczenia gen. Sikorskiego okazały się złudnemi. Brześć padł nazajutrz, 1-go sierpnia. Brześć upadł, a z nim razem i cała moja kalkulacja. Jeżelim często przy analizach był złośliwym w stosunku do zbytniego związywania się w pracy dowodzenia z nazwami geograficznemi, figurami geometrycznemi i szumnie brzmiącemi słowami z terminologji strategji i taktyki, to nieraz już starałem się być złośliwym i w stosunku do siebie, szukając, czym nie wpadł w taką zasadzkę w związku z Brześciem. Po upadku tej niby fortecy dobę całą przetrzymałem, nie zmieniając rozkazów pomimo, iż dowódca 3. armji, gen. Zieliński, znajdował się w Kowlu, miejscu mojej koncentracji, z otwartą zupełnie flanką ku północy. W dodatku zaś od wziętego przez nieprzyjaciela Brześcia prowadziła bita szosa do Kowla, droga dwa razy krótsza i dogodniejsza, niż droga z pod Brodów i Beresteczka, gdzie zgromadzone były znajdujące się w nierozstrzygniętym jeszcze boju, moje siły, których mógłbym użyć do planowego kontrataku. Szło o to, czy cofnąć osłonę od wschodu, rozciągniętą wzdłuż Stochodu i górnego Styru i wyrzec się w ten sposób dawniej planowego uderzenia ku północy wzdłuż wschodniego brzegu Bugu, czy upierać się dalej przy swoim zamiarze. Niechybnie, upadek Brześcia, z którym tyle wiązałem, wywarł na mnie silne i głębokie wrażenie — tak był niespodziewany i nieoczekiwany. Lecz po dobie wahania się i rozmyślań pożegnałem się ze swoją ideą i dałem rozkaz ewakuacji Kowla i cofnięcia 3-ej osłaniającej armji na Bug.

VIII.

Drugiego sierpnia wróciłem z Chełma do Warszawy. Znalazłem ją w znacznie trwożniejszym nastroju, niż ją zostawiłem przy odjeździe. Istotnie, ostatnia rzeczna przegroda, osłaniająca Warszawę od północy i wschodu — Narew, była prawie w posiadaniu nieprzyjaciela. Już nazajutrz padła Łomża, i cała 1. nasza armja cofała się ku stolicy. Na Bugu stały jeszcze w gorącej walce wojska naszej 4. armji i grupy poleskiej. Lewe skrzydło tej armji było już silnie zagięte wzdłuż Bugu ku zachodowi, wobec posuwania się naprzód 15. i dużej części 3. armji sowieckiej. Dalej ku południowi, też na Bug, w stronę Chełma, Hrubieszowa i Sokala cofała się dobrowolnie z mego rozkazu 3. i części 2. naszej armji. Bój z jazdą Budiennego zamilkał. Brody zostały przez nas na Budiennym zdobyte i pomimo, że w ostatniej fazie boju jazda nasza pod Klekotowem nieco ucierpiała, konna armja Budiennego nie miała siły po tym boju rozpocząć natychmiast zaczepnych operacyj. Ogólny więc rozkład strategiczny nie zmienił się zasadniczo w niczem. Jak dawniej od 4-go lipca, północ stała u nas gorzej niż południe, i zgodnie z dotychczasową receptą działań wojennych oczekiwać można było, że z chwilą gdy p. Sergiejew ze swoją 4. armją gdziekolwiek odniesie zwycięstwo, zacznie się cofać naprzód nasza 1. armja, za nią 4-ta. Nasze zaś południe, które świeżo odniosło półzwycięstwo nad Budiennym, zostawione będzie swemu losowi.

Była jednak dla obu stron zasadnicza różnica w sytuacji strategicznej w porównaniu ze wszystkiemi poprzedniemi. Po pierwsze, wojska sowieckie zbliżały się ku stolicy polskiej, ku Warszawie, co niechybnie obciążało niezmiernie nasze położenie, dając strategiczną

przewagę przeciwnikowi. Zrównoważyć tej przewagi nie mogła okoliczność, że po raz pierwszy od tak dawna mieliśmy konną armję Budiennego na pół pobitą przed swoim frontem, a nie tak jak zawsze na tyłach. Lecz może najwięcej wpływał na zmianę sytuacji strategicznej stron obu fakt, że pomiędzy północą a południem przestawała już istnieć ogromna barjera strategiczna w postaci Prypeci, otoczonej błotami. My, Polacy, wszystkie wygody ominięcia tej barjery mieliśmy po swojej stronie, odwrotnie wojska sowieckie miały jeszcze przed sobą Bug, który krępował swobodę manewrowania wszystkiemi siłami.

To też gdy przejrzymy dziełko p. Tuchaczewskiego, znajdziemy, że chce on przypisać swoje niepowodzenie pod Warszawą głównie tej okoliczności, iż nie mógł zjednoczyć w jednym wysiłku pracy północy i południa. Rozważaniem nad swoją sytuacją i naszą polską przy zbliżaniu się ku Wiśle poświęca p. Tuchaczewski całe dwa rozdziały. Trudno mi prostować wszystkie błędy w danych p. Tuchaczewskiego o nas. Błędów tych jest bardzo dużo i musiałbym, wbrew swemu zamiarowi, przedłużać zanadto moją pracę. Nie chcę zaś podjąć się prostowania wszystkich orzeczeń p. Tuchaczewskiego również ze względu na to, iż oba rozdziały noszą na sobie zrozumiałe zresztą piętno szukania usprawiedliwienia siebie z powodu klęski, którą poniósł, idąc ku Wiśle pod Warszawą. Zatrzymam się potem na niektórych bardziej rażących błędach i przejdę do oceny rzeczowej rozważań strategicznych p. Tuchaczewskiego.

Jak mówiłem, widzi on główną przyczynę swojej klęski w braku współdziałania pomiędzy nim a pomiędzy południową częścią wojsk sowieckich — 12. i 1. konną armją. Nie wydaje mi się słusznem to narzekanie. Istotnie p. Tuchaczewski stwierdza, że już dawniej miał przyrzeczenie głównego dowódcy, iż po minięciu Brześcia, a więc linji Bugu, pod jego dowództwem złączone będą wszystkie siły, działające przeciwko Polsce. Lecz Bug przez południe nie był ominięty i nieprzyjaciel wszędzie próby sforsowania Bugu na południu od Brześcia zwycięsko odparł. Więc p. Sergiejew, który także się nad tą kwestją zastanawia, jest nieco sprawiedliwszy, gdy mówi: „Niepowodzenia pod Chełmem i Hrubieszowem pokazały, że 12. armja przejdzie tylko tam, gdzie ją puści przeciwnik". To samo gdy dalej zaznacza, że „niepowodzenie pod Brodami musiało już doprowadzić do wątpliwości w rozważaniach (nawiesti na razmyszlenja)" — (str. 102,

103, Sergiejew l. c.). Narzekania p. Tuchaczewskiego istotnie są dziwne. Cóżby on powiedział, gdyby usłyszał narzekania np. p. Budziennego, że w chwili, gdy on również swój pochód ku Wiśle czynił i dochodził do Zamościa, to p. Tuchaczewski, wówczas już rozbity pod Warszawą, nie pomagał mu w jego dumnych zamiarach. P. Budienny miałby zupełnie taką samą rację, narzekając na p. Tuchaczewskiego, jak p. Tuchaczewski, gdy narzeka na p. Budiennego. Jazda Budiennego w owym czasie była w części rozbita i odchodziła ku wschodowi, by zalizywać swe rany. W zdobytych na tej jeździe Brodach, my Polacy, mogliśmy swobodnie bez przeszkód jakichkolwiek załadować 18. naszą dywizję, która Brody zdobyła i wywieść ją najspokojniej do zagrożonej Warszawy. Zostawała tylko narazie 12. armja, o której już nieraz wspominałem, że po klęsce, którą jej zadałem na polach Ukrainy w kwietniu, nie miała do końca wojny wielkiej wartości wojennej. I ciesząc się, że u p. Sergiejewa spotykam taką samą jej ocenę, stwierdzam, że podczas całego boju pod Warszawą nie mogła ona złamać oporu nie trzech dywizyj, które wtedy jeszcze miała naprzeciw siebie, lecz i jednej tylko naszej dywizji (7-ej), która do końca bitwy warszawskiej pod Chełmem osłaniała prawe skrzydło naszego kontrataku z nad Wieprza. Jedno z dwojga, albo p. Tuchaczewski, licząc na współdziałanie południa musiał nań poczekać względnie mu pomóc, albo też nie narzekać potem, gdy zdecydował się rozpocząć ostateczny „pochód za Wisłę" bez możności posiadania efektywnej pomocy z południa.

Tymczasem p. Tuchaczewski, licząc na to współdziałanie, nietylko decyduje ruch naprzód, lecz rozkazem swym z 8-go sierpnia oddala swe wojska najwyraźniej ku północy, obchodząc głównemi siłami (dwoma armjami) nawet Warszawę, jakgdyby uciekając od tego współdziałania, na które liczy. Otrzymał on zresztą jako pomoc najbardziej północną dywizję 12. armji (58-ą), która podchodziła do Włodawy trochę na południe od Brześcia. Wyznaję, że zarówno podczas samej wojny, jak i teraz, gdy ją analizuję, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że p. Tuchaczewski wcale na współdziałanie nie liczył. Wyznaczał on bowiem sobie cele tak dalekie, jak forsowanie Wisły pomiędzy Płockiem a Modlinem, jak to widzę z jego rozkazu, który czytam teraz dopiero. Taki zaś cel niepodobna było wiązać z drepczącą nieśmiało przed Bugiem 12. armją, ani z nadszarpaną armją Budiennego, która dobrych kilka dni po niepowodzeniu pod Brodami nie dawała o sobie

znaku życia. Jeżeli nawet skoncentrowanie wojsk sowieckich pod Warszawą, czego nawiasem mówiąc oczekiwałem, odsuwało p. Tuchaczewskiego ku zachodowi o 200 z górą kilometrów od 12. armji nad Bugiem, to „pochód za Wisłę" w dolnym jej biegu poza Warszawą (czego wcale nie czekałem) dodawał do tej przestrzeni jeszcze jakąś dobrą setkę kilometrów, czyniąc już zupełnie iluzorycznem współdziałanie z pozostałą gdzieś daleko ku wschodowi 12. armją.

W początkach swej pracy charakteryzując p. Tuchaczewskiego mówiłem, iż widzę w nim typ wodza zbyt jednostronnie zaabsorbowanego własnem jedynie zadaniem i własnemi myślami. Typ ten nazywam typem doktrynera, dla którego napoleońska „réalité des choses" rzadko istnieje. Przypuszczam, że i w tym wypadku p. Tuchaczewski spokojnie znegliżował stan rzeczy na południu od swych armij, i spokojnie nad niebezpieczeństwem mu grożącem przeszedł do porządku dziennego. Drugie zapomnienie o „realité des choses" wyrażało się jak mi się zdaje, w negliżowaniu przeciwnika, którego w wyobraźni swojej jak i w książce tak często „miażdżył", „rozgramiał" i „rozpylał". Miał coprawda w tej sprawie niemałe usprawiedliwienie. Dotąd walcząc z gen. Szeptyckim, „pochód ku Wiśle" przeprowadzał względnie bardzo łatwo i wszystkie próby oporu właściwie łamał wysiłkami jednej 4. armji. Umiał on zresztą skoncentrować często przeciw jednej 1. naszej armji przeważające siły, a zostawiał przeciwko reszcie naszego wojska małą część swych wojsk, jakgdyby był zupełnie pewnym, że z naszej strony żadnej niespodzianki spodziewać się nie może. Lecz gdy p. Tuchaczewski w dziełku swojem nad sytuacją się zastanawia, wpada zawsze w dziwną sprzeczność. Z jednej więc strony, wierząc w „zmiażdżanie" tak często powtarzane stwierdza, że „było to już nie wojsko, z którem wypadło nam się mierzyć w lipcu tegoż roku", gdyż było całkowicie zdemoralizowane. Poza „rozgromieniem" zaś wszystkie tyły były zawalone przez dezerterów. A obok tego w wyobraźni p. Tuchaczewskiego, dzięki zaostrzonym stosunkom klasowym, wszędzie wewnątrz Polski coś „głucho się burzyło" albo „kłokotało i burliło" czyli wrzało. Mógł więc negliżować takiego przeciwnika! Jednak p. Tuchaczewski w sposób nawet przesadny i nieodpowiadający prawdzie przedstawia szybki niesłychanie wzrost naszych sił wojennych w tym okresie. Dodaje przytem, że nowe formacje „bez względu na swą młodość i brak wyszkolenia, miały dostate-

czne zalety bojowe". Nawet jako jedną z przyczyn klęski pod Warszawą podaje on tę zwiększoną wartość wojenną naszego wojska. Znowu powiem, że sprzeczności takie, jawnie niezgodne z „réalité des choses" godzić może jedynie głowa doktrynera.

Wynikiem ruzumowań i rozważań p. Tuchaczewskiego był rozkaz, dany przez niego 8-go sierpnia. Rozkaz ten jest powtórzony i u p. Sergiejewa. Czytelnik znajdzie jego streszczenie na str. 47 — 48 dziełka p. Tuchaczewskiego wraz ze szkicem Nr. 12 przedstawiającym, jak on wypełnienie tego rozkazu sobie wyobraża. Dodam, że rozkaz ten nam, stronie polskiej, był nieznany i skazani byliśmy na domysły, oparte na obserwacji ruchów nieprzyjaciela. Negliżowanie przeciwnika występuje w tym rozkazie nadzwyczajnie jaskrawo. P. Tuchaczewski wiedział, gdyż mówi o tem bardzo wyraźnie przy swoich rozważaniach, że właśnie w Warszawie i jej okolicach, a włączam do nich i Modlin, koncentrowaliśmy możliwie wielkie siły dla obrony stolicy. Pomimo to p. Tuchaczewski skierowuje na Warszawę wraz z Modlinem dwie swoje najbardziej południowe armje. Dwie zaś północne, w tem najsilniejszą 15-tą, rzuca na obejście Warszawy, nakazując forsować Wisłę pomiędzy Płockiem a Modlinem. Robi więc manewr, przy którym siły jego już oddzielone znaczną przestrzenią od armji 12-ej, pozostałej nad Bugiem, mają być jeszcze przepołowione szeroką i silną przegrodą Wisły. Trzeba mieć bardzo złe pojęcie o przeciwniku oraz o jego wartości wojennej, gdy się na tak niebezpieczny manewr zdobywa. Za osłonę od południa tego manewru mogłaby być uważana tak zwana mozyrska grupa, którą p. Sergiejew liczy na dwie dywizje. Dodaną do nich jest zbliżająca się, lecz znacznie jeszcze w tyle będąca, 58. dywizja, oddana p. Tuchaczewskiemu z 12. armji. Lecz w rozkazie grupa ta nie otrzymuje wyraźnego zadania osłaniania manewru, przeciwnie p. Tuchaczewski nakazuje jej także „pochód za Wisłę" ze sforsowaniem jej w okolicach Dęblina.

Powtarzam — o wyjściu tego rozkazu ani jego treści nie wiedziałem wcale. Obserwowałem tylko ruch wojsk sowieckich, zbliżający je zewsząd ku Warszawie. Znając zaś wielkie znaczenie dla wojny każdej stolicy przypuszczałem, że p. Tuchaczewski starać się będzie skoncentrować wszystkie swe siły do złamania naszego oporu i zajęcia Warszawy. Obserwowałem coprawda pewne ruchy jazdy p. Sergiejewa, nie zbliżające jej do Warszawy, lecz skierowujące jakgdyby północną armję 4. albo przynajmniej jej jazdę w kierunku wyraźnie

zachodnim. Lecz przypisywałem ten ruch zamiarowi p. Tuchaczewskiego odcięcia nas od morza, to znaczy od Gdańska, za pomocą jakiegoś zagonu jazdy, popartego jakąś częścią piechoty. W analizie p. Tuchaczewskiego znajduję również ten motyw, jako brany w rozważaniach w rachubę. Widocznie jednak p. Tuchaczewski przy wydaniu rozkazu Gdańsk zarzucił, gdyż 8-go sierpnia nakazuje on 4-ej północnej armji wystawić jedynie w kierunku Torunia słabą osłonę.

Jest jeszcze jedno dziwne nieporozumienie w rozważaniach p. Tuchaczewskiego o naszem postępowaniu. Twierdzi on mianowicie, że wywieźliśmy prawie wszystkie wojska z Galicji wschodniej, zostawiając tam tylko formacje ukraińskie Petlury i gen. Pawlenko wraz z jedną dywizją jazdy. Chociaż p. Tuchaczewski sam nieco wątpi i dodaje, że coś z pieszych dywizyj, jako resztki naszej armji, także mogło zostać, jednak, chwaląc nas w innem miejscu za taką śmiałość, szuka w tym twierdzeniu, jak mi się zdaje, zwiększenia sił naszych, zebranych przeciwko niemu, a zarazem cięższego oskarżenia swoich południowych kolegów, że mu nie pomogli podczas klęski pod Warszawą. Tymczasem rzecz się wcale inaczej miała. Z naszej 6-ej armji odjechała tylko 18-ta dywizja i niewielka część jazdy. Natomiast 12., 13. i połowa 6. dywizji zostały na miejscu, przybyła zaś 5. dywizja mocno poturbowana na północy, którą kazałem odesłać do Lwowa dla uzupełnienia i reorganizacji, gdyż sfomowaną była przeważnie z lwowian i Polaków, mieszkańców Galicji wschodniej. Wtedy zaś, gdy p. Tuchaczewski przygotowywał się do dania swego rozkazu, to zn. 6-go i 7-go sierpnia, naprzeciw 12. armji stały jeszcze najlepsze moje dywizje, 1. i 3. legjonowe. Rozkład ten nie mógł być zupełnie nieznany p. Tuchaczewskiemu i jeśli przybycie do Warszawy 18. dywizji mogło ujść jego obserwacji, to cała reszta przesunięć, które nastąpiły dopiero potem, nie mogła stanowczo być brana w rachubę podczas tej decyzji 8-go sierpnia. Zatrzymuję czytelnika tak długo na tych wstępnych rozważaniach, gdyż w obu rozdziałach p. Tuchaczewskiego, poświęconych przygotowaniom do bitwy warszawskiej, trudno jest często doszukać się prawdy historycznej. Domieszał on bowiem w swem dziełku ogromną ilość żalu z powodu nieudanej operacji i mnóstwo argumentów i motywów, nie związanych z jego myślami przed wydaniem rozkazu 8-go sierpnia, lecz wynikających z wahań i analiz późniejszych.

Dziwnym zbiegiem okoliczności daty rozkazów zasadniczych dla

bitwy warszawskiej są dla obu stron prawie jednakowe, różnicę stanowią zaledwie dwie doby, gdyż nasz rozkaz został wydany dnia 6-go sierpnia. Przedewszystkiem sprostować chcę dziwaczne twierdzenie, jakoby z tą datą związana była jakaś rada wojenna, gdyż wszystkie zasadnicze decyzje w ciągu całej wojny pobierałem sam, nie zwołując nigdy żadnej rady. Gdym 2-go sierpnia wrócił z południa, z Chełma do Warszawy, zastałem — jak już wspominałem — stan bardzo trwożny. Odczułem natychmiastowy nacisk na mnie całego wojennego otoczenia, abym przystąpił do dania nowych decyzyj, gdy nasza stolica Warszawa była zagrożona. Nie było bowiem w owym czasie wyjątków w sądzie, że Warszawa, a nie co innego jest celem operacji p. Tuchaczewskiego. Stan wszystkich odpowiedzialnych czynników zarówno wojskowych jak i cywilnych był bardzo nerwowy. Stale od miesiąca trwające niepowodzenia, ze wszystkiemi moralnemi i materjalnemi skutkami klęsk, ciążyły niezmiernie silnie, jak zwykle w takich wypadkach, na wszystkich wojskowych. Co do mnie osobiście, będąc zdecydowanym walczyć do ostatka, byłem jednak także pod wrażeniem świeżo nieudanej kombinacji, związanej z planem kontrataku z pod Brześcia i w pierwszej chwili nie widziałem poprostu żadnego rozsądnego rozstrzygnięcia. Dlatego też odrzuciłem odrazu wszelki nacisk na siebie i zapowiedziałem swą decyzję na dzień 6-go sierpnia. Już w tym wyborze daty, uważanej przezemnie za szczęśliwą, bo związaną z moją niedawną przeszłością — dniem wymarszu w 1914 r. z Krakowa na wojnę, każdy analityk łatwo dostrzeże poczucie niepewności siebie, jakgdyby rozchybotania moralnego. Minęły bowiem dawno te czasy, gdy wodzowie mieli koło siebie wróżbitów, określających dnie szczęśliwe i feralne. Śmiem więc twierdzić, że data rozkazu niezależną była od słusznej czy niesłusznej oceny sytuacji przez kogokolwiek. Wobec tego jednak, że naokoło tej decyzji zaplątany został u nas nadzwyczajnie śmieszny węzeł plotek, domysłów i legend, nawet broszur i wydawnictw, których odbicie znajduję zarówno u p. Tuchaczewskiego, jak i u p. Sergiejewa, zatrzymam się nieco, poprostu dla ścisłości historycznej, na tej wcale zresztą nieważnej dla analizy sprawie.

Najbliżej do mnie z urzędu stali w owe czasy trzej panowie: gen. Rozwadowski, jako szef sztabu, gen. Sosnkowski, jako minister wojny i świeżo przybyły z Francji gen. Weygand, jako doradca techniczny misji francusko-angielskiej, przysłanej w tym groźnym dla nas czasie.

Opinje tych panów o sytuacji były jak zwykle nadzwyczajnie rozbieżne. A że sytuacja była niezwykle gorącą, prawdopodobnie i debaty w czasie mojej nieobecności niezbyt były przyjemne. Zastałem bowiem sytuację taką, że dwaj z tych panów, gen.Rozwadowski i gen. Weygand, jak się śmiałem wówczas, rozmawiali pomiędzy sobą tylko notami dyplomatycznemi, przesyłanemi z jednego pokoju do drugiego na placu Saskim. Godzącym zaś sprzeczności i dobrym duchem opiekuńczym tej pary wiecznie będącej w sporze, był gen. Sosnkowski, minister wojny. P. Tuchaczewski widocznie słyszał coś o tych sporach, gdy mówi, że francuzcy i polscy pisarze lubią porównywać bitwę na Wiśle z operacją na Marnie. Istotnie, Marna we wszystkich rozmowach była wspominana bardzo często, przyczem dwaj panowie gen. Weygand i gen. Sosnkowski, mieli specjalną do Marny predylekcję. Jak niegdyś marszałek Joffre chciał mieć rzeczną zasłonę Marny czy Sekwany, poza którą mógłby przeprowadzić przegrupowanie cofających się dotąd wojsk ku lewemu swemu skrzydłu, gdzie się znajdowała stolica Paryż, tak i tutaj, za rzeczną zasłoną Sanu i Wisły, szukano manewru silnego lewego skrzydła w stolicy, Warszawie i jej okolicy, Modlinie. Jak tu tak i tam szukano kontrataku lewem skrzydłem, wychodzącem ze stolicy. Gen. Rozwadowski był tej Marny przeciwnikiem, gdyż wogóle był przeciwnikiem wszystkiego, co mówiono z innego pokoju w gmachu na placu Saskim. Zresztą, jako zupełnie swoisty patrjota Galicji wschodniej, nie mógł wewnętrznie się zgodzić ze znanem a wrogiem mu hasłem „za San". Natomiast gen. Rozwadowski, jak zwykle zresztą, sypał koncepcjami jak z rękawa nie zatrzymując się na żadnej i zmieniając je nieledwie co godzinę.

Jeżeli to piszę w stosunku do gen. Rozwadowskiego to nie dlatego, aby mu ujmę jaką zrobić, lecz czynię to wobec chęci spotykanej nieraz u nas ośmieszenia tego generała, który właśnie w tym ciężkim dla nas okresie niemałe położył zasługi. Wybrałem go jako swego szefa sztabu nie dlatego, by był do tej funkcji najlepszym, lecz dlatego, że stanowił szczęśliwy i zaszczytny wyjątek pomiędzy większością ówczesnych starszych generałów. Nie tracił nigdy sprężystości ducha, energji i siły moralnej; chciał wierzyć w nasze zwycięstwo, gdy wielu, bardzo wielu straciło już ufność i, jeśli pracowało, to ze złamanym charakterem. Godziło mnie to z wielkiemi brakami generała, jako szefa sztabu, gdyż nie wiem, czy istniała wogóle ja-

kakolwiek sprawa, której potrafiłby się trzymać w ciągu jednej chociażby godziny. Nie dziwiłem się też wcale, że gen. Weygand, przyzwyczajony do systematycznej pracy w sztabach, doszedł aż do dyplomatycznej metody dla stosunków wzajemnych [1]).

Osobiście mały brałem udział w dyskusjach i sporach, lecz narówni z innymi, nawet z p. Tuchaczewskim, spłodziłem historyczne porównanie, które i teraz wydaje mi się może najbardziej trafne, o ile wogóle porównania historyczne trafnemi być mogą. P. Tuchaczewski, chcąc uczynić żal swój do południa bardziej jaskrawym, porównuje bitwę pod Warszawą do klęski Samsonowa we wschodnich Prusach 1914 r. Tam bowiem gen. Rennenkampf, tak jak tutaj Budienny i dowódca 12. armji, stawiając sobie inne cele, nie pomógł na czas Samsonowowi, gdy marszałek Hindenburg skoncentrował swe siły przeciwko niemu i klęskę mu zadawał. Co do mnie porównywałem „pochód za Wisłę" p. Tuchaczewskiego do pochodu również „za Wisłę" gen. Paskiewicza w roku 1830-ym. Twierdziłem nawet, że koncepcja i budowa marszu prawdopodobnie wzięta jest z archiwum wojny polsko-rosyjskiej z 30-go roku. Z pewną dozą tryumfu przy przeczytaniu p. Tuchaczewskiego i p. Sergiejewa spostrzegłem, że niektóre motywy, znane mi w stosunku do feldmarszałka Paskiewicza, walczącego z rewolucyjną Warszawą i na pamiątkę swych czynów mającego tytuł księcia warszawskiego, są bliźniaczo podobne do motywów p. Tuchaczewskiego, gdy sięgał prawie w sto lat potem po naszą stolicę. P. Tuchaczewski, jak i Paskiewicz, opierał prawe skrzydło — gros swoich sił — o państwa jakoby neutralne, lecz nam wyraźnie wrogie. Już w samym początku miał p. Tuchaczewski z tego dużą korzyść, gdy Litwa zaczęła mu czynnie pomagać. Z pewnym niepokojem śledziłem też wypadki, gdy prawe jego skrzydło zaczęło się w ten sam sposób opierać o Wschodnie Prusy. Kazałem nawet szukać danych, czy nie miał on tych korzyści, jakie ongiś miał Pas-

[1]) Jakiś bubek w świeżo wydanej broszurce „Kampanja w roku 1920 w świetle prawdy" ośmiesza gen. Rozwadowskiego, przypisując mu niestworzone rzeczy, jakoby dla pognębienia mnie, jako naczelnego wodza. Broszura ta wywołała już ostrą odprawę oficera, z którym więcej w rzeczach operacyjnych pracowałem niż z gen. Rozwadowskim, gen. Piskora. Nie sądzę, aby warto było zajmować się tego rodzaju literaturą, gdyż jeśli jej autor jest admiratorem gen. Rozwadowskiego, to zaiste powtórzyć można przysłowie rosyjskie, że „wysługujący się kiep jest niebezpieczniejszy od wroga".

kiewicz. Ten mianowicie, mając jak i p. Tuchaczewski tyły i komunikacje bardzo uciążliwe i trudne, szukał pomocy pruskiej, opartej na wspólnym interesie zaborców Polski, pomocy w dostawach dla wojska wszystkiego, co potrzebnem było dla życia. Specjalnie obawiałem się o dostawę amunicji, której p. Tuchaczewskiemu mogło brakować po długim marszu od Dźwiny i Berezyny do Warszawy.

Wszystkie porównania historyczne szwankują, pozostają jednak potrzebą każdego wykształconego umysłu. Wojskowi zaś specjalnie cechę taką mieć muszą, gdyż umysł swój i charakter kształcą najczęściej na histroji pracy wojennej, nawet dawno minionej. Historyczne więc przykłady są, jak ja je nazywam, częstemi węzłami myślowemi w rozważaniach dowódców. Nie stają się one nigdy tak silnemi i potężnemi, jak inne węzły myślowe z różnych doktryn i doktrynek; i przy przykładach historycznych, branych w dyskusjach, najmniej zwykle trzeba potężnego okrzyku z pod kopuły Inwalidów w Paryżu: „Mais c'est la réalité des choses qui commande, messieurs!" gdyż rzadko przykłady historyczne są motorycznym czynnikiem ludzi, a zatem i wodzów. Lecz gdy jestem przy tym temacie, przy książkowem literackiem skrzyżowaniu szpady z p. Tuchaczewskim, nie chciałbym ominąć sposobności, by mu powiedzieć, że przykład Marny dla niego nie jest też bez podstaw.

Naturalnie nie idzie tu o rozkład strategiczny i założenia bitwy, gdyż te istotnie nie mają z sobą nic wspólnego z prostego powodu. Gdy gen. v. Kluck podstawiał swe prawe skrzydło Paryżowi zbliżając się ku sąsiedniej armji gen. Buelowa, p. Tuchaczewski oddalał się od swych sąsiadów na południu, czyniąc raczej zagrożonem swe lewe skrzydło, a prawe, zgodnie ze swym zamiarem, mając oparte o neutralne, lecz wrogie Polakom Prusy Wschodnie. Podobieństwo znajduję raczej w psychicznym podkładzie rozkazów i czynności Niemców w 1914 r. i p. Tuchaczewskiego w 1920 r. — mianowicie w negliżowaniu przeciwnika. P. Tuchaczewski „rozpylał", „miażdżył" i „gromił", generałowie v. Kluck, v. Buelow i v. Hausen, nie mając tych określeń rosyjskich w raportach, wysyłali do głównej kwatery codzień tryumfalne raporty o „Sieg'u" gdzie przeciwnik „fluchtartig" unikał spotkania z groźnemi kohortami Niemców. A gdy w głównej kwaterze niemieckiej wreszcie w rozbicie armji francuskiej, na podstawie tych raportów, uwierzono, wycofano od nich dwa korpusy dla innych potrzeb państwa, dwa korpusy, których właśnie

dla „Sieg'u" na Marnie brakowało. U nas, gdy p. Tuchaczewskiego i p. Sergiejewa czytałem, najczęściej „rozpylanemi", najbardziej „miażdżonemi", zawsze ostatecznie zdemoralizowanemi i niezdatnemi do boju, okazywały się przy cofaniu się od Dźwiny i Berezyny ku Wiśle trzy nasze dywizje: 8., 10. i 1. litewsko-białoruska. Właśnie te dywizje najlepiej moralnie cały odwrót wytrzymały i w ich kontrataku załamały się pierwsze powodzenia przy uderzeniu bezpośredniem na Warszawę.

Przechodząc do decyzji, powziętej przezemnie 6-go sierpnia, zaznaczyć odrazu muszę, że przy tych dyskusjach, którym nieraz niechętnie się przysłuchiwałem, nie brano nigdy pod uwagę dwóch nadzwyczaj ważnych dla mnie, jako naczelnego wodza, motywów. Jednym z nich był fakt, że mieliśmy prowadzić pertraktacje pokojowe. Właśnie pod naciskiem tego, co p. Tuchaczewski nazywa komplotem międzynarodowego kapitału czy międzynarodowej burżuazji, która jakoby nami dowodziła, mieliśmy wysłać delegację nie gdzieindziej, jak do Mińska, gdzie się znajdował p. Tuchaczewski, by żebrać o pokój. Inaczej jak żebraniną tego nazwać nie mogę, gdy wszczynać miano rozmowę o pokoju w chwili, kiedy zwycięski nieprzyjaciel do stolicy naszej pukał i groził zniszczeniem organizacji Państwa przedtem, nim słowo o pokoju wyrzecze. Nie wiem, jak się stosowali uczuciowo i myślowo do tego kroku szanowni uczestnicy dyskusji historycznej na placu Saskim, nie wiem i nie badałem tego nigdy. Wiem zaś, że mnie, człowiekowi, którego pokory uczono, a nie nauczono nigdy, moment ten ciężył więcej niż cokolwiek, a jako naczelny wódz i Naczelnik Państwa mocno w rachubę brać musiałem, by nasza delegacja nie wyjeżdżała ze stolicy bez pewności jej utrzymania. Zaciążyło to, jak zobaczymy, silnie na mojej decyzji.

Drugą okolicznością, o której nie dyskutowano, a która stanowi zawsze jeden z wielkich ciężarów wodzów, była rzucająca się w oczy konieczność reorganizacji całego dowodzenia w razie, gdybyśmy inicjatywę mieli brać w swoje ręce. Zgodnie ze swoją poprzednią decyzją, o której wspominałem, zmieniłem już był dowódców na północy, zarówno gen. Szeptyckiego, jak i gen. Zygadłowicza. Gen. Szeptycki został usunięty od dowodzenia tak, jak zamierzałem, po wyjściu wojsk na Bug. Gen. Zygadłowicz, dowódca 1-ej armji, został już wcześniej, bo po upadku Grodna, zastąpiony przez gen. Romera. Z prawdziwą przyjemnością zaznaczam, że z chwilą, gdy ten energiczny generał

wziął dowodzenie w swoje ręce, nasza 1. armja pomimo, iż znowu miała na sobie ciężar skoncentrowanych północnych trzech armij przeciwnika, umiała zrobić to, czego wogóle od północy żądałem — wygrać na czasie.

Pamiętam dobrze i zawsze z przyjemnością wspominam ten moment, gdy pewnego dnia, przeglądając szkic sytuacji dziennej według raportów otrzymanych, spostrzegłem niespodziewany i nieznany dotąd fakt, że prawo-skrzydłowa dywizja 1. armji (1. litewsko-białoruska) została prześcignięta w odwrocie ku zachodowi przez sąsiednią 4. armję tak, że musiała głęboko zagiąć swoje prawe, odsłonięte skrzydło. Zresztą sam p. Tuchaczewski uznaje, że opór naszej 1. armji na linji Narwi był pierwszą poważniejszą przeszkodą, jaką napotkał w swoim pochodzie ku Wiśle. Lecz przy decyzji, którą miałem powziąć, gdy nie szło już o zmianę personalną, musiało się zmienić dużo w organizacji dowodzenia i rozgraniczeniu zadań. Inaczej sama myśl o wzięciu inicjatywy w nasze ręce zawczasu była chybiona.

Te dwa ciężary, o których nie dyskutowano, leżały bezpośrednio na mnie, a pierwszy z nich był ciężarem wprost przygniatającym, na dnie bowiem jego leżał jakgdyby mus nonsensu strategji, nonsensu rozumu. Z ciężarem tym najwięcej miałem do czynienia, gdym wieczorem 5-go sierpnia i w nocy na 6-ty nie na jakiejś naradzie, lecz w samotnym pokoju w Belwederze, przepracowywał siebie samego dla wydobycia decyzji. Istnieje cudowne określenie największego znawcy duszy ludzkiej na wojnie — Napoleona, który mówi o sobie, że gdy przystępuje do dania ważniejszej decyzji na wojnie, jest „comme une fille qui accouche" — jak dziewczyna, która rodzi. Nieraz po tej nocy myślałem o wielkiej finezji myśli Napoleona, który gardząc słabością płci pięknej, siebie, olbrzyma woli i genjuszu, przyrównuje do słabej dziewczyny, męczącej się w połogu. Mówi o sobie, że jest wtedy „pusillanime" — trwożliwy. W tej męce trwożliwej nie mogłem sobie najdłużej dać rady z nonsensami założenia dla bitwy, nonsensem pasywności dla gros moich sił, zebranych w Warszawie. Kontratak zdaniem mojem z Warszawy i Modlina prowadzony być nie mógł. Wszędzie uderza on frontalnie na przeciwnika, na jego główne siły w całości, jak mi się zdawało, ściągane ku Warszawie, a dotąd ani wojska, ani dowódcy nasi rady ze zwycięskim nieprzyjacielem dać sobie nie mogli. A oprócz tego nad całą Warszawą wisiała zmora mędrkowania bezsilności i rozumkowania tchó-

rzów. Jaskrawym tego dowodem była wysłana delegacja z błaganiem o pokój. Warszawę skazywałem zgóry na pasywną rolę, na wytrzymanie nacisku, który szedł na nią. Lecz wtedy z pasywną rolą wiązać nie chciałem ogromnej większości sił swoich. Gdy znowu myślałem o zmniejszeniu obsady pasywnej, to bać się zaczynałem o to, czy Warszawa wytrzyma i czy sam fakt wymarszu jakiejś części wojska, już do niej wciągniętej, nie wywoła zmniejszenia słabych sił moralnych i braku zaufania do możliwości obrony. Znałem dobrze z historji obserwacji Lwowa, co znaczy wielkie miasto, gdy na peryferjach jego bój się toczy i gdy na jego ulicach, jak było wówczas w Warszawie, włóczą się we wszystkich kierunkach elementy bezpośrednich tyłów będących w boju jednostek. Żołnierz wtedy wspólnem żyć musi życiem z miastem, i każde drgnięcie w tę czy inną stronę duszy miasta łamie lub podtrzymuje siły żołnierza. Pamiętałem dobrze, że większość sił moich, zebranych w Warszawie, przychodziła do stolicy po długim szeregu porażek, po długich i nieustannych niepowodzeniach. Zmniejszenie ich sił liczbowo, wyrzucenie z niej jednostek, które już tam były, wydawało mi się niebezpieczeństwem. Czy więc dziesięć dywizyj, prawie połowę sił polskich, skazywać na pasywność? Oto pytanie, które sobie stawiałem. Przerzucałem bez końca zamierzoną obsadę Warszawy i Modlina. Dzięki nadzwczajnej energji, którą dla Warszawy rozwinął gen. Sosnkowski, odrazu rzucała się w oczy ogromna, dotąd nieznana u nas na wojnie, obsada artylerji. Zbliżała się ona znacznie do tego ideału, który wykreśliło „doświadczenie wojny światowej". Artylerja więc rozwinąć mogła i rozpętać istotny huragan ognia, nie ten, którym mnie tak często karmiono w raportach. Więc znowu wydawało mi się możliwem, zgodnie z sensem wojny, sensem taktyki, zastąpić choć część żywych sił piechoty, zdatnej do ruchu, wzmożoną potęgą ognia artylerji. Ile razy robiłem próby przekonania siebie o konieczności nie nakazywania tak oczywistego dla mnie nonsensu, tyle razy cofałem się przed decyzją, zgnieciony odpowiedzialnością za Państwo i jego stolicę. Nie mogłem się zdobyć ani na zaufanie do sił moralnych wojska i mieszkańców stolicy, ani na pewność dowódców jednych i drugich. Ten nonsens założenia męczył mnie tak niezmiernie, że doprawdy niekiedy wydawało mi się, że ze wszystkich kątów coś chichocze i kpi ze mnie, gdy nonsens i wyraźną głupotę biorę za podstawę mojej rachuby czy mojej decyzji.

Wszystkie kombinacje, które przy tem założeniu czyniłem dla zorganizowania czynnika ruchu i ataku, musiały być z konieczności słabemi i znacznie mniej uposażonemi, niż pasywna, skazana jedynie na obronę część sił moich. Bo skąd ją było brać, tę siłę, jak ją dla ruchu organizować? Bezsilność, gdym przemyśliwał o konieczności inicjatywy, pluła mi wprost w twarz, gdym zaczynał przerabiać rachunek. Rachunek ten nigdy mi się nie kleił. Pierwsze co rzucało się odrazu w oczy, to była 4. armja, cofająca się powoli od Bugu. Prosty kierunek, w którym go pchał nieprzyjaciel, wprowadzał ją na Wisłę pomiędzy Warszawą a Dęblinem. Tam nie było ani mostów, ani szybkich przepraw. Przy silniejszym nacisku nieprzyjaciela rzuconą być mogła na Wisłę i znaleźć się w sytuacji zupełnie krytycznej. Trzeba było ją targnąć albo ku Warszawie, albo ku Dęblinowi, albo też ją rozpołowić, rzucając część jedną ku północy, część drugą na południe. Stąd więc, gdyby wszystko lub większą część odchylić na południe, można byłoby mieć trochę siły wolnej, niezwiązanej Warszawą. Wymagało to jednak natychmiast choć jakiej takiej obsady zachodniego brzegu Wisły pomiędzy Warszawą a Dęblinem. I znowu pasywna część wojsk wyrastała kosztem sił, zdatnych do uderzenia. Stan moralny 4. armji także budził pewne obawy. Cofała się ona równie długo jak 1-a, mając za sobą może mniejsze boje, ale nagła i niespodziewana utrata Brześcia, tak świeża w mojej pamięci, nie skłaniała mnie wcale do ufności pod tym względem.

Drugiem źródłem siły dla mnie mogło być południe, z którego już wyciągniętą była 18-ta dywizja. Południe w szczęśliwszem znajdowało się położeniu niż północ, a usilna praca bojowa i niezmordowana czynność dowódców dawały większą gwarancję siły moralnej wojsk wziętych stamtąd. Ułatwieniem i to bardzo znacznem był fakt, że Budienny z całą swą jazdą był wypchnięty przed front naszych wojsk i z tego powodu ruch kolei i pieszych marszów nie mógł być zaburzony przez ruchliwą jazdę. Kiedy jednak próbowałem rachować, co mogę mieć stamtąd, zawsze i ciągle dochodziłem do wniosku, że nie jestem w stanie osłabić swoich sił na południu w jakimś większym rozmiarze. Zwycięstwa nad Budiennym było bardzo połowiczne i chociaż zdawało się, że nie jest on w stanie natychmiastowo przedsięwziąć nowej ofenzywy, to jednak przy próbie znacznego osłabienia naszych sił nie było wykluczonem, zdaniem mojem, że konna armja, która nam dotąd tyle szkodziła, nie zacznie na nowo swego pochodu na-

przód. A naturalnym ruchem i najbardziej dla nas groźnym, byłoby zbliżanie się do głównych sił sowieckich, do armji dowodzonej przez p. Tuchaczewskiego. Wszystkie więc kombinacje, które w tej właśnie dziedzinie w nocy z 5 na 6-ty sierpnia robiłem, dawały mi tylko możność wyciągnięcia z południa, jeżeli nie chciałem zanadto ryzykować, jakichś dwóch pułków piechoty i może jakiej brygady kawalerji. Grupka taka niewiele dla siły kontrataku znaczyć mogła i niewiele wpłynąć na stan moralny innych wojsk była w stanie. Przy zestawieniu więc wszystkich danych, nigdy nie mogłem dojść podczas mojej pracy do innych wyników jak, że do kontrataku użyć można było trzech do czterech dywizyj piechoty z niewielką ilością jazdy. A cóż to znaczyć mogło wobec nieprzyjaciela, który dotąd rozbijał bezustanku opór większości sił naszej armji?

Wszelkie próby dawały nicość siły — nonsens założenia, bezrozum bezsilności lub nadmiar ryzyka, przed którym logika się cofała. Wszystko wyglądało mi w czarnych kolorach i beznadziejnie. Jedynemi zaś najjaśniejszemi plamami na moim horyzoncie był brak jazdy Budiennego na tyłach i bezsilność 12. armji, która po klęsce na Ukrainie podnieść się nie była w stanie. Reorganizacja dowodzenia była względnie jasną. Z chwilą, gdy większość wojska zebrana być musiała w ciasnym rozkładzie w Warszawie i okolicach, musiało tam być postawione jednolite dowodzenie, a ilość wojska już zebranego dawała konieczność podziału na dwie armje. Kontratak, bez względu z jakich ilości sił by się składał, musiałby być dowodzony przez jednego dowódcę. Południe, które od niebezpieczeństwa północ osłaniało, musiało także być oddane w jedne ręce. Łamało to w zupełności dotychczasowy rozkład dowodzenia. Najtrudniejsze zadanie wypadło na tego, kto mając słabość musiał dać siłę i kto wbrew sensowi musiał mieć rozstrzygającą rolę. Zgóry zdecydowałem, że nie mogę żądać od nikogo ze swych podwładnych, by ten nonsens brał na swoje plecy i z chwilą, gdy jako naczelny wódz nonsens w założeniu biorę, brać muszę też na siebie i wykonanie części najbardziej nonsensownej. Dlatego też zgóry zatrzymałem się na myśli, że grupą kontratakującą, bez względu czy silniejszą czy słabszą, dowodzić będę osobiście. Uśmiechała mi się zresztą ta myśl skądinąd, by w czasie decydującej operacji nie być stałym objektem nacisku mędrkującej trwogi i rozumkującej bezsilności.

Zestawiwszy po kilka razy wszystkie próby rachunku, zdecydo-

wałem dwie rzeczy: wycofać ku południowi większą część naszej 4. armji i zaryzykować osłonę południową, wyciągając z niej dwie dywizje, które uważałem za najlepsze — 1. i 3. legjonową. Następnie ostatecznie postanowiłem, że kontratak poprowadzę sam, chociaż zgóry w ten sposób przesądzałem, że wprowadzam wskutek tego bezład w dowodzeniu, gdy biorę może na czas dłuższy dowodzenie bezpośrednie małej zaledwie części wojsk, których byłem naczelnym wodzem.

Gdy 6-go rano zameldował się u mnie po rozkazy gen. Rozwadowski, wszedł do mego gabinetu ze szkicem, jako jeszcze jedną propozycją, czy kombinacją. Szkic właściwie przedstawiał próbę rozstrzygnięcia, co z 4. armją robić, gdy cofać się ona musi widocznie na odcinek Wisły bez mostów i bez szybkiej możności przekroczenia tej szerokiej przegrody. W tym szkicu próbował gen. Rozwadowski wykorzystać wsteczny ruch 4. armji, by ją, jak sobie przypominam, w okolicach Garwolina w liczbie paru dywizyj skoncentrować, a przypuszczając, że nieprzyjaciel zgromadza swoje siły wyraźnie na Warszawę, uderzyć tą skoncentrowaną grupą ku północy, to znaczy ku Warszawie. Odrzuciłem odrazu ten projekt i tę myśl mówiąc, że wątpię, by w tych warunkach nawet koncentracja udać się mogła. Nieprzyjaciel, który dotąd ma przewagę, z łatwością nie dopuści do zmiany frontu i wtedy koncentrująca się grupa musi albo zmykać do Warszawy, albo, co gorsze, rzuconą będzie ku Wiśle, co może skończyć się dla niej katastrofą. Wskazałem mu też odrazu, że 4. armja w swojej większości odejść musi dalej na południe, by tam się skoncentrować i przejść do kontrataku. Natomiast nakazałem, jako konieczność, wyciągnięcie z frontu południowego dwóch dywizyj, 1-ej i 3-ej, dla wzmocnienia sił kontratakującej grupy. Rozumiejąc zaś, że południe w ten sposób osłabione nie potrafi prawdopodobnie nieprzyjaciela, którego ma przed sobą, efektywnie zatrzymać, poleciłem nakazać 6. naszej armji przy nacisku nieprzyjaciela cofać się zwolna ku Lwowu. Natomiast w razie marszu Budiennego ku północy kazałem, by cała nasza jazda wraz z najlepszą tam dywizją piechoty natychmiast za konną armją Budiennego ruszyły, starając się za wszelką cenę w pochodzie ją zatrzymywać. Po krótkiej dyskusji wybraliśmy jako miejsce koncentracji okolice, przykryte względnie szeroką rzeką Wieprzem z oparciem lewego skrzydła o Dęblin i przykryciem w ten sposób mostów zarówno przez Wisłę, jak i przez Wieprz. Na tej pod-

stawie wypracowany został rozkaz 6-go sierpnia, regulujący rozkład strategiczny dla wojsk do bitwy pod Warszawą [1]).

Zasadniczy mój rozkaz, przygotowujący bitwę, spotkał się prawie natychmiast z rozkazem p. Tuchaczewskiego. Gdy teraz zestawiam te dwa rozkazy, żałuję niezmiernie, żem nie mógł w owe czasy zajrzeć w Mińsku do tajemnic rozkazowych p. Tuchaczewskiego. Z iluż ciężarów duszy byłbym zwolniony! Ile innych, efektywniejszych koncepcyj możnaby było wytworzyć, gdybym wiedział albo przypuszczał z pewną dozą prawdopodobieństwa, że p. Tuchaczewski nie stawia sobie jako celu natarcia wszystkiemi siłami na Warszawę! To przepołowienie wojska ze skierowaniem dwóch armij nie dla ataku bezpośredniego, lecz dla długiego marszu i jeszcze dłuższej być może przeprawy przez szeroką Wisłę, oswobodziłoby mnie od połowy ciężaru trwogi o Warszawę. I prawie przekonany jestem, że nie potrzebowałbym się męczyć nad zasadniczym nonsensem, którym wziął za podstawę do decyzji. Dwie armje sowieckie miały tracić czas, idąc w próżnię, a czas w tej chwili był bardzo drogi. Czas ten więc tracił nieprzyjaciel, ja go bez żadnej pracy wygrywałem. Nie przeszkadzając wcale w tym tak korzystnym dla mnie przegrywaniu czasu przez p. Tuchaczewskiego, próbowałbym wykorzystać zebranie i skoncetrowane siły dla działania po wewnętrznych linjach i rozbicia nieprzyjaciela częściami. Wtedy kto wie czybym nie zmusił 4. naszą armję do odwrotu nie gdzieindziej, jak do Warszawy.

Obciążeniem dodatkowem nonsensu zasadniczego mego rozkazu z 6-go sierpnia była okoliczność, że wszystkie grupy pasywne albo były już zebrane, albo wycofać się miały w kierunkach prostych i naturalnych. Wyjątkiem, mogącym budzić wątpliwość, czy się zamiar uda, była właśnie grupa aktywna, była grupa uderzeniowa. Wszystkie bowiem wojska, które w skład tej grupy wchodzić miały, były w bezpośrednim kontakcie i boju z nieprzyjacielem, a kierunek ruchu, który ich na miejsce koncentracji prowadził, wymagał skomplikowanego manewru, a nie prostej, zwyczajnej czynności wojskowej. Tak więc dywizje 4-ej armji, 14., 16., i 21-a, będąc jeszcze 6-go a nawet 7-go sierpnia w gorących bojach nad Bugiem, musiały nietylko oderwać się od nieprzyjaciela lecz robić ryzykowny, prawie flankowy marsz dla osiągnięcia rejonu poza Wieprzem. Specjalnie tyczyło się

[1]) Patrz szkic Nr. 3.

to 14. dywizji, jako będącej najdalej na północy, pod Janowem i mającej najdalszy ukośny marsz aż pod Dęblin. Pierwszy lepszy wypadek, silniejszy nacisk nieprzyjaciela w tem czy innem miejscu, rozchwianie się moralne, tak częste dotąd w takiej czy innej dywizji czy pułku, stawiało cały manewr pod znakiem zapytania, nie dając żadnej pewności, że grupa uderzeniowa, którą zdecydowałem się dowodzić sam, zbierze się na czas i w tej sile, jaką jej przypisywałem. Jeszcze gorzej i jeszcze trudniej składała się sytuacja dla dwóch dywizyj, które wybrałem z południa dla pracy kontrataku: 1. i 3. legjonowej. Kazałem dodać do nich i część jazdy, dla której naturalnie odmarsz był najłatwiejszy, lecz dla obu dywizyj piechoty, stojących od 150 do 250 kilometrów od miejsca koncentracji i będących w kontakcie z nieprzyjacielem, zadanie przerastało, zdaniem mojem teraźniejszem i ówczesnem, przeciętne siły ludzkie. W duszy rachowałem, pomimo że rozkaz brzmiał inaczej, że gen. Rydz-Śmigły, na którego zadanie to spadło, potrafi ściągnąć na miejsce koncentracji najwyżej jedną dywizję i jedną brygadę jazdy. O drugiej dywizji, której nakazałem również marsz ku północy, zabroniłem sobie nawet marzyć.

Nic więc dziwnego, że od 6-go do 12-go sierpnia gorączkowo śledziłem, jak się ten manewr tak ryzykowny i niepewny udaje. W dniach tych obserwacje nieprzyjaciela i jego działań nie naprowadziły mnie wcale na żadne podejrzenie, aby wojska p. Tuchaczewskiego działały zgodnie z jego rozkazem 8-go sierpnia i omijały Warszawę. Dały się coprawda spostrzegać ruchy, skierowane ku zachodowi, to znaczy ku Wiśle w dół od Modlina. Atakowany więc był Ciechanów, atakowaną Mława i były słabe zresztą ruchy w kierunku Płocka i Włocławka. Lecz były to ruchy jazdy, która, jak sądziłem, ma na celu przerwanie komunikacji Warszawy z morzem—z Gdańskiem. Co się tyczy wycofywania się dywizyj naszej 4. armji, szło ono prawie bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela, gdyż ten 16. swoją armją wyraźnie się ściągał ku północy, mając południowe skrzydło tej armji na szosie Brześć—Warszawa. Gdy więc dywizje 4. armji szosę tę minęły zdążając na południe do Wieprza, nacisk nieprzyjaciela prawie że ustał. Mogłem więc być pewien, że wszystkie trzy dywizje na czas zdążą się przykryć Wieprzem i staną do mojej dyspozycji.

Gen. Rydz-Śmigły rozwiązał swoje zadanie w sposób nadzwyczaj zręczny. Operacje jego i działania dwoch dywizji, 1-ej i 3-ej, stanowią jedną z nachlubniejszych kart, jaką armja polska posiada. Gen.

śmigły i obie dywizje znalazły rozstrzygnięcie zawiłego zadania w sposób aktywny. Zgodnie z moralną siłą, którą posiadały, szukały naprzód obie dywizje zwycięstwa nad nieprzyjacielem, z którym były w kontakcie, by w ten sposób wygrawszy na czasie, odejść spokojnie ku północy dokąd je wzywałem. Pierwsza dywizja legjonowa dnia 8-go sierpnia rozbiła 24-ą dywizję sowiecką, zdobywszy na niej 8 dział niedaleko od Horochowa i szybkim marszem podążyła ku Sokalowi, gdzie na nią czekały przygotowane pociągi. Odjazd 1-ej dywizji odbywał się bez przeszkód. To samo zrobiła dywizja 3. pod Hrubieszowem, niestety jednak, nie mając pociągów przygotowanych, musiała odbywać swój ruch ku północy marszem pieszym. Opóźnienie tej dywizji wywołanem również było przez trudności doręczenia jej na czas odpowiedniego rozkazu. Przed odejściem jednak zdążyła 3-cia dywizja rozbić nieprzyjaciela, który już Bug przechodził, wyrzucając go za rzekę i zdobywając na nim obfity materjał wojenny. Boje 1-ej i 3-ej dywizji miały jeszcze jeden ciekawy i charakterystyczny skutek. Oto u jednego z naszych zabitych oficerów gdzieś koło Chełma nieprzyjaciel znalazł rozkaz nasz 6. sierpnia, zarządzający nowe ugrupowanie sił. Nieostrożność ta, tak często powtarzająca się w historji wojen i tak ciągle surowo zakazywana przez wszystkie regulaminy wszystkich armij, dawała w ręce Sowietów sekret naszych poruszeń. U p. Tuchaczewskiego i p. Sergiejewa znajduję, że w głównem dowództwie sowieckiem nie dano najzupełniej wiary temu dokumentowi, gdy z tejże 12. armji przyszły doniesienia, że pod Hrubieszowem dywizje wyznaczone do ataku na północy, 1-a i 3-a, biją się i zwyciężają na południu, nie gdzieś w okolicach Lubartowa, dokąd ich rozkaz 6-go sierpnia wołał. Pan Tuchaczewski, który na str. 44-ej, stwierdza, iż miał spór z tego powodu ze swym przełożonym, nie uczynił jednak nic, ażeby zabezpieczyć samemu zagrożone lewe skrzydło i tyły.

Przed wyjazdem swoim 12. sierpnia wieczorem z Warszawy, miałem na placu Saskim ostateczną rozmowę z trzema wyżej wymienionymi panami. W rozmowie tej stwierdziłem w następujących punktach swój pogląd na sytuację: po pierwsze, z 20-u dywizyj, które miały wziąć udział w decydujących walkach o naszą stolicę Warszawę, prawie piętnaście, więc $^3/_4$ ma rolę pasywną, i zaledwie $^1/_4$, czyli pięć i pół dywizyj, z których jedna jest opóźniona w ruchu, ma rolę aktywną. Warszawa, w której zebrane jest dziesięć i pół dywizyj, posiada

jeszcze ogromną artylerję i sądzę, że nawet jednym ogniem artylerji w połączeniu z lotnikami, także zebranymi w Warszawie, daje się zatrzymać nieprzyjaciela względnie łatwo. Nie sądzę więc, aby czas miał większe dla Warszawy znaczenie. Przeciwnie, przypuszczam, że w interesie całości jest, aby nieprzyjaciel poniósł wielkie straty przy ataku i zmuszony był silnie się związać bojowo z obsadą warszawską tak, aby nie był w stanie przeciwstawiać nadchodzącym wojskom dowodzonym przezemnie, to znaczy pięciu dywizjom, większej siły. Po drugie wskazałem, że wojska, skoncentrowane do kontrataku, to znaczy pięć i pół dywizyj, muszą mieć pewien czas dla odpoczynku i należytego ugrupowania się oraz wchłonienia uzupełnień, które tam zostały zadyrygowane. Muszę mieć czas także sam do obejrzenia wojsk, gdyż obawiam się, że ich stan moralny nie jest tak wysoki, jakby to było pożądane dla tak trudnej i ryzykownej operacji. Dlatego też nie sądzę, abym mógł wcześniej rozpocząć operację niż 15. sierpnia, przypuszczam zaś, że zdołam w przeciągu dwóch dni od rozpoczęcia operacji być tak blisko od atakowanej Warszawy, że wspólna praca wojenna z gros sił, skupionych w Warszawie i okolicy, byłaby już możliwa. Wskazałem przytem, że byłoby wtedy pożądane, aby południowy odcinek obsady warszawskiej z dodatkiem wszystkich czołgów, które na tym odcinku należy zebrać, rozpoczęły natarcie wzdłuż szosy, prowadzącej w stronę Mińska i Brześcia. Zamierzałem bowiem atakować szerokim bardzo frontem, i wówczas lewo-skrzydłowa 14. dywizja, która pójdzie wzdłuż szosy lubelskiej, może się znaleźć w bardzo ciężkiej sytuacji, gdy izolowana wpadnie na większe siły nieprzyjacielskie. Po trzecie, wskazałem na groźne niebezpieczeństwo, które czyni z ruchu, dowodzonego przezemnie, przedsięwzięcie nadzwyczajnie ryzykowne. Wyciągnąwszy bowiem z południa 1. i 3. legjonowe dywizje, otworzyłem niejako bramę wpadową pomiędzy innemi i dla konnej armji Budiennego. Pomimo zaś, że istnieje tam nasza jazda z nakazem zatrzymywania konnej armji Budiennego w pochodzie ku nam, doświadczenie jednak dotychczasowe nie pozwala mi być pewnym. Oczekiwać mogę, że w krótkim przeciągu czasu mogę mieć na swoich bezpośrednich tyłach od Sokala i Hrubieszowa maszerującą konną armję Budiennego lub jej część, co może w wielkim stopniu udaremnić moje usiłowania. Zaznaczyłem przytem, że na Bugu przeciwko 12. sowiec-

kiej armji zostawiam bardzo słabe siły — 7. dywizję w okolicach Chełma i bardzo słabą 6. ukraińską dywizję na południe od niej.

Wreszcie przy pożegnaniu z gen. Sosnkowskim wskazałem mu na bezład, jaki panuje zarówno w dowodzeniu jak i w zorganizowaniu wojska, i żądałem od niego, by stale i ustawicznie wpływał na usunięcie wszystkich grup, grupek, podgrup i nadgrup, przedgrup i zagrup, których pomimo moich starań zostawało jeszcze tak dużo, że byli dowódcy ze sztabami bez wojsk, a w niektórych miejscach stu żołnierzy dzieliło się na trzy grupy, dowodzone przez generałów. Dalej zaś, ażeby stale starał się być dalej tym duchem opiekuńczym w stosunku do wiecznie kłócących się i prowadzących spór generałów, zmniejszając we wszelki możliwy sposób tę anarchję dowodzenia, której się obawiałem. Przy braku bowiem mego autorytetu mogła się załamać obrona stolicy nawet wtedy, gdy przewagę nad wrogiem mieć możemy.

Po załatwieniu tych spraw 12-go wieczorem, wyjechałem z Warszawy. Wyjeżdżałem pełen poczucia nonsensu i nawet pewnego wstrętu do siebie, że dla tchórzostwa i niemocy polskiej musiałem zaprzeczyć wszelkiej logice i wszelkim zdrowym prawom wojny. Natomiast — wyznaję — odczuwałem bardzo silnie ulgę, gdym opuszczał środowisko, gdzie minuta znaczy więcej niż godzina, godzina więcej niż doba, a doba więcej niż tydzień.

Po przybyciu do Puław, jako do swojej kwatery, i rozejrzeniu się w sytuacji, skonstatowałem odrazu kilka rzeczy. Przedewszystkiem, że stan moralny wszystkich dywizyj, a było ich zebranych cztery, nie był tak złym, jak poprzednio przypuszczałem. I chociaż właśnie przed moim przyjazdem jedna z dywizyj, mianowicie 21-a, starym, nabytym już przez miesiąc zwyczajem, ni stąd ni zowąd pod naciskiem niewielkie jgrupki nieprzyjaciela ustąpiła z przedmościa na Wieprzu — z Kocka, który nakazano jej trzymać, nie sądziłem, by ten trudny przełom moralny, którego po długim odwrocie wymaga kontratak, był niemożliwym do wykonania. Natomiast znalazłem uzupełnienia, zadyrygowane akurat odwrotnie, niż to było potrzebne z powodu uzbrojenia. Tak więc bataljony z bronią francuską trafiły do dywizyj, uzbrojonych w mauzery niemieckie lub manlichery austrjackie. Rozplątanie tego chaosu wymagało więc czasu. Oprócz tego zaobserwowałem niesłychane wprost braki w wyekwipowaniu i umundurowaniu żołnierzy. Takich dziadów, jak ich nazywałem, dotąd

w ciągu całej wojny nie widziałem. W 21-ej dywizji prawie połowa ludzi defilowała przedemną w Firleju — boso. Przypominałem sobie, ile to razy i ilu z moich podwładnych w ciągu wojny przypisywało porażki, które ponieśli, nie czemu innemu, jak złemu wyekwipowaniu żołnierza. Natomiast z pewną przykrością myślałem także, że wszystkie zapasy, a przynajmniej ich większość, zostały wydane na wojska, którym nie przeznaczałem rozstrzygającej na wojnie roli. Wreszcie wszystkie dane, które zebrałem o nieprzyjacielu, były nieco enigmatyczne. Zgodnie z rozkazem strategicznym nieprzyjaciela, musiałem mieć przeciwko sobie mozyrską grupę. Skład jej i siła nigdy u nas nie były dostatecznie skonstatowane. Wiedzieliśmy, że w skład jej wchodzi 57-a dywizja, lecz oprócz tego wchodziły także jakieś oddziały (otriady), tworzące coś osobnego od grupy, tak, że dotąd ścisłości w danych nigdy nie miałem. Dotychczasowa jej praca wojenna kazałaby mówić, że jest to jakaś bardzo silna grupa wojska. Atakowała ona od 4-go lipca w dwóch rozbieżnych kierunkach i to tam, gdzieśmy byli najsilniejsi — wzdłuż właściwego Polesia i na północ od niego wzdłuż szosy Bobrujsk — Brześć. I nieraz w raportach czytywałem w przeciągu ubiegłego miesiąca o znacznych siłach nieprzyjaciela, atakujących nas nie bez powodzenia to w jednym to w drugim kierunku. Tymczasem teraz, 13-go sierpnia, obserwowałem właściwie przed sobą pustkę. Były to jakgdyby tylko patrole z nieznacznym zgęszczeniem ich u Kocka i u Maciejowic nad Wisłą, gdzie jakoby te małe grupy przygotowywały się do przeprawy przez rzekę. Przyznaję, że brałem wszystko to za oddziały partyzanckie, rozesłane po kraju dla rekwizycji, grabieży i furażowania. Największe skupienie przedstawiała 58-a dywizja z 12-ej armji, która od Włodawy szła w kierunku albo Lubartowa albo Chełma.

Raporty z Warszawy brzmiały uspakajająco, nieprzyjaciel widocznie przygotowywał się do ataku i czynił odpowiednie przegrupowanie sił. Z południa też niepokojących wiadomości nie miałem. Utwierdziłem się więc w tem przekonaniu, z którem zresztą wyjeżdżałem z Warszawy. Miałem trochę czasu przed sobą i postanowiłem zaczynać nie wcześniej, jak 17-go rano, gdy natarcia na Warszawę już się dostatecznie rozwiną i zwiążą gros sił sowieckich z naszem polskiem gros, będącem w Warszawie. Przez ten czas mogłem silniej zlać w jedno nieliczną grupę, mającą przed sobą atak, i doczekać, by

3. dywizja legjonowa, opóźniona w swym pochodzie na północ, doszła do należytego wyrównania z resztą dywizyj.

Lecz następnego dnia, 14-go, sytuacja dla mnie zmieniła się na gorsze. Z Warszawy nadeszły trwożne depesze. W pierwszym ataku Sowietów został złamany nasz opór i Radzymin wraz z okolicą został szturmem zdobyty. Depesze brzmiały trwożliwie, oddając nastrój, który musiał w stolicy panować. Pewne zdziwienie wywołały we mnie wiadomości o zwiększającym się nacisku wojsk p. Tuchaczewskiego w kierunku zachodnim, w kierunku Płocka a nawet Włocławka i Brodnicy. Depesze, zawiadamiające o tem, mówiły nie tylko o jeździe, jak poprzednio przypuszczałem. Była w tem jakaś zagadka, której rozwiązać nie mogłem, gdyż przewracało to w pewnej mierze moje dotychczasowe pojęcie, że p. Tuchaczewski koncentrował wszystkie swoje siły na Warszawę. Lecz w trwożnych depeszach, idących z Warszawy, próbowano robić wyraźny nacisk na mnie, abym spieszył z pomocą i zgodził się, chociaż nieprzygotowany, iść natychmiast naprzód. Pomimo, iż cały ten nacisk i trwoga wydawały się absolutnym nonsensem, to jednak gdy, jak wykazałem wyżej, zrobiłem ustępstwo dla trwogi z sensu i rozumu wojennego, po pewnem wahaniu przesunęłem datę wymarszu o jeden dzień i zawiadomiłem Warszawę, że zaczynam uderzenie 16-go o świcie. Rozkaz, który wydałem, narażał najbardziej dwie skrzydłowe dywizje, 14-ą na lewem i 1-ą legjonową na prawem skrzydle. Zdecydowałem bowiem, o czem wszystkie wojska zawiadomiłem, uderzać szybko, nakazując przechodzić przestrzenie, do których oprócz 1-ej legjonowej inne wojska nie były przyzwyczajone. Zakazałem najzupełniej dbać o skrzydła, gdyż każda dywizja iść musiała naprzód tak szybko, jak mogła, nie myśląc wcale o tem, czy sąsiad z tej czy innej strony za nią nadąży. Spodziewając się zaś jeneralnego boju nie gdzieindziej, jak pod Warszawą, nakazałem jaknajszybszy marsz 1-ej legjonowej, która musiała być zachodzącem prawem ramieniem skrzydłowem może już drugiego dnia, gdyby lewo-skrzydłowa 14-a dywizja napotkała gdzieś w okolicach Kołbiela na zorganizowany już opór przeciwko odsieczy, dążącej ku Warszawie. Niepokoiła mnie t. zw. mozyrska grupa; nie widziałem jej sił przed sobą, a wiadomości lotnicze stwierdzały jakiś wielki ruch furmanek, zdążających ze wschodu i północnego wschodu do Łukowa i Żelechowa. Mogła więc to być jakaś śpiesznie wysyłana grupa, może nawet ta mozyrska, tak, że

moja 1-a legjonowa dywizja, nie kryta niczem od wschodu, mogła wpaść w sytuację względnie niebezpieczną. Jako ogólną zasadę postawiłem wszystkim wojskom, to znaczy czterem dywizjom, osiągnięcie na drugi dzień szosy Brześć — Warszawa. Wyjątek stanowiła 3. dywizja legjonowa, która weszła w kontakt z 58. dywizją sowiecką i, staczając z nią boje, nie mogła wchodzić w mój rachunek dla obliczeń bitewnych, zbliżonych ku Warszawie. Prędzej rachować chciałem na całą lub część 2. dywizji legjonowej, która stała na pasywnym odcinku na zachodnim brzegu Wisły od Dęblina ku północy. Posuwanie się bowiem sił moich ku północy przez sam ten ruch oswobadzało od zadania tę dywizję.

Dnia 15-go sierpnia wiadomości z Warszawy brzmiały nieco bardziej uspakajająco, lecz wszystkie walki świadczyły, że nacisk nieprzyjaciela coraz bardziej się zwiększa zarówno w okolicach Radzymina, jak i na północ od Warszawy, w okolicach Modlina. Natomiast na południu zaczęła się rozwijać praca konnej armji Budiennego, pod którego naciskiem 6. nasza armja zaczęła się wycofywać w kierunku Lwowa.

Dnia 16-go rozpocząłem atak, o ile wogóle atakiem nazwać to można. Lekki i bardzo łatwy bój prowadziła przy wyjściu tylko 21. dywizja, która nie wiadomo po co parę dni temu uszkodziwszy most, cofnęła się z Kocka a teraz musiała w bród forsować Wieprz, by Kock znowu odbierać. Inne dywizje szły prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, gdyż nieznacznych potyczek w tem czy innem miejscu z jakiemiś małemi grupkami, które natychmiast po zetknięciu się z niemi rozpraszały się i uciekały, kontaktem nazwać bym się nie ośmielił. Cały dzień spędziłem w samochodzie głównie przy 14-ej lewoskrzydłowej dywizji, zbierając ciągle dane i wrażenia swoje oraz mych podwładnych. Nie mogę nie powiedzieć, że tego dnia wieczorem, gdy wszystkie już dywizje przebiegły po dobrych trzydzieści kilka kilometrów ku północy, główną zagadką, którą chciałem sobie rozstrzygnąć, była tajemnica, t. zw. mozyrskiej grupy. Właściwie nie było jej wcale, oprócz 57. dywizji; lecz taki wynik rozumowań przeczył najzupełniej dotychczasowym przez miesiąc cały wykuwanym z dnia na dzień wrażeniom, jakie posiadałem. Przecież była to jakaś apokaliptyczna bestja, przed którą cofały się przez miesiąc liczne dywizje. Wydawało mi się, że śnię. Jako wynik do którego doszedłem był pogląd, że czeka mnie gdzieś jakaś zasadzka. Lewo-skrzydłowa

14. dywizja, minąwszy swobodnie Garwolin, już od południa właściwie weszła w sferę działania lewego skrzydła 16. armji sowieckiej, atakującej Warszawę. Miałem bowiem wiadomość, że pod Górą Kalwarją miała ta armja forsować Wisłę, a od Karczewa i Wiązowni, o której pisały depesze, że są atakowane, straże przednie 14. dywizji stanęły dnia 16-go o niecałe 20 czy 25 kilometrów. A nieprzyjaciela nie było! Kazałem wieczorem całej 2. dywizji legjonowej, oswobodzonej od zadania, skupić się natychmiast w Dęblinie i być jakąś rezerwą przy tylu tajemnicach, grożących zewsząd jakiemiś zasadzkami. Gdzieś jednak musiała być mozyrska, dotąd zwycięska grupa, gdzieś także 16. armja, atakująca Warszawę.

Dzień 17-go sierpnia [1]) nie przyniósł mi żadnego wyjaśnienia tych zagadek. Szukałem go teraz na prawem skrzydle. Spędziłem znowu dzień cały w samochodzie, szukając śladów tajemnicy i choć pozoru zasadzek. Dobrze po południu zastałem w Łukowie dowódcę 21. dywizji wraz z jego sztabem, festynującego wesoło po tak wspaniałym marszu. Gdy dowódcy brygad i niektórych pułków mnie otoczyli przy stole, wszyscy w jeden głos twierdzili, że właściwie nieprzyjaciela niema i z zapałem mi opowiadali, jak cała ludność spieszy im z pomocą. Tak więc, gdy jakaś grupka nieznaczna nieprzyjaciela chce stawiać opór, to nieledwie baby z cepami i chłopi z widłami spieszą sekundować naszym góralom, gdy ci boso w tyraljerze idą do ataku. Straż przednia górskiej dywizji zatrzymała się na pół drogi pomiędzy Łukowem a Siedlcami. Kazałem zaraz prowadzić dalej atak na Siedlce licząc, że może w tym centralnym punkcie, znajdę jakieś rozwiązanie tajemnicy mozyrskiej grupy. Dalej ze wschodu wiedziałem, że pierwsza legjonowa, wyprzedzając wszystkich, strażami przedniemi osiągnęła już Białą i Międzyrzec, jeszcze dalej zatrzymana w biegu 3. legjonowa rozbiła 58. sowiecką dywizję i szła, prąc ją przed sobą, ku Włodawie i Brześciowi. Gdym pod wieczór wracał ku zachodowi po pięknej szosie od Łukowa w stronę Garwolina i minąłem okolice Żelechowa, gdzie spotkałem tyły 16. dywizji, idącej na Kałuszyn, wydawało mi się, że jestem gdzieś we śnie, w świecie zaczarowanej bajki. Nie rozumiałem właściwie gdzie jest sen, a gdzie prawda. Czy śniłem wtedy, gdy jakaś zmora dusiła mnie jeszcze tak niedawno swą nieprzepartą siłą ustawicznego ruchu, zbliżającego po-

[1]) Patrz szkic Nr. 4.

tworne łapy do śmiertelnego ścisku gardła, czy śnię teraz, gdy pięć dywizyj swobodnie i bez oporu przebiega śmiało te same przestrzenie, które jeszcze tak niedawno w śmiertelnej trwodze odwrotu oddawały nieprzyjacielowi. Pomimo, iż sen mógł być radosny, nie mógł się wydawać wtedy realnym. Miesiąc cały suggestji, suggestji przemocy, nie chciał mijać. Sen radości nie mógł być realnym! Pod temi wrażeniami przyjechałem wieczorem do Garwolina. Pamiętam jak dziś tę chwilę, gdy pijąc herbatę obok przygotowanego do snu łóżka, zerwałem się na równe nogi, gdym wreszcie usłyszał odgłos życia, odgłos realności, głuchy grzmot armat, dolatujący gdzieś z północy. Więc nieprzyjaciel jest! Więc nie jest on jakąś ułudą! Wstyd mój za lęk i strach, który miałem ongiś przed potworną zmorą, co zaczęła mi się już wydawać jakąś dziką tylko fantasmagorją, nie był nieracjonalny i bez powodów! Nieprzyjaciel był i świadczyła o nim muzyka boju na północy. Jeszcze ułożywszy się do snu raz po raz głowę z poduszki unosiłem, by sprawdzić swoje wrażenie. Głuchy odgłos armat miarowo, zwolna wstrząsał powietrze, mówiąc mi o boju, prowadzonym bez nerwów, spokojnie, ze spokojnie odbijanym taktem. Gdzieś koło Kołbiela, czy trochę dalej biła się w nocy moja 14. dywizja. Obliczyłem sobie szybko, że nawet, jeśli bój nie będzie miał chwilowego powodzenia i może 14. dywizja się cofnie, odciąży jednak swym bojem zagrożoną Warszawę, a ja nazajutrz zdążę podciągnąć do miejsca boju drugą legjonową z Dęblina i sąsiednią 16-tą dywizję od wschodu.

Dnia 18-go, gdym rano zerwał się ze snu, armaty już nie grały; była zupełna cisza. Zdecydowałem się zaraz pojechać sprawdzić sytuację. Nigdy nie zapomnę dziwnego wrażenia, gdym bez żadnych przeszkód przyjechał do Kołbiela i zastał w dworku przy szosie tylko tyły 14. dywizji i wiadomość o tem, że dywizja ta bój w nocy toczyła i ruszyła pośpiesznym marszem już do Mińska, by zgodnie z moim rozkazem być o świcie trzeciego dnia na szosie brzeskiej. Gdzież więc jest 16. armja? Gdym jechał do Mińska, świadczyły o niej armaty, zostawione bez zaprzęgów i bez obsługi w polu, świadczyły o niej dość liczne trupy ludzi i koni obok szosy, świadczyła wreszcie ludność, która z zachwytem opowiadała mi, zatrzymując auto, gdy mnie poznawano, że „bolszewiki" uciekały w bezładzie i w popłochu w różne strony. Wielu z opowiadających uważało moją podróż za mało bezpieczną, gdy w okolicy tak dużo rozsypanych i rozproszo-

nych „czerwonych kozaków". W Mińsku zastałem 14. dywizję, skoncentrowaną wraz z 15. pułkiem ułanów. Wszystkie dane, które zaraz ściągnąłem o ubiegłym boju, mówiły, że 14. dywizja spotkała się z przeciwdziałaniem najbardziej południowych dywizyj sowieckiej 16. armji (8-ej i 10-ej). Dywizja nasza, poniósłszy względnie niewielkie straty, bo nie przekraczające 200 ludzi, opór złamała i była świadkiem jakiejś popłochowej ucieczki. Dowiedziałem się też, że, zgodnie z moim poprzednim rozkazem, część załogi warszawskiej, mianowicie dywizja 15-ta, uderzyła wzdłuż szosy Warszawa — Mińsk i że obecnie stoi w niedalekich Dębach Wielkich. W Dębach Wielkich zastałem 15. dywizję skoncentrowaną i mającą najzabawniejszy w świecie rozkład bojowy. Po obu stronach szosy stały baterje, jedne zwrócone ku północy, inne ku południowi. W dowództwie dywizji wyjaśniono mi, że jest to koniecznem, gdyż właściwie nieprzyjaciel, wycofywujący się pośpiesznie z pod Warszawy, jest wszędzie — i na północy i na południu. Zapowiedziałem dywizji przyłączenie jej do 4. naszej armji i kazałem przygotować się do wymarszu na północ, by forsować Bug, za którym spodziewałem się znaleźć opór. Było dla mnie oczywiste, że uderzenie, prowadzone w tak szybkiem tempie, dało już swe wyniki pod Warszawą. Ze wszystkich danych wnosiłem, że jeśli nie mogłem nigdzie spotkać oporu ze strony tak zwanej mozyrskiej grupy, to oczekiwany przezemnie opór 16. sowieckiej armji jest właściwie zakończony. Trzy jej dywizje (8., 10. i 17.) po krótkim i wcale niekrwawym boju były prawie w rozsypce. Nie sądziłem, by dwie następne dywizje tej armji (2. i 27.) mogły stawiać opór skoncentrowanym wysiłkom z południa 14. i 15. naszej dywizji i z zachodu skupionym dla łatania przerwy pod Radzyminem dywizjom naszym z obsady Warszawy. Wobec tego jakikolwiek opór spotkać mogłem tylko na Bugu, gdzie z konieczności nieprzyjaciel ściągać by musiał siły swojej 3. armji, które walczyły pod Zegrzem i dalej na zachód za Narwią. W przeciwnym bowiem wypadku 3. armja znalazłaby się w sytuacji nadzwyczajnie ciężkiej, mając wszystkie drogi odwrotu przegrodzone podwójnie, i przez nieprzyjaciela i przez rzekę Narew. Stąd wyprowadziłem wniosek, że większość armji sowieckiej musi się cofnąć od Warszawy ku wschodowi, i że zatem z naszej strony należy jak najszybciej zarządzić zupełną jednolitość działań wszystkich wojsk, zebranych pod Warszawą, aby po rozbiciu jednej z sowieckich armij energicznym pościgiem i naciskiem zewsząd, rozbić i porazić resztę sił nieprzyjaciela .

W tym celu zdecydowałem się udać się zaraz do Warszawy, by i pościg i ogólne uderzenie zorganizować i nakazać. W Warszawie znalazłem nastrój nieco inny niż ten, którego się spodziewałem. Jeżeli była radość i pewne uczucie ulgi z powodu oswobodzenia Warszawy od bezpośredniego nacisku, to znowu istniał duży niepokój z powodu licznych ataków na miasta na dolnej Wiśle, jak Płock i Włocławek, i posuwania się oddziałów nieprzyjacielskich coraz dalej w tak zwany korytarz gdański. Obok tego wszystkim tym, z którymi mówiłem, sytuacja strategiczna nasza nie wydawała się tak korzystną i tak radykalnie zmienioną, jak ja o tem sądziłem. Gdy ja oswobodzony byłem już od suggestji naszych miesięcznych niepowodzeń w niedawnej przeszłości i widziałem jedyną możność dla nieprzyjaciela uchylenia się od grożącej mu klęski przez obronę Bugu, do którego zbliżały się dywizje 4. armji i wojska gen. Rydza-Śmigłego, to w Warszawie czułem wyraźnie trwający jeszcze nacisk moralny dotychczasowych sukcesów p. Tuchaczewskiego.

Próby odciążenia wschodniego frontu Warszawy przez uderzenie mniej naciskanego przez nieprzyjaciela frontu północnego pod Modlinem (nasza armja 5.) dały pewien rezultat. Posunięto się do Nasielska i wzdłuż Narwi ku północy. Lecz za to tembardziej wydawała się panom w Warszawie zagrożoną lewa flanka dalszego poruszenia się ku północy 5. armji i tej części 1-ej, która szła w natarciu po zachodnim brzegu Narwi. Gdy ja osobiście nie widziałem w tem niebezpieczeństwa i byłem przekonany, że — wszystko jedno — nieprzyjaciel będzie musiał się cofać, nie widziałem tegoż przekonania i tej pewności w Warszawie. Dreszcz i trwoga o stolicę były tam jeszcze tak silne, a dalsze postępy nieprzyjaciela ku zachodowi tak znaczące, że jedynie z pewnym trudem ustępowano pod moim naciskiem.

Rozkaz mój z 18 sierpnia stawiał cele operacyjne dla armij naszych następująco:

„*3. armja* — przesłanianie Lubelszczyzny i Chełmszczyzny, obsadzenie Bugu, wywiad na Zabużu oraz pomoc lewemu skrzydłu frontu południowego przez działanie od północy na oddziały 12. armji bolszewickiej, nie krępując się granicą południową swego odcinka.

2. armja — wytężony pościg w kierunku północnym dla zajęcia Białegostoku i zaatakowania cofających się kolumn nieprzyjaciela od wschodu, jednocześnie zaś zabezpieczenie się od wschodu przez

obsadzenie Brześcia Litewskiego (3. dyw. leg., kierowane do 2. armji 19. dyw. piech. i 41. p. p. przeznaczone są do działania w rejonie Augustów — Wołkowysk).

4. armja — wytężony pościg w kierunku północnym celem szybkiego sforsowania Bugu na odcinku Brok (włącznie) Granne (wyłącznie), zajęcie Mazowiecka i przypieranie nieprzyjaciela ku granicy niemieckiej razem z tendencją działania szybciej prawem skrzydłem dla oskrzydlenia.

1. armja — pościg frontowy, a więc w kierunku północno-wschodnim. Oś pościgu: Warszawa — Wyszków — Ostrów — Łomża. Kawalerję skierować na lewe skrzydło dla zamknięcia luki między piechotą armji a granicą.

5. armja — likwidowanie całkowite 3. konnego korpusu 4. armji i tych części 15. armji bolsz., które przez ruch 5. armji ku północy na Przasnysz — Mławę zostaną odcięte".

Uzupełniłem rozkaz ten listem, pisanym z Siedlec już następnego dnia 19 sierpnia późno w nocy, gdy wiedziałem, że na Bugu ani 4. armja, ani wojska gen. Śmigłego nie znajdą większego oporu. Z tego też powodu uznawałem już za zupełnie możliwe zmniejszenie ilości wojska, użytego do bezpośredniego pościgu. Sądziłem, że można już dużą część skupionych dotąd w okolicach Warszawy wojsk wywieźć w części na południe, w części zaś wyraźnie na wschód dla sformowania nowego naturalnego frontu, obróconego nie na północ, jak dotychczas, lecz ku wschodowi. Początki tej reorganizacji frontu znajdują się już w rozkazie z 18 sierpnia. W punkcie III. tego rozkazu dałem rozporządzenie, by z 5. i 1. armji jak najśpieszniej wyciągnąć 41. suwalski pułk i 19. dywizję, zwaną dawniej 1. litewsko-białoruską. Stało to w związku z moim zamiarem już wtedy powstałym, by pułk 41., jako sformowany z ochotników suwalszczan, wysłać do rodzinnego zakątka, dla oswobodzenia go od najazdu sowiecko-litewskiego. Natomiast dywizja 19., również sformowana z ochotników z naszych kresów, miała odejść, jak mówi rozkaz, „pośpiesznemi transportami" przez Warszawę — Siedlce w kierunku na Czeremchę, by stanąć odrazu jako straż przednia do oczyszczenia swej ściślejszej ojczyzny od nieprzyjaciela. W liście do szefa sztabu, w punkcie II., zamiary moje są już zupełnie skrystalizowane. Nieprzyjaciela uważałem za rozbitego, i streszczałem wobec tego swój nakaz w sposób następujący: „Armja 5. obejmuje pościg. Armja 4. nacisk w kierunku północnym

i coraz większe zwężanie wszystkich dróg odwrotowych. Armja 2. zaskakuje od wschodu. Jeżeli nie wspominam o 1. armji (armji, będącej w środku pomiędzy 5. a 4.) to dlatego, iż przypuszczam, że dla niej nie znajdzie się miejsca, i że ona będzie musiała być rozparcelowana pomiędzy 2. i 3. armję, którato ostatnia prawdopodobnie będzie musiała objąć nie tylko osłonę Bugu i Lublina, ale i uderzenie na południe dla degażowania Galicji". Chciałem więc już 20-tego skończyć z tym nonsensem strategicznym, z którego ongiś wyszedłem jako z podstawy dla bitwy pod Warszawą.

Rozkaz mój z 18. sierpnia, zmieniony nieco w następnym dniu 19., spotkał się z rozkazem p. Tuchaczewskiego, wydanym prawie jednocześnie. P. Tuchaczewski chce ustanowić dla niego datę tę samą t. j. dzień 18. sierpnia. Niestety, przy rozejrzeniu się w całym materjale, znajduję tyle sprzeczności z tym twierdzeniem p. Tuchaczewskiego, że muszę zatrzymać się nieco dla wyjaśnienia kontrowersji. P. Sergiejew na str. 92 wyraźnie pisze, że rozkaz był wydany 17. sierpnia o 18. godz. (6. wiecz.). Twierdzi przytem, że w sztabie frontu w Mińsku 17. rano otrzymano wiadomości o „zaczynającym się ataku jakichś polskich sił z okolic Lublina, skierowanym wprost na północ i o rozbiciu grupy mozyrskiej jednocześnie na szerokim froncie od Dęblina do Włodawy". P. Tuchaczewski zaś twierdzi na str. 53, że „niestety o ofenzywie polskiej dowództwo frontu dowiedziało się dopiero 18. sierpnia z rozmowy hughes'owej z dowódcą 16. armji . Ten ostatni o ofenzywie dowiedział się dopiero 17-go. Grupa mozyrska nic nie dała znać o tem, co się stało. — Dowódca 16. armji, meldując w rozmowie hughes'owej o wynikłem położeniu, wypowiedział się za koniecznością odwrotu dla zorganizowania się, lecz nie uważał ofenzywy białych polskich oddziałów za poważną i przewidywał możność zlikwidowania jej". Stanowczo stwierdzam, że jakakolwiek rozmowa dowódcy armji 16-ej z Siedlec z p. Tuchaczewskim w Mińsku Litewskim nie była możliwa w d. 18. sierpnia, gdyż Siedlce w większej swojej części były zajęte przez 21. naszą dywizję już 17-go późnym wieczorem. I jest rzeczą zupełnie niepodobną do wiary, aby dowódca 16. armji zmuszony prawdopodobnie do szybkiej zmiany miejsca swego pobytu, mógł 18-go rozmawiać w ten dziwny sposób. Dnia 17-go sierpnia wieczorem i w nocy większość jego armji (8., 10. i 17. dyw.) znajdowała się w zupełnie popłochowym odwrocie, i wszelka komunikacja pomiędzy „komandarmom 16." a jego dy-

wizjami już tej nocy była przecięta. We wspomnieniach p. W. Putna, zatytułowanych „Pod Warszawą", a opisujących działania 27. dywizji sowieckiej, dywizji, należącej do 16. armji, którato dywizja atakowała i wzięła Radzymin, znajduję następujące dane w tej sprawie: „Według zapowiedzi rozkazu dowódcy armji, otrzymanego w 27. dywizji około 16. godziny 17. sierpnia, dywizje armji miały odejść na rzekę Liwiec". Przyczem p. Putna przypisuje to faktowi, że 8. i 10. dywizje, będące dalej na południe od 27. zostały przez nas, Polaków, rozbite a polskie straże przednie weszły już do Mińska. Stwierdza przytem, że zgodnie z rozkazem, dywizja 27. o północy 17. sierpnia bez przeszkody ze strony nieprzyjaciela odeszła z pod Radzymina, mając jednak już przed sobą odchodzące i cofające się w bezładzie części sąsiadujących ku południowi dywizyj. Po zestawieniu tych wszystkich faktów nie mogę przypuścić, aby data rozkazu p. Tuchaczewskiego była 18. sierpnia, lecz sądzę, że jest to albo omyłka druku, albo też data została przez p. Tuchaczewskiego przesunięta rozmyślnie przy pisaniu dziełka. Dlatego też i szkic dołączony przezemnie do moich rozważań o bitwie warszawskiej zestawia sytuację obu stron walczących na 17. wieczorem, gdy rozkaz p. Tuchaczewskiego zaczynał już działać, a gdy nazajutrz zaczął działać mój rozkaz.

Odrazu powiedzieć muszę, że mieliśmy z p. Tuchaczewskim pod względem wydanych prawie jednocześnie rozkazów, losy prawie jednakowe. Rozkazy zostały wykonane w obu walczących armjach tylko przez część wojska, nie przez całość. Rozkaz p. Tuchaczewskiego, jak sam on mówi, był dany już zapóźno. P. Tuchaczewski stwierdza, że przyczyną wydania rozkazu o cofaniu się był fakt, że na lewem jego skrzydle sytuacja układała się krytycznie. Dodaję, że dzięki rozproszeniu działań 4. armji p. Sergiejewa, p. Tuchaczewski nie miał przy wydawaniu rozkazu pewności, że może na swem prawem skrzydle osiągnąć szybko większy sukces, którego właśnie tam, tem prawem skrzydłem szukał. Rozkaz więc o cofnięciu się z pod Warszawy wydany został przez sowieckiego wodza pod wpływem niespodziewanego dla niego natarcia pięciu dywizyj polskich. Jeżeli zaś twierdzi, że rozkaz był już spóźniony, to dlatego, że skierowując 16. swoją lewoskrzydłową armję na Liwiec i uchylając ją w ten sposób, jak mu się zdawało, od uderzenia owych pięciu polskich dywizyj, nie wiedział, że ta armja już nie była zdolną do stawiania jakiegokolwiek oporu.

Prawoskrzydłową, więc najbardziej północną dywizją tej armji była wspomniana 27. dywizja sowiecka, która jeszcze kilka dni temu przyprawiła o trwogę Warszawę, zdobywając Radzymin. Z opisu działań tej dywizji, który już cytowałem, biorę dosłownie stan armji 16-ej dnia 18. sierpnia po południu. Oto opis: „Jeszcze 18. sierpnia rano wyjaśniło się, że inne dywizje armji już usunęły się ze swych operacyjnych linij odwrotowych i ich jednostki, poza nieznacznemi wyjątkami, poruszały się w kierunku północno-wschodnim, jako najmniej niebezpiecznym. Sztaby polowe 2-ej i 10-ej dywizji w południe 18-go sierpnia znajdowały się: pierwszy w Paplinie, drugi w Sudninowie, obydwa na odcinku 27-ej dywizji. Po szosie Węgrów — Sokołów — Drohiczyn szły jednostki 21-ej dywizji (ta należała już do 3-ej armji i brała udział w walkach pod Radzyminem), tyłowe instytucje i tabory 27-ej, 2-ej, 17-ej, 10-ej i 8-ej (są to wszystkie pięć dywizyj 16-ej armji, nie brak ani jednej!) Droga ta zalana była nieprzerwaną kolumną, posuwającą się wolno w dwóch, trzech rzędach. Sztab polowy 27-ej dywizji przybył do Sokołowa o 21-ej godz. 30 minut 18-go sierpnia, gdzie wyjaśniło się, że nieprzyjaciel o świcie 18-go sierpnia zajął już był Siedlce i posuwał się w kierunku na Sokołów i Drohiczyn; koło 21-ej godziny Polacy zajęli już okolice Rozbitego Kamienia, skąd odrzucili 50-ą brygadę (17-a dywizja). Pociąg pancerny przeciwnika podszedł do Sokołowa i ostrzeliwał artylerją szosę, po której wciąż jeszcze szły kilku rzędami tabory wszystkich dywizyj 16-ej armji. Niektóre rozluźnione jednostki 8-ej, 10-ej, 17-ej i 57-ej (z mozyrskiej grupy) dywizji i tabory odchodziły przez Sokołów w północno-wschodnim kierunku (więc już nie na Drohiczyn! !). Wobec takiej sytuacji i wobec przerwania technicznej łączności z dowództwem armji, w dywizji postanowiono odejść za Bug, o czem posłano zawiadomienie do dowództw 2-ej, 10-ej i 21-ej dywizji".

Liwiec więc, wyznaczony przez p. Tuchaczewskiego jako miejsce zatrzymania się 16-ej armji, był już opuszczony przez całą tę armję 18-go wieczorem pod naciskiem straży przedniej naszej 21-ej dywizji i pociągu pancernego, do tej straży przedniej należącego. W dodatku zaś poza 16-tą armją w tem opuszczeniu Liwca brała już udział i jedna dywizja 3. armji sowieckiej. Ten obrazek, zapożyczony nie z relacyj bojowych naszych, lecz z opisu własnego przeciwnika, świadczy o stanie 16-ej armji, która zwycięsko przebiegła olbrzymią przestrzeń od Berezyny do Warszawy, mając za sobą sukces za sukcesem.

Teraz armja ta, stoczywszy 17-go bitwę z dwoma tylko naszemi dywizjami (14-ą i 15-ą), wyrzekała się wszystkich zadań, jej przeznaczonych, pod naciskiem straży przedniej jednej dywizji (21-ej). Dodam, że wszystkie trzy dywizje nasze 14-a, 15-a i 21-a, które teraz dnia 17-go i 18-go odnosiły nad 16-ą armją zwycięstwo, były starymi jej znajomymi, gdyż zaczynając od Berezyny aż do samej Warszawy stale i ciągle miały z nią do czynienia. Armja więc 16-ta rozkazu p. Tuchaczewskiego wypełnić nie mogła.

Spójrzmy na dalszą, 3. armję. Ma ona według rozkazu zatrzymywać przeciwnika. Widzieliśmy już, że lewoskrzydłowa jej dywizja 21-a wciągnięta została do katastrofy 16-ej armji i dzieliła z nią smutne jej losy. Reszta, z trzech dywizyj złożona, atakowała jeszcze niedawno Warszawę i okolice Zegrza, teraz odchodziła za Bug. P. Sergiejew konstatuje, że sytuacja dalszej ku północy 15-ej armji, 19-go sierpnia stała się ciężką, gdy straciła ona łączność na lewem skrzydle ze spiesznie odchodzącą na wschód 3. armją.

Ze swojej strony cytuję ustęp z listu mego, już przytaczanego, do gen. Rozwadowskiego, pisanego w nocy z 19-go na 20-ty. W końcu listu piszę: „Zagadką dotąd dla mnie nierozwiązaną jest, gdzie się znajduje 3-a armja nieprzyjacielska oraz ta część 15-ej, która nie bierze udziału w operacjach na północ od Modlina". Zagadkę tę starałem się rozwiązać i znacznie później po wojnie. Wiedziałem bowiem, że 3-a armja odchodziła pospiesznie przez Ostrów, bardzo słabo broniąc przedtem Bugu, lecz w pościgu bardzo gwałtownym i pośpiesznym, jaki od 19-go rano został przezemnie w 4. naszej armji zarządzony, armja 3. sowiecka nie odegrała tej roli, jaką jej chciał przypisać p. Tuchaczewski, t. zn. nie zatrzymywała wcale nieprzyjaciela. Były coprawda od czasu do czasu w przeciągu dnia 20-go i 21-go nieznaczne potyczki z łatwo rozpraszalnemi oddziałkami, lecz oporu właściwego i zorganizowanego nikt nie stawiał. Na kopji ostatniego szkicu p. Sergiejewa znajduję ją dnia 19-go koło Wyszkowa, dnia 20-go za Ostrowiem, a już dnia 22-go omijającą starannie Białystok i Łomżę, i zdążającą już w kierunku Ossowca. Znowu więc skonstatować muszę, że i druga z rzędu armja sowiecka — 3-a, rozkazu pana Tuchaczewskiego nie słuchała i zwycięsko przeszedłszy olbrzymią przestrzeń od „wątłego strumienia Auty" ku potężnej Wiśle, cofała się szybko i to bardzo szybko, nie chcąc prowadzić

boju jej nakazanego z paru dywizjami polskiemi, idącemi na nią od południa.

Rozkaz p. Tuchaczewskiego został usłuchany jedynie przez 15-ą jego armję. Ta stanęła dla uratowania sytuacji. Miała zabezpieczyć odejście zaawanturowanej daleko na zachód armji 4-ej i w przeciągu dnia 18-go i 19-go starała się to uczynić. Jak zwykle przy porażkach bywa, cierpi najbardziej ten, co jest najdzielniejszy. 15-a armja została zaatakowana wtedy, gdy inne armje albo—jak to robiły 16-a i 3-cia — odchodziły pośpiesznie ku północnemu wschodowi, albo — jak to robiła 4-a armja, która zresztą na czas nie otrzymała rozkazu — starały się dopiero skoncentrować do odwrotu swoje zanadto rozsypane dywizje.

Niepodobna dokładnie zrozumieć sytuacji 15-ej i 4-ej armij sowieckich, bez zestawienia jej z działaniami naszych wojsk na zachód od Narwi. Rozkaz mój 18-go sierpnia, jak już powiedziałem, nie był w zupełności wypełniony przez wszystkie nasze wojska. Rozkaz wyraźnie skierowywał wszystkie armje, z wyjątkiem najbardziej zachodniej 5-ej, ku północnemu wschodowi. 4-a więc armja iść miała w ogólnym kierunku na Mazowieck tak, aby się bardziej zbliżyć do zanadto izolowanej armji 2-ej gen. Śmigłego, dążącej w kierunku Białegostoku. Armja bowiem 2-a miała podwójne zadanie: osłaniała nas od wschodu, na co zużyć musiała dużą część sił, i próbowała zarazem zaskoczyć na drogi odwrotowe cofającego się ku wschodowi nieprzyjaciela na linji Bielsk — Białystok. Siły po temu miała wydzielone bardzo niewielkie, jako naturalny skutek nonsensu założenia, z którego wyszedłem dla rozkładu strategicznego bitwy pod Warszawą.

Natomiast 1-a armja, oswobodzona przez sukcesy mego kontrataku z nad Wieprza od jakiegokolwiek nacisku, otrzymała przez rozkaz 18-sierpnia kierunek dla dalszych działań na Łomżę — Ostrołękę. Ruch ten jednak przez 1-ą armję nie został wykonany ani 19-go ani 20-go. Już w rozkazie na 19-ty działania 1-ej armji naszej zostały jakby przepołowione. Dla zastosowania się do rozkazu mego 18-sierpnia dywizje 8., 10. i 7., brygada rezerwowa rozpoczęły swój marsz pościgowy na Bug, utrzymując nakazany kierunek na Łomżę i Ostrołękę, lecz reszta 1-ej armji została właściwie złączona w działaniach z działaniami armji 5-ej. W ten sposób, gdy nieprzyjaciel właściwie zabierał się do odwrotu lub ten odwrót śpiesznie już

wykonywał, 1-a nasza armja swoim rozkazem starała się być wciąż silną na zachód od Narwi, nie na wschód od niej. Już 20-go ten zachodni kierunek myśli i działań dowodzenia nad 1-ą armją zostaje zaznaczony tak jaskrawo i wyraźnie, że cała 1-a armja, nie wyłączając i tych dywizyj, które działały na wschód od Narwi, otrzymuje rozkaz przekraczania Narwi z powrotem, z dążeniem ku zachodowi. Rozkaz ten, w rażącej stojący sprzeczności z rozkazem moim z 18-go sierpnia, spowodowany był przypuszczeniem, że nieprzyjaciel koncentruje się dwoma swemi armjami t. zn. 4. i 15. na północ od Ciechanowa koło Mławy.

Kiedy wspomniałem, że jedyną armją, która rozkaz p. Tuchaczewskiego wykonała, była 15-ta, to przyznać muszę, że dzielną musiała być postawa tej armji w ciągu 18-go i 19-go sierpnia, jeśli wywołała ze strony polskiej koncentrację wojsk w tak nieużytecznym dla całości operacji kierunku, jak zachodnim, odciągając w ten sposób od zadań pościgowych całą naszą 1-ą armję. Kierunek ten tembardziej był nieużytecznym w dniu 20-go sierpnia, że 15-ta armja sowiecka 19-go sierpnia wieczorem zdecydowała się odejść przez Ostrołękę właśnie w kierunku Łomży, która przez fatalny rozkaz, powtarzam sprzeczny zupełnie z moim nakazem, została oswobodzona od nacisku z naszej polskiej strony. P. Sergiejew na str. 92 swego dzieła nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Oto, co pisze on w tej sprawie: otrzymał on w Sierpcu dopiero 19-go sierpnia zasadniczy rozkaz p. Tuchaczewskiego o odwrocie. Mógł się jeszcze przez Mławę i Przasnysz rozmówić osobiście o sytuacji z p. Tuchaczewskim, będącym w Mińsku. Jak pisze p. Sergiejew „dopiero w tej osobistej rozmowie z dowódcą frontu przekonał się o konieczności odprowadzenia swoich wojsk już nie do okolic Ciechanowa, a znacznie dalej na wschód. Dopiero 19-go sierpnia rozpoczęła swój odwrót 4-a armja". Co do 15-ej armji p. Sergiejew pisze, że stała ona 17., 18. i 19-go sierpnia w bojach, „lecz nie otrzymując pomocy dla swego prawego skrzydła od 4-ej armji, i straciwszy na lewem skrzydle łączność z odchodzącą pośpiesznie na wschód 3-ą armją, 15-a armja decyduje się, zgodnie zresztą z dyrektywą frontu, na odejście, i przez Ostrołękę idzie do okolic Łomży". Na str. 94 p. Sergiejew opowiada, że tegoż dnia 19-go, gdy już znowu stracił łączność z dowództwem frontu, próbował ją nawiązać przez 15-ą armję i w okolicach Ciechanowa trafił właśnie na mo-

ment, gdy 15-ta armja już swemi strażami tylnemi odchodziła ku Ostrołęce. Osądziwszy zaś, że w ten sposób jest odciętym już od swojej armji 15-ej i nie chcąc trafić do niewoli, szybko odjechał na wschód do Augustowa i Grodna. Kiedy więc 19-go wieczorem armja 15-a pospiesznie odchodziła ku wschodowi, nasza 1-a armja przedsiębrała zabawny manewr przechodzenia z trudem Narwi w akurat odwrotnym kierunku — ku zachodowi.

Dziwaczny ten i nonsensowny rozkaz, który niemało się przyczynił do zmniejszenia klęski armji sowieckiej pod Warszawą, wywołał z mojej strony silny sprzeciw, lecz niestety zbyt małe poprawki. Specjalnym rozkazem, wysłanym do 8-ej dywizji, stojącej już pod Ostrowiem, zabroniłem tej dywizji słuchać rozkazu swej armji i przyłączyłem ją do armji 4-ej, rozkazując jej dzielić dalsze losy nie z armją 1-ą a z 4-ą. Tę ostatnią skierowałem znowu na opuszczony kierunek — na Łomżę. W ten sposób zwolniłem nareszcie nacisk na odchodzącą 3. sowiecką armję, która też zgodnie z określeniem p. Sergiejewa, wyszła najlepiej z klęski warszawskiej. Naraziłem również w ten sposób armję gen. Śmigłego, a specjalnie biegnącą bez zatrzymania prawo-skrzydłową jej dywizję 1-ą legjonową, na zupełną izolację i działanie bez jakiegokolwiek poparcia sąsiednich armij [1]).

Nieraz po ukończonej wojnie zastanawiałem się i próbowałem analizować działanie własne i innych podczas bitwy warszawskiej. Wydawało mi się bowiem zawsze, żem nie wyzyskał dostatecznie sytuacji wytworzonej przez atak pięciu naszych dywizyj z nad Wieprza. Osiągnąłem, jak to czytelnik już wie, tym atakiem wydanie 17-go sierpnia rozkazu o cofnięciu wszystkich wojsk sowieckich z pod Warszawy ku wschodowi. Przy analizie jednak dochodziłem do przypuszczenia, że były z mej strony niedociągnięcia,

[1]) Nie mogłem znaleźć w archiwach naszych ostrej depeszy, wysłanej przeze mnie z Siedlec z powodu tego nieoczekiwanego dla mnie ruchu 1-ej armji. W notatkach, które mam przed sobą, pisanych w Siedlcach, poza ostrem określeniem słowem „idjotyzm", nazywam ten ruch koncentracją w kierunku Poznania. Czyniłem w ten sposób aluzję do względnie licznej ucieczki najbardziej przyzwyczajonych do pokory elementów naszej stolicy z Warszawy, gdy ta była zagrożoną. Uciekano do Poznania, gdzie również chciano ewakuować rząd i centralne instytucje.

które z klęski, poniesionej przez wojska sowieckie pod Warszawą, nie uczyniły klęski ostatecznej, z której walczące z nami państwo wyjścia by nie znalazło. Pierwsze niedociągnięcie, jakie widziałem zawsze, jest to niewyzyskanie dostateczne dnia 18-go sierpnia, który spędziłem w Warszawie. Dzień ten dla 4-ej naszej armji, a właściwie dla jej dalszego pościgu był prawie stracony. Bez mego bezpośredniego nacisku armja ta bardzo niewiele uczyniła nawet dla wyjaśnienia sytuacji. A mogła zdaniem mojem, gdyby była przezemnie dalej pchana, dojść swobodnie do Bugu i swemi strażami przedniemi już 18-go wyjaśnić rozmiar klęski, którą poniosła 16. armja sowiecka, oraz wejść w kontakt z cofającą się już 3. armją sowiecką.

Możliwość ta istniała, gdy się uwzględni, że do ruchu rozpędowego 4. armji dołączone być mogły usiłowania całej 1. armji, gdyby ta tegoż dnia ruszyła w kierunku, nakazanym jej dopiero rozkazem, wydanym po południu 18-go. Spędziłem ten dzień w Warszawie, gdzie, jak już wspomniałem, sytuacji tak optymistycznie brać nie chciano i gdzie zatem próbowano robić przez pół, nie na całego. Drugie niedociągnięcie, które przy analizie zawsze wykrywałem, było, żem 19-go sierpnia, kiedy już dostrzegłem wspomnianą pracę połowiczną, nie na całego ze strony panów, których zostawiłem w Warszawie, nie ująłem wszystkiego natychmiast w swoje ręce, kasując ten chaos organizacyjny i bezład dowodzenia, który się rozwijał i wzrastał po moim wyjeździe 12-go sierpnia dla prowadzenia kontrataku. Nonsens założenia w bitwie warszawskiej, wypływający z suggestji miesięcznych porażek i klęsk, któreśmy ponosili, był tak silnie założonym w Warszawie, że ludzie z trudem oswobadzać się mogli od jego konsekwencyj. Było tam stale jakgdyby dążenie do utrzymywania na bezpośrednim froncie w Warszawie możliwie wielkiej ilości wojsk, zabezpieczających stolicę od trwogi. Szybki, błyskawiczny przewrót sytuacji, dokonany przezemnie tak nieznacznemi siłami, nie wydawał się nikomu trwałym, gdy przedtem prawie półtora miesiąca cała nasza armja na południu i na północy rady z nieprzyjacielem dać sobie nie mogła. A gdy suggestja zmory, tak długo trwającej, była jeszcze dostatecznie silną, czepiano się najdrobniejszych przejawów aktywności nieprzyjaciela, by przypuszczać jeszcze możliwość klęski, a nie być pewnym zwycięstwa. W umysłach więc i sercach trwało jakgdyby zaćmienie, gdy ja już 19. i 20-go byłem zupełnie od jakiejkolwiek trwogi oswobodzony. Dokładnie zdawa-

łem sobie sprawę, że trzeba jaknajszybciej skończyć z niepotrzebnem skupieniem nadmiaru wojsk pod Warszawą, jako skutkiem nonsensu założenia strategicznego przy początkach bitwy. Jak już wspominałem, podczas mego pobytu w Warszawie 18-go sierpnia, najgorętsze debaty, toczone z niepokojem, tyczyły się nie czego innego, jak wiadomości z Płocka, który dnia tego był przez Sowiety zdobyty, jak o atakach na Włocławek i ruchach sowieckich w okolicach Brodnicy i Torunia. Suggestja porażek i klęsk w ten sposób jakgdyby się wzmacniała — nieprzyjaciel szedł wciąż naprzód, zdobywając nowe miasta i szerząc się ku zachodowi. Dlatego też wyznaję, że z pewnym podziwem czytałem u p. Tuchaczewskiego skargi na swoją 4-ą armję, a u p. Sergiejewa uznanie słuszności wszelkich krytyk zwróconych pod jego adresem za działania 4-ej armji podczas bitwy warszawskiej. Narzekania p. Tuchaczewskiego już zupełnie są nieusprawiedliwione. Dał przecie wyraźny rozkaz 8-go sierpnia, skierowujący 4-ą i 15-ą armję nie do zdobywania Warszawy, lecz do „pochodu za Wisłę".

Poszły więc obie armje, nie dotykając Warszawy i zebranych tam polskich wojsk, wprost ku zachodowi. Do Wisły zaś, czy w Płocku, czy we Włocławku doszła jedynie 4-a armja p. Sergiejewa, wyprzedzając, jak zwykle dotąd, szerokim frontem. Dla samej idei forsowania Wisły nie był to wcale zły sposób. Dlatego też, powtarzam, o co p. Tuchaczewskiemu w skargach na p. Sergiejewa chodzi? Przypuszczam, że obaj ci autorowie ulegli pewnego rodzaju suggestji, gdy krytykowali działanie 4-ej sowieckiej armji. Autorytetem, któremu ulegli, sądząc z treści cytat, była pobieżna bardzo analiza jednego z oficerów francuskich, który wydał broszurę o tym boju. Dowcipna uwaga tego Francuza mówi, że 4-a armja sowiecka, zamiast być pod Warszawą, walczyła raczej z traktatem wersalskim, niż z Polakami. Przypisuje on nawet do pewnego stopnia niepowodzenie sowieckie brakowi współdziałania pod Warszawą nie czego innego, jak 4-ej armji p. Sergiejewa. Jest to dość zrozumiałe dla mnie nieporozumienie. Polega ono na suggestji trwogi o Warszawę, gdy wszyscy bezwiednie chcieli widzieć skoncentrowane siły p. Tuchaczewskiego nie gdzieindziej, jak przy Warszawie. Tymczasem zgodnie z rozkazem p. Tuchaczewskiego z 8-go sierpnia, nie tylko 4-a armja nie chciała walczyć o Warszawę, lecz również i 15-a armja, najliczniejsza i najbardziej uposażona, omijała naszą

stolicę i zaplątana była w bojach tylko swojem lewem skrzydłem, nie całością. A stwierdzić wyraźnie trzeba, że Wisłę w „pochodzie za Wisłę" ujrzała tylko jedna północna 4-a armja p. Sergiejewa. Będąc zaś najdalej ku zachodowi, w najcięższe w porównaniu z innemi armjami wpadała tarapaty przy odwrocie. Pozostaje jednak przy niej zasługa, że najdłużej przeciągnęła suggestję porażek i klęsk w stosunku do nas, Polaków. Tem zaś z chwilą, gdy nie mogła czy nie umiała wiele zrobić bezpośrednio, pomogła bardzo efektywnie odwrotowi zarówno 3-ej armji sowieckiej, jak i 15-ej.

Wracając do historji odwrotu armij sowieckich i naszych działań stwierdzam, że z powodu dziwnego rozkazu, grupującego 1-ą armję ku zachodowi, 4-a nasza armja została skierowana na Łomżę; 15-a zaś armja sowiecka 19-go wieczorem znajdowała się w pełnym odwrocie ku tejże Łomży. Dla pomocy zaczynającej dopiero odwrót 4-ej armji zostawiła jedną dywizję na północ od Ciechanowa. Odwrót armji był bardzo pospieszny. Przyłączyły się do niego i niektóre części 4-ej armji sowieckiej, które zdążyły minąć Ciechanów. Już 21-go sierpnia większość 15-ej armji wraz z częściami 4-ej jest w Łomży, osłaniając swój dalszy odwrót boczną osłoną w okolicach Śniadowa. Nasza 4-a armja, zmuszona do zmiany kierunku, oswobodziła w ten sposób 3-cią sowiecką armję od bezpośredniego nacisku, nie zdążyła zaś dobiec do swego nowego celu, opuszczonego przez dziwaczny odwrót ku zachodowi 1-ej armji. Dlatego też 21-go pod Śniadowem wchodzą w kontakt z cofającą się 15-ą armją tylko straże przednie lewoskrzydlowej dywizji 15-ej. Oddziały te coprawda zdobyły Śniadowo, co o ile mi wiadomo wywołało już w Łomży w wojskach sowieckich prawdziwy popłoch. Nazajutrz 22-go koncentruje się już cała 15-a dywizja nasza, i silnem uderzeniem wieczorem zdobywa Łomżę. Przy tak pospiesznem tempie mowy naturalnie być nie mogło o uporządkowanym odwrocie. Gdy nazajutrz przyjechałem do Łomży stwierdziłem, że bardzo wielu z podwładnych p. Tuchaczewskiego rozpytywało w Łomży i jej okolicach nie o co innego, jak o drogi, wiodące do Prus Wschodnich. Znowu więc cała armja czyniła pospieszny odwrót pod naciskiem jednej tylko naszej dywizji.

Pozostała jeszcze na zachodzie 4-a armja. Była najdalej, aż na brzegach Wisły, najpóźniej otrzymała rozkaz i utraciła dotychczasowego swego dowódcę, który szedł od zwycięstwa do zwycięstwa, a te-

raz był w pośpiesznym, bardzo pośpiesznym odwrocie do Augustowa i Grodna. Dotychczasowemi jednak zwycięstwami i siłą moralną przykuła ku sobie tyle uwagi i tyle trwogi, że wszystko to (z wyjątkiem dwóch dywizyj), co dotąd przeciwko armjom pana Tuchaczewskiego miało bronić Warszawy, skierowane jest ku niej, by ciasną siecią ją otoczyć i zdławić. Od wschodu więc idzie ku niej 1-a nasza armja, lecz ta mając do przezwyciężenia zadane jej nowe skręty i zmuszona w części bez mostów przechodzić jeszcze raz Narew, nie nadąża nigdzie, ani do Łomży, gdzie była 18-go sierpnia skierowana, ani pod Mławę, gdzie ją nowe rozkazy dowódców posyłają. Ściga ją i naciska od południa aktywniejsza znacznie od 1-ej naszej armji — 5-a. Lecz armja p. Sergiejewa i bez niego broni się, jak lew osaczony. Dnia 22-go sierpnia, gdy Łomża już była w moim ręku z opuszczonym pospiesznie mostem przez Narew, armja 4-a sowiecka rzuca się odważnie na przegrodę, postawioną jej przez straże przednie 5-ej naszej armji. W silnym boju pomiędzy Mławą a Ciechanowem jazda sowiecka przerwała przeszkody, otwierając drogę dla swojej piechoty i taborów. Nazajutrz nieznaczna już przeszkoda, naprędce rzucona do Chorzel z tejże 5-ej naszej armji, została szybko zniesiona i reszta 4-ej sowieckiej armji ruszyła ku zachodowi. Było jednak zapóźno. Od Łomży ku północy wybiegły już przegrodzić jej drogę dwie dywizje (14-a i 15-a) z naszej 4-ej armji. Po krótkim boju i próbie przerwania i tej przegrody, 4-a armja sowiecka wyrzekła się dalszych usiłowań i przeszła granice Wschodnich Prus, składając tam broń. Tak się zakończyła historyczna bitwa pod Warszawą.

P. Sergiejew załącza do swojej książki szkic bitwy pod Warszawą. Jest on nieco zaplątany i niezupełnie ścisły dla naszych działań, niedokładnie przez niego znanych i zrozumianych. Dla charakterystyki armij sowieckich reprodukuję ten szkic opuszczając wszystkie szczegóły, gdyż wtedy nie każdy zorjentuje się w tej chaotycznej, źle dowodzonej po obu stronach bitwie [1]). Odkładając szczegółową analizę bitwy pod Warszawą na później i ograniczywszy się tylko do ogólnej strategicznej jej oceny, i w reprodukcji szkicu ograniczam się w ten sposób. Tem jaśniej występuje wtedy praca strategicznych jednostek p. Tuchaczewskiego, poszczególnych armij. Streszczam losy ich pokrótce, zaczynając od południa.

[1]) Patrz szkic Nr. 5.

Grupa mozyrska przedstawiona jest na szkicu jasną linijką, łączącą 58. dywizję w Włodawie z jakąś strzałką z numerem 57. pod Żelechowem, dodatek stanowi jakieś tajemnicze kółko otaczające Łuków. Wobec tego, że ani ten szkic ani działania moich wojsk nie wyjaśniły mi tajemnicy mozyrskiej grupy, zwycięskiej od 4-go lipca w dwóch kierunkach, a zupełnie nie stawiającej oporu w dniach 16-go i 17-go sierpnia, ograniczę się krótkiemi słowy. Dywizja 58-a dwa razy próbowała zatrzymać naszą 3. dywizję legjonową bezskutecznie, i wycofała się rozbita za Bug, oddając Włodawę i Brześć, zajęty 19-go sierpnia. Nasza 3. legjonowa zatrzymała się potem w Brześciu, przedłużając w ten sposób pasywną osłonę Bugu. W ten sposób aktywna dalsza praca ku północy wojsk gen. Śmigłego skurczyła się do działań 1-ej dywizji legjonowej z brygadą jazdy, sekundowanych od zachodu poparciem dalekiem 21-ej górskiej dywizji. Reszta mozyrskiej grupy z 57-ą dywizją wyszła zupełnie z rachuby, była bowiem istotnie „rozpyloną" do tego stopnia, iż jeńcy z 57-ej dywizji brani byli przez wszystkie nasze wojska zaczynając od lewoskrzydłowej dywizji 14-ej do prawoskrzydłowej 1-ej legjonowej na przestrzeni od Wieprza aż po Białystok i Łomżę.

Następnie uderzoną została 16. armja. Południowe jej dywizje 8-a, 10-a i 17-a zaatakowane zostały koło Kołbiela i Mińska dnia 17-go wieczór i 18-go rano przez naszą 14-ą i 15-ą dywizję z dwóch stron. Część sowieckich dywizyj rozprószyła się odrazu i cofała w naturalnym dla siebie kierunku odwrotu, t. j. tam, skąd przyszły— na wschód ku Brześciowi. O nich to pisałem w swoim liście do gen. Sosnkowskiego. Duża część tych rozbitków wyłapana została przez ludność miejscową, która formalne na nich urządzała polowanie. Na szkicu p. Sergiejewa widzimy 16-ą armję, jak 18-go zbiera się na Liwcu pod Węgrowem, mając drogę odwrotową teraz na Drohiczyn. Uderzona wieczorem tego dnia przez straż przednią jednej tylko dywizji naszej, 21-ej, i wiedząc, że jazda nasza i straż przednia 1-ej legjonowej już zabiegają jej drogę w Drohiczynie, cofa się 16-a armja, jak to na szkicu pokazano, ku północy w stronę Bielska. Próby oporu na Bugu szybko zostają złamane, szczególnie przez obejście 1-ej legjonowej, i koło Bielska część taborów i nieznaczna ilość wojsk unika pościgu, umykając do Wołkowyska. Gros zaś zatrzymane jest przez zajęcie już 20. sierpnia Bielska przez 1-ą legjonową i po bardzo słabym ze swej strony oporze rzuca się ku północy, szukając wyjścia przez Białystok.

Wobec tego, że szkic p. Sergiejewa urywa dzieje 16-ej armji na Bielsku, dając potem tylko rozprószone w różne strony strzałki, cytuję p. Putnę, dziejopisa 27-ej dywizji sowieckiej w tym pochodzie. Opisuje on, że Bielsk próbowała odebrać od naszej 1. dywizji legjonowej 21. dywizja sowiecka, a gdy się to jej nie udało, 16-a armja, która cały czas nie miała żadnego związku ani z dowódcą swoim, ani z żadną inną armją sowiecką, przechodząc z trudem przez Narew pod Surażem wyszła 22-go sierpnia koło południa na 12-ą wiorstę szosy Białystok — Mazowieck, gdy Białystok już od rana 22-go był zajęty przez straż przednią 1. dywizji legjonowej. Oto jak opisuje p. Putna, co na tej 12-ej wiorście się znalazło: „Na szosie do Białegostoku zgrupowane były liczne tabory i poszczególne jednostki trzech armij (407, 408, 409. pułki i części 2, 3, 6, 8, 10, 17, 21, 55. dywizji). Przeciwnik silnie zajmował Białystok i próby jednostek 2. i 21. dywizji wyrzucenia go z miasta nie miały powodzenia". Nastąpił wieczorem nowy rozpaczliwy atak na Białystok jednych, i nocne przemarsze dookoła innych. Przez pewien czas droga przez Białystok była nawet otwarta, lecz w rezultacie zostawiono mnóstwo materjału wojennego i wielką ilość jeńców w rękach 1. dywizji legjonowej. Stan zaś armji oddaje p. Sergiejew słowami: „Wszelki porządek ostatecznie został naruszony i części 16. armji wyszły w postaci marnych resztek tak groźnych niegdyś dywizyj". Dodaje zaś w uwadze: „Utrzymały jeszcze jakiś porządek i zdatność do boju tylko po jednej brygadzie 8-ej i 17-ej dywizyj i dwie brygady 27-ej dywizji (z piętnastu brygad, które były w armji)".

Następna 3. armja sowiecka, najszczęśliwsze losy miała w bitwie warszawskiej. Rozkaz p. Tuchaczewskiego ruszył ją do ataku na Modlin, lewem swem skrzydłem pomagała 16. armji, z tego właśnie powodu jej 21. dywizja podzieliła losy sąsiedniej armji. Przy rozbiciu armji 16. cofnęła się za Narew, próbując przez chwilę tylko stanąć na Bugu. Gdy to się nie udało, zerwała kontakt z armją 15-ą pozostawiając ją swemu losowi, a widząc klęskę 16-ej armji, zaczęła spiesznie uchodzić wzdłuż szosy Wyszków — Ostrów — Zambrów. Na szkicu p. Sergiejewa mamy ją pod Wyszkowem 19-go, następnego dnia 20-go pod Ostrowiem, gdzie nie próbuje wogóle stawiać oporu i odchodzi dalej, będąc jeszcze narówni z odchodzącą tamże i będącą już koło Ostrołęki 15. armją. Lecz już dalej wyrzeka się jakiegokolwiek udziału i współudziału z innemi armjami, spieszy wyko-

rzystać czas, gdy nasza 4. armja zwrócona została ku Łomży, a nasza 1-a armja czyni swój odwrót za Narew ku zachodowi. Na szkicu widzimy ją 22-go, w dniu klęski 16-ej armji pod Białymstokiem i 15-ej pod Łomżą, jak, nie pomagając w żadnym kierunku, spieszy w postaci trzech strzałek ku północnemu wschodowi na Ossowiec i w kierunku Grodna. P. Sergiejew stwierdza, że z klęski warszawskiej wyszła ona najlepiej, stwierdzić to mogę również i ja, gdyż znalazłem ją w miesiąc później uparcie broniącą Grodna i przejścia przez Niemen.

Armja 15. nie szła pod Warszawę, obchodziła ją, idąc w kierunku Wisły w dolnym jej biegu poza Modlinem, zaczepiła więc o obsadę naszą w Warszawie lewoskrzydłowemi dywizjami, lecz, nie doszedłszy do swego celu, otrzymała 17-go wieczorem rozkaz cofania się z powodu natarcia polskiego z nad Wieprza. Cofnęła się, by przyjąć na siebie ciężar bojów w tym czasie, gdy żadna armja już bojów nie prowadziła. Dnia 19-go widzimy ją skoncentrowaną w Ciechanowie, Makowie i Przasnyszu, czekającą jeszcze na nadejście 4-ej armji, lecz wobec zupełnego rozbicia 16. armji i odejścia 3-ej — armja ta cofa się. Na szkicu p. Sergiejewa znajdujemy ją 20-go w okolicach Ostrołęki, 22-go jest ona w Łomży, którą pod naciskiem jednej dywizji naszej (15.) traci tegoż dnia. Odchodzi pospiesznie już przez Grajewo, dotykając w ten sposób granicy ze Wschodniemi Prusami. Zostawiła ona w ostatnim boju i natychmiastowym pościgu wielką ilość jeńców, przyczem niemała jej część, zmęczona i zniechęcona do dalszych bojów, przeszła przez granicę do Wschodnich Prus, dając się tam rozbroić.

Wreszcie armja 4. uwidoczniona jest na szkicu p. Sergiejewa, jak koncentruje się zewsząd — z pod Włocławka, Brodnicy i z za Wkry, w liczbie czterech dywizyj i konnego korpusu, i 22 przebija pod Mławą pierwszą przeszkodę (naszą 18. dywizję), 23-go rozbija słabą drugą przegrodę pod Chorzelami (jeden pułk t. zw. sybirskiej brygady) i wreszcie 25-go pod Kolnem, zatrzymana przez naszą 14-ą i 15-ą dywizję, przechodzi przez granicę i daje się rozbroić we Wschodnich Prusach.

W historji bitwy warszawskiej zastanowić musi każdego dziwna, nieoczekiwana i tak nagła zmiana ról obu stron walczących. Zwyciężony staje zwycięzcą, zwycięzca zwyciężonym — w jakieś parę dni. Gdy zaś zestawi się niezwykłą jakąś suggestję klęski polskiej,

która nieodparcie narzucała się umysłom i sercom ludzkim nietylko u nas w Polsce, lecz i na całym świecie, gdy się zestawi niezaprzeczony fakt upadku moralnego młodego państwa polskiego, czego wyrazem była wysłana delegacja pokojowa do stóp p. Tuchaczewskiego, z nagłym przewrotem, który w jakiś błyskawiczny sposób nastąpił — szuka się bezwiednie jakichś nadzwyczajnych przyczyn tej nagłej zmiany, tego piorunującego przewrotu. Gdym dawał charakterystykę potężnego wpływu, który wywarł p. Tuchaczewski swym zwycięskim pochodem, mówiłem, żeśmy mieli po swojej stronie wrażenie kalejdoskopu, wywołującego chaos obliczeń, rozkazów i raportów. Kalejdoskop kręcił się może powoli, lecz przy nim dzień niepodobny był tak dalece do dnia następnego, że jakby w kontredansie plątały się wszystkie figury — manewry dywizyj i pułków, z nazwami geograficznemi. Teraz ja miałem swój rewanż i swój tryumf.

Nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rżnęła muzyka wojny! Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną! Kalejdoskop w takt wściekłego galopu zakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczonych figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary. Nie wiem czy moi podwładni ówcześni zdawali sobie w tym galopie zdarzeń sprawę co się dzieje właściwie. Część zachodnia napewno nie! Byli w okresie najwyżej kontredansu, i to dosyć lichego. Natomiast zawsze z przyjemnością wspominam, że zakręciwszy korbę kalejdoskopu na takt wściekłego galopu, i kontrolując siebie co chwilę, konstatowałem z rozkoszą, że zachowuję dobrą tête froide d'un chef, który nie dostaje zawrotu głowy od zwycięstwa i nie upada od porażek. To też gdy Warszawa, po przydługiej suggestji klęski, przeszła do festynów i uroczystości, ja w Siedlcach przygotowałem dalszą wojnę, i zaraz po wzięciu Łomży, bo 23-go, dałem nowy zarys dalszych operacyj. Zmieniłem odrazu nienaturalny ku północy zwrócony front, na prosty i naturalny — wschodni, dzieląc wojska na nowo pomiędzy nowe armje i przechodząc jako zwycięsca do porządku dziennego nad mnóstwem śmiesznego chaosu dowodzenia i jego rozkładu z czasów porażek i klęski.

IX.

Pan Tuchaczewski był wyznaczony przez państwo, któremu służył, na stanowisko na tyle wysokie w organizacji armji, prowadzącej wojnę, że nie mógł być oswobodzony od rachunków i kalkulacyj, które są udziałem najwyższych stopni dowodzenia podczas wojny. Na stopniach tych bowiem dowódca ograniczać się nie może jedynie do technicznych zadań, związanych z działającą wojennie armją. Musi, chociażby dla sądu własnego o możliwości realizacji zadań, które przeznacza swym podwładnym, mieć stały rachunek i kalkulację sił i wartości wojennej swego państwa, jak i tego państwa, z którem wojnę prowadzi. Bez takiego rachunku wyższe dowodzenie jest z konieczności słabem i łatwo jest wtedy poplątać takiemu wodzowi rachunek ściśle wojskowy przez dodanie i jakby wrzucenie mu do pracy elementów i danych, zapożyczonych z dziedziny mu obcej, a jednak ciążącej nad nim nieuchronnie. Dziedziną taką są, że użyję określenia poprzednio przezemnie użytego, fronty wewnętrzne obu stron wojujących. Siła i kierunek frontu wewnętrznego w stosunku do toczonej wojny stanowi często znacznie więcej, niż siła i wartość samego wojska. Dlatego też nie dziwię się wcale, że p. Tuchaczewski poświęcił cały rozdział rozważaniu tej właśnie dziedziny, związanej ze sztuką wojny. Wobec tego zaś, że ja w wojnie stałem na szczeblu jeszcze wyższym, niż p. Tuchaczewski, gdyż nietylko dowodziłem całą armją polską lecz byłem zarazem Naczelnikiem Państwa, musiałem robić ten sam rachunek stale i systematycznie. Chcę więc teraz, gdy o tej wojnie piszę, zestawić pokrótce oba rachunki i wpływ ich na wojnę także w specjalnie poświęconym temu rozdziale.

Pan Tuchaczewski prowadził swe armje ku Wiśle i za Wisłę w imieniu i z zadaniem niesienia siłą tego, co w rozważaniach zagadnienia nazywa rewolucją. Zgodnie z tem i tytuł rozdziału brzmi „Rewolucja z zewnątrz". Już sam tytuł zadania wojennego ma w sobie ślady wyraźne faktu, że rewolucja wewnętrzna nie istniała, gdy ją na ostrzu bagnetów z zewnątrz przynosić trzeba było. W każdym razie faktem było niezaprzeczonym, co stwierdza i p. Tuchaczewski, że sowiecka Rosja wojnę prowadziła z nami pod hasłem narzucenia nam, Polakom, ustroju jednakowego ze sobą, to znaczy sowieckiego i ten cel chrzciła nazwą rewolucji z zewnątrz. Fakt, że taki właśnie cel był dla wojny postawiony, był mi zupełnie dobrze znany i dlatego stwierdzam odrazu, że osobiście prowadziłem wojnę nie o co innego, jak o to, aby ta rewolucja z zewnątrz przez sowieckie bagnety do nas przyniesioną nie była. Polska początek wojny z Sowietami miała już w r. 1918, a był to rok, w którym zaledwie dwa ostatnie miesiące żyć zaczęła życiem samodzielnem. Dotąd bowiem, jak zapewne p. Tuchaczewskiemu wiadomo, żyć była zmuszoną — również przez bagnety, panie Tuchaczewski, życiem nie polskiem, przez siebie samą urządzonem, lecz życiem obcem, związanem aż z trzema państwami, Rosją, Niemcami i Austrją. Ta niewola u zaborców trwała do końca roku 1918, już więcej niż 120 lat. Więcej zatem, niż wiek cały, darzono Polskę za pomocą bagnetów, które ongiś Polskę zwaliły, dobrodziejstwami życia obcego i dlatego nieraz gorąco znienawidzonego. Polska więc w roku 1918 rozpoczynała na początku zimy wiosenny okres swego swobodnego życia po wiekowej niewoli. I chociaż ta wiosna w historji naszej zwaną będzie krótkotrwałą, chociaż kwiaty, któremi wiosna ludzi darzy, nie pokryły barwną powłoką pleśni i wyziewów wiekowej niewoli—była jednak wiosna ta dość silną, by uzbroić w wysiłki dostateczną ilość ludzi, nie chcących raz jeszcze zakosztować, co znaczy bagnet p. Tuchaczewskiego, niosący zagładę naszego własnego życia na korzyść złych czy dobrych, to było wszystko jedno, lecz przymusowych tortur niewoli. Jako Naczelnik Państwa Polskiego i wódz naczelny jej sił zbrojnych dumny dotąd jestem, że byłem wyobrazicielem tych, co wiosnę w Polsce głosili i przejawy jej piersiami własnemi osłaniali.

Postawiłem też sobie, niezależnie od nikogo, już w roku 1918 wyraźny cel dla wojny z Sowietami. Zdecydowałem mianowicie natężyć wszystkie siły, aby możliwie daleko od miejsc, gdzie się nowe

życie wykluwało i wykuwało, obalić wszelkie próby i zakusy narzucenia raz jeszcze życia obcego, życia nieurządzonego przez nas samych. W roku więc 1919 zadania tego dokonałem. Odrzuciłem próby sowieckie tak daleko, że pracy odbudowy własnego życia, także złej czy dobrej, w to nie wchodzę, Sowiety nie były w stanie mącić i jej przeszkadzać. Ta wielka przestrzeń, którą się zabezpieczyłem od „rewolucji z zewnątrz" miała nawet dla celów wojny swoje złe strony. Przy znanej bowiem lekkomyślności naszego narodu, przy niestety powolnej i często nieudolnej pracy budownictwa nowego życia zapomniano o prawach, ciążących nad narodem, gdy wojnę prowadzi. Nie widziano jej zbliska i zamało brano ją w rachubę. Cel więc sobie postawiony osiągnąłem w 1919 roku. Zapytać jednak wolno, czy niema jakiego błędu w rachunkach i kalkulacjach p. Tuchaczewskiego? Gdy po zwycięstwach jego, odniesionych nad nami, praca budownictwa u nas, pod wpływem tych zwycięstw, zamarła, gdy rękę swą już wyciągał po centrum naszego życia, stolicę Warszawę, gdy więc bagnety zrobiły już swoje, rewolucja sowiecka jednak pozostała tylko na bagnetach, nie mając wtedy wartości wewnętrznej w Polsce. A przecie cały rachunek p. Tuchaczewskiego i jego państwa nie na czem innem się opierał, jak na tem, że bagnety dają tylko hasło i dają możność przejawienia siły tejże rewolucji sowieckiej wewnątrz kraju, do którego przyszły.

Sili się więc p. Tuchaczewski słowami, określeniami i stylem zrobić to, czego nie zdołał zrobić w roku 1920 bagnetem i przemocą. Łatwem jest przeciwstawić słowa — słowom, dając czytelnikowi do wyboru zatrzymanie serca tam, gdzie słowo im się bardziej podoba. Dla przykładu spróbuję. Więc jesteśmy u p. Tuchaczewskiego biało-polakami, może to u niektórych jego czytelników wywoła radosne bicie serca, ja na to określenie się nie gniewam. W herbie bowiem naszego państwa mamy orła nie innego, jak białego koloru i gdy jak każdy orzeł mając dziób zakrzywiony i ostre szpony, rozwinął swe skrzydła w kampanji p. Tuchaczewskiego 1920 roku, przeciwstawić się potrafił dwugłowemu potworkowi, chociaż ten w czerwony wymalował się kolor. Zostańmy więc biało - polakami, gdy nasz orzeł jest biały, jedną naturalną ma głowę, a szpony dość ostre, by potworki zwyciężać i gniazda swego bronić. Prawda, jesteśmy także „pańską Polską". Jakżeż mi to dokładnie przypomina czasy dzieciństwa, gdy w Wilnie ze wstrętem i obrzydzeniem rzuca-

łem książki tak znanych w szkolnictwie rosyjskiem autorów, jak Iłłowajski. Tam również uczono dzieci, jak wielkie moskiewskie cary „pańską Polskę" dobrodziejstwami darzyły, jak wielkie zasługi przed Bogiem, ludzkością, a zatem i Polską mają, a ta „miatieżna" w każdem pokoleniu wiosnę swego życia krwawym powstaniem święci — „pańska Polska"!! Przypomina mi to bardzo piękną anegdotę. Mianowicie, jeden z rosyjskich „radykałów" twierdził, że Polska tak jest przesiąknięta „pańską kulturą" i „pańskim" wstrętnym sposobem myślenia, że nawet do Boga zwraca się przez „Pan", a zwyczajny „tufiel" nazywa „pan-tufiel". Pan Tuchaczewski w rachunku swoim wcale nie bierze pod uwagę, że akurat w tym czasie, gdy on „pochód za Wisłę" czynił, u nas w sejmie najsilniejszem stronnictwem było stronnictwo chłopskie, włościańskie, które także do Boga zwraca się przez „Pan", a o „tuflu" mówi nie inaczej jak „pan-tufiel". Akurat wtedy, gdy do bram stolicy p. Tuchaczewski pukał, na czele rządu, który Polskę bronił, stali przedstawiciele zarówno włościan, jak i robotników, panowie Witos i Daszyński. Lecz jeżeli, jak powiedziałem, na wodza, który będąc złamanym moralnie woli przeciwnika się poddaje, niema lekarstwa, to także świat nie znalazł lekarstwa na głowę i oczy doktrynera. Pan Tuchaczewski tych faktów nie widzi i nie chce rozumieć. Réalité des choses dla niego nie istnieje. Nie istnieje więc i w wielu innych wypadkach, gdy o nas mówi.

Oto naprzykład na str. 33. pisze: „Jeszcze przed rozpoczęciem naszej ofenzywy, cała Białoruś, jęcząca pod uciskiem polskich obszarników i białych polskich armij, gotowała się i wrzała od powstań chłopskich". Doprawdy, głowy doktrynerów są cudowne! Pan Tuchaczewski nie widzi wcale, że w przeciągu całej wojny, którą Sowiety prowadziły z nami, na tyłach bliskich, a bardziej jeszcze na dalekich frontu, przeciw nam zwróconego, inne wojska sowieckie i inni koledzy p. Tuchaczewskiego nie robili nic innego, jak z trudem zwalczali takie czy inne przeciw Sowietom powstania! Nawet duża część armji, dowodzonej przez p. Tuchaczewskiego, przyszła do boju z nami, gdy różne powstania gdzieś wewnątrz sowieckiej Rosji zgnieść zdołała. Nic zaś podobnego w Polsce nie było. I wojska, o ile były zorganizowane, swobodnie mogły być stawiane do walki z tem, co było przed frontem, a nie z tem, co poza frontem się znajdowało! Zaledwie w paru miejscach w przeciągu całej wojny zmu-

szony byłem do posłania bardzo słabych oddziałów i to nie dla wojny, nie dla boju, lecz dla zrobienia masowych rewizyj i odebrania broni, którą można było mi zagrozić. Pamiętam, jak jednemu z wybitnych przedstawicieli jednego z państwa zachodnich, który zwykł był wierzyć znacznie więcej „carosławnemu historykowi" Iłłowajskiemu, niż mnie, i który zatem tak samo jak p. Tuchaczewski oczekiwał, że coś musi „gotować się" i „wrzeć", pokazywałem, jak na moich tyłach pracują koleje i telegrafy bez żadnej osłony. Może p. Tuchaczewski zechce, jak i w innych miejscach, widzieć w tem niedorozwój „rewolucji", a odwrotnie w powstaniach, z któremi sam walczył na tyłach polskiego frontu, przerost kontrrewolucji, dla strategji i kalkulacji wodza te słowa nic nie zmieniają. Fakty mówią, że w swojej kalkulacji p. Tuchaczewski błądził, a ja błędu ani w sercu, ani w myśli nie miałem. Powiada p. Tuchaczewski, że ma jeszcze „charakterystyczny i świetny przykład uzupełnienia klasowego" w postaci 30.000 ludzi, którzy weszli w skład jego armij, prowadzonych za Wisłę. Gdyby tak i było, chociaż p. Tuchaczewski, jak widzieliśmy na początku książki, z tablic obrachunku swych sił wstydliwie „uzupełnienie" to wykluczył, to nasze dwie tak zw. litewsko-białoruskie dywizje w ogólnej ilości dały tyleż ochotników, którzy się armji p. Tuchaczewskiego przeciwstawiali. I znowu obojętnem jest dla strategji i sztuki wodza, jak te cyfry będą ochrzczone, gdyż w najgorszym dla mnie wypadku świadczą one o równej możliwości uzupełnienia wojsk dla jednej i dla drugiej strony. Co do mnie zaś, stwierdzam, że osiągając swój cel postawienia pomiędzy Warszawą a Sowietami możliwie wielkiej przestrzeni, działałem jako człowiek, który teatr wojny znał tak dobrze, że zarówno krajobraz, jak i każdy człowiek miał mnie za swego nie obcego, i przemawiał zupełnie zrozumiałym dla mnie językiem. Widziałem więc dobrze, że olbrzymia, ogromna większość ludności odnosiła się z głęboką nieufnością, a często z wyraźną niechęcią do Sowietów i ich panowania, widząc w nich — słusznie czy niesłusznie, jest to także dla strategji obojętne — panowanie nieznośnego terroru, który chrzczono nazwą żydowskiego. Dlatego też nie czułem nigdy w przeciągu całej wojny trwogi o to, bym na swoich tyłach mógł mieć jakiekolwiek powstanie.

Co się zaś tyczy Polski, która także u p. Tuchaczewskiego wygląda w r. 1920 tak, że nikt kto tę wojnę przeżył, jej by nie poznał,

to w odpowiedzi p. Tuchaczewskiemu zacytuję ustęp z jednego z moich listów, pisanych pod Warszawą. Pracując w nocy z 19. na 20. sierpnia w Siedlcach, zestawiałem wszystkie dane o stanie wojsk i ludności. Na podstawie tych danych zmieniłem nieco swój rozkaz dany 18-go, a do ówczesnego ministra wojny, gen. Sosnkowskiego, pisałem o potrzebach, że tak powiem, rządowych. Oto są moje ówczesne wrażenia. „To, co tu się dzieje, przechodzi zupełnie ludzkie wyobrażenie. Żadna droga nie jest pewna, tyle rozbitych i rozsypanych, ale również zwartych i izolowanych oddziałów z armatami i karabinami maszynowemi włóczy się tu wszędzie w okolicach. Narazie załatwia się z niemi miejscowa ludność oraz najrozmaitsze człony tyłowe różnych dywizyj, które jednak muszą ciągnąć dalej za swoją dywizją, a po nich zostaje przeraźliwa pustka tak, że przypuszczam, że gdyby nie chłopi, którzy się uzbroili, to jutro, albo pojutrze siedleczczyzna będzie we władzy bolszewików, rozbitych i rozprószonych poprzednio przez nas, a ja i różne komendy przy pomocy uzbrojonej ludności będziemy siedzieli w uzbrojonych miastach. Powtórzcie to również Skulskiemu (ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych) i powiedzcie jemu, że w Siedlcach na trzeci dzień po zdobyciu przez nas nie znalazłem absolutnie żadnej władzy cywilnej, a tembardziej uzbrojonych policjatów". Obrazek ten sytuacji mojej, Naczelnika Państwa Polskiego, który spokojnie i bezpiecznie się czuje, gdy w mieście policji niema, a dokoła jest więcej nieprzyjaciela, chociażby rozbitego, niż wojsk mu podwładnych, daje wymowny wyraz, czem była Polska ówczesna w swoim stosunku do dobrodziejstw sowieckich, niesionych na bagnetach p. Tuchaczewskiego. I jeżeli p. Tuchaczewski woli rezolucje „masowych mityngów" w Białymstoku, to ja—wyznaję—wolę swoją sytuację w Siedlcach.

Pan Sergiejew zawsze jest bardziej prawdomówny niż p. Tuchaczewski. Pisze on o tej kwestji na str. 82-ej całkiem inaczej. Oto są jego słowa: „Rachuba na wybuch polskiej rewolucji mogła być poważnie czyniona tylko w politycznych kancelarjach i to dostatecznie oddalonych od frontu. W wojsku mało w to wierzono i, zdaje się, próba formowania polskiej armji czerwonej w Białymstoku była dostatecznym dowodem, że źródła naszych informacyj zbyt optymistycznie patrzyły na położenie sprawy w Polsce". Zdanie p. Sergiejewa świadczy o tem, ile złudzeń i iluzyj pęknąć musiało u wojska sowieckiego przy zetknięciu z réalité des choses. P. Tuchaczewski

zresztą nie był w owych czasach tak odosobniony. Bardzo wielu cudzoziemców, którzy wówczas zwiedzali Polskę po raz pierwszy, a którzy tak jak p. Tuchaczewski skłonni byli zawsze bardziej wierzyć historykom szkolnym Iłłowajskim, niż réalité des choses, rozmawiając ze mną, najczęściej stawiali mi pytanie, czy ja — ówczesny Naczelnik Państwa, nie obawiam się wybuchu rewolucji à la Russie u nas? Otrzymywali zawsze i niezmiennie odemnie odpowiedź, że jeżeli sądzonem jest, w co zresztą wątpię, by świat zechciał przejść przez eksperyment rosyjski, będziemy my Polacy ostatni, którzy to zrobimy. Dodawałem zawsze, że jesteśmy zbyt bliskimi sąsiadami Rosji, abyśmy łatwo na naśladownictwo się zdobywali.

Cała frazeologja p. Tuchaczewskiego jest mi dobrze znaną. Tyle lat życia swego spędziłem w pracy dla ruchu socjalistycznego, że boję się, iż p. Tuchaczewskiego na świecie nie było, gdy literatura ze słów, używanych przez niego, była w moich rękach. Zapożyczona ona jest z prac wielkiego uczonego i myśliciela — Karola Marksa. I chociaż nigdy w swem życiu nie byłem stronnikiem tego, co nazywają materjalistycznem pojmowaniem dziejów, a co stawiano zawsze jako podstawę wszelkiej frazeologji marksistów, umiałem zawsze odróżnić wielkość pracy samego Marksa od wulgaryzacji jego głębokich zawsze myśli. Natomiast, gdy widzę p. Tuchaczewskiego, idącego śladami księcia warszawskiego Paskiewicza, jak stuka do bram Warszawy, powtarzając zaklęcia zaczerpnięte z Marksa, nie mogę nie odpowiedzieć mu tytułem znanej u nas w Polsce broszury tegoż Karola Marksa — Soll Europa kosakisch sein? Czy Europa ma zostać kozacką?

Pomijając podstawy myślenia o nas p. Tuchaczewskiego, a zatrzymując się jedynie na wyniku pracy jego w wyższem dowodzeniu wojną, stwierdzić należy, że p. Tuchaczewski omylił się, gdy sądził, że znajdzie wydatną pomoc dla siebie w Polsce podczas wojny. A że niewątpliwie złudzenie to wpływało na jego sposób dowodzenia i specjalnie dało mu argumenty i motywy, gdy decydował o pochodzie „za Wisłę", analiza bezstronna orzec winna, iż w rachunku i kalkulacji sił swego państwa i państwa nieprzyjaciela błądził, błąd zaś zemścił się na nim i na dowodzonych przezeń wojskach.

Rozdział zakończyć chcę postawieniem kropki nad „i" natury politycznej. Pan Tuchaczewski, jak zresztą i p. Sergiejew, chcą zawsze widzieć w działaniach moich jakąś podwładność w stosunku

do wielu bardzo nieokreślonych insytucyj. Tych instytucyj wymieniają ilość niemałą. Więc jest Ententa, więc jest zrzeszenie kapitalistów świata całego, więc jest także komplot imperjalistów, jest wreszcie sztab Ententy i ściślej sztab francuski. Pod tym względem p .Tuchaczewski jest dziwnie podobny do niektórych moich podwładnych i rodaków, którzy wszystkie nasze porażki przypisują mnie, wszystkie zaś zwycięstwa albo sobie, albo, gdy nie przypuszczają, by im kto uwierzył — Francuzom. Naturalnie na gorącą chęć, żeby tak było, niema żadnego sposobu ani lekarstwa, i nie dla przekonania kogokolwiek z tak dobrze o sobie sądzących to piszę; lecz dla ścisłości historycznej dodaję: Objąłem dowództwo wojsk polskich jako naczelny wódz armji, budowanej z niczego, sam bez niczyjego upoważnienia; zostałem zaś jednomyślnie wybrany na Naczelnika Państwa Polskiego przez Sejm, przez siebie zwołany i nie sądzę, by teraz tajemnicą dla kogokolwiek było, że oba te fakty zaszły nie za wpływem, lecz przeciw chęciom tego, co w owe czasy zwano Ententą. Nie widzę zresztą w tem wstydu ani dla siebie, ani dla Ententy. W sprawach politycznych byłem zawsze przedstawicielem, jak to już mówiłem, tych, co w naszej, niestety, krótkotrwałej wiośnie nowego życia, bronić chcieli własnemi piersiami odbudowy Polski, z błota niewoli wydobywającej okruchy swego istnienia. Wiedząc zaś jak to jest trudne, ześrodkowałem swe wysiłki i myśli dla tego tylko celu, gdy Ententa — co także nie jest tajemnicą — szukała rozwiązania problemu rosyjskiego więcej znacznie, niż takiego czy innego ułożenia spraw polskich. W sprawach zaś wojny i jej decyzjach nie skłonny byłem ulegać komukolwiek. To też przedstawiciel Francji militarnej, którym był w Polsce gen. Henrys — a tego zawsze z całą serdecznością wspominam — jeżeli i miał kiedykolwiek złudzenia, to zaniechał zupełnie prób tego rodzaju. Zresztą niema w tem nic dziwnego i nie sądzę, bym komukolwiek jaką ujmę robił, gdy powtórzę bardzo mądre zdanie innego reprezentanta tejże Ententy i tegoż sztabu francuskiego, gen. Weygand'a, akurat w czasie kryzysu warszawskiego; kiedy, zmęczony brakiem siły wewnętrznej u nas Polaków, którzy w chwili najgroźniejszej dla nas szukali pokory i za radą zewnętrzną idąc, posyłać mieli delegację do kwatery p. Tuchaczewskiego do Mińska, chciałem zrzucić na pół z siebie odpowiedzialność w tym wypadku i zaproponowałem gen. Weygand'owi

współudział w dowodzeniu, odmówił mi. Twierdził rozsądnie i rozumnie, że dowodzenie wojskiem tak szybko sformowanem jak nasze i tak mu nieznanem ani co do wartości, ani co do dowódców, ani wreszcie co do tego, czego od wojska wymagać można, jest za trudnem i niemożliwem dla niego. Dlatego też zadowalał się wypowiedzeniem teoretycznem sądów i, przynajmniej co do mnie, powstrzymał się od jakiegokolwiek nacisku na moje jakiekolwiek decyzje i postanowienia. I jeżeli wolny w wyborze dla bitwy warszawskiej wybrałem nonsensowne, zdaniem mojem, założenie, dając do pasywnych prac obrony trzy czwarte wojska, a do ataku jedną czwartą, nie obciążam nonsensem niczyjego sumienia, oprócz mego własnego.

X.

Praca wojny jest sztuką. Sztuka tworzy dzieła, a objektem sztuki wojny jest zawsze zwycięstwo. Zwycięstwa więc szuka każdy dowódca jako produktu swej pracy dowodzenia, swej pracy mózgu, nerwów i woli. Praca wojsk dowodzonych przez wodza jest właściwie materjalizacją tego, co przed tą pracą przemyślał, przeżył i skombinował dowódca.

Pan Tuchaczewski niechybnie był wodzem nieprzeciętnym. W swoim pochodzie za Wisłę materjalizował on swoje poprzednie rozważania, swoją poprzednią pracę duszy. Odnosił zwycięstwa — jest to rzecz niezaprzeczona. Musiał więc szukać dróg i metod, któremi zwycięstwo uzyskiwał, darząc niem zarówno wojsko, którem dowodził, jak i państwo, które w wojnie reprezentował.

Wojnę tę prowadziłem ja z naszej polskiej strony. Znając dokładnie swoją w tej dziedzinie pracę, wiem i rozumiem dobrze, że praca dowodzenia ze strony przeciwnej, ze strony sowieckiej, równie niełatwą była, jak ze strony naszej. Dlatego, gdy—jak mówiłem we wstępie — nieraz z niesmakiem odrzucałem książkę p. Tuchaczewskiego, pełną zjadliwego, jak mu się zdawało, niszczenia nieprzyjaciela tak jak nie potrafił tego zrobić w rzeczywistości, książkę pełną fałszów historycznych, książkę o przysmaku dla mnie wstrętnym, bo jakąś marną publicystyką smarującą wielkie dzieło wojny — gdym więc z niesmakiem i niechęcią odrzucał tę książkę, ratowała mnie i moją robotę myśl, że wyświetlić potrafię na przykładzie p. Tuchaczewskiego wielką pracę dowodzenia, czynioną przez niego w niezwykłych warunkach.

Pan Tuchaczewski jako dowódca potrafił dać nieraz zwycięstwo. Nie jest wcale obowiązkiem zwycięzcy tłómaczyć, jak to uczynił. Nie jest wcale obowiązkiem wodzów czyny swoje chcieć czy móc ubierać w teoretyczne rozważania, teoretyczne określenia, w coś w rodzaju doktryny. Przysłowie francuskie, które mówi: „la critique est aisée, mais l'art est difficile", jasno stwierdza prawa tworzących dzieła sztuki i pozostawiających tworzenie doktryn i teorji sztuki komu innemu. I nie każdy wódz wielkich wojen kusił się o ubranie swej pracy w szatę teorji, w szatę zakończonej we wszystkich szczegółach jakgdyby doktryny. Prawie każdy jednak, pracując nad swem dziełem — zwycięstwem, próbował i potem dać choćby zarys, tłómaczący metody swojej pracy i rozwój swojej myśli, którą realizował za pomocą działań żywej siły ludzkiej podwładnego mu wojska.

Spróbował tego i p. Tuchaczewski, i — że powtórzę raz jeszcze — kilka stroniczek jego dziełka, które tej właśnie dziedzinie pracy swojej poświęcił, są zdaniem mojem upiększeniem jego wykładów, upiększeniem, które godziło mnie z pracą, przedsięwziętą przezemnie obecnie.

P. Tuchaczewski, przedsiębiorąc swój pochód za Wisłę, był oddalony od objektu swoich pożądań, od celu, który sobie wytknął, o dobrych kilkaset kilometrów. Przebiegł więc przedtem swoją myślą, a później pracą przestrzeń, równającą się połowie Europy. Przedsięwzięcie niemałe! W dziełku swojem podaje metody swej pracy, tworzone przedtem, nim ją rozpoczął na polu bitwy. Stwierdza on, że „przy obecnych rozległych frontach" „skupienie mas taranowych" jest koniecznym wynikiem charakteru wojny obecnej. Szuka on więc w swych rozważaniach sposobu żywienia wojny siłą, przy przebieganiu wielkiej przestrzeni, za pomocą sformowania taranowych — jak określa — mas. Te dojść muszą wszędzie, gdzie operacja się zatrzymuje, jako rezerwa, zachowana w ręku głównodowodzącego. Rezerwą tą chce złamać opór nieprzyjaciela wszędzie, gdzie nieprzyjaciel zechce go postawić. W ten jedynie sposób — twierdzi p. Tuchaczewski — wielkie operacje na długą metę obliczone dają się prowadzić w warunkach, gdy ma się do czynienia z wielkiemi, rozległemi frontami i wielkiemi przestrzeniami.

Nie chcę wchodzić w analizę drobiazgową rozważań p. Tuchaczewskiego. Cieszyłem się, czytając te rozważania. Nie mają one bowiem charakteru zaślepienia doktrynera. Widać w nich pracę

myśli, ważącej na szali argumenty za i przeciw, szukającej rozstrzygnięć ciężkiej pracy mózgu i nerwów w męcę duszy. Nie chcę śledzić tych rozważań, chociaż sam je przebiegałem nieraz, pracując nad tym samym problemem, który sobie postawił p. Tuchaczewski. Mógłbym do jego argumentów dodać całe mnóstwo nowych; prawdopodobnie i sam p. Tuchaczewski, rozmyślając nieraz nad tym zagadnieniem, uznałby, że nie przytoczył wszystkich, które przytoczyć można. Chcę jedynie prześledzić działanie tego, co on nazywa masą taranową, podczas całego jego pochodu od Berezyny i Dźwiny aż do Wisły. Chcę znaleźć, gdzie i w jakim stopniu materjalizowała się myśl p. Tuchaczewskiego w pracy boju, pracy wojska. Zaczął więc p. Tuchaczewski 4-go lipca od wstępnego boju nad „wątłym strumieniem" Autą. Rozkład sił jego nazwałem w swojej analizie zręcznym, dobrze pomyślanym, śmiało wykonanym. Trzy armje ściągnął na front o przestrzeni 100 kilometrów, by pobić jedną naszą 1. armję, która tu stała. Przeciwko większości sił polskich na Berezynie i na Polesiu postawił słabe siły, szukając mocy tam, gdzie szukał rozstrzygnięcia. Taranu jednak tam nie widzę. Gdym przebiegał organizację sił p. Tuchaczewskiego, sądziłbym, że taran jest skupiony w najlepiej uposażonej 15. armji. Lecz szła ona do natarcia wcale nie uszykowana wgłąb, wcale nie w tym rozkładzie, któryby pomoc chciał dawać innym, gdy bój się zatrzyma. Bardziej taranowo ułożone były obie skrzydłowe armje, specjalnie zaś północna 4-ta. Było to raczej zgodne z ideą Sedanu, z myślą o natychmiastowym, blisko wytkniętym celu zadania nieprzyjacielowi nie porażki, ale klęski. Taranu więc tam nie spostrzegłem. Zresztą nie szukam w tym właśnie początku operacji konieczności dla p. Tuchaczewskiego wierności dla swojej idei. Otwierał smoleńskie wrota; otwierał je bojem, dla którego jako dla boju, a nie dla pochodu z daleko wytkniętym celem dla przełamania oporu przestrzeni z możliwościami, które posiadał nieprzyjaciel, rozkład wojsk uczynił.

Zgoda więc — 4-go lipca taranu nie było. Natychmiast jednak, nawet w czasie boju zaniechawszy jego zakończenia, p. Tuchaczewski formuje ten taran. Czyni to, organizując dalsze poruszenie ku zachodowi, z dwoma armjami: 3-cią i 15-tą. Traci nawet, jak to widzieliśmy, na ten cel sporo czasu. Idea jest mu droga. Daleko o kilkaset kilometrów świecą mu wieżyce Warszawy, błyska szeroka wstęga Wisły, a przejść tę drogę trzeba trudem, trzeba siłą. Żywić

więc przyszłe boje, łamać więc przyszłe przeszkody zgodnie z zasadniczą myślą p. Tuchaczewskiego ma 15. i 3. armja. Skierowuje on je tam, gdzie przeszkoda czeka, tam, gdzie ma jeszcze niezłamane bojami siły polskie — ku południowi. Nasza 4. armja, stojąca na Berezynie, ma doznać na sobie mocy zmaterjalizowanej myśli p. Tuchaczewskiego — działania taranu. Już przy analizie tego poruszenia porównywałem 15. armję, idącą spokojnie w kierunku Mołodeczna, do starej gwardji Napoleona. Stoi ona z fajkami w zębach jako ostatni odwód wielkiego cesarza Francji. Przygląda się obojętnie toczącemu się przed jej oczami bojowi, wiedząc zgóry, że palma zwycięstwa, rozkosz złamania oporu i zmiana porażki nieprzyjaciela na klęskę na nią spadnie, gdy oko cesarza wypatrzy odpowiednią chwilę.

Taran więc ruszył. Armja 3. do Mińska, 15. do Mołodeczna. Nieprzyjaciel jednak, zgodnie zresztą z przypuszczeniem wyrażonem w rozważaniach p. Tuchaczewskiego, nie chciał się poddać operacji i być bity taranem; usunął się od uderzenia. Taran, złożony z 3. armji i skierowany na Mińsk uderzył w próżnię. Zrobił więc to, czego właśnie w rozważaniach swych p. Tuchaczewski się obawiał. Armja 15. idąca ku Mołodecznu i mająca pomóc wszystkim, a opóźniona w swoim marszu, przyszła także zapóźno. Boje p. Sergiejewa, który do rozkoszy taranu nie należał, nad modrą Wilją „naszych strumieni rodzicą", rozstrzygnęły oczekiwany opór przeciwnika, przedtem, nim taran cokolwiekbądź zrobił. Nasze wojska znowu się cofnęły nie z powodu taranu. nie zmuszone przez wspólne wszystkich armij p. Tuchaczewskiego uderzenie, lecz z powodu obejścia skrzydła, które w trzydniowym boju nad Wilją zostało złamane. Taran i masy taranowe nie miały w tem wielkiej zasługi.

Mamy więc dalej próby wyznaczenia kierunku dla taranu. I — ku wielkiemu memu zdziwieniu — dalszy kierunek mas taranowych nie jest wcale dyktowany przez chęć znalezienia dla nich oporu przeciwnika, przez chęć do szukania, gdzie ten opór będzie najsilniejszy. Odwrotnie, gdy modra Wilja zawiodła, na drodze p. Tuchaczewskiego stanął szary jej kochanek, Niemen, który broniąc ziemi ojczystej, dyktował p. Tuchaczewskiemu poruszenia wojsk. Zmusił go do zaniechania nieprzyjaciela, do dostosowania poruszenia taranu do krętego biegu Niemna. Taran, w ten sposób ułożony przez Niemen, niewiele ma wspólnego z dziełem wojny, z żywieniem jej sił tam, gdzie skrzydła słabną. Skrzydła idą zupełnie samodzielnie wcale

nie związane z taranem. Narasta nowa przegroda, przegroda z której korzysta nieprzyjaciel. Jest nią znowu Niemen i Szczara.

Taran, przez bieg Niemna ścieśniony, zwęża się i masuje. W tem właśnie miejscu jest najbardziej ścieśniony, idzie tak, jakby p. Tuchaczewski oczekiwał, że właśnie prawe jego skrzydło, 4-ta armja, będzie zatrzymane i będzie wymagało pomocy taranu.

Lecz Niemen zostaje złamany. Kto go ostatecznie forsuje? Znowu nie taran! Znowu 4. armja p. Sergiejewa z jego jazdą! Znowu obejście skrzydłowe, bez próby nawet łamania oporu taranem! Znowu więc masy taranowe nieużytecznie ściągnięte i sformowane tym razem przez Niemen, nie przez p. Tuchaczewskiego!

Wyrasta dalej nowa przeszkoda. Nie pomogła Wilja, nie pomógł Niemen. Jako przegroda stają dwie znowu rzeki, Narew i Bug. Taran, raz przez Niemnem ściągnięty, idzie i dalej w ciasnym rozkładzie strategicznym, nie rozszerzając się ku południowi, nie szukając tam rozstrzygnięcia, gdy raz w początku swego ruchu uderzył na południe w próżnię.

Cóż się dzieje na tych rzekach? Oto ciekawy rozkaz p. Tuchaczewskiego, przytoczony u p. Sergiejewa, z datą 1. sierpnia 1920 r. Cytuję go dosłownie: „Przeciwnik przed frontem 15. armji okazuje stanowczy opór. Ażeby okrążyć i zniszczyć nieprzyjaciela, dowódca frontu nakazał naszej armji: kontynuując ruch w kierunku Ostrołęki, dwoma dywizjami uderzyć na przeciwnika w ogólnym kierunku na Mazowieck". Więc znowu 4. armja p. Sergiejewa, zatrzymana w tym czasie przez tę samą Narew pod Łomżą, ma pomagać taranowi, nie zaś taran 4-ej armji. Prawie chciałbym powiedzieć: „więc gdy trwoga to do Boga". Stanowczy opór ma być łamany nie przez taran lecz znowu przez obejście, nie taranowej, a pościgowej armji północnej.

A więc taran dotąd nigdzie rezultatu nie dał; uderzał albo w próżnię — jak to było pod Mińskiem, późnił się — jak to było pod Wilnem, pozostawiał rozstrzygnięcie nie sobie, lecz obchodzącej, pościgowej 4-ej armji — jak to było na Narwi. Może zatem przyczynił się w czemkolwiek do ostatniej pracy pochodu, gdy Wisła była przed materjalnemi oczami jeśli nie p. Tuchaczewskiego, to jego wojska?

Nie chcę być złośliwym. Znam ciężary dowodzenia, znam konieczne nieraz jego błędy. Lecz myśl mi błyska, że — kto wie — może idea taranu uporczywie zachowana przyczyniła się do klęski

p. Tuchaczewskiego pod Warszawą. W taran ujęta 15-ta armja szła rozstrzygać, według jego rozkazu z 8-go sierpnia, nie boje pod Warszawą, gdyż w nich nie miała brać udziału, lecz miała zadanie geograficzne przechodzenia szerokiej Wisły, gdzie nieprzyjaciela nie było.

I tylko ostatnie zadanie taranu, zadanie nie zwycięstwa lecz klęski, było najlepiej rozwiązane przez najbardziej taranowo uposażoną i najbardziej do tego wdrażaną armję 15-tą. Gdy wszystkie inne się cofnęły albo w bezładzie (16-ta), albo opuszczając współtowarzyszy niedoli (3-cia), armja 15-a przez dwa dni 18. i 19-go próbowała grać rolę starej gwardji, która umiera, ale się nie poddaje.

Gdy kreślę historycznie przebieg materjalizacji myśli p. Tuchaczewskiego, nie chcę w ten sposób powiedzieć, że p. Tuchaczewski nieproduktywnie pracował, że p. Tuchaczewski myślą błądził tak dalece, iż z góry na niepowodzenie swoją myśl skazywał. Tak nie jest. Myśl jego ma swoją wartość, i to wartość dużą. Jest w niej wiele z tego, nad czem niejednemu pracującemu nad sztuką wojenną zastanowić się radzę. Jest próbą, która mogła nie dać owoców, która napewno nawet samego autora nie zadawalała.

Gdy chcę analizować myśl p. Tuchaczewskiego do głębi, gdy usiłuję odszukać w rozważaniach i konkluzjach błędną podstawę, znajduję zawsze błąd w jednym i tym samym. Błąd zaś nie tyczy się taranu, nie tyczy się metody żywienia — jak mówię — siłą długiej operacji wojennej, zgóry przewidującej opór nieprzyjaciela, lecz zgóry również wyrzekając się myśli dyktowania nieprzyjacielowi sposobu postępowania i stanięcia do oporu tylko tam, gdzie sobie doktrynerski łeb wyobraża i życzy.

Błąd w rozważaniach, rozmyślaniach i wywodach p. Tuchaczewskiego znajduję zawsze, gdy myślę, że szukał on porównania swej pracy z pracą armji niemieckiej na froncie francuskim w 1914 roku. Już w ciągu analiz, które czyniłem na poprzednich stronicach, starałem się ustawicznie wykazać, jak niebezpiecznemi zasadzkami są dla wodzów słowa, określenia, figury geometryczne, nazwy geograficzne i wszystko to, co głośnego protestu wielkiego Napoleona słuchać musi, gdy z pod kopuły Inwalidów dotąd woła: „Mais c'est la réalité des choses qui commande, messieurs!"

Więc pochód Niemców ku Paryżowi, ku Sekwanie i za Sekwanę. Czyż nie przychodziło p. Tuchaczewskiemu na myśl, że pochód ten, płód wielkiej myśli i wielkiej pracy mózgu i nerwów Schlieffena,

związany jest ściśle z próbą rozwiązania problemu, który w owe czasy stawał przed strategją, by doczekać się swej próby urzeczywistnienia w 1914 r. Była to próba rozwiązania strategji mas. Gdy w bajecznym wyścigu za liczbą, za jej siłą, za przewagą liczby, wyścigiem, który charakteryzuje strategję po zwycięstwach pruskich 1870 r., armje Europy przekraczały cyfrę miljona, powstawał problemat nowy, nieznany dawniej: jak ruch godzić z masą? Jak ruch godzić z mnóstwem urządzeń, koniecznych dla żywienia wojny, z ogromną artylerją, niezliczonemi taborami, z całą masą urządzeń, bez których wojna przy nowoczesnych środkach boju bezsilną by była. Strategja mas i ich ruch dla zwycięstwa! Oto była olbrzymia praca, którą w ciszy przepracowali wykształceni oficerowie, która zajmowała mnóstwo umysłów marzących o nowych Kannach, o nowych Sedanach, czy o nowych Jenach i Austerlicach!

Wiedząc, że pracę moją czytać będą ludzie, którzy nad temi zagadnieniami głowy nie łamali i nerwów nie szarpali, dam jedno porównanie, które być może ogrom problemu przed oczy postawi.

Weźmy miasto miljonowe, więc np. Warszawę, i postawmy problemat przeniesienia Warszawy dzisiaj do Psiej Wólki a nazajutrz do Psich Kiszek, z których nawet wyłazić jest niepolitycznie, jak mówił Zagłoba. Przedstawmy sobie Warszawę w ruchu codziennie, z ogromem codziennych potrzeb i codziennej pracy.

A przecie wyścig piekielny za liczbą przekraczał śmiało miljony, biegł już do połowy dziesiątka. Więc strategja mas żądała, by pięć Warszaw biegło ku zwycięstwu, by pięć Warszaw żyć mogło codzień na innem miejscu, by pięć Warszaw, pracując codzień nad dziełem zwycięstwa, wszystkie odpadki produkcji wojennej gdzieś na dalekie tyły odrzucała, dając codzień nowy pokarm dla narzędzia wojny, dla paszcz armatnich i luf karabinowych, wiecznie niesytych. Strategję mas związać z ruchem, ruchem dać zwycięstwo! Oto był problem, związany z pochodem Niemców ku Sekwanie i za Sekwanę.

Gdy p. Tuchaczewski 15-tą swoją armję w taran związawszy czyni masą, to pozwolę sobie przypomnieć mu, że w jego obliczeniu 15-ta armja ma wogóle 46.883 walczących. Jeden korpus niemiecki, gdy szedł po zwycięstwo, liczył więcej! Gdy więc słowo „masa" do 15-ej armji stosuje i w ciasny dla niej korytarz ją pakując zwalnia jej bieg, niech przejrzy przemarsz pięciu korpusów 1-ej armji nie-

mieckiej Klucka przez istotną dla mas ciaśninę, przez jedno miasto Akwizgran, i niech porówna go z przemarszem swego taranu po wielkich i szerokich polach od Głębokiego do Mołodeczna! Wtedyby może nie chciał tak nieskromnie swoją 15. armję „masą" nazywać i szukać natchnienia dla problemów, które miał do rozwiązania, w strategji mas, których nie posiadał.

Strategja mas w 1914 roku nie dała zwycięstwa żadnej ze stron walczących. Wielkie zwycięstwa, odniesione przez Hindenburga i Ludendorffa, i ich śmiałe manewry na polach bitew w Polsce i Prusach Wschodnich, nie należą do strategji mas, gdyż mas w ścisłem tego słowa znaczeniu wodzowie ci nie posiadali. Strategja mas zwycięstwa nie miała. Ruch mas, o którym marzyła, szybko się wyrodził w wojnę stojącą, gdy mówię o zachodzie.

W strategji mas zasadniczą rzeczą było związanie miljonów w jedną współdziałającą stale masę żołnierską. Wszystkie jednostki musiały być z sobą w ścisłym kontakcie. Zaludnienie wojną przestrzeni, którą miljony przebiegały, było tak gęstem, jak zaludnienie miast, a spoidła taktyczne w postaci wzajemnego poparcia czy to ogniem czy natychmiastowym ruchem miały być zabezpieczone. I niech się p. Tuchaczewski nie łudzi, że gdy von Kluck prawe swe skrzydło miał zupełnie otwarte, to działo się to jedynie dlatego, by przestrzeni rozmyślnie nie zaludniać wojną. Mas dla tego celu nie wystarczyło. Taktyczne i strategiczne spoidła rwałyby się, gdyby chciano oprzeć skrzydło o morze. Strategja więc mas, oprócz mas samych wymagała spoistości, wymagała możliwości współdziałania nieledwie najwęziej pojętego słowa „taktycznego".

Jak powiadam, strategja mas wyniku nie dała. Zamarła ona po różnych próbach w bezruchu i w bezwładzie. Ruch został przezwyciężony przez siłę okopu, przez siły materjalne i przegrody, które przeciwnicy sobie wzajemnie postawili. I odtąd zaczyna się walka z okopem, walka z przegrodą ruchu, który tak znacznie osłabł. Każdą próbę przerwania okopu i zdobycia ruchu opłacano tak olbrzymiemi ofiarami, że, pomimo iż nad wydobyciem elementu ruchu z poniżenia pracowały najlepsze i najsilniejsze umysły, największe siły, nie potrafiono długo rozstrzygnąć problemu. A płacono dużo, płacono ogromnie, by ruch zwycięstwem znowu zrobić. Pamiętam, gdy marszałek Pétain wskazywał mi na skrwawione pagórki pod Verdun i mówił mi, że miljon prawie ludzi leży w tych zoranych granatami

polach bitwy! Miljon ludzi, co zniknęli bez śladu tak, że obecnie kości obu nieprzyjaciół leżą zmieszane z sobą i najbliżsi krewni ich nie odróżnią! Tak olbrzymie hekatomby dla stworzenia ruchu, gdy ruch legł zwyciężony w ponurych okopach!

Pamiętam dobrze te czasy. W zapadłych puszczach Polesia wołyńskiego stojąc, pracowałem także nad okopami. Wiekowe sosny padały pod siekierą, by drogi mościć tam, gdzie przedtem łosie tylko chodziły. Biegły druty telefoniczne i telegraficzne w miejscach, oglądanych niegdyś tylko przez wilki i cietrzewie. W polach drucianych przed okopami istotnie przy jasnem słoneczku zabłądzić było można. Budowałem schrony i pod ziemią z olbrzymich kloców drzewa, i nad ziemią z takichże kloców betonu, by ludzie w przepastnych puszczach zamieszkać mogli. Budowano kolejki, gdy przedtem na błotnistych drogach wystarczał dla potrzeb ludzi marny konik, leniwie się wlokący. Kolejami i kolejkami biegły ku nam nietylko zapasy żywności dla nowego miasta wojennego, wyrosłego w puszczy, nietylko masy materjału budowlanego, który codzień zużywano, krzycząc jeszcze i jeszcze; lecz biegły również transporty żywego materjału wojny — ludzi. Dokąd? Z jednego okopu do drugiego; z jednego miasta wojennego do innego, równie przypadkowo powstałego, zbiorowiska żołnierzy.

Byłem w okopach; pamiętam swój śmiech pusty, gdy razu pewnego nad Stochodem jedna tylko kompanja moja, idąc na wypad, podtrzymywana była w swym ruchu dwudziestu kilku baterjami różnych kalibrów różnego rodzaju dział, które piekło ognia czyniły. A przy cudownym fajerwerku różnokolorowych sygnałów, wyrzucanych w powietrze, te dzikie i niezaludnione miejsca wydawaćby się mogły, jak festyn uroczysty w bogatem i zasobnem mieście.

Myślałem więc w owe czasy, że wojna nietylko się wyradza, lecz, że wogóle zginąć na zawsze musi. Gdy ruch, główny element zwycięstwa, zaginął, praca wojny stała się jakąś bezsensowną dziką metodą zabijania ludzi. Nie mogłem sobie wyobrazić, by ludzkość raz jeszcze próbę podobną przedsięwziąć była w stanie. By raz jeszcze chciała przewracać życie całych krajów na to, aby okop żywiły, a strategja i sztuka, zakrywszy oczy ze wstydu, liczyć by miała jedynie cyfrę zabitych, cyfrę zniszczonych istnień, by z tej potwornej rachuby myśl o zwycięstwie wysnuć. Cieszyłem się wtedy w okopach. Wojna więc zniknie! I zmora wisząca nad tylu pokoleniami ludzkie-

mi raz wreszcie sama się zabije! Wyrodzi się tak dalece, że sztuka, życia wojny nie krasząc, przez samą obrzydliwość maszynowego mordowania ludzi zniechęci do siebie najzagorzalszych adeptów. Wojna zaginie wraz ze wszystkiemi jej skutkami! Ulgę to przyniesie — tak myślałem — i mojej Ojczyźnie, ofierze wojny! Lecz zarazem żal mi było tej niebiańskiej sztuki, którą ludzkość pochód swój przez tysiące lat znaczyła. Sztuka wojny, która tylu wielkich ludzi wydała, ludzi, w których siła niepojęta moc czarowną zakuła tak, iż dziełem swem — zwycięstwem, czynili nowe tworzywa dziejów, które żyć mogły i wieki całe. Czy znajdzie ludzkość inne metody skrótu dla swego tworzywa dziejowego? To były pytania, któremi jako mały brygadjer, zatracony w okopach, swoje konkluzje w stosunku do przyszłości czyniłem.

Gdym wrócił z Magdeburga do Polski i prawie w jednej chwili władza polityczna i wojenna w mojem ręku się skupiły, wiedziałem z góry, że idę na nową wojnę, że czeka mnie nowa burza wojenna, z ciężarem wodza naczelnego, który na swe barki włożyłem. Nowa wojna z nowemi nieznanemi problemami, tak bowiem z każdą wojną bywa. Nie byłem tak naiwny, bym strategję mas bez mas samych chciał powtarzać i naśladować. Bezsilność i upokorzenie słabości czułem zbyt wyraźnie, bym chciał upiększać swoje problemy słowami i określeniami, zaczerpniętemi z przepychu siły liczbowej, którą w 1914 roku rozwinięto. Problemat wojny, szukanie zwycięstwa tą metodą można było tylko śnić oszukując się słowami, określeniami bez treści. Zamiąst korpusów — bataljony, zamiast armij — dywizje; gdzież są te masy, dla których strategja mas język naginała, metody wypracowała? Nienawidziłem zawsze słabości, która upiększać się chce pustemi dźwiękami słów bez treści! P. Tuchaczewski idzie inną drogą. Kocha się w słowach, treści im nie dając. Dla niego 15-ta armja jest taranową masą; dla niego marnych dwa tysiące jedźców — pół dywizji w 1914 roku — jest konną masą, dla większego oszołomienia siebie i innych nazwaną korpusem.

Znam dobrze te słowa. Widziałem usilne starania upiększenia i naszej armji szumnemi słowami, zaczerpniętemi z innej treści; słowami, które gdzieindziej kiedyś siłę oznaczały, które kiedyś wyrosły w szukaniu zwycięstwa innemi, niemożliwemi dla nas drogami. Nigdy zwieść się nie dałem ułudami, chociażby najładniej na mapie namalowane były w różne kolory, gdzie kółka i koła reprezentujące

małe i nikłe oddziałki były rozciągane na mapie tak, by oszołamiająco udawały potężne liczbowe *masy* z określeniami w tak zwanych „legendach", zaczerpniętemi ze strategji *mas* spieszących ku zwycięstwu.

Zwycięstwa jednak szukać trzeba. Na to jest wojna, na to są wodzowie. Dlatego też, gdy dziełko p. Tuchaczewskiego przerzucałem, wczytywałem się raz po raz w myśli jego, w ślady jego pracy, w zagadnienie, jak przezwyciężał on trudności problemu, jak — gdy mas istotnych nie było, gdy wiązać nie mógł, jak to było i z nami, wojsk w jeden potężny współdziałający taktycznie łańcuch — jak dawał sobie radę z zasadniczym problemem, nad którym tyle czasu sam się męczyłem. Problem bowiem stanął dla mnie odrazu w całej swojej przerażającej nagości. Problem przestrzeni i zaludnienia jej pracą wojny. Przestrzeń tak ogromna, tysiąc kilometrów olbrzymiego frontu, cała Europa cywilizowana takiej przestrzeni nie zna! A wojska i siły dla zaludnienia tej przestrzeni wojną, dla opanowania jej siłą z wszystkiemi więzadłami i spoidłami, brakowało zarówno mnie, jak i p. Tuchaczewskiemu. Wszelkie próby myślowe, które czyniłem, by ten ciężki problem wiązać z doświadczeniami tak niedawno ubiegłej wojny, nie udawały mi się nigdy. Ani strategja mas, ani strategja, wiążąca ściśle jednostki wojskowe we wzajemną taktyczną współpracę, ani wreszcie strategja okopów, nie dawały mi nigdy żadnych rozwiązań. Oszukiwać zaś siebie słowami i określeniami, wpadać w zasadzkę dla pustych dźwięków bez treści tak, jak to czyniło wielu, nie chciałem i nie mogłem.

Powtarzam, strategja mas oparta była zarówno na istnieniu miljonów będących w ruchu, jak na uzyskaniu zapewnienia, że wszystkie jednostki, będące w ruchu, wzajemnie się wspierają prawie taktycznie, że są ze sobą związane ścisłemi spoidłami. Gdym ten problem rozważał, nazywałem tę strategję — stratégie serrée albo stratégie encadrante. Strategja ścieśniona, gdyż ścieśnia wojska w ruchu tak, by im zapewnić siłę masy, strategja ankadrująca — polskiego słowa nie znajdowałem—gdyż każdej jednostce daje poparcie sąsiadów, w ścisłej więzi będących. Strategja okopów nic pod tym względem nie zmieniła, przeciwnie spotęgowała. Masy zwiększyła, gdyż nie bała się ciężkiego problemu ruchu miljonów, albowiem zamknęła je w okopach, odrzucając ruch. Spoidła zaś wzmocniła nieledwie materjalnie, gdy ściągnęła masy wiązadłem nieprzerwanem drutu i oko-

pu. Stąd taka pasja u naśladowców tej strategji u nas, gdy głośno wołali: „Faites une ligne forte!!"

U p. Tuchaczewskiego — powtarzam — nie widzę śladu, by ten problem zasadniczy walki z przestrzenią, której zaludnić wojną i opanować pracą wojny nie mógł, starał się rozstrzygnąć. Może więc i cała myśl o taranowych masach, żywiących siłą wojnę na wielkich przestrzeniach przy długich operacjach i rozciągłych frontach tak się nie powiodła p. Tuchaczewskiemu, gdy w samym początku i założeniu ten błąd zasadniczy popełnił. Igrał słowami nie mającemi treści. Nie miał mas, nie mógł im zapewnić faktycznej siły ankadrowaniem.

Kończąc swoje rozważania nad próbą p. Tuchaczewskiego rozwiązania wielkiego problemu, który stał ongiś przedemną, gdym w tych samych warunkach co on wojnę prowadzić musiał, nie chcę ze swojej strony dawać metody swoich rozważań i metody swoich myśli, gdym po długich nieraz mękach próbował czynić to, co strategja każe: dać sobie, dać wojskom i krajowi, którego broniłem, zwycięstwo. Spokojnie tylko powiem, że całą wojnę dwuletnią znaczyłem nie czem innem, jak zwycięstwami. Za każdym razem, gdym dzieło wojny sam własnemi rękami czynił, odnosiłem zwycięstwa, które w dziejach tej wojny były epokami. Były one bowiem zawsze zwycięstwami strategicznemi, nietylko uzyskiwaniem przewagi taktycznej. Zmuszałem nieprzyjaciela do zmiany jego rozkładu strategicznego, zmuszałem do szukania pod wpływem mego zwycięstwa nowych prób ułożenia całej organizacji wojny, gdy dawne przygotowania przed mojem zwycięstwem pękały w ogniu bitwy.

Tak więc na początku 1919 r. jednym rzutem na Wilno przeniosłem front w dni parę o dwieście kilometrów na wschód, przezwyciężając przestrzeń tak wielką małemi względnie siłami. Gdym, próbując raz jeszcze swojej metody na polach Ukrainy, prowadził wojsko do napadu, rozmyślnie stanąłem na czele jednej z armij — 3-ej — by swojemi własnemi rękami sprawdzić swe myśli, nie obciążając nadmiernemi, jak mi się zdawało, wymaganiami nikogo z moich podwładnych. Dwa dni boju wystarczyło, by 12-ta sowiecka armja, która mi się przeciwstawiała, legła w bojach, pokonana rozbiciem prawie doszczętnem, rozbiciem, z którego już do końca wojny podnieść się nie mogła. Pamiętam radosną chwilę, gdy na swojem biurku znalazłem depeszę dowódcy 12-ej sowieckiej armji, in claro przez

radio na świat posłaną, a wołającą: Gdzie są moje dywizje? Odpowiedź dowódca armji otrzymał od jednego tylko dywizjonera, który z jakiegoś lasku z zachowanej stacji radio depeszował: Jestem tam tam a tam, lecz gdzie moje wojska, nie wiem.

Trzeci raz bezpośrednio wziąłem w swoje ręce dowodzenie w bitwie pod Warszawą. I chociaż z przykrością zawsze wspominam cały nonsens założenia bitwy, nonsens, którego przełamać nie zdołałem, to chwila tryumfu, gdy we wściekłym galopie bitewnym nieprzyjacielska armja za armją trzaskała, zmykając w popłochu, gdy tak niedawno jeszcze triumfy swoje święciły, zostanie na zawsze zwycięstwem siły dowodzenia i pracy nad dziełem zwycięstwa.

A wreszcie nad Niemnem szarym rycerzem, Wilji kochankiem, dowodząc bezpośrednio połową naszych wojsk, zwycięską wojnę zwycięsko zakończyłem. I znowu powiem, nie mam obowiązku metody pracy wojny wyjaśniać, w słowa rozważań i doktryny je ubierać. Wiem, że mając w założeniu bezsilność, bezsilność liczebną w stosunku do przestrzeni, zwycięstwo do sztandaru wojsk naszych przywiązałem. A czyniłem to zawsze metodą nie strategji mas, których nie miałem, nie strategji działania w związku i wiązania wszystkiego w ścisłe ramy i spoidła, nie za pomocą strategji ścieśnionej i ankadrującej wszystko taktycznie i nie za pomocą strategji okopów, których nie budowałem. Walczyłem metodą inną, którą — gdy nad nią się biedzę, by w słowa ją ubrać, nazywam zawsze strategją pełnego powietrza — stratégie de plein air — strategją, w której jest zawsze więcej powietrza, niż zaludnienia wojennego przestrzeni, strategją, gdzie wilki i cietrzewie, łosie i zające swobodnie ruszać się mogą, nie przeszkadzając dziełu wojny i dziełu zwycięstwa.

Wiem dobrze, że wielu z tych, co nad tym samym problemem co ja głowę sobie łamało, szukając metod dla dania nam zwycięstwa i nie dając sobie z tym problemem rady, opuściło w bezsilności ręce i dawno orzekło, że zwycięstwo było istotnie, lecz tylko dlatego, że nie była to wojna istotna. Jakaś półwojna, lub nawet jej ćwiarteczka; jakieś dziecinne szamotanie się i bijatyki, dla których wielka teorja wojny zamyka pogardliwie swe podwoje.

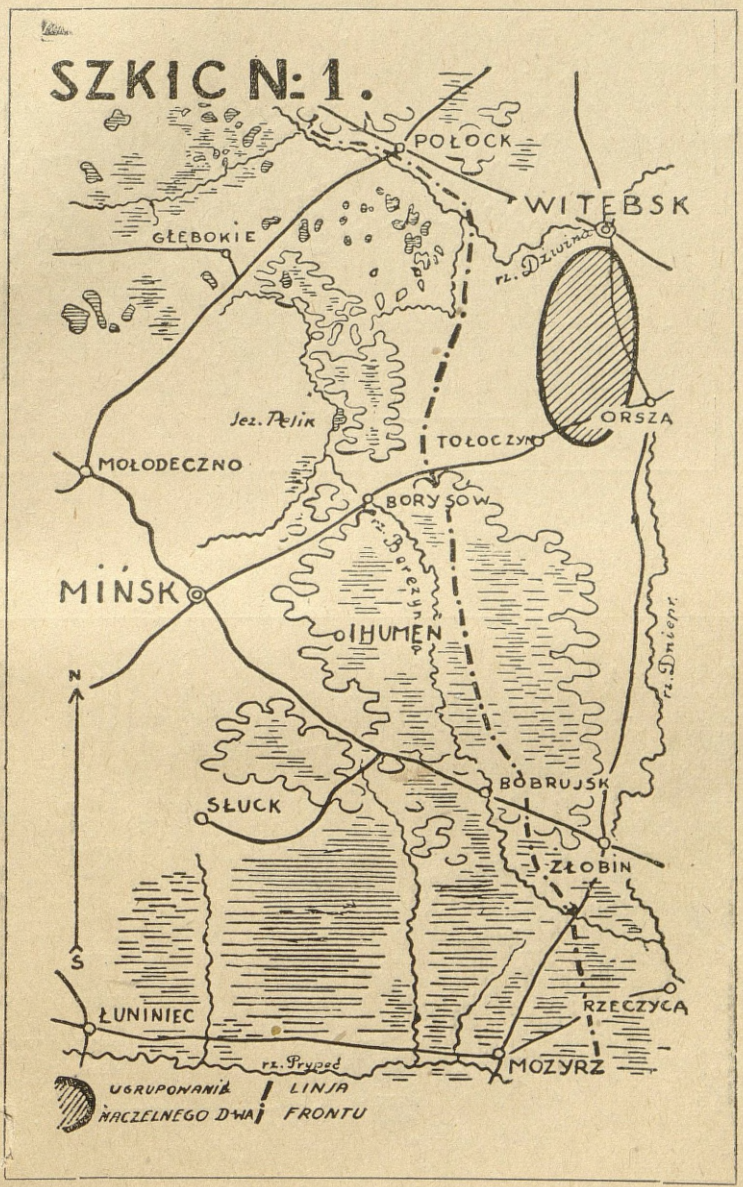
Nie chcę przeczyć. Chcę tylko dodać, że ta bijatyka wstrząsnęła losami dwóch państw bezpośrednio, dwóch państw, liczących ra-

zem 150 miljonów ludzi. Chcę powiedzieć, że ta wojna czy bijatyka omal nie wstrząsnęła losami całego cywilizowanego świata, i że jej kryzysy były kryzysami miljonów i miljonów istot ludzkich, a dzieło zwycięstwa na czas, daj Boże, dłuższy stworzyło podstawy już dziejowe dla obu państw walczących. Niech więc będzie bijatyka, gdy metody i doktryny dla niej znaleźć nie podobna.

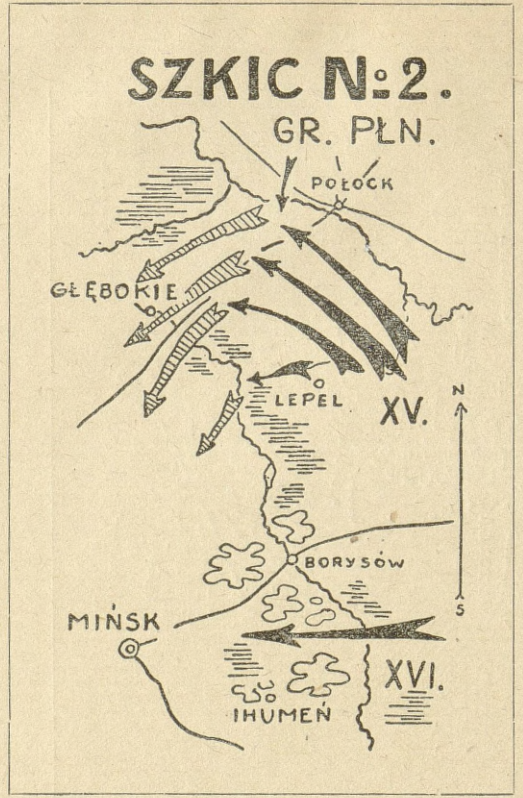
BIBLIOTEKA NARODOWA

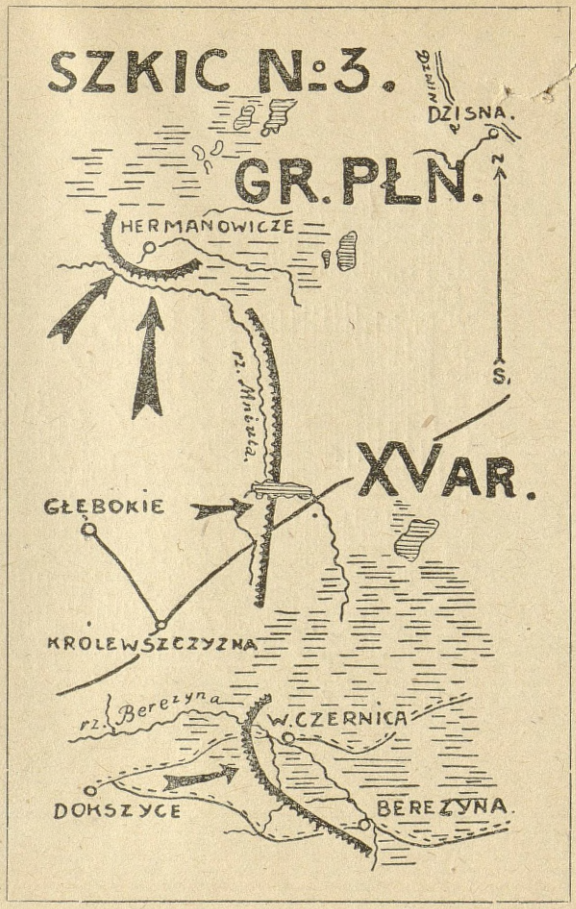
SZKICE DO M. TUCHACZEWSKIEGO

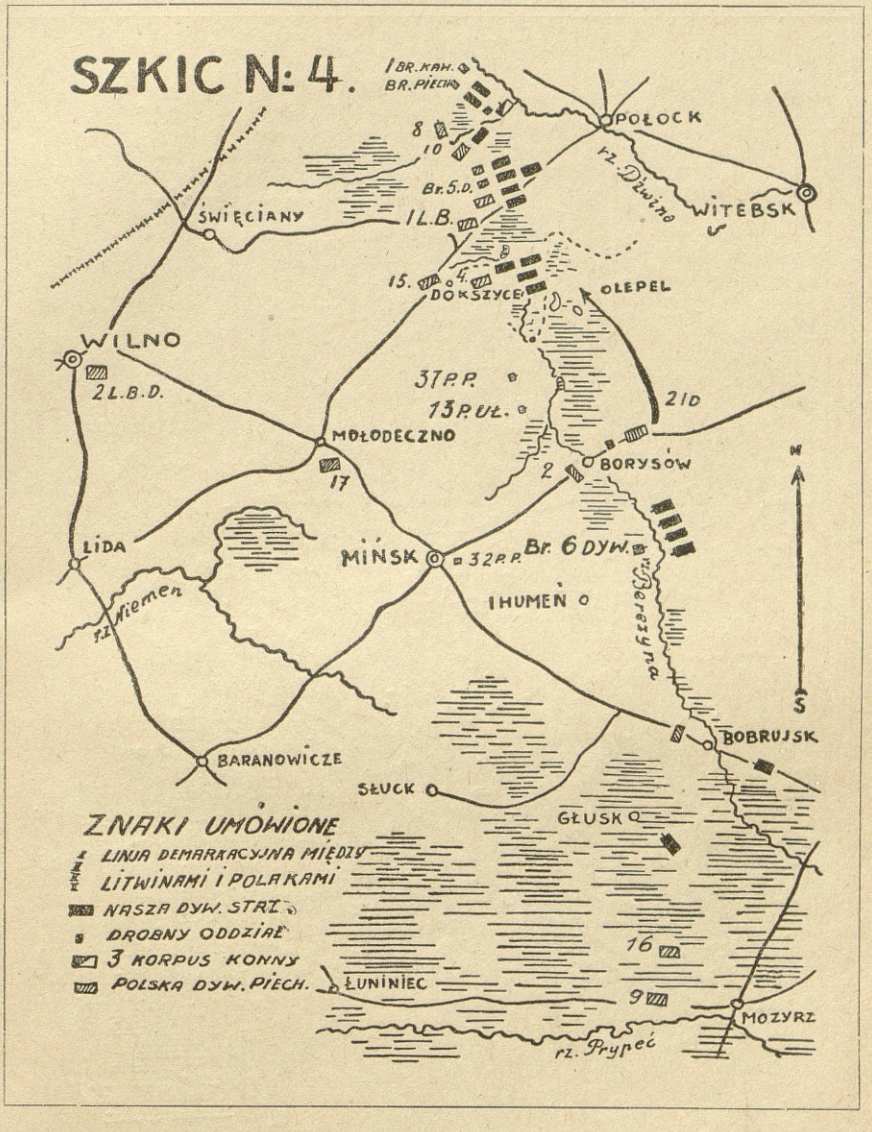
POCHÓD ZA WISŁĘ.



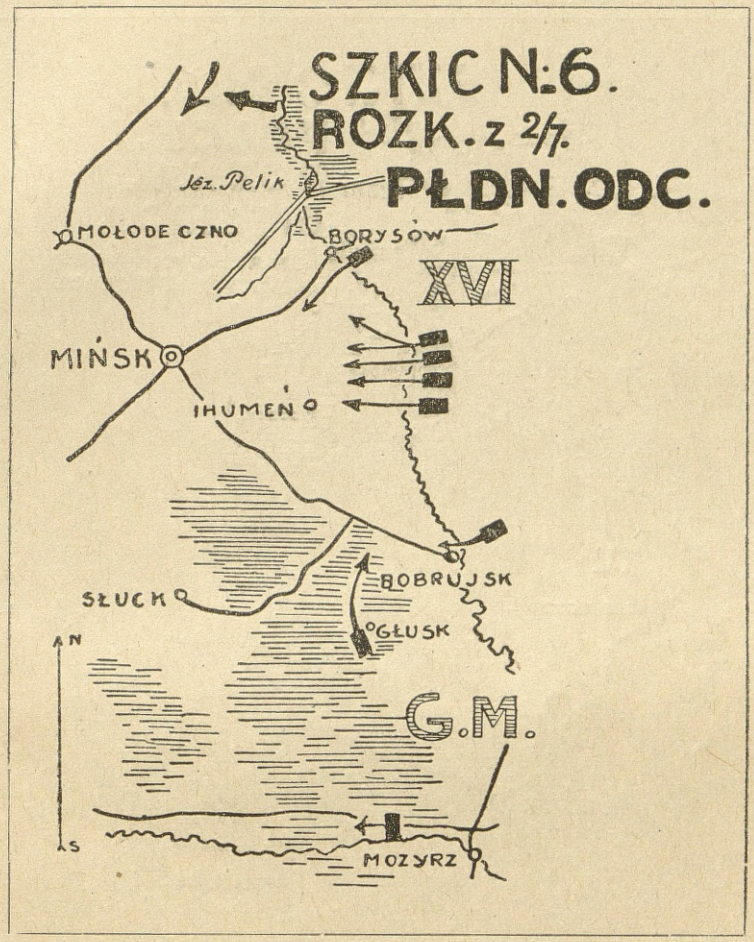
M. TUCHACZEWSKI.

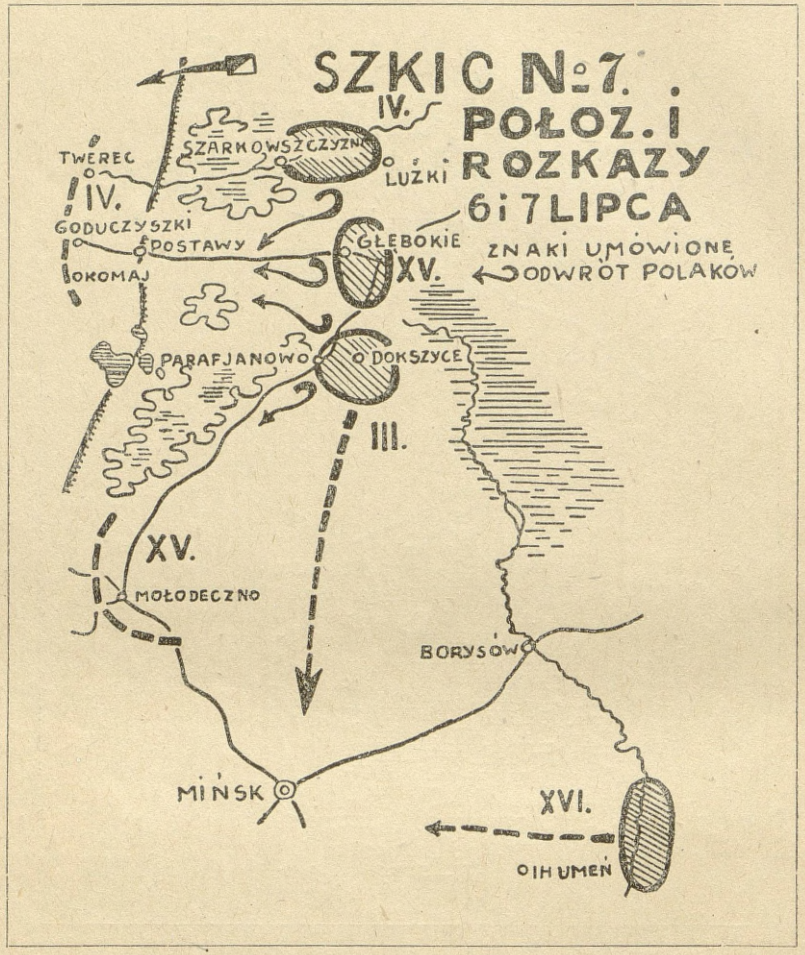


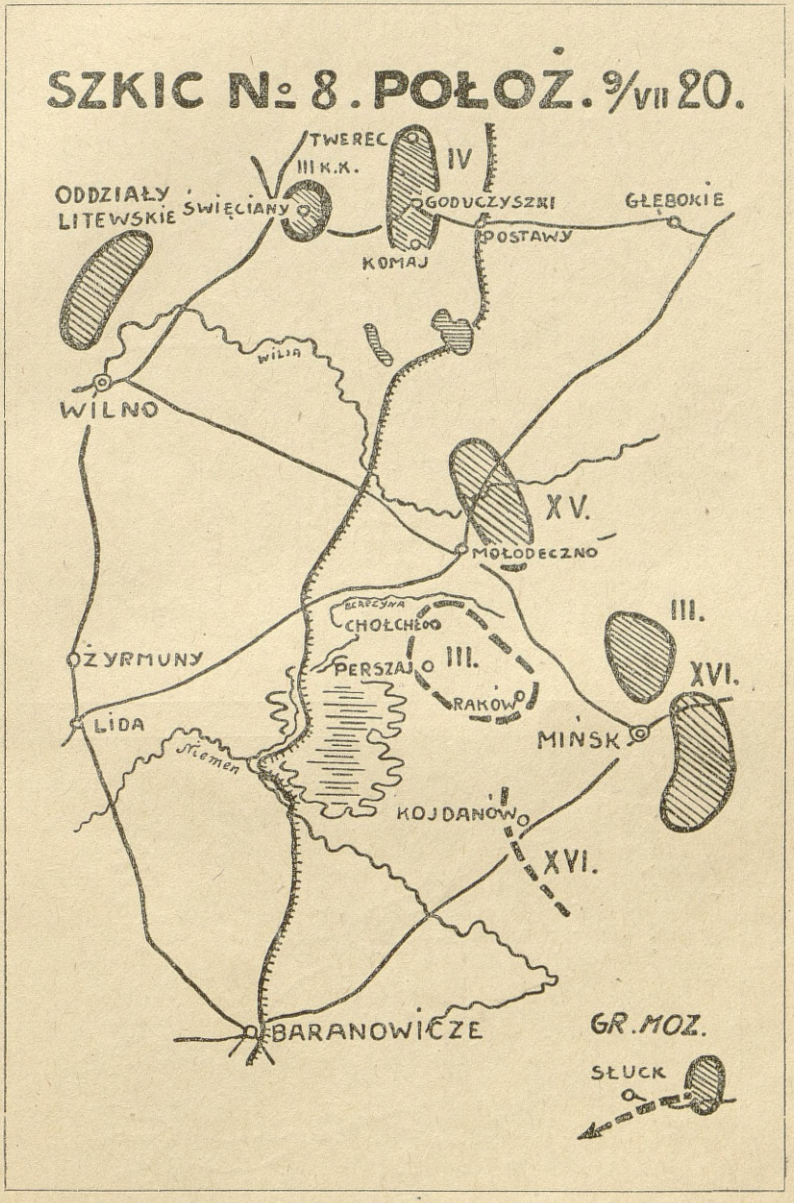



SZKIC N: 4.
1 BR. KAW.
BR. PIECH.
8
10
Br. 5. D.
1 L.B.
POŁOCK
rz. Dźwina
WITEBSK
ŚWIĘCIANY
15.
4.
DOKSZYCE
OLEPEL
WILNO
2 L.B.D.
37 P.P.
13 P. UŁ.
21 D
MOŁODECZNO
17
2
BORYSÓW
N
S
LIDA
MIŃSK
32 P.P.
Br. 6 DYW.
rz. Berezyna
rz. Niemen
IHUMEŃ
BOBRUJSK
BARANOWICZE
SŁUCK
GŁUSK
ZNAKI UMÓWIONE
LINJA DEMARKACYJNA MIĘDZY LITWINAMI I POLAKAMI
NASZA DYW. STRZ.
DROBNY ODDZIAŁ
3 KORPUS KONNY
POLSKA DYW. PIECH.
16
ŁUNINIEC
9
MOZYRZ
rz. Prypeć

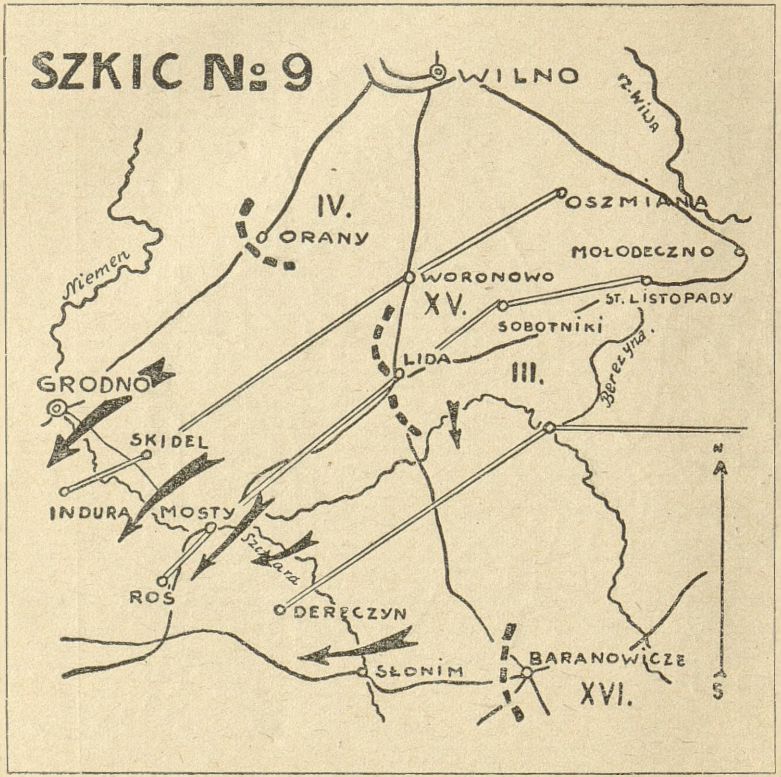

SZKIC № 5.
ROZKAZ Z 2-VII
ODCIN. PŁN.
DZWIŃSK
Dzwina
DRYSSA
DZISNA
Jez. Jelna.
Jez. Jelna
SZARKOWSZCZYZNA
ŁUŻKI
WYŚCIE
RZ. USZACZ
Dzisna
KU ŚWIĘCIANOM
GŁĘBOKIE
Jez. Szo
KRÓLEWSZCZYZNA
BUDZICZE
PARAFJANOWO
DOKSZYCE
LEPEL

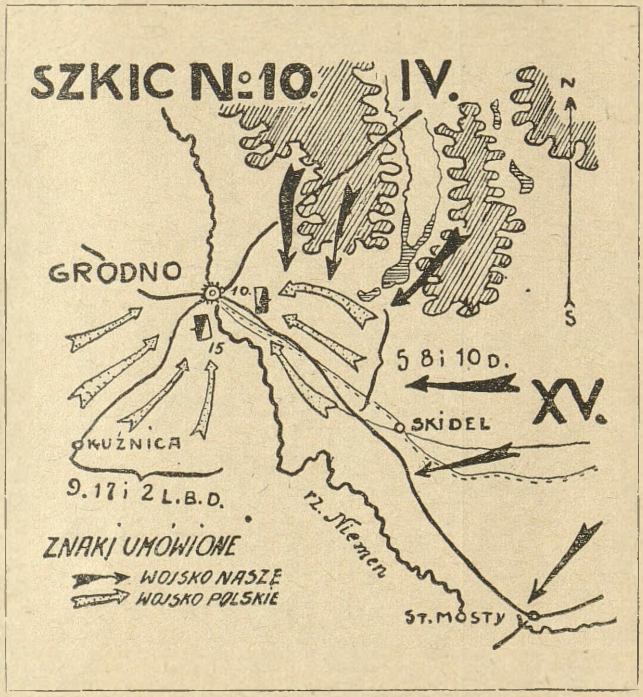

SZKIC N:6.
ROZK. z 2/7.
PŁDN. ODC.
Jez. Pelik
MOŁODECZNO
BORYSÓW
XVI
MIŃSK
IHUMEŃO
BOBRUJSK
SŁUCK
OGŁUSK
G.M.
MOZYRZ
N
S

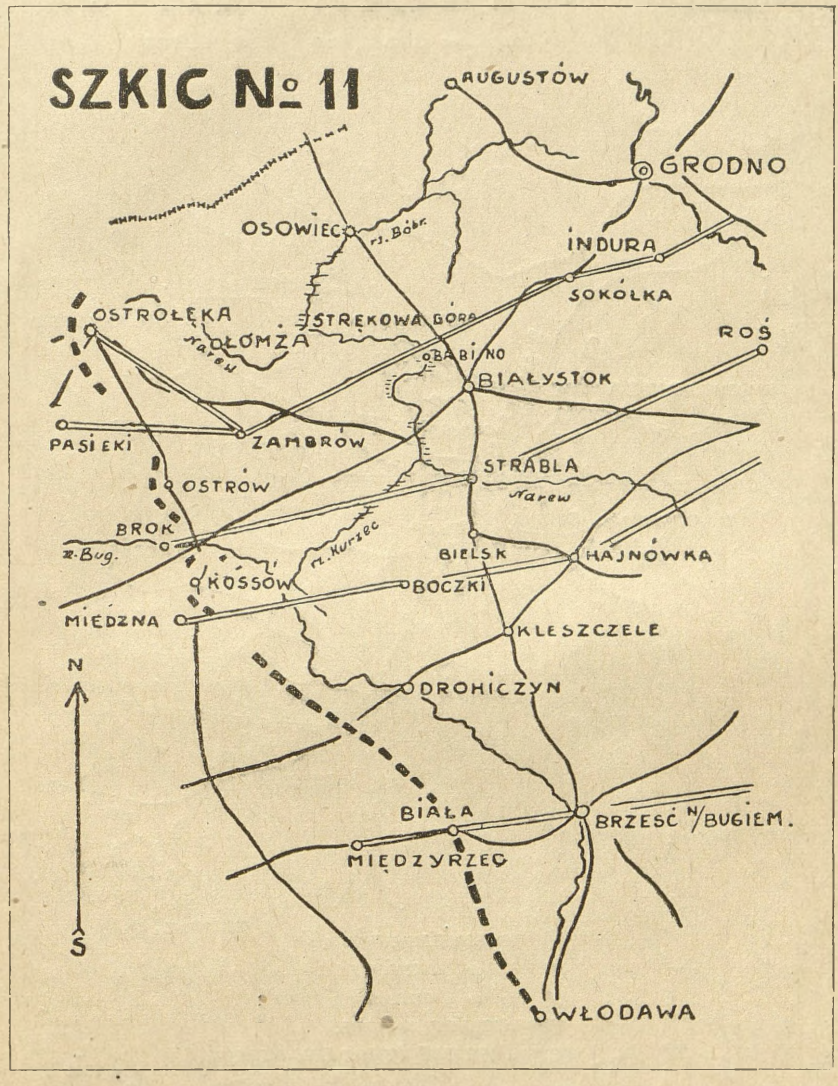

SZKIC Nº7.
POŁOŻ. I ROZKAZY 6 i 7 LIPCA
ZNAKI UMÓWIONE
ODWRÓT POLAKÓW
IV.
TWEREC
SZARKOWSZCZYZNA
LUŻKI
IV.
GODUCZYSZKI
POSTAWY
GŁĘBOKIE
XV.
OKOMAJ
PARAFJANOWO
DOKSZYCE
III.
XV.
MOŁODECZNO
BORYSÓW
MIŃSK
XVI.
OIHUMEŃ

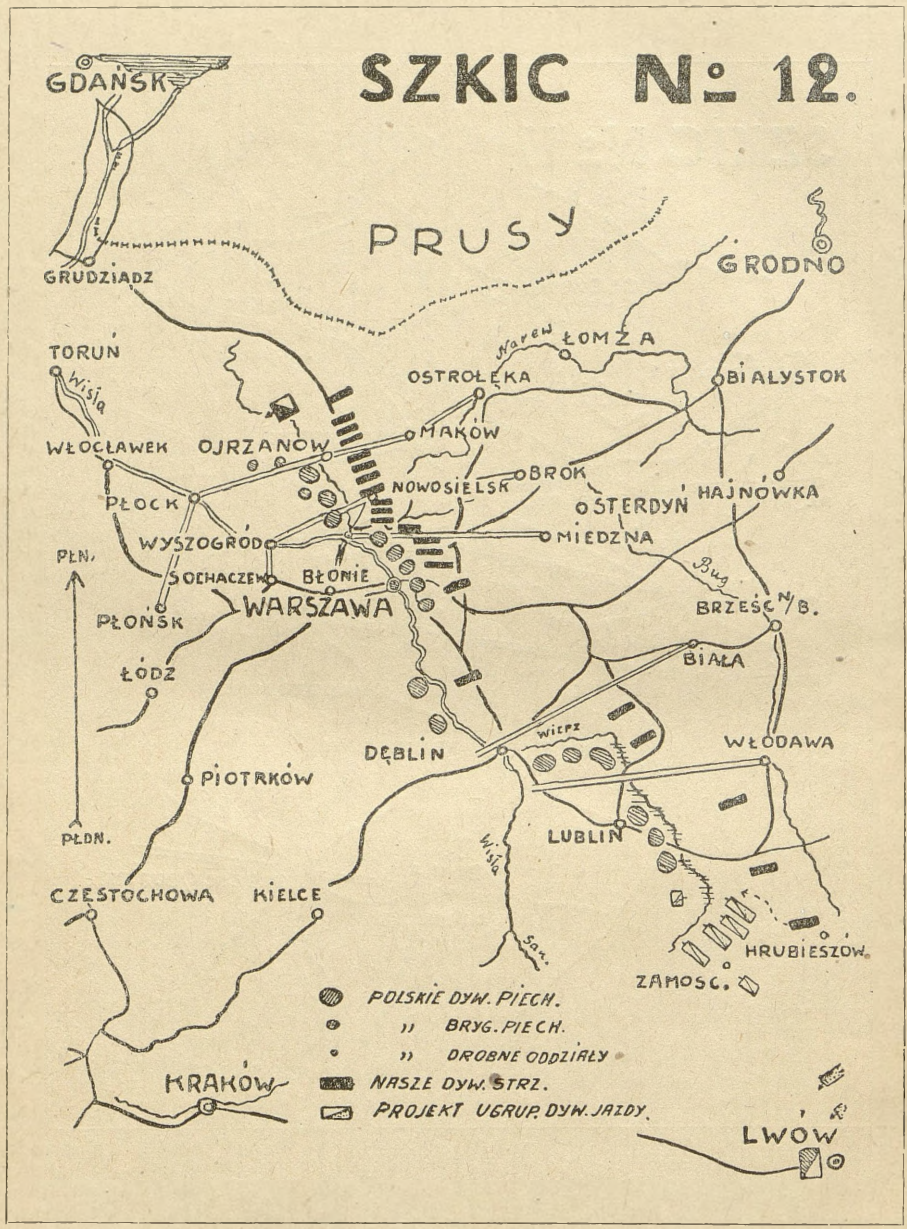

SZKIC Nr 8. POŁOŻ. 9/VII 20.
TWEREC
III K.K.
IV
ODDZIAŁY LITEWSKIE
ŚWIĘCIANY
GODUCZYSZKI
GŁĘBOKIE
KOMAJ
POSTAWY
WILIA
WILNO
XV.
MOŁODECZNO
BEREZYNA
CHOŁCHŁO
III.
OŻYRMUNY
PERSZAJ
III.
XVI.
RAKÓW
LIDA
MIŃSK
ŚLEMIEŃ
KOJDANÓWO
XVI.
BARANOWICZE
GR. MOZ.
SŁUCK

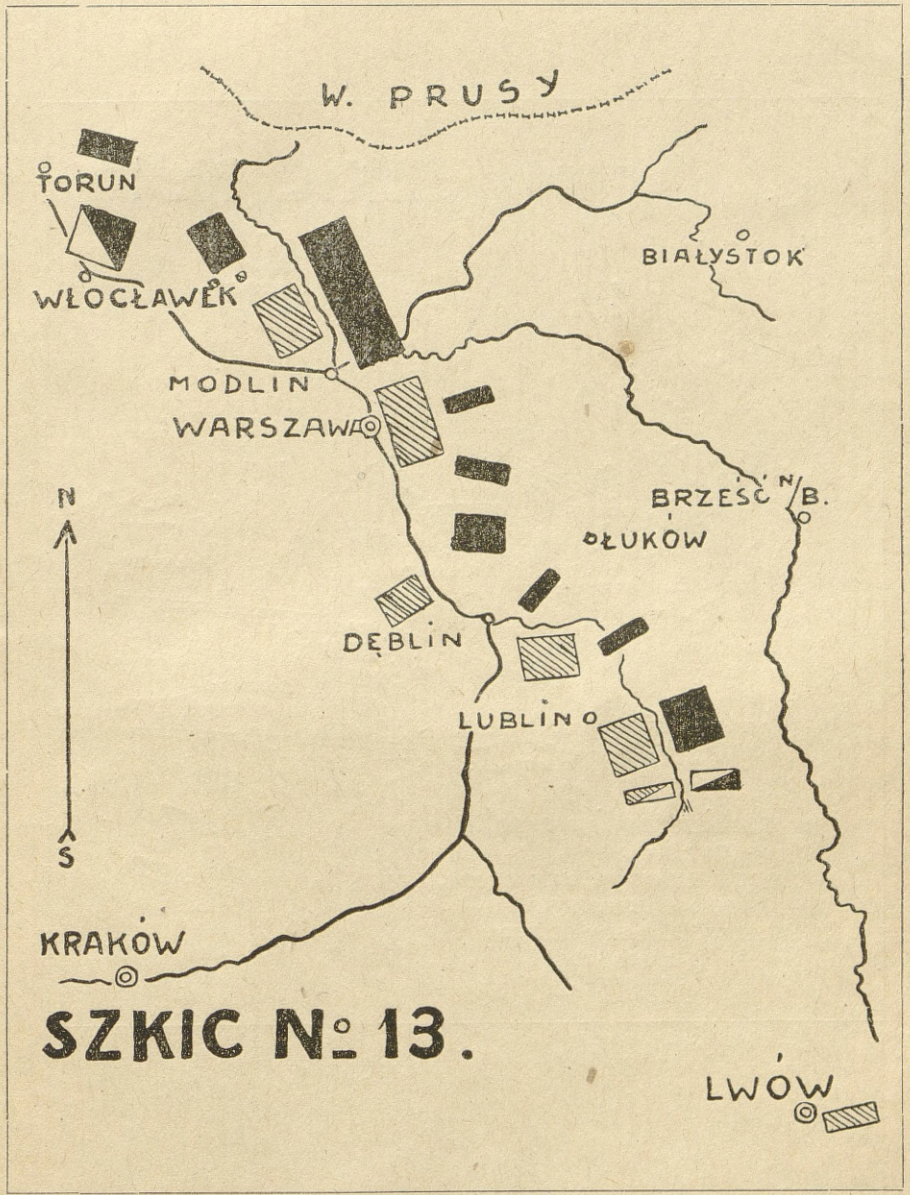
M. TUCHACZEWSKI.



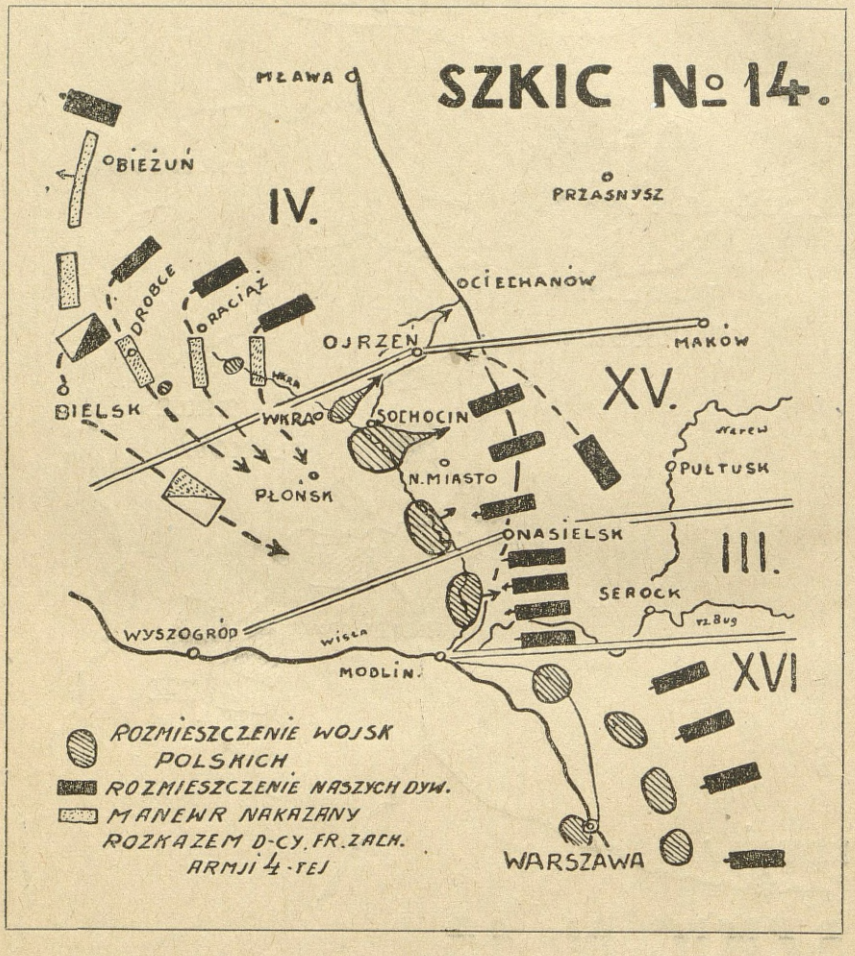


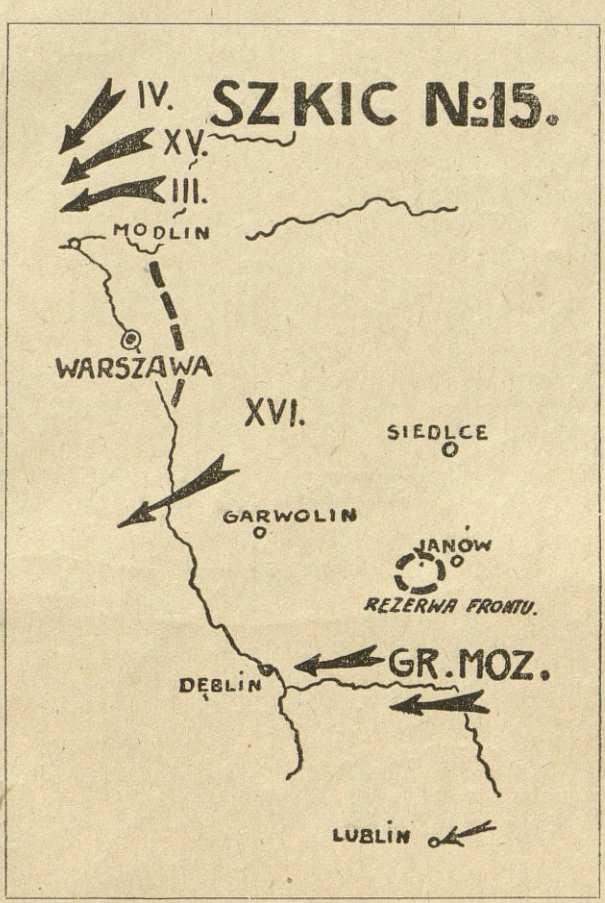

SZKIC № 11
AUGUSTÓW
GRODNO
OSOWIEC
rz. Bóbr
INDURA
SOKÓŁKA
OSTROŁĘKA
STRĘKOWA GÓRA
ŁOMŻA
Narew
ROŚ
BABINO
BIAŁYSTOK
PASIEKI
ZAMBRÓW
STRABLA
OSTRÓW
Narew
BROK
rz. Bug.
rz. Kurzec
BIELSK
HAJNÓWKA
KOSSÓW
BOCZKI
MIĘDZNA
KLESZCZELE
N
DROHICZYN
BIAŁA
BRZEŚĆ N/BUGIEM.
MIĘDZYRZEC
S
WŁODAWA

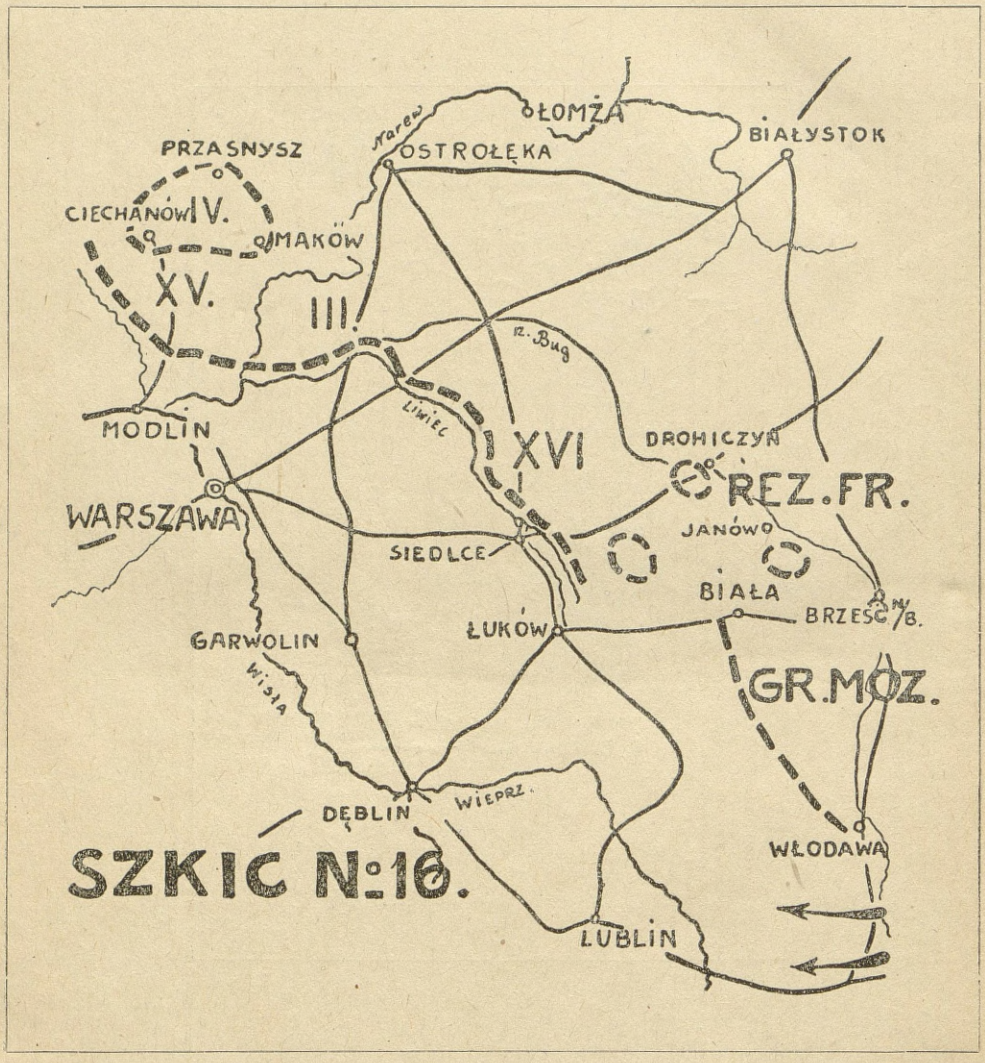

SZKIC № 12.
GDAŃSK
PRUSY
GRUDZIĄDZ
GRODNO
TORUŃ
Wisła
Narew
ŁOMŻA
OSTROŁĘKA
BIAŁYSTOK
MAKÓW
WŁOCŁAWEK
OJRZANÓW
BROK
NOWOSIELSK
PŁOCK
OSTERDYŃ
HAJNÓWKA
WYSZOGRÓD
MIĘDZNA
PŁN.
SOCHACZEW
BŁONIE
Bug
WARSZAWA
BRZEŚĆ N/B.
PŁOŃSK
BIAŁA
ŁÓDŹ
Wieprz
DĘBLIN
WŁODAWA
PIOTRKÓW
PŁDN.
LUBLIN
Wisła
San
CZĘSTOCHOWA
KIELCE
HRUBIESZÓW
ZAMOŚĆ
POLSKIE DYW. PIECH.
" BRYG. PIECH.
" DROBNE ODDZIAŁY
NASZE DYW. STRZ.
PROJEKT UGRUP. DYW. JAZDY.
KRAKÓW
LWÓW


W. PRUSY
TORUN
WŁOCŁAWEK
BIAŁYSTOK
MODLIN
WARSZAWA
BRZEŚĆ N/B.
OŁUKÓW
N
S
DĘBLIN
LUBLIN
KRAKÓW
LWÓW

SZKIC Nº 13.


SZKIC № 14.
MŁAWA
OBIEŻUŃ
IV.
PRZASNYSZ
OCIECHANÓW
DROBCE
GRACIAŻ
OJRZEŃ
MAKÓW
BIELSK
WKRA
SOCHOCIN
XV.
NAREW
PUŁTUSK
N.MIASTO
PŁOŃSK
NASIELSK
III.
SEROCK
WYSZOGRÓD
WISŁA
MODLIN
XVI
ROZMIESZCZENIE WOJSK POLSKICH
ROZMIESZCZENIE NASZYCH DYW.
MANEWR NAKAZANY ROZKAZEM D-CY. FR. ZACH. ARMJI 4-TEJ
WARSZAWA

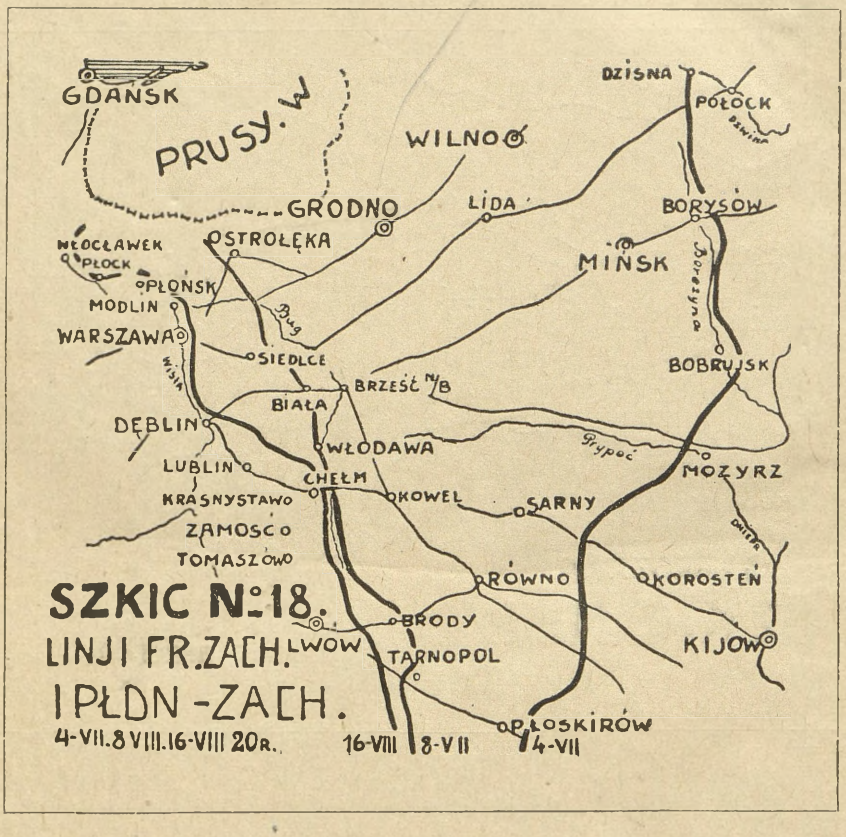

SZKIC N:15.
IV.
XV.
III.
MODLIN
WARSZAWA
XVI.
SIEDLCE
GARWOLIN
JANÓW
REZERWA FRONTU.
GR. MOZ.
DĘBLIN
LUBLIN


PRZASNYSZ
CIECHANÓW
IV.
MAKÓW
XV.
III.
OSTROŁĘKA
r. Narew
OŁOMŻA
BIAŁYSTOK
r. Bug
MODLIN
LIWIEC
XVI
DROHICZYN
REZ. FR.
WARSZAWA
JANÓWO
SIEDLCE
BIAŁA
BRZEŚĆ n/B.
ŁUKÓW
GARWOLIN
GR. MOZ.
WISŁA
DĘBLIN
WIEPRZ
WŁODAWA
LUBLIN

SZKIC No. 16.

POCHÓD ZA WISŁĘ.




GDANSK
PRUSY. W
WILNO
DZISNA
PÓŁOCK
GRODNO
LIDA
BORYSÓW
MIŃSK
OSTROŁĘKA
WŁOCŁAWEK
PŁOCK
PŁOŃSK
MODLIN
WARSZAWA
Bug
SIEDLCE
BRZEŚĆ N/B
BIAŁA
DĘBLIN
WŁODAWA
LUBLIN
CHEŁM
KRASNYSTAWO
ZAMOSC
TOMASZÓWO
OKOWEL
SARNY
Prypeć
MOZYRZ
BOBRUJSK
RÓWNO
OKOROSTEŃ
BRODY
LWOW
TARNOPOL
KIJOW
PŁOSKIRÓW
16-VIII
8-VII
4-VII
SZKIC Nº18.
LINJI FR. ZACH.
I PŁDN-ZACH.
4-VII. 8 VIII. 16-VIII 20R.

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
32596/2
H 302/XIV/5